

Isabel Wolff

Kolekcja

Pamięci mojego ojca

Jakąż dziwną siłę posiada ubranie- Isaac Bashevis Singer

Prolog

Blackheath, 1983

Siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście... dwadzieścia! Szukam! -wykrzykuję. - Jesteś gotowa, czy nie... - Odsłaniam oczy i rozpoczynam poszukiwania. Najpierw na dole. Mam nadzieję, że znajdę Emmę skuloną za kanapą w salonie, otuloną jak kokonem szkarłatną zasłoną albo przykucniętą pod fortepianem. Już uważam ją za swoją najlepszą przyjaciółkę, choć znamy się dopiero od sześciu tygodni. „Macie nową koleżankę”, oznajmiła panna Grey na początku semestru i uśmiechnęła

się do stojącej obok niej dziewczynki w zbyt oficjalnym żakiecie.

„Nazywa się Emma Kitts, i niedawno przyjechała z rodziną do Londynu z Afryki Południowej”. Potem panna Grey zaprowadziła nową do biurka tuż obok mojego. Dziewczynka była niska jak na dziewięć lat i trochę pulchna. Miała duże zielone oczy, piegi, nierówną grzywkę i dwa lśniące brązowe warkocze. „Zaopiekujesz się Emmą, Phoebe?” - spytała panna Grey. Przytaknęłam głową, a Emma rzuciła mi pełen wdzięczności uśmiech...

Idę korytarzem do salonu i zaglądam pod porysowany mahoniowy stół, ale Emmy tam nie ma. Ani tam, ani w kuchni, w której stoi staroświecki kredens z półkami pełnymi białych i niebieskich talerzy; najwyraźniej nie od kompletu. Spytałabym jej matkę, w którą stronę poszła, ale pani Kitts właśnie „wyskoczyła pograć w tenisa”, zostawiając nas same.

Wchodzę do dużej, chłodnej spiżarni i otwieram niską szafkę, która wydaje się obiecująco pojemna, ale w środku stoi tylko kilka starych termosów. Potem schodzę z pojedynczego stopnia i zaglądam do pomieszczenia gospodarczego, gdzie pralka kończy właśnie program, wirując spazmatycznie. Uchylam nawet pokrywę zamrażarki, na wypadek gdyby Emma ukryła się tam wśród paczek mrożonego groszku i lodów.

Wracam do wyłożonego dębową boazerią holu. Jest tu ciepło, a w powietrzu unosi się zapach kurzu i wosku pszczelego. Pod ścianą stoi wielkie, wspaniale rzeźbione krzesło - tron ze Swazilandu, jak powiedziała mi kiedyś Emma. Drewno jest tak ciemne, że wydaje się czarne.

Przysiadam na nim na chwilę, zastanawiając się, gdzie właściwie leży Swaziland i czy ma coś wspólnego ze Szwajcarią. Zauważam nakrycia

głowy na przeciwległej ścianie; jest ich tuzin, może trochę więcej, i wszystkie wiszą na wygiętych mosiężnych kołkach. Rozpoznaję afrykański zwój z różowo-niebieskiego materiału i kozacką czapkę z prawdziwego futra, panamę, melonik, turban, cylinder, dżokejkę, czapkę bejsbolową, fez, dwie zmaltretowane czapeczki marynarskie i szmaragdowozielony kapelusz tweedowy przyozdobiony bażancim piórem.

Wchodzę na schody o szerokich, płytkich stopniach. U szczytu znajduje się kwadratowy podest i czworo drzwi. Pierwsze z lewej prowadzą do sypialni Emmy. Przekręcam gałkę, uchylam je i czekam bez ruchu, nasłuchując stłumionego chichotu albo zdyszanego oddechu. Panuje cisza, ale wiem, że Emma umie długo wstrzymać oddech - potrafi przepłynąć pod wodą półtorej szerokości basenu. Odrzucam na bok lśniąca puchową kołdrę, ale Emmy nie ma w łóżku ani pod nim. Na podłodze leży tylko jej sekretna szkatułka, w której przechowuje złotą monetę na szczęście i pamiątnik. Otwieram wielką narożną szafę, białą, malowaną we wzory w stylu safari, ale i tam nie ma Emmy. Może schowała się w pokoju obok. Wchodzę tam i odkrywam z zakłopotaniem, że to sypialnia jej rodziców. Szukam Emmy pod łóżkiem z kutego żelaza i za toaletką z pękniętym w jednym rogu lustrem. Potem otwieram szafę, wdychając ulotny zapach skórki pomarańczowej i goździków, który przywodzi mi na myśl Boże Narodzenie. Przyglądam się barwnym, wzorzystym sukienkom pani Kitts i próbuję wyobrazić je sobie w południowoafrykańskim słońcu. Nagle zdaję sobie sprawę, że to zwykle wścibstwo. Cofam się szybko, zawstydzona. Nie mam już

ochoty bawić się w chowanego, wolałabym zagrać w remika albo po prostu pooglądać telewizję.

„Założę się, że mnie nie znajdziesz, Phoebe! Nigdy, nigdy mnie nie znajdziesz!”

Wzdycham i przechodzę przez hol do łazienki. Zaglądam za białą plastikową zasłonę prysznicową i do kosza na brudną bieliznę, w którym leży tylko spłowiały fioletowy ręcznik. Podchodzę do okna i podnoszę przymkniętą żaluzję. Kiedy patrzę w dół na zalany słońcem ogród, serce zaczyna mi nagle bić mocniej. Tam jest Emma - za wielkim platanem rosnącym przy końcu trawnika. Myśli, że jej nie zauważę, bo przycupnęła nisko, tuż przy ziemi. Ale widzę jej wystającą zza pnia stopę. Zbiegam ze schodów, pędzę przez kuchnię i pomieszczenie gospodarcze, i wypadam na zewnątrz tylnymi drzwiami.

- Znalazłam cię! - krzyczę, biegnąc w stronę drzewa. - Znalazłam!

- powtarzam, zaskoczona euforią, która mnie nagle ogarnęła. - No, dobra-dyszę. - Teraz moja kolej. Emmo? - Patrzę na nią. Emma nie kuca, ale leży na lewym boku, w całkowitym bezruchu, z zamkniętymi oczami. - Wstawaj, Em, słyszysz?

Nie odpowiada. Teraz widzę, że jedną nogę ma nienaturalnie zgiętą i podwiniętą pod siebie. Serce uderza mi gwałtownie o żebra. Już rozumiem. Emma nie schowała się pod drzewem, ale na nim. Spoglądam w górę, na przezierający między zielonymi gałęziami błękit nieba. Weszła na drzewo i spadła.

- Em... - szepczę i schylam się, by dotknąć jej ramienia. Potrząsam nią delikatnie, ale nie reaguje. Usta ma rozchylone, na dolnej wardze lśni strużka śliny. - Emmo! - krzyczę. - Obudź się! - Ale leży bez ruchu.

Kładę rękę na jej żebrach i nie wyczuwam oddechu. - Powiedz coś - zaklinam ją. Serce wali mi jak młotem. - Emmo, proszę! - Próbuję ją podnieść, ale nie potrafię. Chwytam ją rękami za głowę. - Emmo! Dławi mnie w gardle, a pod powiekami czuję piekące łzy. Odwracam się w stronę domu, modląc się duchu, by na trawniku pojawiła się pani Kitts. Ale matka Emmy wciąż jeszcze nie wróciła z tenisa. Złości mnie to, bo jesteśmy za małe, żeby zostawiać nas na tyle czasu. Myśl o pani Kitts budzi też przerażenie, bo wiem, co od niej usłyszę: że to moja wina, bo ja zaproponowałam zabawę w chowanego. W głowie słyszę głos panny Grey. Prosi, żebym zaopiekowała się Emmą, a potem mlaska z rozczarowaniem.

- Obudź się, Em - błagam. - Proszę. - Ale ona tylko leży jak... jak szmaciana lalka. Wiem, że powinnam pobiec po pomoc. Najpierw jednak muszę przykryć Emmę, bo robi się chłodno. Zdejmuję rozpinany sweter, przyrzucam nim Emmę, szybko wyglądam go dłonią i utykam brzegi pod jej ramionami. - Zaraz będę z powrotem. Nie martw się. - Z trudem powstrzymuję łzy.

Nagle Emma siada na trawie wyprostowana, śmiejąc się jak obłąkana, z oczami lśniącymi złośliwą radością.

- Nabrałam cię! - śpiewa, klaszcząc w dłonie i odrzucając głowę do tyłu.

- Naprawdę cię nabrałam, co?! - krzyczy i zaczyna się podnosić.

- Bałaś się, Phoebe, prawda? Przyznaj się! Myślałaś, że umarłam!

Strasznie długo wstrzymywałam oddech. - Dyszy, otrzepując spódniczkę. - Ciągłe brak mi tchu. - Nadyma policzki i wydmuchuje do góry powietrze, które podrywa z czoła jej grzywkę. Potem uśmiecha się do mnie. - W porządku bojący dudku. Twoja kolej. - Podaje mi sweter.

-Będę liczyć, do dwudziestu pięciu, jeśli chcesz. No, Phoebe, weź swój sweter. - Co z tobą? - Przygląda mi się.

Ręce mam zaciśnięte w pięści. Pali mnie twarz.

- Nigdy więcej tego nie rób! Emma mruga, zaskoczona.

- To był tylko żart.

- Okropny! - Z moich oczu tryskają łzy.

- Prze... przepraszam...

- Nigdy więcej tego nie rób! Jeśli jeszcze kiedyś zrobisz coś takiego, nigdy więcej się do ciebie nie odezwę. Nigdy!

- To był tylko żart - protestuje Emma. - Nie musisz zaraz.... - Wyrzuca ręce do góry. - Nie musisz się zaraz obrażać. Chciałam tylko...

zażartować. - Wzrusza ramionami. - Nie zrobię tego więcej, skoro tak cię to denerwuje. Naprawdę.

Wyrywam sweter z jej rąk.

- Przysięgnij. - Patrzę na nią groźnie. - Musisz przysiąc.

- No... dobrze - mruczy Emma i bierze głęboki oddech. - Ja, Emma Mandisa Kitts, przysięgam, że nie będę w taki sposób żartować z ciebie, Phoebe Jane Swift. Już nigdy - powtarza i teatralnym gestem kładzie dłoń na sercu. - Jak babcię kocham. - A potem, z tym uśmiechem, który tak dobrze zapamiętałam mimo upływu lat, dodaje: - Albo... niech skonam!

Rozdział I

Wrzesień to dobry czas, żeby zacząć wszystko od początku, pomyślałam, wychodząc z domu wczesnym rankiem. Na początku

września zawsze mam poczucie, że rozpoczyna się coś nowego. Bardziej niż w styczniu. Może dlatego, myślałam, przechodząc przez Tranquil Vale, że po sierpniowym zaduchu wrzesień zawsze wydaje się taki świeży. A może, zastanawiałam się, mijając księgarnię Blackheath Books z witryną reklamującą szkolne podręczniki, chodzi o początek roku akademickiego.

Idąc w górę zbocza, w stronę Heath, dotarłam w końcu do świeżo pomalowanej fasady Village Vintage i pozwoliłam sobie na odrobinę optymizmu. Otworzyłam drzwi kluczem, podniosłam z wycieraczki pocztę i zaczęłam przygotowania do oficjalnego otwarcia sklepu.

Pracowałam bez przerwy do czwartej, wybierając ubrania z małego magazynu na górze i rozwieszając je na wieszakach. Przerzucając przez ramię popołudniową sukienkę z lat dwudziestych, musnęłam dłonią ciężką jedwabną satynę, a potem dotknęłam ozdobnych błyszczących koralików i idealnie równych, ręcznych szwów. To właśnie, powiedziałam sobie, najbardziej lubię w starych ubraniach. Piękne materiały i doskonałe wykończenie. Podoba mi się, że w wykonanie tych rzeczy ktoś włożył tyle wysiłku i talentu.

Spojrzałam na zegarek. Do przyjęcia zostały tylko dwie godziny, a ja nie zdążyłam jeszcze schłodzić szampana. Pobiegnęłam do kuchni i zaczęłam otwierać skrzynki, zastanawiając się, ile osób przyjdzie na otwarcie. Zaprosiłam około stu, więc powinnam przygotować przynajmniej siedemdziesiąt kieliszków. Wstawiłam butelki do lodówki i nastawiłam ją na „mrożenie”, a potem szybko zaparzyłam sobie herbatę. Popijając earl greya rozejrzałam się po sklepie, przez chwilę rozkoszując się świadomością, że udało mi się zrealizować marzenie.

Wnętrze Village Vintage jest jasne i nowoczesne. Drewniane podłogi zostały oczyszczone, pomalowane na biało, a na ścianach w odcieniu gołębiej szarości wiszą wielkie lustra w srebrnych ramach. Na chromowanych kwietnikach stoją doniczki z kwiatami, połyskując w świetle halogenów umieszczonych na suficie. Tuż przy wejściu do przymierzalni ustawiłam dużą, obitą kremowym materiałem sofę bergere. Z okien widać niemal całą dzielnicę pod błękitnym, usianym białymi chmurami niebem. Za kościołem, szarpane wiatrem, fruują dwa żółte latawce, a na horyzoncie wznoszą się szklane wieże Canary Wharf, migocząc w popołudniowym słońcu.

Dziennikarz, który miał przeprowadzić ze mną wywiad, spóźnia się już ponad godzinę. Nie wiedziałam nawet, z jakiej był gazety. Z wczorajszej krótkiej rozmowy telefonicznej pamiętałam tylko, że miał na imię Dan i mówił, że przyjdzie o wpół do czwartej. Moja irytacja zmieniła się w panikę, kiedy przyszło mi do głowy, że może się w ogóle nie pojawić. Tak bardzo potrzebowałam reklamy. Na myśl o ogromnej pożyczce, którą wzięłam z banku, robiło mi się słabo. Przypinając cenę do haftowanej wieczorowej torebki, przypomniałam sobie, jak przekonywałam urzędniczkę, że te pieniądze będą całkowicie bezpieczne.

- Pracowała pani w Sotheby's? - powiedziała urzędniczka, przeglądając mój biznes plan w małym biurze, w którym wszystko, łącznie z sufitem i tylnymi drzwiami, wyglądało jak pokryte szarą, grubą wełną.

- W dziale tekstyliów - wyjaśniłam. - Zajmowałam się wyceną starych ubrań i prowadziłam aukcje.

- Musi więc pani sporo wiedzieć na ten temat.

- Owszem.

Kobieta zanotowała coś w formularzu, skrzypiąc długopisem po błyszczącym papierze.

- Ale nigdy nie pracowała pani w handlu detalicznym, prawda?

- Nie - odparłam ze ściśniętym sercem. - Nigdy. Znalazłam jednak bardzo atrakcyjne miejsce w przyjemnej, ruchliwej dzielnicy, w której nie ma innych sklepów tego typu. - Podałam jej broszurę agencji obrotu nieruchomościami. Wspomniano w niej Montpelier Vale.

- Miłe miejsce, rzeczywiście - przyznała, przeglądając broszurę.

Podniosło mnie to trochę na duchu. - Lokalizacja na rogu ulicy jest bardzo korzystna. - Wyobraziłam sobie witrynę pełną wspaniałych sukni.

-Ale czynsz jest wysoki. - Urzędniczka odłożyła folder na szary blat i spojrzała na mnie bez uśmiechu. - Dlaczego sądzi pani, że zarobi na sprzedaży dość, by pokryć koszty, nie mówiąc już o osiągnięciu zysków?

- Dlatego, że...- Stłumiłam pełne frustracji westchnienie. - Wiem, że jest popyt na takie rzeczy. Stare, oryginalne ubrania stały się tak popularne, że handel nimi nie jest już działalnością niszową, lecz częścią głównego nurtu. W każdym mieście na głównej ulicy można kupić ubrania retro w sklepach takich, jak Miss Selfridge czy Top Shop.

Kobieta znowu zanotowała coś w milczeniu.

- Wiem o tym. - Znowu podniosła na mnie wzrok, ale tym razem się uśmiechnęła. - Wczoraj kupiłam w Jigsaw cudowne sztuczne futro od Biba, w doskonałym stanie i z oryginalnymi guzikami. - Położyła formularz przede mną i podała mi długopis. - Proszę podpisać na dole, dobrze?

Teraz wyeksponowałam wieczorowe suknie na osobnym wieszaku i zaczęłam wyciągać torebki, paski i buty. Rękawiczki włożyłam do ko-

szyka, sztuczną biżuterię umieściłam w otwartych, wybitych aksamitem pudełkach, a potem, na najwyższej półce, ostrożnie położyłam kapelusz, który dostałam od Emmy z okazji trzydziestych urodzin.

Cofnęłam się i przez chwilę podziwiałam tę piękną rzeźbę z brązowej słomki; niezwykle, wysoki kapelusz.

- Tęsknię za tobą, Em - mruknęłam pod nosem. - Gdziekolwiek jesteś...

- Poczułam w sercu znajomy, ostry ból, jakby tkwiła w nim drzazga.

Za moimi plecami rozległo się gwałtowne pukanie. Po drugiej stronie szyby stał mężczyzna mniej więcej w moim wieku, może trochę młodszy. Był wysoki i dobrze zbudowany. Miał duże szare oczy i kręcone ciemno-blond włosy, które sterczały na jego głowie jak sprężyny. Przypominał mi kogoś sławnego, ale nie mogłam sobie przypomnieć, kogo.

- Dan Robinson - przedstawił się z szerokim uśmiechem, kiedy go wpuściłam. - Przepraszam, trochę się spóźniłem. - Powstrzymałam chęć by mu powiedzieć, że to nie było „trochę”. Z podniszczonej torby wyjął notatnik. - Poprzedni wywiad trochę się przeciągnął, potem utknąłem w korku. Ale to nie powinno nam zająć więcej niż dwadzieścia minut.

- Wsadził rękę do kieszeni zmiętej lnianej marynarki i wyciągnął ołówek.

- Wystarczy mi kilka podstawowych informacji o tobie i o sklepie.

- Spojrzał na splątane jedwabne szale zwisające z lady i na wpół ubrany manekin. - Zdaje się, że jesteś zajęta, więc jeśli nie masz czasu...

- Och, nie! - przerwałam mu. - Naprawdę. Jeśli nie masz nic przeciw temu, że będę pracowała w czasie naszej rozmowy. - Powiesiłam koktajlową sukienkę z zielonego szyfonu na obciążonym aksamitem

wieszaku. - Z jakiej jesteś gazety? - Kątem oka zauważyłam, że koszula w fioletowe paski nie pasowała do jego zielonych spodni.

- To nowa gazeta, nazywa się „Black & Green - Blackheath and Greenwich Express”. Wychodzi dwa razy w tygodniu. Ukazuje się dopiero od kilku miesięcy, więc na razie staramy się pozyskać czytelników.

- Będę wdzięczna za każdą reklamę - powiedziałam, wieszając sukienkę na stojaku ze strojami dziennymi.

- Artykuł powinien wyjść w piątek. - Dan rozejrzał się po sklepie. - Miło tu i jasno. Nie przyszłoby mi do głowy, że sprzedajesz używane ciuchy... To znaczy ubrania vintage - poprawił się.

- Dziękuję - odparłam oschle, choć jego uwaga sprawiła mi pewną przyjemność.

Zaczęłam zdejmować celofan z bukietu białych kalii, a Dan wyjrzał przez okno.

- Doskonała lokalizacja. Kiwnęłam głową.

- Podoba mi się, że mogę stąd patrzeć na Heath. No i sklep jest dobrze widoczny z ulicy, więc mam nadzieję, że będą wstępować nie tylko ci, którzy szukają takich rzeczy, ale też przypadkowi przechodnie.

- Tak właśnie cię znalazłem - oznajmił Dan, kiedy wkładałam kwiaty do wysokiego szklanego wazonu. - Przechodziłem tędy wczoraj i zobaczyłem - sięgnął tylnej kieszeni spodni i wyjął z niej temperówkę - że otwiera się nowy sklep. Pomyślałem, że to dobry temat do piątkowego wydania. - Usiadł na sofie i zauważyłam, że ma skarpetki nie do pary; jedną zieloną, a drugą brązową. - Choć właściwie nie znam się na modzie.

- Naprawdę? - powiedziała uprzejmie, patrząc, jak energicznie ostrzy ołówek. - Nie używasz dyktafonu? - spytała. Nie mogłam się powstrzymać.

Przyjrzał się uważnie naostrzonemu ołówkowi, po czym dmuchnął na końcówkę.

- Wolę robić szybkie notatki. Na gorąco. - Schował temperówkę do kieszeni. - No, zaczynajmy. - Postukał ołówkiem o dolną wargę. - O co powinienem cię najpierw zapytać...? - Z trudem ukryłam pogardę dla takiego braku przygotowania. - O, już wiem. Jesteś miejscowa?

- Tak. - Złożyłam jasnoniebieski kaszmirowy kardigan. - Wychowałam się na Eliot Hill, bliżej Greenwich, ale od pięciu lat mieszkam w centrum Blackheath, niedaleko stacji. - Pomyślałam o moim małym domku z miniaturowym ogródkiem.

- Niedaleko stacji - powtórzył Dan powoli. - Następne pytanie...

- Czuję, że ten wywiad potrwa całe wieki, a była to ostatnia rzecz, na jaką miałam czas. - Masz coś wspólnego z modą? - spytał. - Czytelnicy chyba chcieliby to wiedzieć?

- Hm... Można to tak określić. - Powiedziałam mu, że uzyskałam dyplom z historii mody w St Martin's i pracowałam w Sotheby's.

- Jak długo?

- Dwanaście lat. - Złożyłam jedwabny szal od Yves Saint Laurenta i ułożyłam go na tacy. - Właściwie niedawno zostałam nawet szefem działu tekstyliów. Ale potem... postanowiłam odejść.

Dan podniósł wzrok.

- Mimo awansu?

- Tak. - Pożałowałam, że powiedziałam tak dużo. - Pracowałam tam niemal od dnia, kiedy skończyłam studia, i czułam, że potrzebuję...
- Spojrzałam w okno, usiłując zapanować nad emocjami. - Czułam, że potrzebuję...
- Przerwy? - podsunął Dan.
- Raczej... zmiany. Więc na początku marca wzięłam bezpłatny urlop. - Owinęłam szyję srebrnego manekina sznurem pastelowych chanelowskich pereł. - Powiedzieli, że moje stanowisko będzie na mnie czekać do czerwca, ale w maju dowiedziałam się, że ten lokal jest do wynajęcia, więc postanowiłam skoczyć na głęboką wodę i zająć się handlem stylowymi ubraniami na własny rachunek. Już od jakiegoś czasu o tym myślałam - dodałam.
- Od... jakiegoś... czasu... - powtórzył Dan cicho. Trudno było to nazwać robieniem „szybkich notatek”. Rzuciłam okiem na jego dziwne bazgroły i skróty. - Następne pytanie... - powiedział i zaczął ssać ołówek. Uznałam, że jest beznadziejny. - Wiem! Skąd bierzesz te rzeczy? A może to tajemnica handlowa? - Spojrzał na mnie.
- Właściwie nie. - Zapięłam haftki beżowej jedwabnej bluzki od Georges'a Recha. - Wiele z tych ubrań kupiłam w małych domach aukcyjnych poza Londynem, a także w specjalistycznych firmach i od osób prywatnych, które poznałam, pracując dla Sotheby's. Kupowałam też na targach staroci i na eBayu. Raz czy dwa pojechałam też do Francji.
- Dlaczego do Francji?
- Na targach w małych miejscowościach można dostać wspaniałe stare rzeczy. Takie, jak te haftowane koszule nocne. - Podniosłam jedną do

góry. - Kupiłam ją w Awinionie. Nie były drogie, bo wśród Francuzek nie ma takiego popytu na ubrania vintage jak u nas.

- Teraz vintage jest bardzo poszukiwane, prawda?

- Tak. - Szybkim ruchem rozłożyłam kilka egzemplarzy „Vogue'a” z lat pięćdziesiątych na szklanym blacie stolika stojącego przy sofie.

-Kobiety chcą rzeczy niepowtarzalnych, a nie produkowanych masowo. Ubrania retro to właśnie to. Jeśli je nosisz, jesteś oryginalny i masz styl.

Wiesz, teraz można kupić wieczorową sukienkę za dwieście funtów w co drugim sklepie - powiedziałam, zapalając się do tematu. - A na drugi

dzień ta sama sukienka nie jest już warta nawet połowy ceny. Ale za tę samą kwotę można kupić coś, co zostało uszyte z doskonałego ma-

teriału. Coś, czego nikt inny nie będzie miał na sobie. Coś, co jeśli nie zostanie zniszczone, z czasem jeszcze nabierze wartości. Jak to. - Poka-

załam mu koktajlową sukienkę z tafty w kolorze głębokiego szafiru od Hardy Amies, z 1957 roku.

- Śliczna - stwierdził Dan, patrząc na szeroko wykrojony dekolt, wąski stanik i rozkloszowaną spódnicę. - Można by pomyśleć, że jest nowa.

- Wszystko, co sprzedaję, jest w doskonałym stanie.

- Stanie... - wymruczał Dan i znowu coś zanotował.

- Każdy z tych strojów jest prany lub czyszczony chemicznie

-ciągnęłam, odwieszając sukienkę na miejsce. - Mam też świetną kraw-

cową, która dokonuje większych poprawek i reperacji. Drobniejszymi zajmuję się sama. Urządziłam małą pracownię z maszyną do szycia na zapleczu.

- Ile kosztują takie ubrania?

- Piętnaście funtów za ręcznie gnieciony jedwabny szalik, siedemdziesiąt pięć za bawełnianą sukienkę dzienną i dwieście, trzysta za wieczorową. A nawet półtora tysiąca za ubrania znanych projektantów. - Wyciągnęłam suknię wieczorową ze złotawego tiulu od Pierre'a Balmaina z wczesnych lat sześćdziesiątych. Była obszyta złotymi koralikami i srebrnymi cekinami. Podniosłam nieco foliowy pokrowiec. - To cenna suknia, wyszła z pracowni jednego z najbardziej znanych projektantów, gdy znajdował się u szczytu kariery. Albo to... - Chwyciłam parę szerokich spodni z jedwabnego aksamitu w psychodeliczne, zielono-różowe wzory. - To Emilio Pucci. Jeśli ktoś je kupi, to pewnie raczej jako inwestycję niż po to, żeby je nosić. Pucci, podobnie jak Ossie Clark, Biba i Jean Muir, jest poszukiwany przez kolekcjonerów. - Marylin Monroe uwielbiała stroje od Pucciego - zauważył Dan. - Została pochowana w swojej ulubionej zielonej jedwabnej sukni od niego. - Kiwnęłam głową, nie chcąc przyznać, że o tym nie wiedziałam. - Te są urocze. - Dan kiwnął głową w stronę ściany za moimi plecami, na której, jak obrazy, wisiały cztery długie do kolan suknie bez ramiączek: żółta, różowa, turkusowa i zielona. Wszystkie miały satynowe staniki i spódnice z niezliczonych warstw lekkiego, obszytego migoczącymi kryształkami tiulu. - Powiesiłam je tu, bo bardzo mi się podobają - wyjaśniłam. - To suknie debutantek z lat pięćdziesiątych. Nazywam je „bezami”, bo są takie lekkie i słodkie. Wystarczy, że na nie spojrzę, i od razu czuję się szczęśliwsza. Na tyle, na ile to w tej chwili możliwe, dodałam ponuro w myślach. Dan wstał.

- A to, co tam odłożyłaś? Co to jest?

- To spódnica od Vivienne Westwood. - Podniosłam ją do góry. -A to... -
zdjęłam z wieszaka jedwabne wdzianko w kolorze terakoty
-zaprojektowała Thea Porter. A mały zamszowy zakieciak jest od Mary
Quant.

- A to? - Dan wyciągnął perłoworóżową satynową suknię wieczorową z
owalnym dekoltem, fałdami po bokach i wydłużonym jak syreni ogon
tyłem. - Jest cudowna. Mogłaby ją nosić Katherine Hepburn albo Greta
Garbo... albo Veronica Lake - dodał po namyśle - w Szklanym kluczu.

- Nie znam tego filmu.

- Jest niedoceniany. Scenariusz napisał Dashiell Hammett w 1942 roku.
Howard Hawks sporo z niego zapożyczył do Wielkiego snu.

- Naprawdę?

- Ale wiesz co... - Dan nagle przyłożył suknię do mnie w taki sposób, że
zrobiło mi się dziwnie. - Byłoby ci w niej doskonale. -Spojrzał z
aprobatą. - Masz w sobie coś z aktorek z tych czarnych kryminałów.

- Naprawdę? - Znowu dziwnie się poczułam. - Cóż, właściwie... Ta
suknia kiedyś do mnie należała.

- Serio? I nie chcesz jej? - spytał niemal z oburzeniem. - Jest piękna.

- Owszem, ale... Po prostu z niej... wyrosłam. - Odwróciłam się do
wieszaka. Nie musiałam mu mówić prawdy. A prawda była taka, że to
Guy dał mi ją rok temu. Spotykaliśmy się wtedy od miesiąca. Zabrał
mnie na weekend do Bath. Tam zauważyłam suknię na wystawie i po-
szłam się jej przyjrzeć; tylko z zawodowej ciekawości, bo kosztowała
pięćset funtów. Ale później kiedy czytałam w pokoju, Guy wymknął się
z hotelu i wrócił z suknią, zapakowaną w ozdobną różową bibułę.

Teraz chciałam ją sprzedać, ponieważ należała do tej części mojego życia, o której rozpaczliwie pragnęłam zapomnieć. Postanowiłam, że pieniądze ze sprzedaży oddam na jakiś cel dobroczynny.

- A co najbardziej pociąga cię w takich starych strojach? - spytał Dan, kiedy zaczęłam ustawiać buty w jasno oświetlonych, szklanych sześcianach stojących pod ścianą po lewej stronie. - Chodzi o to, że w porównaniu z rzeczami, które się obecnie produkuje, są dobrej jakości? - To istotne - odparłam, ustawiając pod kątem zielone zamszowe czółenka z lat sześćdziesiątych. - Moda retro to sprzeciw wobec masowej tandety. Ale to, co uwielbiam w tych strojach... - Spojrzałam na niego. - Tylko się nie śmieję, dobrze?

- Oczywiście...

Pogłaskałam lekki jak pajęczyna szyfon peniuaru z lat pięćdziesiątych.

- To, co naprawdę lubię w tych ubraniach, to fakt, że kryje się w nich czyjaś przeszłość. - Przeciągnęłam dłonią po szerokim szalu z tłoczonego aksamitu. - Często zastanawiam się, kim były kobiety, które to wszystko nosiły.

- Naprawdę?

- Zastanawiam się nad ich życiem. Ilekroć patrzę na jakiś strój, na przykład na taki kostium... - Podeszłam do innego wieszaka i zdjęłam z niego dopasowany żakiet oraz spódniczkę w kolorze ciemnego błękitu, wyprodukowane w latach czterdziestych. - Kiedy biorę go w ręce, myślę o kobiecie, do której należał. Ile miała lat? Pracowała? Miała męża? Czy była szczęśliwa? - Dan wzruszył ramionami. - Kostium ma brytyjską metkę z wczesnych lat czterdziestych - ciągnęłam - więc się

zastanawiam, co się działo z tą kobietą podczas wojny. Przeżyła? Czy przeżył jej mąż?

Podeszłam do butów i podniosłam parę brokatowych kłapek z lat trzydziestych, haftowanych w żółte róże.

- Patrząc na te niezwykle buty i wyobrażam sobie kobietę, która w nich i chodziła, zrzucała je ze stóp, tańczyła w nich albo kogoś całowała. -

Zbliżyłam się do różowego aksamitnego toczka z woalką, który tkwił na stojaku. - Przyglądam się kapeluszowi... - podniosłam woalkę - i próbuję wyobrazić sobie twarz właścicielki. Bo kiedy kupujesz taki strój, kupujesz nie tylko materiał i nici: kupujesz część czyjejś historii. Dan kiwnął głową.

- A ty przywracasz ją do życia.

- Właśnie. Daję tym rzeczom nowe życie. Cieszę się, że potrafię przywrócić im blask - mówiłam dalej. - Tym bardziej że tyle jest w życiu rzeczy, których nie można naprawić - dokończyłam, czując znajomy ból w okolicy serca.

- Nigdy nie myślałem o starych ubraniach w taki sposób - powiedział Dan po chwili. - Podoba mi się twoja pasja. - Spojrzał w notatki. -Będę miał kilka świetnych cytatów.

- To dobrze - odparłam cicho. - Miło mi się z tobą rozmawiało.

Zwłaszcza biorąc pod uwagę beznadziejny początek, miałam ochotę dodać.

Dan uśmiechnął się do mnie.

- Tak, no cóż... Lepiej będzie, jeśli dam ci teraz spokój. Powinienem pójść i spisać to wszystko, ale... - Umilkł, spoglądając na półkę w kącie.

Co za fantastyczny kapelusz. Z jakiego okresu?

- To współczesne nakrycie głowy. Zrobiono je trzy lata temu.

- Bardzo oryginalne.

- Owszem, jedyne w swoim rodzaju.

- Ile kosztuje?

- Nie jest na sprzedaż. Dostałam go od projektantki, bliskiej przyjaciółki. Chciałam, żeby tu był, bo... - Coś zaczęło mnie ścisnąć w gardle.

- Bo jest piękny? - rzucił Dan. Kiwnęłam głową. Zamknął notatnik. - Czy ona też przyjdzie na otwarcie?

Pokręciłam głową.

- Nie.

- Jeszcze jedno - powiedział Dan, wyjmując z torby aparat. - Redaktor chciałby, żebym do artykułu dołączył twoje zdjęcie.

Rzuciłam okiem na zegarek.

- Jeśli nie zajmie to zbyt wiele czasu. Muszę jeszcze udekorować wejście balonikami, przebrać się i... rozlać szampana do kieliszków. To wszystko potrwa, a za dwadzieścia minut zaczną się schodzić goście.

- Pozwól, że ja to zrobię - zaproponował Dan. - W ramach zadośćuczynienia za spóźnienie. - Wsunął ołówek za ucho. - Gdzie są kieliszki?

- Za ladą, w pudełkach. W lodówce jest dwanaście butelek szampana, tam, w kuchni. Dziękuję - dodałam, zastanawiając się niespokojnie, czy Dan zdoła to zrobić, nie zalewając wszystkiego dookoła szampanem. Ale zaczął zręcznie napełniać wysokie kieliszki Veuve Clicquot -starym, oczywiście, musiał być stary. Przebrałam się szybko w gołębio-szarą sukienkę koktajlową na cienkich ramiączkach z lśniących koralików z lat trzydziestych. Potem zrobiłam lekki makijaż i przeczesałam włosy

szczotką. W końcu odwiązałam pęk nadmuchanych złotych baloników od oparcia krzesła i umocowałam je po obu stronach drzwi wejściowych. Podskakiwały i trzepotały na wietrze. Dokładnie w chwili, kiedy dzwon na wieży kościelnej wybił godzinę szóstą, stanęłam w drzwiach z kieliszkiem w dłoni, a Dan zaczął robić zdjęcia. Po krótkiej chwili opuścił aparat i spojrzał na mnie, wyraźnie czymś zaskoczony.

- Przepraszam, Phoebe, ale może zdołałabyś się uśmiechnąć?

Moja matka pojawiła się, kiedy Dan wychodził.

- Kto to był? - spytała, zmierzając prosto do przymierzalni.

- Dziennikarz, ma na imię Dan - odparłam. - Właśnie przeprowadził ze mną wywiad do lokalnej gazety. Jest trochę roztargniony.

- Wydawał się dość miły - oznajmiła, uważnie przyglądając się swojemu odbiciu w lustrze. - Był okropnie ubrany, ale lubię kręcone włosy u mężczyzn. Tak rzadko się zdarzają. - Spojrzała na mnie w lustrze z rozczarowaniem i troską. - Naprawdę wolałabym, żebyś znowu kogoś miała, Phoebe, nie chcę, żebyś była sama. Samotność to żadna frajda. Coś o tym wiem - dodała gorzko.

- Mnie odpowiada. Mam zamiar być sama bardzo długo, najlepiej zawsze.

Matka otworzyła torebkę.

- To akurat mój los, kochanie, i nie chcę, żebyś go ze mną dzieliła.

- Wyjęła z torebki nową, kosztowną szminkę, w etui, które wyglądało jak złoty nabój rewolwerowy. - Wiem, że masz za sobą ciężki rok.

- Owszem - mruknęłam.

- I wiem... - zerknęła na kapelusz, który dostałam od Emmy - że sporo... wycierpiałaś. - Matka nie miała nawet pojęcia, ile. - Ale nadal nie rozumiem... - wiedziałam dokładnie, co zaraz nastąpi - dlaczego musiałaś zerwać z Guyem. Wiem, spotkałam go tylko trzy razy, ale uważam, że był czarujący, przystojny i miły.

- Zgadza się - przytaknęłam. - Był wspaniały. Prawdę mówiąc, idealny. Matka odszukała moje spojrzenie w lustrze.

- Więc co się właściwie stało?

- Nic - skłamałam. - Po prostu... moje uczucia się zmieniły. Mówiłam ci już.

- Owszem. Ale nigdy nie powiedziałaś mi, dlaczego. - Wysunęła z etui szminkę w trochę zbyt jaskrawym odcieniu koralu i przeciągnęła nią po górnej wardze. - Nie obraż się, ale to wydaje mi się trochę perwersyjne. Oczywiście, czułaś się bardzo nieszczęśliwa. - Zniżyła głos. - Ale to, co stało się z Emmą... - Zacisnęłam powieki, by odciąć się od obrazów, które będą mnie ścigać do końca życia. - Cóż... to straszne. - Westchnęła.

- Nie wiem, jak mogła to zrobić! I pomyśleć, co jeszcze miała przed sobą... Tak wiele...

- Tak wiele - powtórzyłam z goryczą.

Matka przycisnęła do dolnej wargi papierową chusteczkę.

- Ale nadal nie rozumiem, dlaczego ty, taka zrozpaczona, musiałaś zakończyć coś, co wydawało się być udanym związkiem z bardzo miłym człowiekiem. Myślę, że przechodziłaś jakieś załamanie nerwowe - ciągnęła. - Nie zdziwiłoby mnie to... - Chyba nie bardzo wiedziałaś wtedy, co robisz.

- Doskonale wiedziałam - odpowiedziałam spokojnie. - Ale wiesz co, mam, nie chcę o tym roz...

- Jak ty go właściwie poznałaś? - spytała nagle. - Nigdy mi nic o tym nie opowiadałaś.

Poczułam, jak moją twarz oblewa fala gorąca.

- Przez Emmę.

- Naprawdę? - Matka odwróciła się do mnie. - Jakie to miłe i typowe dla niej, przedstawić ci takiego miłego człowieka - powiedziała, znowu odwracając się do lustra

- Tak - odparłam, zmieszana.

- Poznałam kogoś - oznajmiła Emma przez telefon rok wcześniej.

-Zawrócił mi w głowie, Phoebe. Jest taki... cudowny. - Od razu nabrałam podejrzeń. Nie tylko dlatego, że Emma zawsze twierdziła, iż właśnie poznała kogoś „cudownego”, ale dlatego, że o tych panach można było zwykle powiedzieć wszystko, tylko nie to. Emma jednak zachwycała się każdym z nich, by miesiąc później ich unikać i mówić, że są „okropni”. -Poznałam go na aukcji dobroczynnej - wyjaśniła. - Zarządza funduszem inwestycyjnym. Ale najlepsze jest to - dodała z właściwym sobie, rozczulającym brakiem finezji - że to działalność etyczna.

- Brzmi interesująco. Musi być inteligentny.

- Skończył studia z pierwszą lokatą. Nie żeby się tym chwalił -dorzuciła szybko. - Znalazłam to w Google'u. Spotkaliśmy się parę razy, ale wszystko rozwija się tak błyskawicznie, że chciałabym, żebyś go sprawdziła.

- Emmo! - Westchnęłam. - Masz trzydzieści trzy lata. Odnosisz sukcesy. Projektujesz nakrycia głowy dla najszynniejszych kobiet w Anglii. Do czego potrzebna ci moja aprobata?

- Cóż... - Emma mlasnęła językiem. - Bo trudno zmienić stare przyzwyczajenia. Zawsze pytałam cię o zdanie, jeśli chodziło o chłopaków, prawda? - powiedziała w zamyśleniu. - Odkąd byliśmy nastolatkami.

- Tak, ale teraz już nimi nie jesteśmy. Powinnaś zaufać własnemu instynktowi, Em.

- Rozumiem. Ale i tak chciałabym, żebyś poznała Guya. Organizuję małą kolację w przyszłym tygodniu i mam zamiar posadzić cię obok niego, dobrze?

- Dobrze - odparłam z westchnieniem.

Szkoda, że dałam się w to wciągnąć, myślałam następnego czwartku wieczorem, pomagając Emmie w kuchni jej wynajętego domu w Marylebone. Z salonu dobiegał gwar rozmów i śmiech gości. Mała kolacja w wydaniu Emmy oznaczała posiłek składający się z pięciu dań, dla dwunastu osób. Zbierając talerze, myślałam o mężczyznach, w których Emma kochała się do szaleństwa w ciągu ostatnich pięciu lat. Był wśród nich Arnie - fotograf mody, który w tym samym czasie spotykał się z jakąś modelką. Finian - projektant ogrodów, który spędzał każdy weekend ze swoją sześciolletnią córką oraz jej mamusią. Był też Julian - makler w okularach, który pasjonował się filozofią i do wszystkiego innego podchodził z filozoficzną obojętnością. Ostatnim mężczyzną Emmy był Peter - skrzypek z Filharmonii Londyńskiej. To akurat wyglądało dość obiecująco. Facet był miły i Emma mogła z nim

rozmawiać o muzyce. Ale wyjechał na trzymiesięczne tournée dookoła świata i wrócił zaręczony z drugim fletem.

Może ten nowy, Guy, okaże się lepszą inwestycją uczuciową, myślałam, grzebiąc w szufladzie w poszukiwaniu serwetek.

- Guy jest ideałem - oznajmiła Emma, otwierając piekarnik. Kuchnię wypełniły para i aromat pieczonej jagnięciny. - To ten jedyny

-stwierdziła radośnie.

- Zawsze tak mówisz. - Zaczęłam zwijać serwetki.

- Cóż, tym razem to prawda. Zabiję się, jeśli nic z tego nie wyjdzie

-dodała wesoło.

Znieruchomiałam nagle.

- Nie bądź głupia, Em. Przecież nawet go nie znasz.

- Ale wiem, co czuję. Tyle że on się spóźnia. - Jęknęła, wyjmując pieczeń z piekarnika. Postawiła brytfannę na stole i zmarszczyła czoło z niepokojem. - Myślisz, że przyjdzie?

- Oczywiście - zapewniłam. - Dopiero za piętnaście dziewiąta, pewnie coś go zatrzymało w pracy

Emma zamknęła stopą drzwiczki piekarnika.

- Więc dlaczego nie zadzwonił?

- Może utknął w metrze... - Urwałam, widząc, że Emma znowu wyraźnie się stropiła. - Em, nie przejmuj się tak...

Zaczęła kroić mięso.

- Nic nie mogę na to poradzić. Chciałabym być spokojna i opanowana, jak ty, ale nigdy nie umiałam być taka powściągliwa. - Wyprostowała się. - Jak wyglądam?

- Pięknie.

Uśmiechnęła się z ulgą.

- Dzięki. Nie żebym w to wierzyła, zawsze tak mówisz.

- Bo to zawsze jest prawda - odparłam stanowczo.

Emma była ubrana w charakterystyczny dla niej, eklektyczny sposób - w kwiecistą jedwabną sukienkę od Betsey Johnson, żółte kabaretki i czarne buciki do kostki. Wijące się, kasztanowe włosy miała spięte srebrną kłamrą.

- Na pewno jest mi dobrze w tej sukience?

- Na pewno. Ma pięknie wykrojony dekolt i wyszczuplający fason

-dodałam i natychmiast tego pożałowałam.

- Chcesz powiedzieć, że jestem gruba? - Twarz Emmy przygasła.

-Proszę, nie mów tak, Phoebe. - Nie dzisiaj. Wiem, że mogłabym zrzucić parę kilo, ale...

- Nie, nie... nie to chciałam powiedzieć. Oczywiście, że nie jesteś gruba, Em. Jesteś śliczna, chciałam po prostu...

- O Boże! - Emma zasłoniła usta dłońmi. - Zapomniałam o blinach!

- Ja je zrobię. - Otworzyłam lodówkę i wyjęłam wędzonego łososia i śmietaną kremówkę.

- Jesteś wspaniałą przyjaciółką, Phoebe. Co ja bym bez ciebie zrobiła. -

Emma wtykała w pieczeń małe gałązki rozmarynu. - Wiesz -machnęła jedną z nich w moim kierunku - że znamy się już ćwierć wieku?

- Tak długo? - mruknęłam i zaczęłam kroić łososia.

- Owszem. I pewnie będziemy się znały jeszcze przez... jakieś pięćdziesiąt lat.

- Jeśli będziemy piły odpowiedni gatunek kawy.

- A potem pójdziemy do tego samego domu spokojnej starości!

-Zachichotała.

- Gdzie ciągle będziesz mnie zmuszać, żebym wypowiadała się na temat twoich chłopaków. Och, Phoebe - powiedziałam starym głosem - on ma dziewięćdziesiąt trzy lata. Nie sądzisz, że jest już dla mnie za stary? Emma parsknęła śmiechem i cisnęła we mnie wiązką rozmarynu.

Zaczęłam podpiekać bliny, odwracając je szybko z jednej strony na drugą i starając się nie poparzyć przy tym palców. Znajomi Emmy rozmawiali tak głośno - ktoś grał też na pianinie - że dźwięk dzwonka niemal utonął w zgiełku. Na Emmę jednak podziałał elektryzująco.

- Jest! - Rzuciła okiem w małe lustro, poprawiła włosy i zbiegła ze schodów.

- Cześć! Och, dzięki! - usłyszałam jej radosny pisk. - Są piękne! Chodź na górę, drogę już znasz.

Fakt, że Guy tu kiedyś był, uznałam za dobry znak.

- Wszyscy już przyszli - mówiła Emma, kiedy wchodzili po schodach. - Utknąłeś w metrze?

Udało mi się ułożyć część blinów na jednym talerzu. Sięgnęłam po pieprzniczkę i energicznie przekręciłam młynek. Nic. Cholera! Gdzie Em trzyma pieprz? Zaczęłam szukać. Otworzyłam kilka szafek i w końcu znalazłam nowy słoiczek na stojaku z przyprawami.

- Zrobię ci drinka - mówiła Emma. - Phoebe!

Zdjęłam folię ze słoiczka i chciałam odkręcić wieczko, ale trzymało się mocno.

- Phoebe - powtórzyła Emma.

Odwróciłam się. Stała w kuchni, promiennie uśmiechnięta, z bukietem białych róż w rękach. A tuż za nią, w drzwiach, stał Guy.

Patrzyłam na niego z przerażeniem. Emma powiedziała, że jest cudowny, ale to niewiele dla mnie znaczyło, biorąc pod uwagę, że określała tak nawet swoich najbrzydszych facetów. Guy był zabójczo przystojny. Wysoki, szeroki w ramionach, miał otwartą, szczerą twarz o regularnych rysach, ciemne, krótko przystrzyżone włosy i ciemnoniebieskie oczy, o lekko rozbawionym wyrazie.

- Phoebe - powiedziała Emma - to jest Guy. - Uśmiechnął się do mnie, a mnie nagle mocniej zabiło serce. Dlaczego musiał być aż tak atrakcyjny? - Guy, to jest moja najlepsza przyjaciółka, Phoebe.

- Cześć! - wypaliłam i rzuciłam mu obłąkańczy uśmiech, mocując się ze słońcem. - Boże!

Zakrętka puściła nagle i ziarenka pieprzu wytrysnęły z niej szerokim łukiem na podłogę oraz kuchenny blat.

- Przepraszam, Em - sapnęłam.

Chwyciłam miotłę i zaczęłam energicznie zamiatać, tylko po to, by pokryć jakoś zmieszanie.

- Przepraszam! - Zaczęłam się śmiać. - Ale ze mnie niezdarą!

- Nie przejmuj się - odezwała się Emma. Szybko wstawiła róże do wazonu i chwyciła talerz blinów. - Zaniosę je do pokoju. Dziękuję, Phoebe, wyglądają wspaniale.

Sądziłam, że Guy pójdzie za nią, ale podszedł do zlewu, otworzył znajdującą się pod nim szafkę i wyjął z niej szufelkę i szczotkę. Byłam nieprzyjemnie zaskoczona faktem, że wiedział, gdzie ich szukać.

- Nie trzeba - zaprotestowałam.

- Wszystko w porządku. Pozwól, że ci pomogę. - Guy podciągnął eleganckie spodnie na kolanach, pochylił się i zaczął zamiatać pieprz z podłogi.
- Wejdą w każdą szparę - mruknełam. - Ale gapa ze mnie.
- Wiesz, skąd pochodzi pieprz? - spytał mnie nagle.
- Nie mam pojęcia - odparłam, schylając się, by zebrać kilka ziaren palcami. - Z Ameryki Południowej?
- Z Kerali. Aż do XV wieku był tak cenny, że używano go zamiast pieniędzy, stąd „pieprzowy czynsz”.
- Naprawdę? - zdziwiłam się uprzejmie. Nagle dotarło do mnie, że kucam na podłodze z mężczyzną, którego poznałam kilka minut wcześniej, omawiając co ciekawsze aspekty historii czarnego pieprzu.
- Cóż... - Guy się podniósł i wyrzucił zawartość szufelki do kosza na śmieci. - Chyba dołączę do reszty.
- Tak... - powiedziałam z uśmiechem. - Emma na pewno się zastanawia, co się z tobą stało. Dziękuję.

Resztę przyjęcia pamiętam jak przez mgłę. Zgodnie z zapowiedzią, Emma posadziła mnie obok Guya, więc rozmawiałam z nim grzecznie, z trudem utrzymując emocje na wodzy. Modliłam się w duchu, żeby powiedział coś, co mnie do niego zrazi. Na przykład, że właśnie wyszedł z odwyku albo że był dwukrotnie żonaty i ma pięcioro dzieci. Miałam nadzieję, że będzie nudny, ale wszystko, co mówił, sprawiało, że wydawał się coraz bardziej atrakcyjny. Interesująco opowiadał o pracy, o odpowiedzialności, z jaką wiąże się inwestowanie pieniędzy klientów nie tylko w sposób bezpieczny, ale też przyjazny dla człowieka i środowiska. Wspomniał też o swoich związkach z organizacjami cha-

rytatywnymi, których celem jest walka z wykorzystywaniem dzieci jako taniej siły roboczej. Z uczuciem mówił o rodzicach i bracie, z którym raz w tygodniu grywał w squasha w Chelsea Harbour Club. Emma ma szczęście, myślałam. Najwyraźniej wszystko, co opowiadała o Guyu, było prawdą. Podczas kolacji często na niego spoglądała i rzucała w jego stronę różne uwagi.

- Wczoraj wieczorem byliśmy na wystawie Goi, prawda, Guy? -Kiwnął głową. - W przyszłym tygodniu chcielibyśmy pójść do opery na Toscę.

- Owszem... rzeczywiście.

- Wszystkie miejsca od miesiący są już wyprzedane - wyjaśniła. - Ale mam nadzieję, że uda nam się kupić bilety ze zwrotów przez Internet. Do znajomych Emmy stopniowo zaczynało docierać, że coś ją łączy z Guyem.

- A jak długo wy dwoje się znacie? - spytał Charlie z przebiegłym uśmiechem. Zwrot „wy dwoje” sprawił, że poczułam ukłucie zazdrości, a Emma się zarumieniła, zachwycona.

- Och, niedługo - odparł Guy cicho. Jego rezerwa wydawała się potwierdzać zainteresowanie Emmą...

- No, i co o tym myślisz? - spytała Emma przez telefon następnego ranka.

- O czym? - odparłam, obracając w palcach długopis.

- O Guyu, oczywiście! Nie sądzisz, że jest wspaniały?

- Och... Tak. Jest wspaniały.

- Ma piękne niebieskie oczy; zwłaszcza przy tych ciemnych włosach. Zabójcze połączenie.

Spojrzałam przez okno na New Bond Street.

- Zabójcze.
- I świetnie się z nim rozmawia, nie uważasz? Zza okna dobiegał cichy szum ulicy.
- Cóż... istotnie.
- I ma fantastyczne poczucie humoru.
- Hm...
- Jest taki miły i normalny, w porównaniu z innymi mężczyznami, z którymi się spotykałam.
- Rzeczywiście.
- To dobry człowiek. A najważniejsze - zakończyła - że mu się podobam!

Nie mogłam, po prostu nie mogłam powiedzieć jej, że Guy zadzwonił godzinę wcześniej i zaprosił mnie na kolację.

Nie wiedziałam, co robić. Guy dodzwonił się do mnie bez trudu przez centralę Sotheby's. Wpadłam w zachwyt, a zaraz potem w przerażenie. Podziękowałam, ale powiedziałam, że nie będę mogła pójść. Dzwonił jeszcze trzy razy tego samego dnia, ale nie mogłam podejść do telefonu, bo trwały gorączkowe przygotowania do kolejnej aukcji strojów i akcesoriów XX wieku. Kiedy zadzwonił po raz czwarty, rozmawiałam z nim krótko, zniżając głos, bo w biurze było sporo ludzi.

- Jesteś... wytrwały.
- Owszem. To dlatego, że... bardzo cię polubiłem, Phoebe, i myślę... Mam nadzieję, że sobie nie schlebiam, ale ty też mnie polubiłaś.
- Przypięłam numer do zielonkawego tweedowego garnituru od Pierre'a Cardina z lat siedemdziesiątych. - Dlaczego nie chcesz się ze mną umówić? - spytał błagalnie.

- Cóż... ponieważ... To trochę niezręczna sytuacja, nie uważasz? Na moment zapadła krępująca cisza.

- Słuchaj, Phoebe... Emma i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Naprawdę? - Przyjrzałam się uważnie nogawce spodni, na której dostrzegłam coś, co mogło być dziurką wygryzioną przez mole. - Zdaje się, że dość często się z nią spotykałeś.

- Cóż... Głównie dlatego, że Emma często do mnie dzwoni, bo ma akurat jakieś bilety. Tak było z wystawą. Spotkaliśmy się parę razy i dobrze się razem bawiliśmy, ale nigdy nie dałem jej żadnego sygnału... - Umilkł w pół zdania.

- Zdaje się, że byłeś już kiedyś w jej mieszkaniu. Doskonale wiedziałeś, gdzie szukać zmiotki - wyszeptałam oskarżycielsko.

- Tak. W ubiegłym tygodniu poprosiła, żebym naprawił jej zlew, który przeciekał. Musiałem wyjąć wszystko z tej szafki...

- Och. - Zalała mnie fala ulgi. - Rozumiem, ale... Guy westchnął.

- Posłuchaj, Phoebe. Lubię Emmę, jest bardzo utalentowana i zabawna.

- O tak, jest urocza.

- Ale jak dla mnie trochę zbyt gwałtowna - ciągnął. - By nie powiedzieć zwariowana - dodał z nerwowym śmiechem. - Tak czy inaczej, nie jesteśmy parą. Ona na pewno to rozumie. - Milczałam. - Więc zjesz ze mną kolację? Proszę. - Czułam, że zaczynam mięknąć. - Może we wtorek? W Wolseley? Zarezerwuję stolik na siódmą trzydzieści. Przyjdziesz?

Gdybym mogła wtedy przypuszczać, do czego to doprowadzi, powiedziałabym: „Nie. Nie przyjdę. Absolutnie nie. Nigdy!”

Usłyszałam, jak mówię:

- Tak.

Zastanawiałam się, czy powinnam ukryć to przed Emmą, ale nie umiałam tego zrobić. Także dlatego, że gdyby dowiedziała się o tym w jakiś sposób, byłoby jeszcze gorzej. Powiedziałam jej wszystko w sobotę, kiedy spotkałyśmy się na kawie na głównej ulicy w Marylebone.

- Guy zaprosił cię na kolację? - spytała cicho, a w jej oczach zobaczyłam rozczarowanie. - Och!

Kiedy stawiała filiżankę na stoliku, jej ręka drżała.

- Nie zachęcałam go... W żaden sposób - wyjaśniłam łagodnie. - Nie... nie flirtowałam z nim na przyjęciu u ciebie. A jeśli wolisz, żebym się z nim nie spotykała, nie zrobię tego. Natomiast nie mogłam ci tego nie powiedzieć. Em? - Ujęłam jej dłoń. Końce palców miała zaczerwienione od szycia, klejenia i naciągania słomki. - Wszystko w porządku, Emmo?

- Zakołysała filiżanką i spojrzała w okno. - Nie spotkam się z nim, jeśli nie chcesz, żebym to zrobiła.

Przez chwilę Emma milczała i patrzyła na parę, która szła ulicą, trzymając się za ręce.

- Nie ma sprawy - powiedziała po chwili. - W końcu... nie znałam go zbyt długo. Choć Guy wcale nie zachowywał się tak, jakbym była tylko... - Nagle jej oczy wypełniły się łzami. - I te róże, które mi przyniósł. Pomyślałam, że... - Przytknęła do kącików oczu serwetkę. - Cóż - wyjąkała zduszonym głosem. - Chyba jednak nie pójdę z nim na Tosczę. Może ty powinnaś, Phoebe. Bardzo się na to cieszył...

Westchnęłam, sfrustrowana.

- Słuchaj, Em, nie pójdę na tę kolację. Nie, jeśli masz się przez to czuć nieszczęśliwa.

- Nie - mruknęła Emma po chwili i pokręciła głową. - Powinnaś pójść, jeśli on ci się podoba, a zakładam, że tak jest, bo w przeciwnym wypadku nie prowadziłybyśmy tej rozmowy. Tak czy inaczej... - podniosła torbę - muszę już lecieć. Chcę skończyć kapelusz. Dla samej księżniczki Eugonii! - Pomachała do mnie wesoło. - Niedługo się odezwę.

Ale przez sześć tygodni nie odbierała moich telefonów.

- Chciałabym, żebyś zadzwoniła do Guya - usłyszałam głos matki.

- Myślę, że bardzo mu na tobie zależy. Prawdę mówiąc, Phoebe, muszę ci coś powiedzieć...

Spojrzałam na nią.

- Co?

- Cóż... Guy zadzwonił do mnie w ubiegłym tygodniu. - Miałam wrażenie, że ziemia usuwa mi się spod stóp. - Powiedział, że bardzo chciałby się z tobą spotkać, tylko żeby porozmawiać. Nie kręć głową, kochanie. Uważa, że postąpiłaś niesprawiedliwie. Takiego słowa użył, ale nie wyjaśnił, dlaczego. Podejrzewam, że istotnie tak postąpiłaś, kochanie. Niesprawiedliwie i, mówiąc szczerze, idiotycznie. - Matka wyjęła z torby grzebień. - Nie jest łatwo spotkać miłego faceta. Masz szczęście, że po tym, jak go potraktowałaś, jeszcze się tobą interesuje. - Nie chcę mieć z nim nic wspólnego - powtórzyłam z uporem. - Po prostu... Już nic do niego nie czuję.

Guy wiedział, dlaczego.

Matka przeczesła jasne, falujące włosy grzebieniem.

- Mam nadzieję, że kiedyś nie będziesz tego żałowała. Tak jak mam nadzieję, że nie będziesz żałowała odejścia z Sotheby's. Nadal uważam,

że to błąd. Miałaś tam wszystko. Stałą pracę, prestiż, i te ekscytujące aukcje...

- I ciągły stres.

- Miałaś towarzystwo kolegów i koleżanek - ciągnęła, ignorując moje słowa.

- A teraz będę miała towarzystwo klientów. I ekspedientki na pół etatu, jeśli uda mi się kogoś znaleźć. - Wiedziałam, że powinnam się tym zająć jak najszybciej. Wkrótce w Christie's miała się odbyć aukcja ubiorów, na którą chciałam pójść.

- Miałaś regularne dochody - mówiła dalej matka, chowając grzebień i wyciągając puderniczkę. - A teraz co? Otwierasz ten... sklepik. - Ostanie słowo wypowiedziała takim tonem, jakby mówiła „burdel”. - A jeśli ci się nie uda? Wzięłaś spory kredyt...

- Miło, że mi przypomniałaś. Matka przypudrowała nos.

- Czeka cię ciężka praca.

- Chcę ciężko pracować - stwierdziłam spokojnie. Bo będę miała mniej czasu na rozmyślanie, dodałam w duchu.

- Tak czy inaczej, znasz moje zdanie - oznajmiła, po czym zatrzaskała puderniczkę i wsunęła ją do torebki.

- A tobie jak idzie w pracy? Skrzywiła się lekko.

- Kiepsko. Pojawiły się problemy z tym wielkim domem na Landbroke Grove. John dostał szału, co komplikuje sytuację. - Matka od dwudziestu dwóch lat pracowała jako przedstawiciel znanego architekta, Johna Cranfielda. - Nie jest lekko - powiedziała - ale z drugiej strony i tak mam szczęście, że w moim wieku mam jeszcze pracę. - Spojrzała w lustro. - Popatrz tylko na moją twarz! - jęknęła.

- Jesteś piękna, mamó. Westchnęła tylko.
 - Mam więcej zmarszczek niż Gordon Ramsay, kiedy się wścieka. Zdaje się, że żaden z tych nowych kremów nie jest w stanie mi pomóc. Pomyślałam o jej toalecie. Kiedyś stała na niej tylko tubka Oil of Olay - teraz przypominała dział drogerijny domu towarowego, pełen specyfików z retinolem i witaminą C, kremów nawilżających i regenerujących, pseudonaukowych kapsułek o przedłużonym działaniu, emulsji z ceramidami i kwasem hialuronowym, i tak dalej.
 - W drogeriach sprzedają tylko marzenia, mamó. Podciągnęła policzki palcami.
 - Może botox dałby radę... Myślę o tym od jakiegoś czasu. - Rozciągnęła lekko skórę między brwiami. - Ale gdyby coś poszło nie tak, miałabym pewnie powieki sięgające uszu. Nie znoszę tych wszystkich zmarszczek!
 - Spróbuj je polubić. Masz pięćdziesiąt dziewięć lat, to normalne, że masz zmarszczki.
- Matka się skrzywiła, jakbym uderzyła ją w twarz.
- Przestań. Przeraza mnie myśl, że niedługo dostanę zniżkę na autobusy. Dlaczego nie dają ludziom po sześćdziesiątce zniżki na taksówki? To by mi aż tak nie przeszkadzało.
 - Tak czy inaczej, pięknej kobiecie zmarszczki nie ujmują urody - ciągnęłam, stawiając stos firmowych toreb przy kasie. - Sprawiają, że staje się bardziej interesująca.
 - Nie dla twojego ojca. Chociaż sądziłam, że interesują go stare ruiny. W końcu jest archeologiem - stwierdziła sucho matka. - A jednak wziął sobie dziewczynę niewiele starszą od ciebie. To jakaś groteska - mruknęła z goryczą.

- Z pewnością duże zaskoczenie.

Matka strzepnęła nieistniejący pyłek ze spódnicy.

- Nie zaprosiłaś go chyba na otwarcie? Prawda? Jej oczy wyrażały jednocześnie strach i nadzieję.

- Nie, nie zaprosiłam go - odparłam cicho. Także dlatego, że ona mogłaby przyjść razem z nim. A nie wytrzymałabym obecności Ruth. W myślach nazywałam ją bezwzględną larwą.

- Trzydzieści sześć lat - powiedziała matka gorzko, jakby te ostatnie sześć lat szczególnie ją obrażało.

- Teraz ma już trzydzieści osiem - zauważyłam.

- Tak. A on ma sześćdziesiąt dwa! Żałuję, że wziął udział w tym programie telewizyjnym. - Jęknęła.

Wyjęłam z woreczka zielony szal od Hermesa i położyłam go na półce pod szkłem.

- I pomyśleć, że sama go do tego namawiałam. A ona tylko na to czekała! - Matka sięgnęła po kieliszek szampana i złota obrączka, którą nadal nosiła na znak protestu przeciw dezercji ojca, zaśniła w świetle słońca. - Myślałam, że pomoże mu to w karierze - ciągnęła z żalem, popijając szampana. - Że stanie się bardziej znany i zarobi trochę pieniędzy, które bardzo by się nam przydały na emeryturze. A on zaczął pracować przy tym filmie. Głęboko w ziemi. Zdaje się, że głęboko to on był gdzie indziej. - Skrzywiła się i upiła kolejny łyk szampana. - To wszystko jest takie... okropne.

Trudno było się z tym nie zgodzić. Owszem, to, że ojciec miał pierwszy romans po trzydziestu ośmiu latach małżeństwa, to jedno. Ale fakt, że matka dowiedziała się o tym z kolumny plotkarskiej „Daily Express”, to

zupełnie inna historia. Wzdrygnęłam się na wspomnienie tej wzmianki i zdjęcia mojego ojca, ożywionego jak nigdy, u boku Ruth, pod drzwiami jej mieszkania w Notting Hill. Telewizyjny archeolog rzuca żonę.

Dziecko w drodze?

- Często się z nim widzujesz, kochanie? - spytała matka nienaturalnie lekko. - Oczywiście, nie mogę ci tego zabronić. I nie mam zamiaru tego robić, w końcu to twój ojciec. Ale, szczerze mówiąc, na myśl o tym, że spędzasz z nim czas... Z nim, z nią... i... i... - Nie była w stanie wspomnieć o dziecku.

- Nie widziałam się z tatą od wieków - odparłam zgodnie z prawdą.

Matka dopiła szampana i odniosła kieliszek do kuchni.

- Nie będę więcej piła. To mnie tylko rozkleja. No, dobrze - rzuciła energicznie. - Zmieńmy temat.

- W takim razie powiedz mi, co sądzisz o sklepie. Nie byłeś tu od kilku tygodni.

Matka zaczęła przechadzać się po wnętrzu, stukając obcasami eleganckich pantofelków.

- Podoba mi się tu. Jest zupełnie inaczej niż w sklepach z używaną odzieżą. Przypomina raczej jakiś miły, elegancki butik.

- Miło mi to słyszeć. - Ustawiłam wysokie kieliszki z pieniącym się szampanem na ladzie.

- Te srebrne manekiny są bardzo stylowe. I jest tu tak przestrzennie.

- Sklepy z używanymi rzeczami często są zapchane. Na wieszakach wisi tyle ubrań, że ciężko cokolwiek obejrzeć. Dlatego postanowiłam, że zostawię tyle miejsca, żeby przeglądanie strojów było przyjemnością.

Jeśli coś się nie sprzeda, po prostu zamienię to na jakąś inną rzecz. Czyż te ubrania nie są piękne?

- Owszem - odparła matka. - Na swój sposób. - Spojrzała na kolorowe sukienki wiszące na ścianie. - Te są śliczne.

- Wiem. Bardzo mi się podobają - przyznałam, zastanawiając się, kto mógłby je kupić. - A popatrz na to kimono. Jest z 1912 roku. Widziałaś haft?

- Bardzo ładny...

- Ładny? To dzieło sztuki! A to jest płaszcz od Balenciagi. Spójrz na krój. Wszystko zostało uszyte ledwie z dwóch kawałków materiału, łącznie z rękawami. Niesamowite.

- Hm...

- A ta rozpinana sukienka? To Jacques Fath. Popatrz na brokatowy wzór w drzewka palmowe. Gdzie dzisiaj mogłabyś dostać coś takiego?

- Wszystko to bardzo piękne, ale...

- A to kostium od Givenchy. Byłoby ci w nim doskonale, mamo. Ty akurat możesz nosić spódnice do kolan, bo masz świetne nogi.

Pokręciła głową.

- Nigdy nie nosiłabym takich ubrań.

- Dlaczego? Wzruszyła ramionami.

- Zawsze wolałam nowe.

- Nie rozumiem, dlaczego.

- Mówiłam ci już, kochanie. Dlatego, że dorastałam w ciężkich czasach. Nie miałam nic, poza ohydnyimi ubraniami, które donaszałam po innych. Pamiętam grube swetry z gryzącej szetlandzkiej wełny, bure spódnice i sztywne wełniane płaszcze, które pachniały jak mokry pies, kiedy padał

deszcz. Tak bardzo chciałam mieć wtedy coś, czego nie nosił wcześniej nikt inny. I nadal chcę. Nie mogę nic na to poradzić. Poza tym brzydzę się ubrań, które mieli na sobie inni ludzie.

- Wszystko jest wyprane albo wyczyszczone chemicznie. To nie jest sklep ze starzyzną, mamó - dodałam, przecierając ładę ściereczką.

-Wszystkie te rzeczy są w doskonałym stanie.

- Wiem. Sklep pachnie świeżością. - Matka pociągnęła nosem. -Nie czuję stęchlizny ani naftaliny.

Poprawiłam poduszki na sofie, na której wcześniej siedział Dan.

- Więc o co chodzi?

- O to, że te rzeczy należały do kogoś, kto najprawdopodobniej... -Matka wzdrygnęła się lekko. - Zmarł. Mam z tym mały problem - dodała. - Zawsze miałam. Pod tym względem różnimy się od siebie. Ty jesteś taka, jak ojciec. Oboje lubicie stare rzeczy... Lubicie je naprawiać, składać na nowo. Czasem mam wrażenie, że to, czym się zajmujesz, też jest rodzajem archeologii. Krawieckiej archeologii. O! Zobacz, ktoś przyszedł.

Chwyciłam dwa kieliszki szampana, a potem, z mocno bijącym sercem i powitalnym uśmiechem na twarzy, podeszłam do drzwi. Village Vintage zostało oficjalnie otwarte...

Rozdział 2

Ostatnio budzę się bardzo wcześnie. Nie muszę patrzeć na zegarek, by wiedzieć, która jest godzina - za dziesięć czwarta. Budzę się za dziesięć

czwarta codziennie od sześciu miesięcy. Mój lekarz twierdzi, że to bezsenność wywołana przez stres, ale ja wiem, że to nie stres. To poczucie winy.

Unikam tabletek nasennych, więc bywa, że próbuję wykorzystać ten czas. Wstaję i biorę się do pracy. Robię pranie - pralka jest u mnie stale włączona - prasuję albo ceruję. Ale wiem też, że powinnam więcej spać, dlatego zwykle leżę w łóżku i czekam, aż uspią mnie nadawane w radiu wiadomości albo jakaś audycja. Ubiegłej nocy jednak nie włączyłam radia. Leżałam i rozmyślałam o Emmie. Kiedy tylko nie jestem czymś zajęta, moje myśli wracają do niej jak bumerang.

Widzę ją w szkole podstawowej, ubraną w letnią sukienkę w zielone paski; wskakującą do basenu jak foka, całującą na szczęście swoją złotą monetę przed meczem tenisowym. Widzę ją na korytarzu Royal College of Art z tubą papieru pod pachą. Widzę ją w Ascot, sfotografowaną dla „Vogue'a”, promiennie uśmiechniętą pod rondem jednego z tych jej fantastycznych kapeluszy.

A potem, kiedy sypialnię zaczyna wypełniać szare światło świtu, widzę Emmę taką, jaką widziałam ją po raz ostatni.

- Przepraszam - mówię szeptem.

Jesteś wspaniałą przyjaciółką, myślę.

- Tak mi przykro, Em.

Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Stojąc pod prysznicem, zmusiłam się do myślenia o pracy i przyjęciu.

Przyszło jakieś osiemdziesiąt osób, w tym troje moich dawnych współpracowników z Sotheby's, kilku sąsiadów z Bennett Street i właścicieli miejscowych sklepów. Ted z agencji nieruchomości, mieszczącej

się tuż obok, wstąpił na chwilę i kupił męską jedwabną kamizelkę. Pojawił się też Rupert, do którego należy kwiaciarnia, i Pippa - prowadzi kafejkę Moon Daisy - która przyprowadziła siostrę.

Przyszło paru zaproszonych przeze mnie dziennikarzy. Miałam nadzieję, że będą w przyszłości pożyczać moje stroje do sesji zdjęciowych w zamian za reklamę.

- Bardzo tu elegancko - powiedziała Mimi Long z „Woman & Home”, kiedy krążyłam po sklepie z szampanem. Wyciągnęła pusty kieliszek w moją stronę. - Uwielbiam takie miejsca. Jakbym znalazła się nagle w grocie Aladyna. Mam wrażenie, że zaraz odkryję coś cudownego.

Chcesz prowadzić ten sklep sama?

- Nie. Będę potrzebowała kogoś do pomocy na pół etatu, żebym mogła jeździć i kupować ubrania, reperować je i oddawać do pralni. Gdybyś słyszała o kimś... Chciałabym, żeby była to osoba, którą interesują takie rzeczy - dodałam.

- Będę to miała na uwadze - obiecała Mimi. - O... Czy to oryginalny Fortuny? Tam, na wieszaku?

Muszę dać ogłoszenie w sprawie sprzedawczyni, pomyślałam teraz.

Wytarłam się i przeczesalam mokre włosy grzebieniem. Mogłabym je umieścić w którejś z lokalnych gazet. Może w tej, dla której pracuje Dan, jakkolwiek się ona nazywa.

Ubierając się - w szerokie lniane spodnie i dopasowaną bluzkę z krótkimi rękawami oraz stójką - uświadomiłam sobie, że Dan dobrze wyczuł mój styl. Rzeczywiście lubię szyte ze skosu sukienki i spodnie z szerokimi nogawkami charakterystyczne dla lat trzydziestych i wczesnych czterdziestych. Lubię mieć włosy do ramion, opadające z jednej

strony na oko. Lubię rozkloszowane dołem płaszcze, torebki kopertówki, otwarte z przodu czółenka i pończochy ze szwem. Lubię materiały, które miękko opływają ciało.

Usłyszałam brzęk metalowej skrzynki na listy, zeszałam więc na dół i znalazłam trzy koperty. Na pierwszej z nich rozpoznałam pismo Guya, więc przedarłam ją na pół i wrzuciłam do kosza na śmieci. Czytałam jego poprzednie listy. Wiedziałam, czego się spodziewać.

W drugiej kopercie była kartka od taty.

„Powodzenia w nowym przedsięwzięciu. Będę o Tobie myślał, Phoebe. Proszę, odwiedź mnie wkrótce. Długo się nie widzieliśmy”.

To prawda. Byłam tak zajęta, że nie widziałam go od początku lutego. Spotkaliśmy się wtedy w kawiarni w Notting Hill na pojednawczym lunchu. Nie spodziewałam się, że przyniesie ze sobą dziecko. Widok mojego ojca, lat sześćdziesiąt dwa, z dwumiesięcznym dzieckiem przytulonym do piersi, był - delikatnie mówiąc - wstrząsem.

- To jest... Louis - powiedział ojciec, wyraźnie skrepowany, usiłując rozpiąć pasek nosidełka. - Jak to się odczepia? - mruknął. - Te cholerne zatrzaski... Nigdy nie umiem... No! Udało się. - Odetchnął z ulgą, a potem podniósł dziecko i położył je sobie na ramieniu z trochę ogłupiałym wyrazem twarzy. - Ruth wyjechała kręcić jakiś film, więc musiałem wziąć go ze sobą. Och... - Tata spojrzał na Louisa z niepokojem. - Myślisz, że może być głodny?

Popatrzyłam na ojca, zaskoczona.

- A skąd ja, na Boga, mam wiedzieć?

Tata zaczął grzebać w torbie w poszukiwaniu butelki, a ja przyglądałam się Louisowi. Miał zaśliniony podbródek. Nie miałam pojęcia, co o tym

wszystkim myśleć, a tym bardziej, co mogłabym w tej chwili powiedzieć. To był mój mały braciszek. Jak mogłabym go nie pokochać? A z drugiej strony, jak mogłabym go pokochać, wiedząc, że jego poczęcie przysporzyło mojej matce tylu cierpień?

W międzyczasie Louis, nieświadom bolesnej złożoności sytuacji, chwycił mnie za palec i pokazał w uśmiechu bezzębne dziąsła.

- Mnie także jest bardzo miło... - bąknęłam.

W trzeciej kopercie był list od matki Emmy. Poznałam jej pismo.

Otworzyłam kopertę, czując, że drżą mi palce.

„Chciałabym Ci życzyć wielu sukcesów w nowym przedsięwzięciu.

Emma byłaby taka przejęta. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku. Derek i ja ciągle jeszcze żyjemy z dnia na dzień. Najtrudniej nam pogodzić się z faktem, że nie było nas, kiedy to się stało. Nie możesz sobie nawet wyobrazić tego, co przeżywamy". - Owszem, mogę, pomyślałam. „Nadal jeszcze nie przejrzelismy rzeczy Emmy..." - Aż skrzyknęłam. Emma pisała pamiętnik. „Ale kiedy już to zrobimy, chcielibyśmy dać Ci coś na pamiątkę. Chcemy Cię też powiadomić, że planujemy małą ceremonię dla uczczenia Jej pamięci: w pierwszą rocznicę, to znaczy 15 lutego". - Nie musiała mi o tym przypominać, tę datę będę miała w pamięci do końca moich dni.

„Wcześniej jeszcze się z Tobą skontaktuję, a do tego czasu niech Cię Bóg błogosławi, Phoebe.

Daphne".

Nie błogosławiłaby mnie, gdyby знаła prawdę, pomyślałam ponuro.

Pozbierałam się, wyjęłam z pralki kilka francuskich koszul nocnych, rozwiesiłam je, żeby wyschły, a potem zamknęłam dom i poszłam do sklepu.

Musiałam trochę posprzątać. Kiedy otworzyłam drzwi, poczułam kwaśny zapach szampana z ubiegłego wieczoru. Włożyłam kieliszki do skrzynek, odłożyłam puste butelki na bok, wytarłam podłogę i odświeżyłam sofę sprejem do wnętrza. Potem, z chwilą gdy zegar na wieży kościelnej wybił dziewiątą, powiesiłam na drzwiach tabliczkę z napisem „Otwarte”.

- A więc do dzieła - powiedziałam do siebie. - Mój pierwszy dzień.

Usiadłam za ladą i przez chwilę cerowałam podszewkę zakietu od Jean Muir. O dziesiątej zaczęłam się z przerażeniem zastanawiać, czy matka przypadkiem nie miała racji. Może rzeczywiście popełniłam wielki błąd, myślałam, patrząc na ludzi, którzy mijali sklep, zaledwie rzucając okiem na witrynę. Może po pełnej wrażeń pracy w Sotheby's siedzenie w sklepie wyda mi się nudne? Zaraz jednak przypomniałam sobie, że nie będę przecież tylko siedziała za ladą. Będę chodziła na aukcje, spotykała się z handlowcami i oceniała wartość ubrań należących do osób prywatnych. Będę prowadziła rozmowy z hollywoodzkimi stylistami na temat strojów dla ich słynnych klientów, i od czasu do czasu wybiorę się do Francji. Rozbuduję też stronę internetową Village Vintage, żeby prowadzić w ten sposób dodatkową sprzedaż. Będę miała aż za dużo pracy, powiedziałam sobie, ponownie nawlekając igłę. Potem przypomniałam sobie, jak stresujące było wcześniej moje życie. W Sotheby's ciągle byłam pod presją. W czasie aukcji musiałam być szybka, kompetentna i starać się wywindować cenę jak najwyżej.

Zawsze towarzyszył mi strach, że nie zbiorę dość rzeczy na kolejną aukcję. Jeśli udało mi się je zebrać, bałam się, że ubrania się nie sprzedadzą, albo sprzedadzą się zbyt tanio. Albo że kupujący nie zapłacą rachunków... Bałam się, że ubrania wystawiane na aukcjach zostaną skradzione albo uszkodzone. Najgorszy jednak był bezustanny strach, że jakaś ważna kolekcja pójdzie pod młotek w konkurencyjnym domu aukcyjnym. W takich przypadkach moi przełożeni chcieli wiedzieć, dlaczego tak się stało.

A potem przyszedł piętnasty lutego i poczułam, że już dłużej nie dam rady. Wiedziałam, że muszę z tym zerwać.

Nagle usłyszałam cichy trzask drzwi wejściowych. Podniosłam głowę, spodziewając się, że zobaczę pierwszego klienta. Do sklepu wszedł Dan, w łososiowych sztruksach i kraciastej koszuli w kolorze lawendy. Facet był chyba daltonistą. Ale było w nim coś atrakcyjnego. Może budowa - teraz dopiero zdałam sobie sprawę, że wydawał się potężny i silny jak niedźwiedź - a może te kręcone włosy?

- Nie zostawiłem tu wczoraj temperówki?
- Raczej nie. Nie widziałam jej.
- Cholera - mruknął.
- To była jakaś... szczególna temperówka?
- Tak. Srebrna. To znaczy, że srebra - dodał.
- Naprawdę? Cóż... Rozejrzę się za nią.
- Jeśli byłabyś tak miła... Jak się udało przyjęcie?
- Dobrze, dziękuję.

- W każdym razie... - Podniósł trzymaną w ręku gazetę. - Chciałem ci to dać. - Był to egzemplarz „Black & Green”, a na pierwszej stronie widniały moje zdjęcie i podpis: „Pasja stylu”.

Spojrzałam na Dana.

- Mówiłeś, że artykuł ukaże się dopiero w piątek.

- Taki był plan, ale główny temat na dziś został z różnych powodów wstrzymany, więc Matt, mój szef, postanowił wykorzystać materiał o tobie. Na szczęście „B&G” późno idzie do druku. - Podał mi gazetę.

- Wydaje mi się, że nieźle wyszło.

Szybko przebiegłam artykuł wzrokiem.

- Jest świetny - powiedziałam, starając się nie okazać zdziwienia.

- Dziękuję za podanie strony internetowej na końcu... Och! - Otworzyłam usta, zdumiona. - Dlaczego tu jest napisane, że w pierwszym tygodniu na wszystko jest pięć procent zniżki?

Na twarz Dana wypłynął rumieniec.

- Pomyślałem, że promocja na starcie mogłaby być... no, wiesz... korzystna...

- Rozumiem. Cóż, jestem, delikatnie mówiąc, zaskoczona. Dan skrzywił się lekko.

- Wiem... ale... siedziałem i pisałem, kiedy nagle przyszedł mi do głowy ten pomysł. Wiedziałem, że przyjęcie już trwa, więc nie chciałem ci przeszkadzać. A potem Matt powiedział, że ten artykuł pójdzie od razu, więc... - Wzruszył ramionami. - Przepraszam.

- Nie ma sprawy - bąknęłam. - To dość nieprzyjemna niespodzianka, ale... pięć procent zniżki... Może być. - Wiedziałam, że to istotnie może okazać się korzystne, choć nie miałam ochoty tego przyznać. - Tak czy

inaczej - westchnęłam - wczoraj, kiedy o tym rozmawialiśmy, byłam trochę zajęta. Kto właściwie dostaje tę gazetę?

- Rozdają ją na wszystkich stacjach metra w tej okolicy we wtorki i piątki rano. Trafia też do wybranych firm i domów prywatnych, więc w zasadzie powinna docierać do wielu ludzi.

- To cudownie. - Uśmiechnęłam się do Dana, teraz już naprawdę zadowolona. - Od dawna pracujesz dla tej gazety?

Wydawało mi się, że się zawahał.

- Od pół roku.

- A więc od samego początku?

- Mniej więcej.

- Jesteś stąd?

- Mieszkam niedaleko, w Hither Green. - Umilkł na moment i już czekałam, aż się pożegna, kiedy dodał nagle: - Musisz kiedyś przyjść. Spojrzałam na niego.

- Słucham? Uśmiechnął się.

- Chciałem powiedzieć, że musisz do mnie kiedyś wpaść.

- Och...

- Na drinka. Chciałbym, żebyś zobaczyła moją... Ciekawe co? - zapytałam się w duchu. Kolekcję motyli?

- Moją szopę.

- Twoją szopę?

- Tak. Mam fantastyczną szopę - powiedział gładko.

- Doprawdy? - Wyobraźnia podsunęła mi wizję starych, spowitych pajęczyną rowerów, zardzewiałych narzędzi ogrodowych i potłuczonych doniczek.

- W każdym razie będzie fantastyczna, kiedy ją skończę.
- Dziękuję za zaproszenie - odparłam. - Będę pamiętać.
- No cóż... - Dan wsunął ołówek za ucho. - Lepiej pójde poszukać temperówki.
- Powodzenia. - Uśmiechnęłam się do niego. - I do zobaczenia.
- Wychodząc ze sklepu, pomachał do mnie jeszcze przez szybę. Ja też do niego pomachałam. - Co za dziwak - mruknęłam pod nosem.

Dziesięć minut później do sklepu zaczęli wstępować ludzie. Przy- najmniej dwie osoby miały ze sobą egzemplarze „Black & Green”. Sta- rałam się nie narzucać im z propozycjami pomocy i zbyt nachalnie nie przyglądać temu, co robią. Torebki od Hermesa i droższa biżuteria były zamknięte na klucz w szklanych gablotkach, ale na ubrania nie założyłam elektronicznych klipsów, ponieważ bałam się, że zniszczę materiał.

Do dwunastej w południe odwiedziło mnie dziesięć osób i udało mi się sprzedać pierwszą rzecz - letnią sukienkę z lat pięćdziesiątych, w małe fioletowe kwiatuszki. Miałam ochotę oprawić rachunek w ramkę.

Kwadrans po pierwszej do sklepu weszła drobna rudowłosa dziewczyna, wyglądająca na jakieś dwadzieścia lat, wraz z dobrze ubranym mężczyzną sporo po trzydziestce. Ona zaczęła przeglądać ubrania, a on rozsiadł się na sofie, opierając kostkę w jedwabnej skarpetce na kolanie, i czytał gazetę. Dziewczyna przejrzała wieszak ze strojami dziennymi, ale nic nie znalazła. Nagle jednak jej wzrok przyciągnęły wiszące na ścianie kolorowe sukienki. Wskazała zieloną, najmniejszą ze wszystkich.

- Ile kosztuje? - spytała, odwracając się do mnie.

- Dwieście siedemdziesiąt pięć funtów - odparłam. Kiwnęła głową. - To jedwab ręcznie obszyty kryształkami. Chciałaby pani ją przymierzyć? To rozmiar trzydzieści cztery.

- Cóż... - Zerknęła na towarzysza. - Co o tym myślisz, Keith?

-Mężczyzna podniósł wzrok znad gazety, a dziewczyna wskazała głową zieloną sukienkę, którą zaczęłam już zdejmować ze ściany.

- Jest nieodpowiednia - burknął.

- Dlaczego?

- Zbyt jaskrawa.

- Lubię żywe kolory - zaprotestowała łagodnie dziewczyna. Mężczyzna wrócił do gazety.

- Nie jest stosowna na tę okazję.

- Przecież idziemy na tańce.

- Jest zbyt jaskrawa - powtórzył z uporem. -I nie dość elegancka.

Niechęć, jaką do niego czułam, zmieniła się we wrogość.

- Pozwól mi ją przymierzyć. - Dziewczyna uśmiechnęła się błagalnie. - Proszę.

Spojrzał na nią.

- No, dobrze już, dobrze. - Westchnął teatralnie. - Skoro musisz...

Zaprowadziłam dziewczynę do przymierzalni i zaciągnęłam zasłonę.

Wyłoniła się zza niej minutę później. Sukienka leżała na niej doskonale, podkreślając wąską talię, smukłe ramiona i szyję. Kolor doskonale harmonizował z odcieniem jej rudawych włosów i kremowej skóry. Dopasowany gorset uwydatniał biust. Lekkie jak puch warstwy zielonego tiulu opływały miękko nogi, kryształki połyskiwały w słońcu.

- Jest... doskonała - mruknęłam. Nie mogłam sobie wyobrazić kobiety, która wyglądałaby w tej sukience lepiej. - Może chciałaby pani przymierzyć do niej jakieś pantofelki? - dodałam. - Tylko, żeby zobaczyć, jak będzie wyglądać na obcasach?

- Och, to nie będzie konieczne - powiedziała, wspinając się na palce i spoglądając w lustro. Potrząsnęła włosami. - Jest... fantastyczna.

-Wydawała się zaskoczona i przejęta, jakby właśnie dowiedziała się czegoś wspaniałego o sobie samej.

Do sklepu weszła kolejna klientka - szczupła, ciemnowłosa kobieta koło trzydziestki w wąskiej sukience w panterkę, z paskiem z łańcuszka opasującym biodra, i skórzanych sandałkach. Na widok dziewczyny w zielonej sukience stanęła jak wryta.

- Wygląda pani cudownie! - wykrzyknęła spontanicznie. - Jak młoda Julianne Moore.

Dziewczyna uśmiechnęła się, zadowolona.

- Dziękuję. - Znowu spojrzała na swoje odbicie w lustrze. - W tej sukience czuję się jak... jak... - Zawahała się. - Jak wróżka. - Spojrzała nerwowo na towarzysza. - Podoba ci się, Keith?

Spojrzał na nią, pokręcił głową, po czym wrócił do lektury.

- Już mówiłem, jest zdecydowanie zbyt jaskrawa. A poza tym wyglądasz w niej, jakbyś miała podrygiwać w balecie, a nie szła na wytworne przyjęcie w Dorchester. O! - Keith wstał, podszedł do wieszaka z sukniami wieczorowymi i zdjął z niego sukienkę koktajlową z czarnej krepy od Normana Hartnella. Podniósł ją do góry. - Przymierz to.

Dziewczyna wyraźnie przygasała, poszła jednak do przymierzalni i po chwili wróciła ubrana w czarną sukienkę. Fason zdecydowanie dodawał

jej lat, a w czerni jej cera wydawała się ziemista. Wyglądała, jakby wybierała się na pogrzeb. Kobieta w panterce spojrzała na nią i dyskretnie pokręciła głową, po czym odwróciła się w stronę wieszaków.

- No, znacznie lepiej - powiedział Keith i zakręcił palcem. Dziewczyna obróciła się posłusznie wokół własnej osi, wznosząc oczy do góry.

Kobieta w panterce wyduła wargi. - Doskonale – zawyrokował Keith i włożył rękę do kieszeni. - Ile? - Spojrzałam na jego dziewczynę. Jej usta drżały. - Ile? - mruknął, otwierając portfel.

- Ale mnie podoba się ta zielona - mruknęła.

- Ile? - powtórzył.

- Sto pięćdziesiąt funtów. - Czułam, że się czerwienię.

- Nie chcę jej - wtrąciła błagalnie dziewczyna. - Chcę tę zieloną, Keith. Czuję się w niej... szczęśliwa.

- No to będziesz musiała sama ją sobie kupić. Jeśli cię na to stać -dodał uprzejmie i znowu przeniósł wzrok na mnie. - A więc sto pięćdziesiąt funtów? - Postukał palcem w gazetę. - Tu jest napisane, że na wszystko jest teraz pięć procent zniżki, zatem sukienka będzie kosztowała sto czterdzieści dwa funty i pięćdziesiąt pensów, o ile się nie mylę.

- Zgadza się - powiedziałam. Tempo, w jakim to policzył, zrobiło na mnie wrażenie. Żałowałam, że nie mogę policzyć za czarną sukienkę dwa razy tyle. A potem ofiarowałabym tę zieloną w prezencie jego dziewczynie.

- Keith, proszę - jęknęła. Do jej oczu napłynęły łzy.

- Daj spokój, Kelly - burknął. - Przestań mnie męczyć. Ta czarna kiecka jest w sam raz, a na przyjęciu będzie kilka osób z zarządu, więc nie możesz wyglądać, jakbyś przyszła na kinderbal. To chyba jasne? -Rzucił

okiem na zegarek. Wyglądał na bardzo drogi. - Musimy wracać, mam telekonferencję w biurze w Kilburn o wpół do trzeciej, pamiętasz? Zdecyduj się. Mam kupić ci tę czarną sukienkę czy nie? Bo jeśli nie, to nie pojedziesz w sobotę do Dorchester. Mogę ci to zagwarantować. Dziewczyna, ze wzrokiem utkwionym w okno, bez słowa kiwnęła głową. Kiedy odrywałam rachunek z terminala, Keith wziął torbę z sukienką, po czym wsunął kartę do portfela.

- Dziękuję - rzucił krótko, po czym wyszedł ze sklepu. Dziewczyna, ze spuszczoną głową, ruszyła za nim.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, kobieta w panterce odwróciła się do mnie.

- Szkoda, że nie dostała tej bajkowej sukienki - powiedziała. - Przy takim „księciu” na pewno by się jej przydała. - Czułam, że nie powinnam obgadywać klientów, więc tylko uśmiechnęłam się z żalem i powiesiłam zieloną sukienkę na ścianie. - Ona jest nie tylko jego dziewczyną, ale też podwładną - ciągnęła kobieta, oglądając kurteczkę z różowej skóry od Thierry'ego Muglera z lat osiemdziesiątych.

Spojrzałam na nią.

- Skąd pani wie?

- Bo jest od niej znacznie starszy. Bo ma nad nią władzę, a ona boi się go urazić... I zna rozkład jego zajęć. Lubię obserwować ludzi - dodała.

- Jest pani pisarką?

- Nie. Lubię pisać, ale jestem aktorką.

- Gra pani w czymś? Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Teraz akurat „odpoczywam”, jak to nazywają. Szczerze mówiąc, odpoczywałam ostatnio więcej niż Śpiąca Królewna, ale cóż - westchnęła

teatralnie - nadal się nie poddaję. - Znowu spojrzała na moje tiulowe „bezy”. - Są naprawdę śliczne. Nie mam odpowiedniej figury, by nosić ten fason, nawet gdybym akurat miała pieniądze. To amerykańskie kiecki, prawda?

Kiwnęłam głową.

- Z wczesnych lat pięćdziesiątych. Trochę zbyt ekstrawaganckie jak na powojenną Anglię.

- Wspaniały materiał - powiedziała, przyglądając się im zmrużonymi oczami. - Zwykle sukienki tego typu są uszyte z acetatu i mają nylonowe halki, ale te są z jedwabiu.

A więc znała się na tym i miała niezłe oko.

- Często kupuje pani takie ubrania? - spytałam i zaczęłam składać kaszmirowy rozpinany sweterek w kolorze lawendy.

- Tak często, jak tylko mnie stać. A jeśli coś mi się znudzi, zawsze mogę to sprzedać. Nie żeby często mi się to zdarzało, bo zwykle kupuję świetne rzeczy. Nigdy nie zapomnę, jaką miałam frajdę, kiedy kupiłam pierwszy taki ciuch - ciągnęła, odwieszając zakiet od Thierry'ego Muglera. - To był skórzany płaszcz od Teda Lapidusa. Znalazłam go w sklepie z używaną odzieżą. Ciągle dobrze się prezentuje.

Natychmiast przypomniałam sobie swoją pierwszą zdobycz - bluzkę z koronkowej gipiury od Niny Ricci. Kupiłam ją na targu w Greenwich, kiedy miałam czternaście lat. To Emma ją wynalazła podczas jednej z naszych sobotnich wypraw.

- Pani sukienka to Cerutti, prawda? - powiedziałam do kobiety. - Ale jest przerobiona. Powinna być długa do kostek.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Bingo. Kupiłam ją na ciuchach dziesięć lat temu, ale miała postrzępiony dół, więc go obciąłam. - Strzepnęła z niej jakiś niewidoczny pyłek. - Było to najlepiej wydane dziesięć pensów. - Podeszła do wieszaka ze strojami dziennymi i zdjęła z niego turkusową sukienkę z początku lat siedemdziesiątych. - To Alice Pollock, prawda?

Kiwnęłam głową.

- Dla Quorum.

- Tak myślałam. - Spojrzała na cenę. - Poza zasięgiem, ale chcę przynajmniej obejrzeć. Kiedy przeczytałam o tym sklepie w gazecie, wiedziałam, że muszę tu zajrzeć. Cóż - westchnęła - miło chociaż pomarzyć. - Uśmiechnęła się do mnie przyjaźnie. - Tak przy okazji, jestem Annie.

- A ja Phoebe. Phoebe Swift. - Przez chwilę patrzyłam na nią w milczeniu. - Tak się zastanawiam... Pracujesz gdzieś teraz?

- Przyjmuję różne dorywcze prace - odparła. - Co się nawinie.

- Mieszkasz w tej okolicy?

- Tak. - Annie spojrzała na mnie z ciekawością. - Mieszkam w Dartmouth Hill.

- Pytam, bo... Słuchaj, pewnie nie miałabyś ochoty dla mnie popracować? Szukam pomocy na pół etatu - dodałam i wyjaśniłam, dlaczego.

- Dwa dni w tygodniu? - powtórzyła Annie. - To by mi bardzo odpowiadało. Przyda mi się jakieś regularne zajęcie, jeśli tylko nie będzie kolidowało z castingami. Nie żebym często na nie chodziła - dodała z żalem.

- Jeśli chodzi o godziny, na pewno się dogadamy... Och, i czasem będę cię potrzebowała częściej niż dwa dni na tydzień... Czy nie wspomniałaś czasem, że umiesz szyć?

- Owszem, dość dobrze.

- Bardzo by mi pomogło, gdybyś mogła czasem coś przyszyć, zacerować albo wyprasować, kiedy nie będzie ruchu. Byłoby też dobrze, gdybyś ubierała manekiny, zupełnie sobie z tym nie radzę.

- Bardzo chętnie.

- I nie musisz się martwić, czy dobrze nam się będzie razem pracowało, bo potrzebuję kogoś, kto zajmie się sklepem, kiedy mnie w nim nie będzie. To mój numer. - Wręczyłam jej pocztówkę z reklamą Village Vintage. - Pomyśl o tym.

- Cóż... prawdę mówiąc... - Zaśmiała się. - Nie muszę myśleć.

Jakakolwiek praca bardzo mi się teraz przyda. Ale muszę przynieść ci referencje - dodała. - Choćby po to, żebyś miała pewność, że nie ucieknę z towarem, bo to wielka pokusa. - Uśmiechnęła się. - Kiedy mogę zacząć?

Tak więc tego ranka, w poniedziałek, Annie zaczęła pracę, przynosząc ze sobą referencje od dwóch poprzednich pracodawców, zaświadczające o jej pracowitości i uczciwości. Poprosiłam ją, żeby przyszła wcześniej, bo chciałam pokazać jej wszystko, zanim pojedę na aukcję do Christie's.

- Obejrzyj najpierw dokładnie ubrania - poradziłam. - Tu są stroje wieczorowe, tu bielizna... tutaj ubrania męskie... a buty i torebki na tych półkach. Na stoliku leżą dzianiny... Otworzę kasę. - Wyjęłam elektroniczny klucz. - A gdybyś mogła coś naprawić...

- Jasne.

Poszłam do swojej maleńkiej pracowni po spódniczkę od Murray Arbeid, która wymagała drobnej naprawy.

- To kapelusz od Emmy Kitts, prawda? - usłyszałam za plecami głos Annie. Kiedy wróciłam, stała z zadartą głową i patrzyła na niego. - To takie smutne. Czytałam o tym w gazetach. - Odwróciła się do mnie. - Dlaczego go tu trzymasz, skoro nie jest stary i napisałaś, że nie jest na sprzedaż?

Przez ułamek sekundy miałam ochotę wyznać jej, że fakt, iż codziennie muszę patrzeć na ten kapelusz, jest dla mnie formą pokuty.

- Znałam ją - wyjaśniłam, kładąc na ladzie spódnicę wraz z przyborami do szycia. - Przyjaźniłyśmy się.

- To straszne - szepnęła Annie. - Musi ci jej brakować.

- Tak... - Zakaszlałam, by stłumić szloch, który nagle podszedł mi do gardła. - Cóż, ten szew tutaj... popuścił trochę... O, tu. - Odetchnęłam głęboko. - Lepiej już pójdę.

Annie otworzyła przybornik i wybrała szpulkę nici.

- O której zaczyna się aukcja?

- O dziesiątej. Poszłam tam wczoraj, żeby zobaczyć, co wystawia.

- Podniosłam katalog. - To, co mnie interesuje, pójdzie pod młotek dopiero po jedenastej, ale chcę być wcześniej, żeby zająć dobre miejsce.

- A co chcesz kupić?

- Suknię wieczorową od Balenciagi. - Otworzyłam katalog na stronie ze zdjęciem sto dziesiątego numeru.

Annie spojrzała na fotografię.

- Bardzo elegancka.

Długa suknia bez rękawów z jedwabiu w kolorze indygo miała prosty krój, półokrągły dekolt i lekko rozkloszowany dół obszyty srebrnymi koralikami.

- Chcę ją kupić dla konkretnej osoby - wyjaśniłam. - To stylistka z Beverly Hills. Wiem dokładnie, czego oczekują jej klientki, więc jestem pewna, że ją kupi. Potem pod młotek pójdzie jeszcze sukienka od madame Gres, którą bardzo chciałabym mieć w swojej kolekcji. - Przewróciłam stronę i pokazałam Annie zdjęcie z numerem sto dwunastym, którym oznaczono wąską, neoklasycystyczną suknię z kremowej jedwabnej krepy, ze skrzyżowanymi na plecach ramiączkami. Spod podwyższonego stanika spływała miękka tkanina zmarszczona w dziesiątki drobnych fałdek. Tył ozdabiał długi tren z szyfonu. Westchnęłam.

- Przepiękna - mruknęła Annie. - Świetnie nadawałaby się na suknię ślubną - dodała, spoglądając na mnie z ukosa.

Uśmiechnęłam się.

- Nie dlatego chcę ją kupić. Po prostu zachwycają mnie drapowane suknie od madame Gres. - Wzięłam do ręki torebkę. - Teraz naprawdę muszę już iść. Och, jeszcze jedno... - Już miałam powiedzieć Annie, co ma robić, gdyby ktoś przyniósł ubrania do sprzedaży, kiedy zadzwonił telefon.

Podniosłam słuchawkę.

- Village Vintage... - Ciągle jeszcze na dźwięk tych słów przeszywał mnie dreszcz ekscytacji.

- Dzień dobry - odezwał się kobiecy głos. - Nazywam się Bell. -Kobieta była na pewno starsza i mówiła z ledwie dosłyszalnym francuskim

akcentem. - Widziałam w lokalnej gazecie, że właśnie otworzyła pani sklep.

- Zgadza się. - A więc artykuł Dana ciągle przynosił efekty. Ogarnęła mnie fala wdzięczności.

- Tak, cóż... Mam sporo rzeczy, które nie są mi już potrzebne. To naprawdę ładne ubrania, ale nie będę ich już nosić... Mam też torebki i buty. Ale jestem w podeszłym wieku, nie mogę ich przynieść...

- Nie, oczywiście, że nie - przerwałam. - Chętnie do pani przyjdę, jeśli zechce mi pani podać swój adres. - Sięgnęłam do kalendarzyka. - Paragon? - powtórzyłam. - To bardzo blisko, mogę do pani podejść pieszo. Kiedy?

- Może dzisiaj? Chciałabym jak najszybciej pozbyć się tych rzeczy. Rano mam spotkanie, ale może miałyby pani czas o trzeciej? Do tego czasu wrócę już z aukcji, pomyślałam, a Annie zajmie się dzisiaj sklepem.

- Doskonale - powiedziałam, zapisując numer domu.

W drodze na stację rozmyślałam nad sztuką, jaką jest szacowanie wartości ubrań w czyimś domu. Najczęściej właścicielką tych rzeczy była niedawno zmarła kobieta, trzeba więc zmierzyć się z jej rodziną. Sytuacja jest delikatna, należy zatem wykazać się sporym taktem. Krewni czują się czasem urażeni, jeśli jakaś część garderoby nie zyska uznania. Denerwują się też, jeśli proponowana za ubrania kwota jest niższa niż ta, której oczekiwali. „Tylko 40 funtów? - mówią - Przecież to Hardy Amies!" Wówczas, nadal bardzo delikatnie, pokazuje się przetartą podszewkę, brak trzech guzików i zabrudzenia na mankiecie, które wymagają czyszczenia w specjalistycznej pralni chemicznej.

Czasami rodzinie trudno rozstać się z rzeczami. Wtedy jawnie okazują niechęć, zwłaszcza jeśli wyzbywają się części spadku po to, by zapłacić podatek. W takich wypadkach, myślałam - stojąc na peronie - czuję się jak intruz. Zdarza mi się też trafić do wielkich wiejskich posiadłości, gdzie w drzwiach pokoju stoi zapłakana pokojówka albo kamerdyner, mówiąc - co jest wyjątkowo irytujące - żebym nie dotykała ubrań.

Wdowiec, jeśli się pojawi, często szczegółowo opowiada o tym, co nosiła jego zmarła małżonka, ile on musiał za to zapłacić w Dickins & Jones w 1965 i jak pięknie w tym wyglądała podczas rejsu transoceanikiem.

Najłatwiej jest wtedy, uświadomiłam sobie, wsiadając do pociągu, kiedy kobieta właśnie się rozwodzi i chce się pozbyć wszystkiego, co dostała od męża. W takich wypadkach mogę być rzeczowa i szybka. Ale widok starszej kobiety, która wyprzedaje całą garderobę, jest zwykle bardzo przykry. Bo, jak już wspomniałam, to coś więcej niż tylko ubrania. To tkanina, z której, niemal dosłownie, uszyto czyjeś życie. Jednak bez względu na to, jak wielką miałabym ochotę wysłuchać wiążących się z tymi rzeczami historii, nie wolno mi zapomnieć, że mój czas jest ograniczony. Dlatego staram się, by moje wizyty nie trwały dłużej niż godzinę, i tyle właśnie zarezerwowałam dla pani Bell.

Wysiadłam z metra na stacji South Kensington i zadzwoniłam do Annie. Była radosna i podekscytowana, bo udało jej się sprzedać gorset od Vivienne Westwood i dwie francuskie koszule nocne. Powiedziała mi też, że Mimi Long z „Woman & Home” pytała, czy mogłaby pożyczyć kilka ubrań na sesję zdjęciową. Podniesiona tym wszystkim na duchu ruszyłam w dół Brompton Road do Christie's. Hol był pełen ludzi, po-

nieważ aukcje ubrań są bardzo popularne. Stałam w kolejce, zarejestrowałam się i odebrałam swój numer.

Długa galeria była wypełniona mniej więcej w trzech czwartych. Usiadłam przy końcu jednego z pustych, środkowych rzędów po prawej stronie, po czym rozejrzałam się dookoła, by zobaczyć, z kim będę rywalizować. Jest to pierwsza rzecz, jaką zawsze robię po wejściu do sali aukcyjnej. Tym razem dostrzegłam kilku handlowców i właścicielkę sklepu z markową odzieżą używaną w Islington. Rozpoznałam redaktorkę działu mody „Elle”, która siedziała w czwartym rzędzie, a dalej, po prawej, dostrzegłam Nicole Farhi. Powietrze było duszne od zapachu drogich perfum.

- Numer sto drugi - oznajmił prowadzący. Wyprostowałam się gwałtownie. Sto drugi? Przecież była dopiero dziesiąta trzydzieści. Kiedy sama prowadziłam aukcje, starałam się ich nie przeciągać, ale ten człowiek dosłownie galopował przez swoją listę. Z mocno bijącym sercem spojrzałam na suknię od Balenciagi w swoim katalogu, a potem przeczuciłam kilka stron i dotarłam do madame Gres. Cenę minimalną ustalono na tysiąc funtów, ale ta suknia mogła pójść za znacznie wyższą kwotę. Wiedziałam, że nie powinnam kupować niczego, czego nie zamierzałam sprzedać, powiedziałam sobie jednak, że ta suknia to inwestycja, której wartość będzie z czasem rosła. Jeśli będę mogła ją kupić za tysiąc pięćset funtów albo mniej, zrobię to.

- Numer sto piąty - powiedział prowadzący. - Jedwabny zakiet w kolorze ostrego rózu z kolekcji cyrkowej Elsy Schiaparelli, z 1938 roku. Proszę zwrócić uwagę na oryginalne metalowe guziki w kształcie akrobatów. Cena wywoławcza trzysta funtów. Dziękuję. A więc trzysta

dwadzieścia funtów... trzysta czterdzieści... trzysta sześćdziesiąt, dziękuję pani... Czy ktoś da trzysta osiemdziesiąt? - Prowadzący spojrzał na salę ponad szklami okularów, po czym skinął w stronę blondynki w pierwszym rzędzie. - A więc, trzysta sześćdziesiąt funtów... - Młotek uderzył w stolik. - Sprzedane! Komu? - Kobieta podniosła do góry swój numer. - Pani z numerem dwadzieścia cztery. Dziękuję. Przechodzimy teraz do numeru sto szóstego...

Mimo wielu lat spędzonych w domu aukcyjnym serce, w miarę jak zbliżała się licytacja „moich” rzeczy, biło mi coraz mocniej. Rozejrzałam się gorączkowo po sali, zastanawiając się, kim będą moi rywale. Większość kupujących stanowiły kobiety, ale przy drugim końcu mojego rzędu siedział dystyngowany mężczyzna w wieku mniej więcej czterdziestu pięciu lat. Przeglądał katalog, zakreślając w nim coś od czasu do czasu eleganckim, złotym długopisem. Byłam ciekawa, co też będzie chciał kupić.

Trzy następne rzeczy zostały kupione w ciągu minuty, przez osoby licytujące przez telefon. Teraz pod młotek miała pójść suknia Balenciagi. Zacisnęłam palce na patyczku z numerkiem.

- Numer sto dziesiąty - ogłosił prowadzący. - Elegancka suknia wieczorowa z ciemnoniebieskiego jedwabiu. Projekt Cristobala Balenciagi z 1960 roku. - Zdjęcie sukni zostało wyświetlone na dwóch wielkich ekranach znajdujących się po obu stronach podium. – Proszę zwrócić uwagę na charakterystyczną prostotę kroju i lekko uniesiony z przodu brzeg sukni, który ma ukazywać buty. Cena wywoławcza pięćset funtów. - Prowadzący rozejrzał się po sali. - Czy ktoś da pięćset? - Nikt nie licytował, więc postanowiłam zaczekać. - Może ktoś da czterysta

pięćdziesiąt? - Spojrzał na kupujących znad szkieł okularów. Ku
mojemu zdziwieniu, nikt nie podniósł ręki. - Więc może czterysta?
-Kobieta w pierwszym rzędzie kiwnęła głową, więc ja także to zrobiłam.
-Mam czterysta dwadzieścia funtów... czterysta czterdzieści... czterysta
sześćdziesiąt. Czy ktoś da czterysta osiemdziesiąt? - Prowadzący
spojrzał na mnie. - Dziękuję pani, a więc mam czterysta osiemdziesiąt
funtów. Czy ktoś da więcej? - Spojrzał na kobietę z pierwszego rzędu,
ale ona pokręciła głową. - Zatem czterysta osiemdziesiąt funtów. - Roz-
legło się uderzenie młotka. - Sprzedane, za czterysta osiemdziesiąt fun-
tów, pani z numerem... - Spojrzał na mnie, więc pokazałam mu swój
numerek. - Pani z numerem dwieście dwudziestym. Dziękuję pani.
Byłam zachwycona faktem, że udało mi się kupić suknię od Balenciagi
za tak korzystną cenę, zaraz jednak moja euforia ustąpiła miejsca
napięciu, jako że zbliżała się licytacja dzieła madame Gres. Poruszyłam
się niespokojnie na krześle.

- Numer sto dwunasty - powiedział prowadzący. - Suknia wieczorowa,
circa 1936, z pracowni wielkiej madame Gres, słynnej ze swoich
drapowań i marszczeń.-Portier w fartuchu wniósł manekin ubrany w
suknię, na podium. Rozejrzałam się nerwowo po sali. - Zacznę od
tysiąca funtów -oznajmił prowadzący. - Czy ktoś da tysiąc? - Z ulgą
dostrzegłam, że poza mną jeszcze tylko jedna osoba podniosła rękę. -
Jest tysiąc sto. I tysiąc sto pięćdziesiąt. - Znowu podniosłam dłoń. - A
więc tysiąc dwieście, dziękuję. Czy ktoś da tysiąc dwieście pięćdziesiąt?
- Prowadzący spojrział na moją rywalkę, która pokręciła głową. - Zatem
tysiąc dwieście pięćdziesiąt to w tej chwili najwyższa kwota. -
Wstrzymałam oddech. Byłaby to doskonała cena. - Po raz pierwszy... po

raz drugi... i po raz ostatni... -Dzięki Ci, Boże. Zamknęłam oczy. -
Dziękuję panu. - Zaskoczona, spojrzałam w lewo i zrozumiałam,
zirytowana, że do licytacji włączył się mężczyzna siedzący w tym
samym rzędzie co ja. - Czy dostanę tysiąc trzysta? - spytał prowadzący,
spoglądając na mnie. Kiwnęłam głową. -A tysiąc trzysta pięćdziesiąt?
Dziękuję panu. - Poczulałam, jak przyspiesza mi puls. - Kto da tysiąc
czterysta? Dziękuję pani. Tysiąc pięćset? -Mężczyzna kiwnął głową. -
Tysiąc sześćset? - Podniosłam rękę. - Czy dostanę od pana tysiąc
siedemset? Dziękuję. - Znowu spojrzałam na rywala i zauważyłam, że
podbijał cenę zupełnie bez emocji. - Czy dostanę tysiąc siedemset
pięćdziesiąt? - Nie, pomyślałam, ten przebiegły lis mnie nie
powstrzyma. Podniosłam rękę. - Mam tysiąc siedemset pięćdziesiąt od
pani siedzącej z brzegu... Dziękuję panu, a więc tysiąc osiemset funtów.
Może ktoś da tysiąc dziewięćset? Licytuje pani nadal? - Kiwnęłam
głową, ale mimo podekscytowania gotowałam się ze złości. - A dwa
tysiące? Licytuje pan? - Mężczyzna znowu kiwnął głową. - Kto da dwa
tysiące dwieście? Dziękuję panu. A więc dwa tysiące dwieście... -
Mężczyzna spojrzał na mnie z ukosa. Znowu podniosłam dłoń. - Mam
już dwa tysiące trzysta funtów - oznajmił radośnie prowadzący. -
Dziękuję pani. A może ktoś da dwa tysiące czterysta? - Prowadzący
patrzył na mnie, wyciągając jednocześnie rękę w stronę mojego
oponenta, chcąc utrzymać nas w tej walce, co jest dobrze znanym chwy-
tem. - Dwa tysiące czterysta? - powtórzył. - Pan czeka. - Teraz kiw-
nęłam głową, czując, jak adrenalina zabarwia mi policzki rumieńcem.
- Dwa tysiące sześćset? - Napięcie rosło, słyszałam, jak siedzący na sali
ludzie wiercą się na krzesłach. Dziękuję panu. Czy da pani dwa tysiące

osiemset? - Kiwnęłam głową, jak we śnie. - A dwa tysiące dziewięćset? Dziękuję panu! - Za plecami słyszałam szepty. - Czy ktoś da trzy tysiące? Trzy tysiące funtów? - Prowadzący zerknął na mnie w chwili, kiedy podnosiłam rękę. - Bardzo pani dziękuję... więc mam trzy tysiące. - Co ja wyprawiam? - zapytałam siebie w duchu. - Trzy tysiące funtów... - Wiedziałam, że nie mam trzech tysięcy funtów. Będę musiała zrezygnować z tej sukni. - Czy ktoś da więcej? - Smutne, ale nie mogłam sobie pozwolić na taki wydatek. - Trzy tysiące sto? - usłyszałam głos prowadzącego. - Nie? Rezygnuje pan? - Spojrzałam na rywala, który teraz, ku mojemu przerażeniu kręcił głową. Prowadzący odwrócił się do mnie. - A więc wylicytowała pani trzy tysiące funtów. Po raz pierwszy... - Prowadzący podniósł młotek. - Po raz drugi... - Zamachnął się, a ja, w euforii zmieszanej ze zgrozą, patrzyłam, jak młotek opada. - Sprzedane za trzy tysiące funtów pani z numerem... Jaki ma pani numer? - Drżącą ręką pokazałam mu numer. - Dwieście dwadzieścia. Dziękuję wszystkim. To była niezwykle emocjonująca licytacja. A teraz przechodzimy do numeru sto trzynastego.

Wstałam, czując, jak ogarniają mnie mdłości. Wraz z dodatkowymi opłatami całkowity koszt sukni wyniesie trzy tysiące sześćset funtów. Jak to możliwe, że przy całym moim doświadczeniu, nie wspominając już o zimnej krwi, z której ponoć byłam znana, tak mnie poniosło? Spojrzałam na mężczyznę, który licytował przeciw mnie, i ogarnęła mnie irracjonalna nienawiść. Jeden z tych śliskich typów z City, w doskonale skrojonym markowym garniturze w prążki i ręcznie robionych butach. Z pewnością chciał kupić tę suknię dla żony - bez wątplenia była jednym z jego licznych życiowych trofeów. Natychmiast stanę-

ła mi przed oczami idealna laleczka o włosach w kolorze blond, ubrana w kostiumik z najnowszej kolekcji Chanel.

Wyszłam z sali. Serce nadal waliło mi jak młot. Nie będę mogła zatrzymać tej sukni. Zaoferuję ją Cindy, hollywoodzkiej stylistce - sukienka doskonale nadawała się na czerwony dywan. Wyobraziłam sobie Cate Blanchet na oscarowej gali - wyglądałaby w niej doskonale. Tylko że ja nie chcę sprzedać tej sukni, pomyślałam, schodząc w dół do kasy. Była nieziemsko piękna i stoczyłam zażartą walkę, by ją zdobyć. Stałam w kolejce i zastanawiałam się nerwowo, czy moja karta zdoła pokryć ten wydatek. Obliczyłam, że kredyt, jakim jeszcze dysponuję, powinien wystarczyć. Na styk. Czekaając, aż nadejdzie moja kolej, dostrzegłam pana w garniturze w prążki, który schodził ze schodów, przyciskając do ucha telefon komórkowy.

- Nie, nie kupiłem - usłyszałam. Miał miły, lekko schrypnięty głos. - Nie, po prostu nie kupiłem - powtórzył ze znużeniem. - Przykro mi, kochanie. - Piękna żona, a może kochanka, najwyraźniej była na niego wściekła. - Licytacja była naprawdę ostra - wyjaśnił i spojrzał na mnie. - Miałem poważnego rywala - dodał i, ku mojemu zaskoczeniu, puścił w moją stronę oko. - Tak, wiem, że jesteś rozczarowana, kotku, ale dostaniesz mnóstwo innych sukni. - Doskonale wiedział, jak ją ułagodzić. - Za to kupiłem torbę od Prady, która tak ci się podobała. Oczywiście, że tak, kochanie. Posłuchaj, muszę teraz pójść zapłacić. Zadzwoń później, dobrze?

Zatrzasnął telefon z wyrazem ulgi na twarzy, po czym stanął tuż za mną. Udawałam, że go nie zauważyłam.

- Gratuluję. - Usłyszałam za plecami. Odwróciłam się.

- Słucham?
 - Gratuluję - powtórzył. - Zdobyła pani tę suknię - dodał jowialnie. - Piękna, biała suknia, projektu... właściwie czyjego? - Otworzył katalog.
 - Madame Gres, kimkolwiek była. - Spojrzałam na niego, zbulwersowana. Nie wiedział nawet, co licytował. - Musi pani być zachwycona - dorzucił.
 - Owszem. - Miałam ochotę powiedzieć mu, że cena mnie nie zachwycała, ale oparłam się pokusie.
- Mężczyzna wsadził katalog pod pachę.
- Szczerze mówiąc, mogłem licytować dłużej.
- Patrzyłam na niego przez chwilę.
- Doprawdy?
 - Ale spojrzałem na panią i zobaczyłam, jak bardzo pragnie pani kupić tę suknię, więc postanowiłem ją oddać.
 - Och... - Grzecznie kiwnęłam głową. Czy ten gad sądził, że mu podziękuję? Gdyby wycofał się wcześniej, zaoszczędziłabym dwa tysiące.
 - Ma pani zamiar włożyć ją na jakąś szczególną okazję? - zapytał.
 - Nie - odparłam chłodno. - Po prostu... bardzo podobają mi się projekty madame Gres. Kolekcjonuję jej suknie.
 - W takim razie bardzo się cieszę, że kupiła pani właśnie tę. - Poprawił węzeł jedwabnego krawata od Hermesa. - No, ja na dziś skończyłem. - Spojrzał na zegarek. Dostrzegłam błysk starego złotego roleksa. - A pani? Chce pani coś jeszcze kupić?
 - Boże, nie. Już przekroczyłam budżet.
 - Och, no tak... Licytacja była ostra, prawda?
 - Rzeczywiście.

- Cóż... To chyba moja wina. - Uśmiechnął się do mnie przepraszająco. Zauważyłam, że miał duże, brązowe oczy i lekko opadające powieki, które nadawały jego twarzy trochę senny wyraz.

- Nie. - Wzruszyłam ramionami. - Na tym polegają aukcje. O czym wiedziałam aż za dobrze.

- Słucham panią? - powiedziała kasjerka.

Odwróciłam się i wręczyłam jej kartę kredytową. Potem poprosiłam o rachunek na Village Vintage i usiadłam na obitej niebieską skórą ławce, czekając na przyniesienie zakupionych sukien.

Pan Prądkowany zapłacił, po czym przysiadł się do mnie w oczekiwaniu na swoje zakupy. Siedzieliśmy obok siebie, już nie rozmawiając, bo zaczął czytać SMS-a. Zauważyłam, że był przy tym nieco spięty.

Zastanawiałam się, ile mógł mieć lat. Spojrzałam z ukosa na jego profil.

Miał sporo zmarszczek, ale bez względu na to, w jakim był wieku, wydawał się dość atrakcyjny, z tymi szpakowatymi włosami i rzymskim nosem. Doszłam do wniosku, że mógł mieć jakieś czterdzieści trzy lata.

W końcu przyszedł portier i wręczył nam torby. Wzięłam swoją, a na myśl o tym, co zawiera, przeszył mnie miły dreszcz triumfu. Szybko sprawdziłam, czy w torbie istotnie znajdują się kupione przeze mnie suknie, po czym rzuciłam Panu Prądkowanemu zwycięski uśmiech.

Wstał.

- Wie pani... - zaczął, zerkając na zegarek. - Cała ta licytacja zaostrzyła mi apetyt. Chyba wstąpię do baru po drugiej stronie. Może chciałaby się pani do mnie przyłączyć? Tak podbiłem cenę sukni, że mógłbym się zrewanżować kanapką. - Wyciągnął do mnie rękę. - Nazywam się Miles.

Miles Archant.

- Och. Jestem Phoebe. Swift. Miło mi - dodałam szybko, podając mu dłoń.
- A więc? - Patrzył na mnie pytająco. - Ma pani ochotę na lunch? Jego bezczelność była naprawdę zdumiewająca. Po pierwsze, facet kompletnie mnie nie znał, a po drugie, najwyraźniej miał żonę albo dziewczynę i wiedział, że ja o tym wiem, bo słyszałam, jak rozmawiał z nią przez telefon.
- A może napiłaby się pani kawy?
- Nie, dziękuję - odparłam spokojnie. Doszłam do wniosku, że pewnie ma zwyczaj podrywania samotnych kobiet w domach aukcyjnych. - Muszę już... wracać...
- Do... pracy? - zapytał uprzejmie.
- Tak. - Nie musiałam mu się zwierzać z tego, gdzie pracuję.
- Cóż, życzę wiele radości z tej sukni. Wspaniale będzie pani w niej wyglądać - dodał, kiedy odwracałam się, by odejść.
- Nie bardzo wiedząc, czy powinnam uznać tę uwagę za miłą czy raczej impertynencką, uśmiechnęłam się niepewnie.
- Dziękuję.

Rozdział 3

Wracając, pokazałam Annie obie suknie. Powiedziałam, że musiałam stoczyć prawdziwą walkę, by zdobyć tę od madame Gres, choć szczegóły dotyczące Pana Prądkowanego zachowałam dla siebie.

- Nie przejmowałabym się ceną - powiedziała Annie, oglądając suknię. - Radości z nabycia tak pięknej rzeczy nie powinny mącić... przyziemne troski.

- Gdyby to było możliwe... - mruknęłam z żalem. - Ciągłe nie mogę uwierzyć, że wydałam tyle pieniędzy.

- Mogłabyś uznać to za część swojej pensji - zasugerowała Annie, poprawiając szew na brzegu spódnicy od Georges'a Recha. Poruszyła się na krześle i dodała: - A może udałoby ci się odpisać ten wydatek od podatku?

- Wątpię, choć chętnie wpuściłabym tę suknię w koszty reprezentacyjne. Och! - dorzuciłam. - Widzę, że umieściłaś je tutaj... - Podczas mojej nieobecności Annie powiesiła kilka ręcznie haftowanych torebek wieczorowych na pustej ścianie przy drzwiach.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu - odparła. - Wydaje mi się, że dobrze tam wyglądają.

- Owszem. Teraz można dokładniej przyjrzeć się haftom. - Włożyłam dwie świeżo nabyte suknie do nowych pokrowców i zapięłam zamki błyskawiczne. - Powieszę je w magazynie.

- Mogę cię o coś zapytać? - powiedziała Annie, kiedy ruszyłam w stronę schodów.

Odwróciłam się do niej.

- Tak?

- Kolekcjonujesz suknie od madame Gres?

- Zgadza się.

- Ale masz śliczną suknię od Gres tutaj. - Annie podeszła do wieszaka ze strojami wieczorowymi i wyjęła tę, którą dostałam od Guya. -Ktoś

mierzył ją dzisiaj i zobaczyłam metkę. Ta kobieta była za niska, ale ty wyglądałabyś w niej cudownie. Nie chcesz jej do swojej kolekcji?
Pokręciłam głową.

- Jakoś... za tą suknią nie przepadam.

- Och! - Annie spojrzała na sukienkę. - Rozumiem, ale...

Na szczęście rozległ się dźwięk wiszącego nad drzwiami dzwoneczka i do sklepu weszła para ludzi nieco przed trzydziestką. Poprosiłam Annie, żeby się nimi zajęła, a sama poszłam na górę. Potem wróciłam na dół i wstąpiłam do biura, chcąc zajrzeć na stronę internetową Village Vintage.

- Szukam sukni wieczorowej. - Otwierając e-maile, usłyszałam głos dziewczyny. - Na nasze przyjęcie zaręczynowe - dodała ze śmiechem.

- Carla uznała, że w sklepie takim jak ten dostanie coś oryginalnego - wyjaśnił chłopak.

- To prawda - odparła Annie. - Wieczorowe stroje są tutaj. Nosi pani rozmiar dwanaście, prawda?

- Boże, nie - prychnęła dziewczyna. - Szesnaście. Powinnam się odchudzić.

- Nie rób tego - zaprotestował chłopak. - Jesteś cudowna taka, jaka jesteś.

- Ma pani szczęście - zaśmiała się Annie. - Będzie pani miała wspaniałego męża.

- Wiem o tym - pisnęła dziewczyna radośnie. - Co tam oglądasz, Pete? O! jakie śliczne spinki do mankietów.

Ta para najwyraźniej była bardzo szczęśliwa. Poczułam w sercu ukłucie zazdrości, więc odwróciłam się do ekranu komputera. Ktoś chciał kupić

pięć francuskich koszul nocnych, inna klientka, którą zainteresowała sukienka z długimi rękawami od Diora, pytała o rozmiar.

„Kiedy podaję rozmiar 12 - odpisałam jej - w rzeczywistości oznacza to 10, ponieważ obecnie kobiety są wyższe i cięższe niż pięćdziesiąt lat temu. Poniżej znajdzie Pani wymiary sukienki, o którą Pani pytała, wraz z długością rękawów mierzoną do nadgarstka. Proszę dać znać, czy mam zarezerwować dla Pani tę sukienkę”.

- Kiedy ma się odbyć to przyjęcie? - znowu doleciał mnie głos Annie.

- W najbliższą sobotę - odpowiedziała dziewczyna. - Nie dałam sobie wiele czasu na poszukiwania. Te sukienki tutaj to niezupełnie to, o co mi chodzi - dodała po chwili.

- Zawsze może pani zmienić to, co ma pani w szafie, za pomocą jakiegoś staroświeckiego dodatku - podsunęła Annie. - Na przykład jedwabnego żakietu, mamy ich kilka, albo pięknego szala. Jeśli przyniesie pani jakąś sukienkę, na pewno uda nam się coś do niej dobrać.

- Te są prześliczne - powiedziała nagle dziewczyna. - Takie... radosne. Wiedziałam, że mogła mówić tylko o moich kolorowych „bezach”.

- Który kolor najbardziej ci się podoba? - zagadnął chłopak.

- Chyba ten... turkusowy.

- Pasowałby do koloru twoich oczu - ocenił.

- Zdjąć ją? - spytała Annie.

Rzuciłam okiem na zegarek. Powinnam już wychodzić na spotkanie z panią Bell.

- Ile ona kosztuje? - chciała wiedzieć dziewczyna. Annie podała jej cenę.

- Och... No tak. W takim razie...

- Przynajmniej ją przymierz - odezwał się chłopak.

- Cóż... no dobrze - odparła. - Ale cena znacznie przekracza mój budżet. Włożyłam żakiet i przygotowałam się do wyjścia. Minutę później, kiedy przechodziłam przez sklep, dziewczyna akurat wyłoniła się z przymierzalni ubrana w turkusową sukienkę. Nie była wcale gruba, miała po prostu wspaniałą, kobiecą figurę. Narzeczony miał rację, kolor sukni pięknie podkreślał barwę jej oczu.

- Cudownie w niej pani wygląda - pochwaliła Annie. - Do tych sukienek trzeba mieć kształty klepsydry, właśnie takie, jak pani.

- Dziękuję. - Dziewczyna założyła lśniąca, kasztanowe włosy za ucho. - Muszę przyznać, że jest naprawdę... - Westchnęła, trochę z zachwytem, a trochę z żalem. - Fantastyczna. Bardzo podobają mi się te cekiny i tiul. Czuję się w niej taka... szczęśliwa - powiedziała w zamyśleniu. - Nie żebym na ogół nie czuła się szczęśliwa - dodała, spoglądając ciepło na narzeczonego, po czym przeniosła wzrok na Annie. - Kosztuje dwieście siedemdziesiąt pięć funtów, tak?

- Zgadza się. Jest z jedwabiu - odparła Annie - łącznie z koronką na brzegu stanika.

- A teraz na wszystko mamy pięć procent zniżki - oznajmiłam, podnosząc torebkę. Postanowiłam, że przedłużę czas promocji. - Możemy też zarezerwować stroje na cały tydzień.

Dziewczyna znowu westchnęła.

- Ach, tak. Dziękuję. - Odwróciła się do lustra, przy czym tiulowe halki zaszeleściły cichutko. - Jest przepiękna, ale... sama nie wiem... Chyba nie jest... tak naprawdę... w moim stylu. - Wróciła do przymierzalni i zaciągnęła zasłonę. - Poszukam czegoś innego - usłyszałam jeszcze, wychodząc ze sklepu.

Znam dobrze Paragon - chodziłam tam kiedyś na lekcje gry na fortepianie. Mój nauczyciel nazywał się Long, co bardzo bawiło matkę, ponieważ był raczej niski. Był też prawie ślepy, a jego brązowe oczy, powiększone przez grube szkła okularów, były w bezustannym ruchu. Kiedy grałam, chodził za moimi plecami tam i z powrotem, szurając miękkimi kapciami. Ilekroć zdarzyło mi się zagrać coś nie tak, jak trzeba, uderzał mnie po palcach prawej ręki linijką. Nie obrażało mnie to specjalnie, za to jego celność robiła na mnie zawsze duże wrażenie. Chodziłam do pana Longa w każdy wtorek po szkole, przez pięć lat. Aż pewnego czerwcowego dnia zadzwoniła jego żona i poinformowała matkę, że pan Long zasłabł i zmarł podczas wycieczki po Lake District. Mimo iż wiele razy oberwałam od niego linijką, byłam z tego powodu bardzo smutna.

Od tego czasu moja noga nie postąpiła w Paragon, choć często to miejsce mijałam. W tej imponującej georgiańskiej alei i stojących przy niej siedmiu wielkich domach połączonych niską kolumnadą jest coś, co ciągle zapiera mi dech w piersi. W czasach największej świetności domy te miały własne stajnie, powozownie, stawy rybne i mleczarnie, ale podczas wojny dzielnica została zbombardowana. Po odbudowaniu, w latach pięćdziesiątych, domy zostały podzielone na osobne mieszkania. Teraz przeszłam szybko Morden Road, mijając hotel Clarendon, i przecięłam tłoczne, pełne samochodów Heath. Minęłam pub Princess of Wales i pobliski staw, którego powierzchnię marszczył lekki wietrzyk, po czym skręciłam w stronę Paragon. Idąc aleją, podziwiałam rosnące wzdłuż trawników platany, o liściach już trochę pozłoconych jesiennym słońcem. Weszłam na kamienne schody prowadzące do domu pod

numerem 8 i nacisnęłam guzik oznaczający mieszkanie numer 6.

Spojrzałam na zegarek. Była za pięć trzecia. Postanowiłam, że wyjdę stąd przed czwartą.

Usłyszałam głos pani Bell z domofonu.

- Już schodzę. Zechce pani poczekać. Pojawiła się po dobrych pięciu minutach.

- Przepraszam. - Przycisnęła dłoń do piersi, z trudem chwytając oddech.

- Zawsze zajmuje mi to tyle czasu...

- Nie ma najmniejszego problemu - powiedziałam, przytrzymując przed nią ciężkie, czarne drzwi. - Ale czy nie mogła mnie pani wpuścić, zostając na górze?

- Automatyczny zamek się zepsuł, co trochę mi doskwiera - odparła z eleganckim niedopowiedzeniem. - Tak czy inaczej, bardzo pani dziękuję za przybycie, panno Swift...

- Phoebe. Proszę mi mówić po imieniu.

Kiedy przeszłam przez próg, pani Bell wyciągnęła do mnie szczupłą rękę. Pod przejrzystą ze starości skórą wyraźnie odznaczały się żyły, jak płatanina błękitnych przewodów. Jej ciągle jeszcze atrakcyjna twarz zmarszczyła się w uśmiechu. Zauważyłam, że gdzieś w fałdach skóry zebrały się grudki różowego pudru. Powieki jej otoczonych siecią zmarszczek oczu były pokryte jasnoszarym cieniem.

- Szkoda, że nie ma tu windy - zauważyłam, ruszając szerokimi schodami na trzecie piętro. Mój głos odbił się echem od ścian korytarza.

- Owszem, winda bardzo by się przydała - przyznała pani Bell, chwytając dłonią żelazną poręcz. Zatrzymała się na chwilę, by podciągnąć pasek wełnianej spódnicy w kolorze karmelu. - Ale schody dopiero

od niedawna są dla mnie problemem. - Przystanęłyśmy na pierwszym piętrze, by mogła odpocząć. - Cóż, i tak niedługo już tu zabawię, więc nie będę musiała się więcej wspinać na górę, co z pewnością będzie wielkim udogodnieniem - dodała, ponownie wstępując na schody.

- Wybiera się pani gdzieś? - spytałam. Ale pani Bell nie zareagowała, doszłam więc do wniosku, że poza ogólną słabością musi mieć też problemy ze słuchem.

W końcu dotarłyśmy na miejsce i pani Bell pchnęła drzwi.

- Etvoila...

Wnętrze mieszkania było atrakcyjne, lecz wyblakłe, tak jak jego właścicielka. Na ścianach wisiały dobre obrazy, między innymi niewielki świetlisty olej, przedstawiający pola lawendy. Na wyłożonej parkietem podłodze leżały dywany od Aubussona, a lampy sufitowe i kinkiety, wiszące na ścianach przedpokoju, którym szłam teraz za panią Bell, miały jedwabne, obszyte frędzlami abażury. Pani Bell zatrzymała się nagle i weszła do kuchni - małej i kwadratowej. Stały tam spłowiałe ze starości meble, stół z blatem z czerwonego laminatu i gazowy piecyk, a na nim aluminiowy czajnik i biały emaliowany garnek. Na laminowanym kuchennym blacie stały taca, niebieski porcelanowy imbryk, dwie filiżanki ze spodeczkami i dzbanuszek z mlekiem, przykryty staroświecką koronkową serwetką obszytą błękitnymi koralikami.

- Mogę zaproponować ci filiżankę herbaty, Phoebe?

- Nie, dziękuję... naprawdę.

- Wszystko już przygotowałam. A choć jestem Francuzką, wiem, jak zaparzyć filiżankę dobrej angielskiej darjeeling - dodała pani Bell kpiąco.

- Cóż... - Uśmiechnęłam się. - Nie chciałabym sprawiać kłopotu...

- To żaden kłopot. Muszę tylko podgrzać wodę. - Pani Bell wzięła leżące na półce pudełko zapalek, zapaliła jedną i drżącą ręką przytknęła do palnika. Zauważyłam, że pasek u spódnicy miała spięty dużą agrafką.

- Proszę, usiądź w salonie - powiedziała. - Jest tam, po lewej.

Pokój był duży, miał półokrągły wykusz z oknami i ściany obite bladezielonym jedwabiem, który gdzieś tam odstawał już lekko na łączeniach. Mimo iż dzień był ciepły, na małym gazowym kominku płonął ogień. Na gzymsie kominka stał srebrny zegar w kształcie powozu, a po obu jego stronach tkwiły porcelanowe spaniele o zarozumiałych pyskach.

Kiedy czajnik zaczął gwizdać, podeszłam do okna i spojrzałam w dół, na łączący wszystkie budynki ogród. Jako dziecko nie doceniałam jego wielkości. Trawnik ciągnął się na całą długość łukowatej alei jak zielona rzeka, a po drugiej stronie rósł rząd wspaniałych starych drzew. Był wśród nich potężny cedr, o konarach spływających aż do samej ziemi, jak szeroka krynolina. Były dwa czy trzy rozłożyste dęby, a także buki o miedzianych gałązkach i kasztanowiec, który właśnie zakwitł po raz drugi w tym roku. Po prawej dwie małe dziewczynki biegały wśród wiotkich witek wierzby płaczącej, śmiejąc się i krzycząc. Patrzyłam na nie przez chwilę...

- Wszystko gotowe - usłyszałam za plecami głos pani Bell. Podeszłam do niej, chcąc odebrać od niej tacę. - Nie, dziękuję - odezwała się niemal ze złością, kiedy próbowałam wyjąć ją z jej rąk. - Jestem już wprawdzie trochę antique, ale ciągle nieźle sobie radzę. A teraz powiedz mi, proszę, jaką pijasz herbatę?

Powiedziałam.

- Czarną i bez cukru? - Podniosła srebrne sitko do herbaty. - A więc to proste...

Podawała mi filiżankę, po czym usiadła na małym, obitym brokatem fotelu przy kominku, podczas gdy ja przycupnęłam na kanapie naprzeciw niej.

- Długo tu pani mieszka? - zagadnęłam.

- Dość długo - westchnęła. - Osiemnaście lat.

- Chce się pani przenieść na niższe piętro? - spytałam, bo przyszło mi do głowy, że może pani Bell ma zamiar zamieszkać w jednym z mieszkań chronionych, które znajdowały się niedaleko, przy tej samej ulicy.

- Nie jestem jeszcze pewna, dokąd się przeniosę - odparła po chwili. - W przyszłym tygodniu będę wiedziała coś więcej. Cokolwiek się jednak stanie, będzie to... jakby to ująć...

- Coś mniejszego? - podsunęłam.

- Coś mniejszego? - Pani Bell uśmiechnęła się z żalem. - Tak. - Zapadła chwila krępującej ciszy, zaczęłam więc opowiadać o lekcjach gry na fortepianie, choć uznałam, że lepiej nie wspominać o linijce.

- Byłaś dobrą pianistką? Pokręciłam głową.

- Doszłam tylko do poziomu trzeciego. Nie ćwiczyłam wystarczająco dużo, a potem, po śmierci pana Longa, nie chciałam się dłużej uczyć. Matka próbowała mnie zmobilizować, ale mnie to już chyba nie interesowało... - Zza okien dobiegł mnie znowu perlisty śmiech biegających po ogrodzie dziewczynek. - W przeciwieństwie do mojej przyjaciółki, Emmy - usłyszałam nagle swój głos. - Świetnie grała na fortepianie.

- Podniosłam łyżeczkę. - Skończyła poziom ósmy w wieku czternastu lat. Z wyróżnieniem. Dowiedzieliśmy się o tym na szkolnym apelu.

- Doprawdy?

Zaczęłam mieszać herbatę.

- Dyrektorka poprosiła Emmę na scenę i poprosiła ją, żeby coś zagrała.

Wybrała taki śliczny kawałek ze Scen z dzieciństwa Schumanna.

Nazywał się Marzenie...

- Jaka zdolna dziewczyna - powiedziała pani Bell z pewnym zaskoczeniem. - Nadal się przyjaźnicie, tak jak... w dzieciństwie? - dodała trochę kpiąco.

- Nie. - Dostrzegłam nagle pojedynczy listek herbaty unoszący się tuż nad dnem mojej filiżanki. - Emma nie żyje. Zmarła na początku tego roku, piętnastego lutego, mniej więcej o trzeciej pięćdziesiąt nad ranem. Tak przynajmniej uważają... Ale z drugiej strony, coś muszą przecież napisać, prawda?

- Okropne - mruknęła pani Bell po chwili. - Ile miała lat?

- Trzydzieści trzy. - Ciągle mieszałam herbatę, wpatrując się w jej złocistą głębię. - Dzisiaj skończyłaby trzydzieści cztery. - Łyżeczka zadzwoniła cicho o brzeg filiżanki. Spojrzałam na panią Bell. - Emma miała też wiele innych zdolności. Świetnie grała w tenisa, chociaż... - Uśmiechnęłam się bezwiednie. - Tak osobliwie serwowała... Jakby podrzucała naleśnik. Ale zawsze wygrywała. Tego serwu nie sposób było odbić.

- Naprawdę?

- Tak, a ponadto była doskonałą pływaczką i wybitną artystką.

- Cóż za utalentowana młoda kobieta.

- O, tak. Nie była ani trochę zarozumiała, wręcz przeciwnie. Nigdy tak naprawdę w siebie nie wierzyła.

Nagle zdałam sobie sprawę, że moja herbata - bez mleka i cukru -nie wymaga mieszania. Położyłam łyżeczkę na spodeczku.

- Była twoją najlepszą przyjaciółką? Kiwnęłam głową.

- Tak. Ale ja nie byłam dla niej najlepszą przyjaciółką. W ogóle nie zachowałam się jak przyjaciółka. - Przejrzysta herbata, w którą wbiłam wzrok, nagle zmętniała. - Prawdę mówiąc, zachowałam się ohydnie.

-Cały czas słyszałam przeciągły szum gazowego kominka, jak niekończący się wydech. - Przepraszam - powiedziałam cicho i odstawiłam filiżankę. - Przyszłam tu obejrzeć pani ubrania. Zabiorę się do tego, jeśli nie ma pani nic przeciw temu. I dziękuję za herbatę, dobrze mi zrobiła. Pani Bell zawahała się, ale zaraz podniosła się z fotela, a ja ruszyłam za nią korytarzem do sypialni. Podobnie jak reszta mieszkania, także i ten pokój wyglądał tak, jakby od lat niczego w nim nie zmieniono.

Niewielkie małżeńskie łóżko było przykryte żółtą prowansalską narzutą, w oknach wisiały żółte zasłony, a wbudowane w przeciwległą ścianę drzewiczki białych szaf obito częściowo tą samą tkaniną. Na stoliku obok łóżka stała kremowa alabastrowa lampa, a przy niej czarno-biała fotografia przystojnego mężczyzny po czterdziestce. Toaletkę ozdabiał studyjny portret pani Bell jako młodej kobiety o wysokim czole, rzymskim nosie i szerokich ustach. Wydatne rysy twarzy sprawiały, że wydawała się raczej interesująca niż piękna.

Pod najbliższą ścianą stały cztery kartony pełne rękawiczek, torebek i szali. Pani Bell usiadła na łóżku, a ja przyklęłam na podłodze i szybko przejrzałam zawartość pudeł.

- Te są śliczne... -powiedziałam. -I te kwadratowe jedwabne chustki...

Podoba mi się ta w kolorze fuksji. O, jaka elegancka... - Wyciągnęłam z

puddła małą torebkę od Gucciego z bambusowymi rączkami. -Te dwa kapelusze także. I jakie piękne pudło - dodałam, spoglądając na ośmiokątne pudło, w którym schowane były kapelusze, czarne, ozdobione wzorem składającym się z wiosennych kwiatów. Pani Bell wstała i z wyraźnym wysiłkiem ruszyła w stronę szaf. Zaproponuję pani kwotę, jaką byłabym skłonna zapłacić za rzeczy, które mnie interesują. Jeśli się pani na nią zgodzi, od razu wypiszę czek, ale nie wezmę niczego, dopóki go pani nie zrealizuje. Czy to pani odpowiada?

- Oczywiście - odparła pani Bell. - A więc... - Otworzyła szafę, z której doleciał mnie zapach Ma Griffe. - Proszę to przejrzeć. To, czego chcę się pozbyć, jest po lewej stronie. Proszę nie dotykać niczego, co wisi za tą żółtą suknią wieczorową.

Kiwnęłam głową i zaczęłam wyciągać stroje wiszące na eleganckich, obciągniętych satyną wieszakach. Oddzielałam te, które mnie zainteresowały, od reszty. Większość ubrań była w bardzo dobrym stanie. Znalazłam kilka dwurzędowych kostiumów z lat pięćdziesiątych, geometryczne płaszcze i wdzianka, które powstały dekadę później - w tym pomarańczową aksamitną tunikę od Thei Porter i różowy płaszczyk „kokon” z surowego jedwabiu, z szerokimi rękawami do łokcia, od Guya Laroche. Obejrzałam parę romantycznych sukienek z lat siedemdziesiątych i kilka garniturów o wywatowanych ramionach z lat osiemdziesiątych. Wiele strojów nosiło metki znanych firm i projektantów, wśród których najczęściej pojawiał się Norman Hartnell, Jean Muir, Pierre Cardin, Missoni i „Boutique” od Hardy Amies.

- Ma tu pani kilka pięknych strojów wieczorowych - zauważyłam, patrząc na jedwabny szafirowy płaszcz wieczorowy od Chanel z połowy lat sześćdziesiątych. - To jest wspaniałe.

- Byłam w nim na premierze *Kocha się tylko dwa* razy - wyjawiała pani Bell. - Agencja Alistaire'a zajmowała się promocją tego filmu.

- Poznała pani Seana Connery'ego? Twarz pani Bell rozjaśnił uśmiech.

- Nie tylko poznałam. Tańczyłam z nim na przyjęciu po premierze.

- Rany... O, to też jest fantastyczne. - Wyjęłam z szafy długą sukienkę w stylizowane kremoworóżowe kwiaty od Ossie Clark.

- Uwielbiam tę sukienkę - powiedziała pani Bell z rozmarzeniem. - Wiele pięknych wspomnień jest z nią związanych.

Wyczułam palcami drobny, wypukły szew.

- Jest i znak firmowy Ossie Clark. Maleńka kieszonka, która pojawia się w każdym modelu, w sam raz na banknot pięćofuntowy i...

- I klucz - dokończyła pani Bell. - Uroczy pomysł.

Wśród ubrań było też wiele z metką firmy Jaeger, powiedziałam jednak pani Bell, że ich nie wezmę.

- Prawie ich nie nosiłam.

- Nie o to chodzi. Rzecz w tym, że nie są dość stare. Nie sprzedaję w moim sklepie niczego, co uszyto później niż na początku lat osiemdziesiątych.

Pani Bell musnęła palcami rękaw wełnianego kostiumu z kolorze akwamaryny.

- Nie wiem, co mam z nimi zrobić...

- To piękne ubrania. Z pewnością mogłaby pani jeszcze je nosić?

Wzruszyła ramionami.

- Wątpię.

Spojrzałam na metki - wszystkie rzeczy były w rozmiarze czternastym - i uświadomiłam sobie, że pani Bell wyglądała teraz najwyżej na dwunastkę. Ludzie często kurczą się na starość.

- Gdyby chciała pani coś z tego przerobić, mogłabym zabrać je do swojej krawcowej - zaproponowałam. - Jest bardzo dobra i ma rozsądne ceny. Prawdę mówiąc, wybieram się do niej jutro, więc...

- Dziękuję - przerwała pani Bell, kręcąc głową. - Ale mam wystarczająco dużo ubrań. Niewiele już potrzebuję. Oddam te rzeczy biednym.

Wyciągnęłam z szafy czekoladowobrązową suknię wieczorową z jedwabnej krepy. Miała cieniutkie ramiączka obszyte miedzianymi cekinami.

- To Ted Lapidus, prawda?

- Zgadza się. Mąż kupił ją dla mnie w Paryżu.

Spojrzałam na nią.

- Pochodzi pani z Paryża? Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Dorastałam w Awinionie. - A więc stąd wzięły się obrazy przedstawiające pola lawendy i prowansalskie zasłony. - W tym wywiadzie, który czytałam, mówiłaś, że jeździsz czasami do Awinionu.

- Owszem. Kupuję ubrania na lokalnych weekendowych targach.

- Chyba dlatego zdecydowałam się do ciebie zadzwonić - powiedziała pani Bell. - Coś mnie do ciebie przyciągało. Co tam kupujesz?

- Starą francuską pościel, koszule nocne, bawełniane sukienki i białe bluzki koszulowe; są bardzo popularne wśród młodych kobiet. Uwielbiam jeździć do Awinionu... prawdę mówiąc, muszę wkrótce znowu tam

pojechać. - Wyjęłam suknię wieczorową z czarno-złotej jedwabnej mory projektu Janice Wainwright - Od jak dawna mieszka pani w Londynie?

- Od sześćdziesięciu jeden lat. Spojrzałam na nią.

- Musiała pani przyjechać tu w bardzo młodym wieku. Kiwnęła z żalem głową.

- Miałam dziewiętnaście lat. A teraz mam siedemdziesiąt dziewięć. Jak to się stało...? - spytała i popatrzyła na mnie w taki sposób, jakby naprawdę sądziła, że znam odpowiedź. Potem westchnęła i pokręciła głową.

- Co przywiodło panią do Anglii? - zagadnęłam, przeglądając pudło z butami. Pani Bell miała małe ładne stopki, a jej buty, głównie od Rayne i Giny Fratini, były w doskonałym stanie.

- Co mnie przywiodło do Anglii? - powtórzyła, uśmiechając się smutno.

- Mężczyzna. A dokładniej mówiąc, Anglik.

- Jak go pani poznała?

- W Awinionie. Niezupełnie sur le pont, ale dość blisko. Właśnie skończyłam szkołę i pracowałam jako kelnerka w eleganckiej kawiarni na Place Crillon. Przystojny, trochę starszy ode mnie mężczyzna zawołał mnie do stolika i powiedział, okropnie kalecząc mój ojczysty język, że kona z pragnienia i chciałby się napić przyzwoitej angielskiej herbaty. Poprosił, żebym ją dla niego zaparzyła. Zrobiłam to, i to najwyraźniej dobrze, bo już trzy miesiące później byliśmy zaręczeni. - Wskazała głową zdjęcie, stojące na nocnym stoliku. - To jest Alistair. Był cudownym człowiekiem.

- I bardzo przystojnym.

- Dziękuję - odparła z uśmiechem. - Był un bel homme.

- Nie żał pani było opuścić dom?

Pani Bell milczała przez chwilę.

- Właściwie nie - odezwała się w końcu. - Po wojnie nic już nie było takie samo. Awinion był okupowany i zbombardowany w czasie nalotów, a ja straciłam... - spuściła wzrok i poprawiła zegarek na nadgarstku -przyjaciół. Chciałam zacząć wszystko od początku. I wtedy właśnie spotkałam Alistaire'a... - Przesunęła dłonią po spódnicy dwuczęściowego kompletu z fioletowej gabardyny. - Uwielbiam ten kostium -mruknęła. - Przypomina mi nasze pierwsze wspólne lata.

- Długo byliście państwo małżeństwem?

- Czterdzieści dwa lata. Dlatego właśnie przeprowadziłam się do tego mieszkania. Mielśmy bardzo piękny dom po drugiej stronie Heath, ale nie mogłam tam wytrzymać, kiedy Alistair... - Pani Bell urwała, żeby opanować wzruszenie.

- A czym zajmował się pani mąż?

- Założył agencję reklamową. Jedną z pierwszych. To były takie ekscytujące czasy, Alistair stałe poszerzał kontakty, więc musiałam wyglądać... reprezentacyjnie.

- Musiała pani wyglądać wspaniale - powiedziałam, a ona się uśmiechnęła. - Miała pani... Ma pani jeszcze jakąś rodzinę?

- Dzieci? - Pani Bell obracała na palcu luźną obrączkę ślubną. -Nie mieliśmy szczęścia.

Temat był dla niej wyraźnie bolesny, więc szybko skierowałam rozmowę z powrotem na ubrania, wskazując te, które chciałam kupić.

- Mam nadzieję, że naprawdę ich już pani nie potrzebuje. Nie chciałabym, żeby pani czegoś żałowała.

- Żałowała? - powtórzyła pani Bell. - Wielu rzeczy żałuję. Ale z pewnością nie będę żałować, że rozstałam się z tymi ubraniami. Chciałabym, żeby poszły między ludzi i dostały, jak to powiedziałaś w tym wywiadzie, nowe życie...

Zaczęłam przeglądać wybrane wcześniej rzeczy, ale pani Bell nagle mi przerwała.

- Przepraszam - zaczęła. - Wybacz, że pytam, ale... - Spojrzałam na nią zaskoczona. - Twoja przyjaciółka, Emma. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko...

- Nie - mruknęłam. Z jakiegoś powodu naprawdę nie miałam.

- Co się z nią stało? Dlaczego ona... - Urwała nagle. Opuściłam ręce, w których trzymałam sukienkę. Serce zaczęło mi bić bardzo szybko, jak zawsze wtedy, gdy przypominam sobie wydarzenia tamtej nocy.

- Zachorowała - odparłam ostrożnie. - Nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo była chora, do chwili, kiedy było już za późno.

-Spojrzałam w okno. - Codziennie żałuję, że nie mogę cofnąć czasu.

-Pani Bell pokręciła głową z wyrazem głębokiego współczucia na twarzy, jakby w jakiś sposób mój smutek stał się także jej smutkiem. - Nie jestem jednak w stanie tego zrobić, więc muszę jakoś żyć z tym, co się stało. Ale to bardzo trudne. - Wstałam. - Obejrzałam już prawie wszystkie ubrania. Została jeszcze tylko ta jedna sukienka.

W przedpokoju rozległ się dzwonek telefonu.

- Przepraszam na moment - powiedziała pani Bell.

Oddaliła się powoli, szurając pantoflami, a ja podeszłam do szafy i wyjęłam ostatnią rzecz - żółtą suknię wieczorową z jedwabnej surówki. Była bez rękawów a jej szyfonowa spódnica była zaprasowana w drobne

plisy. Kiedy ją wyciągałam, coś innego przyciągnęło mój wzrok.

Błękitny wełniany płaszcz, który wisiał tuż za nią. Przyjrzałam mu się przez przejrzysty foliowy pokrowiec i dostrzegłam, że był to płaszcz dziecięcy. Pasowałby na dziewczynkę w wieku mniej więcej dziesięciu czy dwunastu lat.

- Dziękuję za informację. - W przedpokoju pani Bell kończyła rozmowę telefoniczną. - Spodziewałam się czegoś dopiero w przyszłym tygodniu... Widziałam się dziś rano z panem Tatem... Nie, nie zmieniałam zdania. Rozumiem... Doskonale rozumiem. Dziękuję za telefon.

Słuchając jej głosu, zastanawiałam się, dlaczego trzymała w szafie dziewczęcy płaszcz. Najwyraźniej była to dla niej cenna pamiątka.

Nagle przyszło mi do głowy tragiczne wyjaśnienie. Pani Bell jednak miała dziecko - córkę - i to do niej należał ten płaszcz. Musiało się z nią stać coś strasznego, a pani Bell nie była w stanie rozstać się z jej płaszczkiem. Nie powiedziała przecież, że nigdy nie miała dzieci, a tylko, że ona i jej mąż nie mieli szczęścia, co zapewne było niedopowiedzeniem.

Ogarnęła mnie fala współczucia dla starszej kobiety. Ale kiedy rozpięłam folię i przyjrzałam się płaszczkowi, uznałam, że jest zdecydowanie za stary, by pasować do mojego scenariusza. Wyjęłam go ostrożnie i doszłam do wniosku, że pochodzi z lat czterdziestych. Był wełniany i miał jedwabną podszewkę zrobioną z jakiejś innej części garderoby. Został uszyty ręcznie przez kogoś, kto znał się na rzeczy.

Usłyszałam, że pani Bell wraca, więc szybko zapięłam folię, ale było już późno. Zobaczyła, że trzymam płaszcz w ręce, i skrzywiła się lekko.

- Proszę go odłożyć. - Zaskoczona jej tonem, szybko odwiesiłam płaszcz na miejsce. - Prosiłam, żebyś nie dotykała niczego, co wisi za żółtą suknią wieczorową - dodała, stojąc w drzwiach.

- Bardzo przepraszam - powiedziałam, czując, że oblewam się rumieńcem. - Czy to był pani płaszcz? - spytałam cicho.

Pani Bell się zawahała, a potem weszła do pokoju. Usłyszałam jej westchnienie.

- Moja matka uszyła go dla mnie w czterdziestym trzecim roku. Miałam wtedy trzynaście lat. Stała w kolejce trzy godziny, żeby kupić materiał, a potem przez dwa tygodnie go szyła. Była z niego bardzo dumna.

- Nie dziwi mnie to, jest pięknie skrojony. Ale... trzyma go pani od... sześćdziesięciu sześciu lat? - Byłam ciekawa, dlaczego. Z sentymentu, bo uszyła go jej matka?

- Mam go od sześćdziesięciu sześciu lat - powtórzyła cicho. -I za-trzymam go do śmierci.

Spojrzałam znowu na płaszcz.

- Jest w doskonałym stanie, jakby prawie nie był noszony.

- Bo jest prawie nienoszony. Powiedziałam matce, że go zgubiłam. Ale to nie była prawda. Ukryłam go.

Popatrzyłam na nią, zdumiona.

- Ukryła pani swój zimowy płaszcz? W czasie wojny? Ale... dlaczego?

Pani Bell spojrzała w okno.

- Ponieważ był ktoś, kto potrzebował go dużo bardziej ode mnie.

Trzymałam go dla tej osoby i dotąd go trzymam. - Znowu westchnęła ciężko, z głębi duszy. Nigdy nikomu o tym nie opowiadałam. Nawet

mężowi. - Spojrzała na mnie z ukosa. - Ale ostatnio zaczęłam odczuwać potrzebę opowiedzenia tej historii... tylko jednej osobie. Gdyby choć jedna osoba wysłuchała mojej historii i powiedziała, że rozumie...

poczułabym się... Ale teraz... - Pani Bell podniosła dłonie do skroni i przycisnęła je lekko, a potem zamknęła oczy. - Jestem zmęczona.

- Oczywiście. - Wstałam. - Pójdę już. - Usłyszałam, jak zegar na kominku wybija piątą trzydzieści. - Nie chciałam zabrać pani tak dużo czasu, ale tak miło mi się z panią rozmawiało... Włożę wszystko z powrotem do szafy.

Rzeczy, które miałam zamiar kupić, powiesiłam razem po lewej stronie, a potem wypisałam pani Bell czek na osiemset funtów. Wzięła go, ale wzruszyła ramionami, jakby tak naprawdę jej to nie interesowało.

- Dziękuję, że pozwoliła mi pani zobaczyć te rzeczy - powiedziałam, biorąc torebkę. - Po ubrania przyjdę później. Zadzwoń w poniedziałek, żeby się umówić. - Kiwnęła głową. - Mogę coś dla pani zrobić, zanim pójde?

- Nie, dziękuję, moja droga. Ale będę wdzięczna, jeśli sama trafisz do drzwi.

- Oczywiście. A więc... - wyciągnęłam do niej rękę - do zobaczenia w przyszłym tygodniu, pani Bell.

- Do zobaczenia - powtórzyła, a potem spojrzała na mnie i nagle ujęła moją dłoń obiema rękami. - Już cieszę się na to spotkanie. Bardzo.

Rozdział 4

Tego ranka w drodze do mojej krawcowej, Val, ciągle wracałam myślami do małego błękitnego płaszczyka. Był w kolorze nieba - w kolorze wolności - a jednak został ukryty przed światem. Sunąc powoli pełną samochodów Shooter's Hill Road w siąpiącej mżawce, próbowałam wyobrazić sobie, dlaczego tak się stało. Czasami - i tu przypomina mi się uwaga mojej matki na temat krawieckiej archeologii - jestem w stanie odtworzyć historię jakiejś części garderoby tylko ze sposobu, w jaki była noszona. Kiedy pracowałam w Sotheby's, na przykład, ktoś przyniósł mi trzy sukienki od Mary Quant. Były w bardzo dobrym stanie, ale wszystkie miały wytarty prawy rękaw. Kobieta, która je przyniosła, powiedziała, że należały do jej ciotki, powieściopisarki, która pisała wszystko ręcznie. Lniane spodnie od Margaret Howell z przetarciem na lewym biodrze, były kiedyś własnością pewnej modelki, która w ciągu czterech lat urodziła troje dzieci. Ale nie przychodziła mi do głowy żadna teoria dotycząca płaszczyka pani Bell. Kto, w 1943 roku, potrzebował go bardziej niż ona? I dlaczego pani Bell nigdy nikomu nie opowiedziała tej historii, nawet ukochanemu mężowi? Nie wspomniałam o tym Annie, kiedy przyszłam do sklepu. Powiedziałam tylko, że kupię od pani Bell sporo rzeczy.

- Dlatego wybierasz się do krawcowej? - spytała Annie, składając dzianiny. - Żeby niektóre z nich przerobić?

- Nie, muszę odebrać to, co zostało już poprawione. Val dzwoniła do mnie wczoraj wieczorem. - Wzięłam do ręki kluczyki od samochodu. - Nie lubi, kiedy gotowe rzeczy za długo u niej wiszą.

Val, którą poleciła mi Pippa z Moon Daisy Cafe, jest szybka i rozsądna. Jest też krawieckim geniuszem i potrafi najbardziej zniszczonej rzeczy przywrócić dawny blask.

Kiedy wreszcie zaparkowałam pod jej domem przy Granby Road, w przyjemniejszej części Kidbrooke, mżawka przeszła w ulewny deszcz. Spojrzałam przez zaparowaną szybę na maskę samochodu, od której wielkie krople obijały się jak rozsypane koraliki, i uznałam, że aby dojść do drzwi frontowych, będę musiała wziąć parasol.

Stała w drzwiach, z krawieckim centymetrem zwisającym z szyi. Jej drobna twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Zaraz jednak zauważyła mój parasol i spojrzała na niego podejrzliwie.

- Nie masz chyba zamiaru wnieść go tak do domu?

- Oczywiście, że nie - odparłam, opuściłam parasol i potrząsnęłam nim porządnie. - Wiem, jesteś przesadna, a otwarty parasol oznacza...

- Niestety. - Val pokiwała głową. - Zwłaszcza że jest czarny.

- To pogarsza sytuację?

- I to bardzo. Mam też nadzieję, że go nie upuścisz - dodała niespokojnie.

- Nie upuszczę... ale właściwie dlaczego?

- Bo upuszczenie parasola w domu zwiastuje morderstwo w niedalekiej przyszłości, a wołałabym tego uniknąć, tym bardziej że mąż doprowadza mnie ostatnio do szału. Nie chcę...

- Ryzykować? - podsunęłam, wkładając parasol do stojaka.

- Właśnie.

Ruszyłam za nią korytarzem.

Val jest niska, szczupła i ostra - jak szpilka. Jest też tak przesądna, że chwilami zakrawa to na nerwicę natręctw. Nie chodzi tylko o to, że unika czarnych kotów, chwyta za guzik na widok kominiarza i puka w niemalowane drewno. Ma encyklopedyczną wiedzę na temat przesądów i ludowych obyczajów. Znam ją od czterech miesięcy i w tym czasie zdażyłam się już dowiedzieć, że nie wolno jeść ryby, zaczynając od ogona, nosić pereł w dniu swojego ślubu i liczyć gwiazd, bo wszystko to może przynieść pecha. Z tego samego powodu nie wolno upuszczać grzebienia podczas czesania i przebijać kłębków wełny drutami do ręcznych robótek.

Z drugiej strony, znalezienie gwoźdźcia, jedzenie jabłek w Wigilię i przypadkowe włożenie jakiejś części garderoby na lewą stronę zwykle przynosi szczęście.

- W porządku - powiedziała Val, kiedy weszliśmy do jej pracowni.

Pełno tu było pudełek po butach wypchanych zamkami błyskawicznymi, guzikami, próbkami materiałów, wstążkami i szpulkami nici. Sięgnęła pod stół i wyjęła stamtąd dużą plastikową torbę. - Wydaje mi się, że całkiem nieźle wyszło - stwierdziła, wręczając mi ją.

Zajrzałam do środka. Rzeczywiście. Płaszcz od Halstona, pierwotnie sięgający kostek, który strzępił się na dole, został skrócony do pół łydki.

Koktajlowa sukienka z lat pięćdziesiątych z plamami potu pod pachami została pozbawiona rękawów, a jedwabny żakiet od Yves Saint

Laurenta, który ktoś opryskał szampanem, połyskiwał teraz cekinami, naszytymi w taki sposób, by zakrywały plamki. Będę musiała pokazać te zmiany przyszłym nabywcom, ale przynajmniej udało mi się uratować ubrania. Były zbyt piękne, by tak po prostu je wyrzucić.

- Wyszło świetnie, Val - powiedziałam, sięgając do torebki, żeby jej zapłacić. - Naprawdę masz talent.

- Cóż, babcia nauczyła mnie szyć. Zawsze mi powtarzała, że zniszczone ubranie, które naprawiam, nie powinno wyglądać jak nowe, tylko lepiej. „Valerie, staraj się, żeby to było jeszcze piękniejsze”. Ciągłe słyszę jej głos, kiedy to mówiła... Och... - Val upuściła nożyczki i patrzyła na nie teraz niemal z euforią. - Cudownie!

- O co chodzi?

- Oba czubki uderzyły w podłogę. - Pochyliła się, żeby je podnieść. - To zawsze przynosi szczęście - wytłumaczyła, machając nożyczkami w powietrzu. - I zwykle oznacza nowe zadania.

- To by się zgadzało. - Powiedziałam jej, że kupuję całą kolekcję ubrań, z których wiele wymaga niewielkich napraw.

- Przynieś je wszystkie - odparła Val, kiedy podałam jej pieniądze.

- Dzięki. - Spojrzała na płaszcz. - Ten guzik trochę się obłuzował. Daj, przyszyję go, zanim pójdziesz.

Nagle rozległy się trzy krótkie, szybko następujące po sobie dzwonki do drzwi.

- Val? - zawołał wysoki kobiecy głos. - Jesteś tam?

- To moja sąsiadka, Maggie - wyjaśniła Val, nawlekając igłę. - Zawsze dzwoni trzy razy, żebym wiedziała, że to ona. Nie zamykam drzwi na klucz, bo ciągle do siebie wpadamy. Jesteśmy w pracowni, Mags!

- Tak myślałam! Cześć! - Maggie stanęła w drzwiach, wypełniając sobą niemal całą przestrzeń między framugami. Duża, rozłożysta i ufarbowana na blond, była całkowitym przeciwieństwem Val. Miała na sobie obcisłe spodnie z czarnej skóry, złote szpilki, które z trudem

mieściły jej pulchne stopy, i wydekoltowany czerwony top, ukazujący długi rowek między dużymi piersiami. Jej twarz zdobiły dość ciemny podkład, błękitne cienie do powiek i sztuczne rzęsy. Mogła mieć od trzydziestu ośmiu do pięćdziesięciu lat. Roztaczała wokół zapach tytoniu i Magie Noir.

- Cześć, Mags - rzuciła Val. - To jest Phoebe - dodała przez zęby, bo właśnie starała się przegryźć nitkę. - Phoebe właśnie otworzyła sklep ze starymi markowymi ubraniami, prawda? A tak przy okazji... - powiedziała, odwracając się do mnie - mam nadzieję, że posypałaś próg solą, tak jak ci radziłam. To chroni przed nieszczęściem.

Nieszczęście przydarzyło mi się już tyle, pomyślałam, że to chyba bez różnicy.

- Nie zrobiłam tego.

Val wzruszyła ramionami i włożyła na palec gumowy naparstek.

- Nie mów, że cię nie ostrzegałam - mruknęła i zaczęła przyszywać guzik. - Co słychać, Mags?

Mags opadła na krzesło, wyraźnie wyczerpana.

- Miałam właśnie naprawdę koszmarne klienta. Najpierw bardzo długo nie chciał zacząć. Gadał i gadał. Później wszystko razem zabrało mu całe wieki, a na końcu wymyślił, że wolałby zapłacić czekiem.

Przypomniałam mu, że przyjmuję tylko gotówkę, tak jak mówiłam od samego początku. - Mags z godnością podciągnęła piersi do góry. - Jak tylko zagroziłam, że zadzwonię po Billa, zaraz wyskoczył z kasy. Napiałabym się czegoś, Val. Jestem pólżywa, a dochodzi dopiero wpół do dwunastej.

- W takim razie wstaw wodę.

Mags poszła do kuchni, a jej ochrypli głos dobiegał nas z przedpokoju.

- Potem przyszedł drugi klient. Facet ma obsesję na punkcie swojej matki, przyniósł nawet ze sobą jej sukienkę. Był naprawdę bardzo wymagający. Zrobiłam dla niego wszystko, co mogłam, ale i tak wyrzucał mi później, że nie jest usatysfakcjonowany moimi usługami. Wyobraźcie sobie tylko!

Natura usług świadczonych przez Maggie była już dla mnie zupełnie jasna.

- Biedactwo - powiedziała Val współczująco, kiedy Mags wróciła do pracowni z paczką owsianych ciasteczek. - Ci ludzie cię wykańczają.

- Owszem - mruknęła Mags, wzdychając ciężko. Wyjęła jedno ciasteczko z paczki i wbiła w nie zęby. - A na dobitkę zaraz potem pojawiła się ta kobieta spod dwudziestego dziewiątego. Ta Sheila Jak--jej-tam. - W tym momencie oczy wyszły mi z orbit. - Ta dopiero mi dopiekła. Chciała się skontaktować ze swoim byłym mężem, który w ubiegłym miesiącu padł trupem na polu golfowym. Powiedziała, że nie może spać, takie ma wyrzuty sumienia, bo źle go traktowała, kiedy byli małżeństwem. Skontaktowałam się z nim, a jakże... - Mags ponownie rozsiadła się na krześle. - Przekazałam jej to, co mówił, ale nagle coś ją wkurzyło. I jak nie zaczęła na niego wrzeszczeć....

- Chyba słyszałam ją przez ścianę - powiedziała Val, naciągając nic. - Była nieźle nakręcona.

- Nawet mi nie mów. — Mags strzepnęła z kolan okruchy ciastka. -W każdym razie, mówię do niej tak: „Słuchaj, kochana, naprawdę nie powinnaś w taki sposób zwracać się do zmarłych. To brak szacunku”.

- Więc jesteś... Jesteś medium? - spytałam nieśmiało.

- Medium? - Maggie spojrzała na mnie z taką powagą, jakbym ją obraziła. - Nie, nie jestem medium. Jestem XL! - powiedziała i obie z Val wybuchnęły śmiechem. - Przepraszam - wykrztusiła Maggie i czerwonym szponem otarła łzę spod oka. - Ale odpowiadając na twoje pytanie... - Przygładziła żółtawe włosy. - Jestem medium, czy też może jasnowidzem. Tak.

Serce nagle zabiło mi mocniej.

- Nigdy dotąd nikogo takiego nie znałam.

- Nigdy?

- Tak. Ale...

- No, Phoebe. Gotowe! - Val urwała nitkę, okręciła ją szybko kilka razy wokół guzika, a potem włożyła płaszcz do torby. - Kiedy przyniesiesz te nowe rzeczy?

- Cóż... pewnie za tydzień. W poniedziałki i czwartki mam teraz kogoś do pomocy. Zastanę cię tu o tej samej porze?

- Zastaniesz mnie tu zawsze - odparła Val ze znużeniem. - Ani chwili wytchnienia.

Spojrzałam na Maggie.

- No, więc... Tak się właśnie zastanawiam... - Poczułam, że krew zaczyna szybciej krążyć mi w żyłach. - Ktoś... bardzo mi bliski... niedawno zmarł. Bardzo lubiłam tę osobę... Tęsknię za nią... - Maggie ze współczuciem kiwnęła głową. - I prawdę mówiąc, nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiłam. Zawsze patrzyłam na takie rzeczy bardzo sceptycznie. .. Ale gdybym mogła porozmawiać z tą osobą, choć przez kilka sekund, albo usłyszeć coś od niej... - ciągnęłam gorączkowo. - Kiedyś szukałam nawet takich usług w książce telefonicznej i znalazłam dział

„medium na telefon". Wybrałam jeden z numerów i zadzwoniłam, ale jak przyszło co do czego, nawet się nie odezwałam, bo byłam taka zażenowana. Ale teraz, kiedy poznałam ciebie, myślę, że...

- Chcesz przyjść na czytanie? - spytała cierpliwie Maggie. - To chcesz mi powiedzieć, kwiatuszku?

Odetchnęłam z ulgą.

- Tak.

Maggie sięgnęła między piersi i wyjęła spomiędzy nich najpierw paczkę silk cutów, a potem mały czarny kalendarzyk. Wysunęła spod jego grzbietu cieniutki długopis, pośliniła palec wskazujący i zaczęła przewracać kartki.

- To na kiedy cię zapisać?

- Może... Może na ten sam dzień, kiedy przywiozę ubrania do Val?

- A więc w przyszłym tygodniu, o tej samej porze? - Kiwnęłam głową. -

Biorę pięćdziesiąt funtów za seans, płatne gotówką, nie zwracam pieniędzy, jeśli kontakt się nie uda. I nie wolno wymyślać zmarłym

-dodała Maggie, pisząc coś w notatniku. - To nowa zasada. A więc...

-Wsunęła notatnik w głąb stanika i otworzyła silk cuty. - Prywatna sesja o jedenastej rano w przyszły wtorek. Do zobaczenia, kwiatuszku.

W drodze powrotnej próbowałam dociec, jakie motywy kryły się za moją decyzją, by zwrócić się o pomoc do medium. Zawsze patrzyłam na taką działalność z niesmakiem. Wszyscy moi dziadkowie i babcie byli już „po drugiej stronie", ja jednak nigdy nie miałam ochoty się z nimi skontaktować. Ale od śmierci Emmy narastało we mnie pragnienie, by w jakiś sposób do niej dotrzeć. Dzięki spotkaniu z Mags pomyślałam, że mogę chociaż spróbować.

Co właściwie chciałam osiągnąć, zastanawiałam się, dojeżdżając do Montpelier Vale. Miałam nadzieję na wiadomość od Emmy? A co mogłam od niej usłyszeć? Że... wszystko w porządku? Co się z nią może dziać, myślałam, zatrzymując się pod sklepem. Emma pewnie krąży gdzieś w eterze, rozpamiętując z goryczą fakt, że dzięki tak zwanej najlepszej przyjaciółce nigdy nie wyjdzie za mąż, nie będzie miała dzieci, nie skończy czterdziestki i nie wybierze się w podróż do Peru, gdzie zawsze chciała pojechać. Nigdy też nie otrzyma orderu za zasługi dla brytyjskiej mody, co często przewidywałyśmy, kiedy zdarzyło nam się wypić za dużo wina. Emma nie przeżyje szczytu swojej kariery ani spokoju emerytury w otoczeniu dzieci i wnucząt. Wszystko to zostało jej odebrane, myślałam ponuro. Przeze mnie. I przez Guya. Gdyby tylko Guy nie stanął pewnego dnia na jej drodze, rozmyślałam, parkując przed sklepem...

- To był fantastyczny poranek - oznajmiła Annie, kiedy pchnęłam drzwi.

- Naprawdę?

- Sprzedała się ta złota suknia wieczorowa od Pierre'a Balmain. Trzeba tylko sprawdzić czy czek ma pokrycie, ale wątpię, by były jakieś problemy.

- Cudownie - powiedziałam bez tchu. Wiedziałam, że to pomoże mi utrzymać płynność finansową.

- Sprzedałam też dwie z tych szerokich spódnic z lat pięćdziesiątych. No i jeszcze blad różową suknię od madame Gres. Wiesz, tę, której nie chciałaś.

- Tak.

- Cóż, kobieta, która mierzyła ją wczoraj, wróciła dziś i...

- I...?

- Kupiła ją.

- Wspaniale! - Z ulgą przycisnęłam ręce do piersi. Annie spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

- Cóż, zarobiłyśmy dwa tysiące funtów, a nie ma jeszcze południa

- wyjaśniłam. Nie mogłam powiedzieć Annie, że moja reakcja na wieść o sprzedaży tej sukni nie miała nic wspólnego z pieniędzmi.

- Ta kobieta zupełnie nie miała figury do tej sukni - ciągnęła Annie, kiedy ruszyłam w stronę biura. Ale powiedziała, że po prostu musi ją mieć. Zapłaciła kartą i od razu ją zabrała.

Przez ułamek sekundy walczyłam ze sobą. Pięćset funtów ze sprzedaży tej sukni bardzo by mi się przydało. Przysięgłam sobie jednak, że oddam te pieniądze na cel dobroczynny. I tak zrobię, pomyślałam. Wiedziałam już nawet, na konto jakiej organizacji je wpłacę.

Dzwonek wiszący nad drzwiami zabrzączał i do sklepu weszła dziewczyna, która mierzyła wcześniej turkusową „bezę”.

- Wróciłam - oznajmiła radośnie. Annie uśmiechnęła się do niej szeroko.

- Bardzo się cieszę - powiedziała. - Ślicznie pani wyglądała w tej sukience - dodała, ruszając w stronę wiszących na ścianie sukni.

- Och, nie, nie po to przyszłam - wyjaśniła dziewczyna, spoglądając na sukienkę z żalem. - Chcę kupić coś dla narzeczonego. - Podeszła do szklanej gablotki i wskazała ośmiokątne spinki do mankietów z osiemnastokaratowego złota w stylu art deco. - Zauważyłam, że Pete się im przyglądał, kiedy tu byliśmy. I pomyślałam, że to byłby wspaniały prezent ślubny dla niego. - Otworzyła torebkę. - Ile kosztują?

- Sto funtów - odparłam. - Ale z pięcioprocentową zniżką to już dziewięćdziesiąt pięć. A kolejne pięć procent zniżki z uwagi na to, że mam dziś dobry dzień, daje nam dziewięćdziesiąt.

- Dziękuję. - Dziewczyna się uśmiechnęła. - Wezmę je.

Annie przepracowała już swoje dwa dni, więc do końca tygodnia sama obsługiwałam klientów. Szacowałam też wartość przynoszonych ubrań, robiłam zdjęcia, które trzeba było umieścić na stronie internetowej, realizowałam zamówienia, wykonywałam drobne naprawy, rozmawiałam z firmami handlowymi i starałam się zapanować nad księgami. Czek, który dostałam za sukienkę od Guya, wysłałam do fundacji Dzieci Afryki. Teraz nic już nie zostało po kilku naszych wspólnych miesiącach. Pozbyłam się zdjęć, listów i e-maili - wszystkie zostały usunięte - a także książek i tego, co wśród tych pamiątek było zdecydowanie najgorsze. Pierścionka zaręczynowego. Teraz, kiedy suknia została sprzedana, mogłam wreszcie odetchnąć z ulgą. Guy znikł z mojego życia.

W piątek rano zadzwonił mój ojciec, prosząc, żebym go odwiedziła.

- Tak dawno się nie widzieliśmy, Phoebe - powiedział ze smutkiem.

- Przykro mi, tato. Od kilku miesięcy jestem bardzo zajęta.

- Wiem, kochanie, ale bardzo chciałbym cię zobaczyć i chciałbym, żebyś znowu zobaczyła Louisa. Jest taki słodki. Po prostu... - Głos uwiązł mu w gardle. Chwilami reaguje bardzo emocjonalnie, ale nic dziwnego. Sporo ostatnio przeszedł, choć na własne życzenie. - Może w niedzielę? - Nie dawał za wygraną. - Po lunchu?

Spojrzałam w okno.

- Mogłabym przyjść w niedzielę, tato, ale... Wybacz mi szczerłość, wolałabym nie spotkać się z Ruth.
- Rozumiem - odparł cicho. - Wiem, że to dla ciebie trudna sytuacja. Dla mnie zresztą też.
- Mam nadzieję, że nie oczekujesz ode mnie współczucia. Westchnął ciężko.
- Nie zasługuję na współczucie, prawda? - spytał. Nie odpowiedziałam. - Tak czy inaczej - ciągnął - Ruth leci w niedzielę rano do Libii na cały tydzień, więc pomyślałem sobie, że to dobry pomysł...
- W takim razie przyjdę.

W piątek po południu zjawiała się redaktorka z działu mody, Mimi Long, i wybrała kilka rzeczy z lat siedemdziesiątych. Zamierzała je wykorzystać w sesji fotograficznej zatytułowanej Powrót do przeszłości. Dałam jej kwit na wypożyczone rzeczy i już miałam zamknąć kasę, kiedy zobaczyłam Pete'a. Pędził w stronę sklepu z powiewającym krawatem. Pchnął drzwi i wpadł do środka.

- Przybiegłem prosto z pracy - wydyszał, po czym skinął głową w stronę turkusowej sukienki. - Wezmę ją. - Sięgnął do portfela. - Carla ciągle jeszcze nie znalazła nic na jutrzejsze przyjęcie i zaczyna panikować. A wiem, że nic nie znalazła dlatego, że ta sukienka naprawdę jej się podobała... No dobrze, jest dość droga, ale chcę, żeby ją miała, i do diabła z pieniędzmi. - Położył na ladzie sześć banknotów pięćdziesięciofuntowych.
- Moja asystentka miała rację - powiedziałam, wkładając suknię do torby. - Będzie pan idealnym mężem.

Czekając na rachunek, Pete od niechcienia spojrzął na tacę ze spinkami do mankietów.

- Te złote spinki art deco... - powiedział. - Te, które tu leżały. Chyba ich pani nie...

- Och, przykro mi - odparłam - ale już się sprzedały.

Kiedy Pete wyszedł, zaczęłam się zastanawiać, kto kupi pozostałe „beżowe” sukienki. Przypomniałam sobie smutną dziewczynę, która tak pięknie wyglądała w zielonej. Widziałam ją kilka razy, przechodzącą drugą stroną ulicy. Wyglądała na bardzo zajętą i nigdy nie wstąpiła do środka. Widziałam też zdjęcie jej chłopaka w „South London Times”. Wygłosił przemówienie na przyjęciu zorganizowanym przez Business Network w klubie golfowym w Blackheath. Zdaje się, że był właścicielem dobrze prosperującej firmy deweloperskiej, która nazywała się Phoenix Land.

Sobota kiepsko się zaczęła i robiło się coraz gorzej. Najpierw w sklepie był duży ruch i choć bardzo mnie to cieszyło, nie byłam w stanie mieć oka na wszystko. Później ktoś wszedł, jedząc kanapkę i musiałam go wyprosić, czego wolałabym nie robić, zwłaszcza przy innych klientach. Potem zadzwoniła matka, którą, jak zwykle w weekendy, trzeba było trochę podnieść na duchu.

- Postanowiłam, że jednak zrezygnuję z botoksu - powiedziała.

- To świetnie, mam. Botoks nie jest ci potrzebny.

- Nie o to chodzi. W tej klinice, do której poszłam, powiedzieli, że za długo to odkładałam. Botoks już mi nie pomoże.

- Cóż, w takim razie... to bez znaczenia.

- Więc mam zamiar wszyć sobie złote nici.

- Co takiego?

- Polega to, ogólnie rzecz biorąc, na tym, że wszywają ci pod skórę takie złote nici, które na końcach mają małe haczyki... Potem nici się napina, a wraz z nimi skórę! Problem w tym, że to kosztuje cztery tysiące funtów. No, ale mówimy o dwudziestoczekaratowym złocie -dodała.

- Nawet o tym nie myśl - powiedziałam. - Jesteś ciągle bardzo atrakcyjna, mamó.

- Naprawdę? - spytała ponuro. - Odkąd twój ojciec ode mnie odszedł, czuję się jak potwór.

- Nonsens - odparłam z przekonaniem. Naprawdę, jak wiele porzuconych żon, matka nigdy nie wyglądała tak dobrze. Zeszczupiała trochę, kupiła sobie kilka nowych rzeczy i prowadziła ciekawsze życie niż wtedy, kiedy była z tatą.

W porze lunchu kobieta, która kupiła suknię od Guya, przyniosła ją z powrotem. W pierwszej chwili nie miałam pojęcia, kto to jest.

- Tak mi przykro - zaczęła, kładąc na ladzie torbę z logo Village Vintage. Zajrzałam do środka, nie wierząc własnym oczom. - Ta sukienka nie jest dla mnie odpowiednia. - Jak w ogóle mogło jej przyjść do głowy, że jest inaczej, pomyślałam, biorąc torbę do ręki. Była niska i szeroka jak bochenek chleba. Nie mogła wyglądać w niej dobrze.

-Bardzo mi przykro - powtórzyła.

- Nie ma sprawy, to żaden problem - skłamałam. Oddałam jej pieniądze, żałując szczerze, że tak szybko wysłałam te pięćset funtów na konto fundacji Dzieci Afryki. W tej chwili był to gest, na który nie było mnie stać.

- Jest taka romantyczna, że chyba mnie poniosło - powiedziała kobieta, gdy czekałam na wydruk z kasy. - Ale dziś rano ją włożyłam, spojrzałam w lustro i uświadomiłam sobie, że... - Rozłożyła bezradnie ręce, jakby chciała powiedzieć: „Cóż, nie wyglądam jak Keira Knightley, prawda?” - Że jestem za niska - dokończyła. - Ale wie pani co? - Przekrzywiła głowę. - Wydaje mi się, że pani byłoby w tej sukni doskonale.

Wyszła, a zaraz potem pojawiło się kilka osób, w tym pewien mężczyzna przejawiający niezdrową fascynację gorsetami. Chciał nawet zmierzyć jeden z nich, ale mu na to nie pozwoliłam. Później zadzwoniła jakaś kobieta i zaoferowała mi futra należące w przeszłości do jej ciotki, wśród których była też - to miało być, zdaje się, zachęta - czapka uszyta z futra małych leopardów. Wyjaśniłam jej, że nie sprzedaję futer, ale kobieta twierdziła, że futra są stare, więc z pewnością mogłabym je od niej kupić. Powiedziałam jej w końcu, że nie wyobrażam sobie, żebym mogła choćby dotknąć martwego leoparda, nie mówiąc już o tym, żeby czymś takim handlować. Bez względu na to, jak dawno temu to biedne zwierzę zostało zamordowane. Kilka chwil później moja cierpliwość znowu została wystawiona na próbę. Do sklepu weszła kobieta z płaszczem od Diora, który chciała mi sprzedać. Na pierwszy rzut oka widać było, że to podróbka.

- To naprawdę Dior - zaprotestowała, kiedy jej o tym powiedziałam. - I uważam, że sto funtów za płaszcz tej jakości, z pracowni Christiana Diora, to bardzo niewygórowana cena.

- Przykro mi - powtórzyłam - ale zajmuję się modą vintage od dwunastu lat i zapewniam panią, że to nie jest Dior.

- Ale metka...

- Metka rzeczywiście jest oryginalna. Ale została przyszyta do płaszcza innej firmy. Po lewej stronie widać wyraźnie, że nie został poprawnie skrojony, szwy nie są wykończone, a jeśli przyjrzy się pani dokładniej podszewce, zobaczy pani, że to Burberry - wyjaśniłam, wskazując logo. Twarz kobiety poczerwieniała jak pomidor.

- Wiem, o co pani chodzi - syknęła. - Chce pani dostać ten płaszcz za bezcen, żeby go później sprzedać za pięćset funtów, tak jak ten tam.

- Wskazała na manekina, na którym powiesiłam gołębioszary zimowy płaszcz Diora z serii New Look, z pięćdziesiątego piątego roku, który był w doskonałym stanie.

- Naprawdę nie chcę dostać tego płaszcza w żaden sposób - powiedziałam uprzejmie. - W ogóle nie jestem nim zainteresowana.

Kobieta włożyła płaszcz z powrotem do reklamówki. Emanowała złością i urażoną dumą.

- W takim razie zaniosę go gdzie indziej.

- To dobra myśl - odparłam spokojnie, choć miałam ochotę jej poradzić, żeby poszła z nim do sklepu z odzieżą używaną.

Kobieta odwróciła się na pięcie i ruszyła do wyjścia. W drzwiach minęła mężczyznę, który właśnie wchodził, i uprzejmie przytrzymał przed nią drzwi. Był bardzo elegancki, miał na sobie jasną koszulę, granatową marynarkę i wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat. Serce nagle zabiło mi mocniej.

- Dobry Boże! - Twarz Pana Prązkowanego rozjaśniła się w uśmiechu. - Przecież to moja waleczna rywalka - Phoebe! - A więc zapamiętał moje imię. - Nic nie mów... To twój sklep?

- Tak. - Euforia, która ogarnęła mnie na jego widok, znikła równie szybko, jak się pojawiła, kiedy drzwi otworzyły się ponownie i do środka na chmurze perfum wpłynęła Pani Prążkowana. Była wysoka i jasnowłosa - dokładnie tak, jak sobie ją wyobrażałam - ale tak młoda, że miałam ochotę zadzwonić na policję. Kiedy zsunęła okulary na czoło, doszłam do wniosku, że nie mogła być jego żoną. Musiała być dwudziestoparoletnią kochanką, a on jej sponsorem. Facet nie miał wstydu. Perfumy, którymi pachniała - J'adore - przyprawiły mnie o mdłości.

- Jestem Miles - przypomniał mi. - Miles Archant.

- Pamiętam - odparłam uprzejmie. - Co pana tu sprowadza? - spytałam, starając się nie przyglądać zbyt nachalnie jego towarzyszce, która właśnie zaczęła przeglądać stroje wieczorowe.

Kiwnął głową w stronę dziewczyny.

- Roxy... - Oczywiście, pomyślałam. Bardzo stosowne imię dla kochanki. - Moja córka.

- Och... - Natychmiast poczułam ulgę.

- Roxanne szuka jakiejś wyjątkowej sukienki na bal nastolatek wydawany na cele charytatywne w National History Museum, prawda, Rox? - Dziewczyna kiwnęła głową. - To jest Phoebe - dodał. - Roxy uśmiechnęła się nieśmiało i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jak bardzo jest młoda. - Poznaliśmy się w Christie's - wyjaśnił jej ojciec. - Phoebe kupiła tę białą suknię, która tak ci się podobała.

- Acha - mruknęła Roxy z urazą. Spojrzałam na Milesa.

- Chciałeś kupić madame Gres dla...? - Wskazałam głową Roxy.

- Tak. Widziała ją na stronie internetowej Christie's i dosłownie się w tej sukni zakochała. Prawda, skarbie? Nie mogła pójść na aukcję, bo musiała iść do szkoły.

- Jaka szkoda.

- Tak - powiedziała Roxy. - Miałam akurat angielski.

A więc to Roxy tak dała Milesowi popalić po aukcji. Nie mogłam pojąć, jak ktokolwiek mógłby wydać cztery tysiące funtów na sukienkę dla nastolatki.

- Roxanne chciałaby w przyszłości zajmować się modą - powiedział. - Bardzo interesują ją ubrania z innych epok. Prawda, kotku?

Roxanne znowu kiwnęła głową i odwróciła się z powrotem do wieszaka, a ja zaczęłam się zastanawiać, gdzie jest jej matka i jak wygląda. Pewnie tak samo, pomyślałam, tyle że jest po czterdziestce.

- Tak czy inaczej, ciągle czegoś szukamy - oznajmił Miles. - Dlatego tu przyszliśmy. Bal odbędzie się dopiero w listopadzie, ale akurat byliśmy w Blackheath i zauważyliśmy ten sklep, więc... - Roxy spojrzała na niego ostro. - Więc pomyśleliśmy, że wejdziemy do środka. A tu, proszę! Jaka miła niespodzianka - sapnął.

- Dziękuję - odparłam, zastanawiając się, co też pomyślałaby jego żona, gdyby mogła usłyszeć naszą rozmowę.

- Doprawdy, niezwykły zbieg okoliczności - dodał. Odwróciłam się do Roxanne.

- Jakiego rodzaju ubrania ci się podobają? - spytałam, chcąc skierować rozmowę na inne tory.

- Cóż... - Dziewczyna przesunęła ciemne raybany nieco wyżej.

-Myślałam o czymś w stylu Pokuty albo... Jak nazywał się ten drugi film? Acha, Gosford Park.

- Rozumiem... A więc druga połowa lat trzydziestych. Krój ze skosu, w stylu Madelaine Vionnet... - mówiłam, podchodząc do wieszaka ze strojami wieczorowymi.

Roxy wzruszyła szczupłymi ramionami.

- Chyba tak...

Nagle przyszła mi do głowy cyniczna myśl, że oto nadarzyła mi się wspaniała okazja, by pozbyć się sukni od Guya. Zaraz jednak uświadomiłam sobie, że Roxy jest zbyt szczupła - sukienka wisiałaby na niej jak na wieszaku.

- Znalazłaś coś, kochanie? - zagadnął Miles.

Roxy pokręciła głową i jasne, miękkie jak jedwab włosy zatańczyły wokół ramion. W tej samej chwili zadzwoniła jej komórka. Co to była za melodia? No tak, The Most Beautiful Girl in the World.

- Heja... - rzuciła Roxy do telefonu. - Nie. Z tatą. W takim sklepie vintage.... Wczoraj? Tak... w klubie Mahiki. No, gorąco było... Nieźle zadymili... No, czad...

Miałam wrażenie, że rozmawia z pogotowiem gazowym.

- Może wyjdiesz na zewnątrz, żeby spokojnie porozmawiać, kochanie?
- zasugerował ojciec.

Roxy zarzuciła na ramię torbę od Prądy i wyszła, po czym oparła się ramieniem o szybę i skrzyżowała cienkie nogi. Wyraźnie zanosilo się na dłuższą rozmowę.

Miles teatralnie przewrócił oczami.

- Nastolatki... - Uśmiechnął się z pobłażaniem i zaczął przechadzać po sklepie. - Masz tu tyle ślicznych rzeczy.

- Dziękuję. - Znowu zauważyłam, że ma bardzo miły głos, niski i jakby lekko schrypnięty, co zawsze wydawało mi się pociągające. -Wiesz co? Może kupiłbym parę tych szelek.

Otworzyłam gablotkę i wyjęłam tacę.

- Lata pięćdziesiąte - wyjaśniłam. - Nigdy nie zostały sprzedane, więc nikt ich nigdy nie nosił. Wyprodukowała je firma Alberta Thurstona, który robił najlepsze szelki w Anglii. - Wskazałam zakończenia przy klamerkach. - Jak widzisz, skóra jest zszywana ręcznie.

Miles przez chwilę przyglądał się szelkom.

- Wezmę te - powiedział, wskazując jedno w biało-zielone paseczki. - Ile kosztują?

- Piętnaście funtów.

- Dam dwadzieścia.

- Słucham?

- A więc dwadzieścia pięć.

- Co takiego? - spytałam ze śmiechem.

- Dobrze, skoro tak się upierasz, dam trzydzieści, ale na więcej nie możesz liczyć.

Uśmiechnęłam się.

- To nie aukcja, więc obawiam się, że będziesz musiał zapłacić cenę wywoławczą.

- Twarda sztuka z ciebie - mruknął Miles. - W takim razie będę musiał wziąć także te granatowe.

Wiedziałam, że mi się przygląda, kiedy pakowałam szelki, i poczułam, że się rumienię. Fakt, że miałam nadzieję, iż nie jest żonaty, mnie samą zaskoczył.

- Walczyłem z tobą o tę suknię z prawdziwą przyjemnością - powiedział, kiedy otwierałam kasę. - Podejrzewam jednak, że ty nie byłaś zachwycona.

- Rzeczywiście, nie byłam - odparłam uprzejmie. - Prawdę mówiąc, byłam wściekła. Ale byłeś skłonny tak dużo zapłacić za tę sukienkę, że uznałam, iż chciałeś ją kupić dla żony.

Miles pokręcił głową.

- Nie mam żony. - A więc mieszka z kimś, pomyślałam. A może jest rozwiedziony? - Moja żona nie żyje.

- Och! - Wstyd przyznać, ale moja euforia natychmiast wróciła.

-Przepraszam.

- Nie ma za co... W tym sensie, że zmarła dziesięć lat temu - dodał szybko. - Miałem dość czasu, by oswoić się z tym faktem.

- Dziesięć lat? - powtórzyłam, zdumiona. Oto stał przede mną mężczyzna, który nie ożenił się ponownie, mimo że od śmierci jego żony minęło dziesięć lat. Wielu wdowców nie czeka nawet tygodnia...

Spojrzałam na niego ciepłej.

- Mieszkamy tylko we dwoje, Roxy i ja. Rox zaczęła właśnie Bellingham College w Portland Place.

Słyszałam o tej szkole, należała do najbardziej ekskluzywnych.

- Mogę cię o coś zapytać? - dodał Miles. Podałam mu rachunek.

- Oczywiście.

- Tak się zastanawiam... - Niespokojnie rzucił okiem w stronę Roxanne, która ciągle rozmawiała przez telefon, nawijając na palec pasmo długich jasnych włosów. - Pomyślałem, że może kiedyś... wybrałabyś się ze mną na kolację.

- Och...

- Pewnie myślisz, że jestem za stary - ciągnął szybko. - Ale bardzo chciałbym się jeszcze z tobą spotkać, Phoebe. Właściwie... Mogę ci się do czegoś przyznać?

- Tak - odparłam, zaintrygowana.

- To, że tu trafiłem, to niezupełnie zbieg okoliczności... Właściwie ze zbiegiem okoliczności nie ma to nic wspólnego...

Patrzyłam na niego, zaskoczona.

- Ale... skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Kiedy płaciłaś w Christie's, powiedziałaś: „Village Vintage”.

Poszukałem tego w Google'u i trafiłem na stronę twojego sklepu. -A więc to dlatego tak intensywnie wpatrywał się w katalog, kiedy czekaliśmy na nasze zakupy! - Mieszkam niedaleko, w Camberwell, więc pomyślałem, że wstąpię i... przywitam się. - Uczciwość wygrała z przebiegłością. Uśmiechnęłam się do siebie. - Cóż... - Wzruszył beztrosko ramionami. - Nie chciałaś wtedy pójść ze mną na lunch, ani nawet na kawę. Pewnie pomyślałaś, że jestem żonaty.

- Owszem, tak właśnie było.

- Ale teraz już wiesz, że nie jestem, więc chyba mógłbym zaprosić cię na kolację.

- Sama nie wiem... - Znowu poczułam, że oblewam się rumieńcem.

Miles spojrział na córkę, która nie przestawała rozmawiać przez komórkę.

- Nie musisz decydować teraz... Proszę. - Otworzył portfel i wyjął z niego wizytówkę. Spojrzałam na nią szybko. „Miles Archant, adwokat, kancelaria Archant, Brewer i Clark”. - Zadzwoń, jeśli dasz się skusić. Zdałam sobie nagle sprawę, że to się już stało. Miles był bardzo atrakcyjny. Miał cudowny, zmysłowy głos. I był naprawdę dorosły, w przeciwieństwie do wielu moich rówieśników. Takich jak Dan, pomyślałam, z tymi niesfornymi lokami, niepasującą do spodni koszulą, temperówką i... szopą. Dlaczego miałabym iść oglądać szopę Dana? Spojrzałam na Milesa. To był mężczyzna, a nie jakiś przerośnięty chłopiec. Z drugiej strony jednak, odezwał się mojej głowie rozsądek, był to zupełnie obcy człowiek, w dodatku rzeczywiście dużo starszy ode mnie. Mógł mieć jakieś czterdzieści trzy - czterdzieści cztery lata.

- Mam czterdzieści osiem lat - oznajmił. - Nie rób takiej przerażonej miny!

- Och, przepraszam, nie o to chodzi... Po prostu... nie wyglądasz tak...

- Staro? - spytał drwiąco.

- Nie to chciałam powiedzieć. Miło, że mnie zapraszasz, ale prawdę mówiąc, jestem teraz bardzo zajęta... - Zaczęłam układać szale w gablotce. - Muszę się skupić na sklepie - ciągnęłam.

Ma prawie pięćdziesiąt lat...

- No a poza tym.... - Zadzwoił telefon. - Przepraszam. Podniosłam słuchawkę, zadowolona, że coś przerwało nam tę rozmowę.

- Village Vintage.

- Phoebe? - Serce zaczęło walić mi jak młotem. - Proszę, odezwij się, Phoebe - powiedział Guy. - Muszę z tobą porozmawiać - nalegał. - Nie odpowiadasz na moje listy i...
- Zgadza się - odparłam spokojnie, starając się nie okazywać emocji przy Milesie, który siedział teraz na kanapie i patrzył w okno. Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech.
- Naprawdę muszę z tobą porozmawiać - błagał Guy. - Nie mogę tego tak zostawić i nie poddam się, dopóki ty...
- Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc - powiedziałam ze spokojem, którego wcale nie czułam. - Ale miło, że zadzwoniłeś. - Odłożyłam słuchawkę bez cienia wyrzutów sumienia. Guy dobrze wiedział, co zrobił. „Sama wiesz, jak Emma potrafi przesadzać, Phoebe...” Przełączyłam telefon na automatyczną sekretarkę.
- Przepraszam... - powiedziałam do Milesa. - O czym to rozmawialiśmy?
- Cóż... - Wstał. — Mówiłem właśnie, że mam... hm... czterdzieści dziewięć lat i że... jeśli byłabyś w stanie znieść jakoś tę ułomność i przyjąć zaproszenie na kolację, byłbym zachwycony. Ale chyba nie masz na to ochoty - dodał, uśmiechając się niepewnie.
- Właściwie, Miles... mam ochotę.

Rozdział 5

W niedzielę po południu wybrałam się do taty, czy też raczej do Ruth. Mimo iż spotykałyśmy się już - za każdym razem trwało to zaledwie kilka sekund - tego dnia miałam po raz pierwszy przestąpić próg jej

mieszkania. Spytałam wcześniej tatę, czy nie moglibyśmy się umówić na jakimś neutralnym terenie, ale odpowiedział, że ze względu na Louisa lepiej będzie, jeśli przyjdę do domu.

Do domu, myślałam teraz, idąc przez Portobello. Przez całe życie „dom” oznaczał edwardiańską willę, w której dorastałam i w której, na razie, nadal mieszka moja matka. Fakt, że dla ojca domem był teraz elegancki apartament w Notting Hill, zamieszkiwany przez lisicę Ruth i ich wspólne dziecko, ciągle wydawał mi się niepojęty. Czułam, że ta wizyta sprawi, iż wszystko stanie się nagle przygnębiająco realne.

Tata po prostu nie pasuje do Notting Hill, myślałam mijając modne butiki przy Westbourne Grove. Co mógł znaczyć dla mojego ojca L.K. Bennett czy Ralph Lauren? On należał do przyjaznego, staroświeckiego Blackheath.

Od czasu kiedy wyprowadził się z domu, tata miał na twarzy wyraz zaskoczenia, jakby ktoś zupełnie obcy nagle uderzył go w twarz. Teraz, otwierając drzwi domu numer 88 przy Lancaster Road, też tak wyglądał.

- Phoebe! - Pochylił się, żeby mnie uścisnąć, co było trudne, bo w objęciach trzymał Louisa. Dziecko dostało się między nas i pisnęło głośno. - Jak miło znowu cię widzieć! - Wpuścił mnie do środka. - Och, mogłabyś zdjąć buty? Taka tu obowiązuje zasada. - Bez wątpienia jedna z wielu, pomyślałam, zrzucając klapki i wsuwając je pod krzesło.

-Stęskniłem się za tobą, Phoebe - powiedział, kiedy ruszyłam za nim wyłożonym zielonkawym kamieniem korytarzem. Szliśmy do kuchni.

- Ja też się za tobą stęskniłam, tato. - Pogłaskałam jasną główkę Louisa, który siedział teraz na kolanach ojca przy stole z chromowanej stali. -

Ależ ty się zmieniłeś, maleńki.

Istotnie, Louis, którego zapamiętałam jako pomarszczoną istotkę o skórze koloru wątroby, stał się słodkim niemowlęciem, które wywijalo w powietrzu zgiętymi łapkami jak mała ośmiorniczka.

Spojrzałam na lśniące metalowe powierzchnie. Kuchnia Ruth wydała mi się wnętrzem zdecydowanie zbyt sterylnym dla mężczyzny, który prawie całe dorosłe życie spędził, grzebiąc w brudnej ziemi. Pomieszczenie, w którym się znalazłam, właściwie nie przypominało kuchni, a raczej kostnicę. Przypomniał mi się stary sosnowy stół w naszym prawdziwym domu, zasłany gazetami i magazynami o ogrodnictwie. Co, u diabła, mój ojciec robił w takim miejscu?

Uśmiechnęłam się do niego.

- Louis jest do ciebie podobny.

- Tak uważasz? - Ojciec się ucieszył.

Nie, nie uważałam tak. Nie chciałam po prostu, żeby był podobny do Ruth. Otworzyłam papierową torbę od Hamleya, którą ze sobą przyniosłam, i wyjęłam z niej dużego białego pluszowego misia z niebieską kokardką na szyi.

- Dziękuję. - Pomachał miś przed nosem Louisa. - Śliczny misio, prawda, kochanie? O, zobacz, Phoebe, uśmiecha się do niego!

Pogłaskałam małe pulchne nóżki Louisa.

- Nie sądzisz, tato, że Louis powinien mieć na sobie coś jeszcze poza pieluszką?

- No, tak - odparł z roztargnieniem. - Właśnie go przebierałem, kiedy zadzwoniłaś. Gdzie też położyłem jego rzeczy... O, tu są.

Patrzyłam, przerażona, jak ojciec przyciska zdumionego Louisa do piersi lewą ręką, po czym próbuje wetknąć jego stopki do nogawek

śpioszków w niebieskie paski. Kiedy wreszcie mu się to udało, wepchnął go w wysokie metalowe krzeselko, wsuwając obie nóżki dziecka do jednego otworu. Louis tkwił sztywno w krzeselku jak mały bobsleista. Tata podszedł do lśniącej amerykańskiej lodówki i wyjął z niej zestaw małych słoiczków.

- Co my tu mamy... - mruknął, otwierając jeden z nich. - Przesztawiam go na stały pokarm - rzucił wyjaśniająco przez ramię. - Spróbujemy dzisiaj tego, co, Louis? - Louis otworzył szeroko usta, jak pisklę, a tata władował w nie łyżeczkę pełną jakiejś papki. - Jaki grzeczny chłopczyk. Dobra robota, mój mały. Och... - Louis prychnął, obryzgując ojca beżową substancją.

- Chyba mu nie smakuje - powiedziałam, kiedy tata wycierał okulary. W skład papki - teraz już zdążyłam przeczytać etykietę - wchodził organiczny kurczak z warzywami.

- Czasami mu smakuje. - Tata chwycił ściereczkę i otarł Louisowi podbródek. - Dzisiaj jest w dziwnym nastroju, pewnie dlatego, że mamusi znowu nie ma. Spróbujemy teraz tego, prawda, Louis?

- Nie powinieneś tego najpierw podgrzać, tato?

- Och, Louisowi nie przeszkadza, że dostaje to prosto z lodówki. -Tata otworzył drugi słoiczek. - Jagnięcina po marokańsku, z kaszką kuskus i morelami: pycha. - Louis znowu szeroko rozwarł swoje małe usteczka, a ojciec władował w nie kilka łyżeczek papki ze słoika. - O, to mu smakuje - oznajmił triumfalnie. - Zdecydowanie.

Louis nagle pokazał język jak Maorys i marokańska jagnięcina spłynęła mu pomarańczową lawą na śpioszki.

- Powinieneś założyć mu śliniaczek - zauważyłam, kiedy tata usiłował zebrać półpłynną maź z klatki piersiowej Louisa. - Nie, tato. Nie wkładaj mu tego z powrotem do buzi.

Na stole leżała ulotka zatytułowana Opieka nad niemowlęciem.

- Nie radzę sobie z tym - powiedział tata, przygnębiony. I wrzucił wzgardzony słoiczek do lśniącego chromem kosza na śmieci. - Było mi znacznie łatwiej, kiedy mogłem mu po prostu dać butelkę.

- Pomogłabym ci, ale sama nie mam o tym pojęcia... z oczywistych względów. Ale dlaczego musisz tak dużo się nim zajmować?

- Cóż... Dlatego, że Ruth znowu wyjechała-odparł ze znużeniem. -Jest teraz bardzo zajęta. Ale ja naprawdę chcę zajmować się małym. Po pierwsze, nie ma sensu opłacać niani teraz, kiedy... - skrzywił się lekko -kiedy nie pracuję. Poza tym, kiedy ty byłaś dzieckiem, tak często nie było mnie w domu, że właściwie nie miałem okazji być ojcem.

- Dużo wyjeżdżałeś - zgodziłam się. - Wszystkie te prace w terenie i wykopaliska... Mam wrażenie, że ciągle tylko machałam ci na pożegnanie - dodałam z żalem.

- Wiem, kochanie - westchnął tata. - I bardzo mi przykro z tego powodu. Więc teraz, przy tym maluchu - pogłaskał Louisa po głowie czuję, że dostałem szansę, by być ojcem, który rzeczywiście trzyma rękę na pulsie.

Louis miał jednak taką minę, jakby wolał, żeby tata trzymał obie ręce z daleka od niego.

Nagle zadzwonił telefon.

- Przepraszam, kochanie - powiedział tata. - To pewnie Radio Lincoln. Mam im udzielić wywiadu telefonicznego.

- Radio Lincoln?

Tata wzruszył ramionami.

- Cóż, lepsze to niż Radio Cisza.

Kiedy tata udzielał wywiadu, prawą ręką przyciskając słuchawkę do ucha, a lewą wtykając kolejną papkę w usta Louisa, myślałam o żalnym końcu jego zawodowej kariery. Jeszcze rok temu był ogólnie szanowanym profesorem archeologii porównawczej w Queen Mary's College w Londynie. Ale wtedy w jego życiu pojawił się program Głęboko w ziemi, a potem, w wyniku upokarzającego skandalu rozpętanego przez media - „Daily Mail” złośliwie przekręciło nazwę programu na Głęboko w Ruth - władze uczelni w trybie natychmiastowym wysłały go na wcześniejszą emeryturę. Stracił pięć lat pracy zawodowej, przez co miał niższą emeryturę, a jego kariera telewizyjna, mimo programu nadawanego przez sześć tygodni w najlepszym czasie antenowym, także nagle przywiędła.

- Cóż, odpowiadając na pytanie, czym jest archeologia... - mówił ojciec, ładując do buzi Louisa przecier z owoców mango i liczi - można powiedzieć, że to szeroko pojmowane badania artefaktów i pozostałości po dawnych ludzkich siedzibach, a nawet odkrycia zaginionych cywilizacji, przy zastosowaniu coraz bardziej zaawansowanych środków, jakimi obecnie dysponujemy. Najważniejszym nadal pozostaje metoda węgla C-14. Jednak mówiąc „cywilizacja”, powinniśmy być świadomi faktu, iż definicja tego określenia została narzucona przeszłości ze współczesnej, zachodniej perspektywy, więc... - Ojciec wziął do ręki brudną ściereczkę. - Przepraszam, może powinienem to powtórzyć? Mówił pan chyba, że to tylko nagranie? Och, tak mi przykro...

W telewizji tata potrafił trafić do publiczności głównie dlatego, że miał redaktora, który przekładał jego naukowe wywody na język zrozumiały dla wszystkich. Gdyby nie medialne zamieszanie wokół ciąży Ruth, może dostałby jakąś poważną pracę, ale od czasu, kiedy skończyły się Wielkie odkrycia, zaproponowano mu tylko udział w programie kulinarnym Gwiazdy gotują. Ruth, natomiast, dostała wiatru w żagle. Awansowała i zajęła się produkcją programu o pułkowniku Kadafim, w związku z czym pojechała nawet do Trypolisu.

Nagle usłyszeliśmy szcęk otwieranych drzwi frontowych.

- Możesz w to uwierzyć? - zawołała Ruth. - Przez tych cholernych terrorystów znowu zamknęli lotnisko! Ale czy to naprawdę byli terroryści? Nie! Oczywiście, że nie! - Wydawała się niemal rozczarowana.

-Tylko jakiś wariat, który chciał się przelecieć za darmo na Teneryfę. Zamknięto trzeci terminal. Przez dwie godziny nie mogłam się stamtąd wydostać z całą ekipą. Zaraz spróbuję zarezerwować dla nas lot na jutro... Jezu, ale tu nabałaganiłeś, kochanie! I nie kładź toreb z zakupami na stole... - Zdjęła z blatu reklamówkę od Hamleya. - To wylęgarnia bakterii. I żadnych zabawek w kuchni, to nie jest bawialnią. Proszę, zamykaj szafki, nie znoszę pootwieranych drzwiczek... Och... - Zauważyła mnie w końcu, siedzącą za drzwiami.

- Witaj, Ruth - powiedziałam spokojnie. - Przyszłam zobaczyć się z ojcem. - Spojrzałam na tatę, który zaczął gorączkowo sprzątać. -Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu.

- Oczywiście, że nie - odparła lekko. - Czuj się jak u siebie. Miałam ochotę odpowiedzieć, że w tym domu byłoby to raczej trudne.

- Phoebe przyniosła dla Louisa tego ślicznego misia - oznajmił tata.

- Dziękuję - rzuciła Ruth. - To bardzo miło. - Musnęła ustami czoło Louisa, nie zwracając uwagi na jego wyciągnięte rączki, i poszła na górę. Louis odrzucił główkę do tyłu i zaniósł się płaczem.

- Tak mi przykro, Phoebe. - Tata uśmiechnął się smutno. - Może niedługo znowu się spotkamy?

Następnego ranka w drodze do Village Vintage myślałam o tacie i o tym, jak wpakował się w romans, nie przeczuwając konsekwencji tego wyskoku. Mama była przekonana, że nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło, mimo wielu okazji, jakich niewątpliwie dostarczały mu atrakcyjne studentki archeologii, spijające każde słowo z jego ust, podczas gdy wspólnie grzebali w ziemi, szukając pozostałości po Fenicjanach, Majach czy mieszkańcach Mezopotamii. Rzeczywiście, indolencja, jaką wykazywał w związku z Ruth, świadczyła o tym, że nie był doświadczonym cudzołożnikiem.

Niedługo po tym, jak wyprowadził się z domu, tata napisał do mnie list. Twierdził w nim, że nadal kocha mamę, ale kiedy Ruth zaszła w ciążę, uznał, że musi z nią zostać. Dodał jednak, że naprawdę mu na Ruth zależy i że na pewno potrafię to zrozumieć. Nie potrafiłam. Nadal nie potrafię.

Doskonale wiem, dlaczego mój ojciec, choć starszy o dwadzieścia cztery lata, wydawał się Ruth atrakcyjny. Tata należał do wysokich, przystojnych, ogorzałych mężczyzn, którym w jakiś sposób udało się dorosnąć do swoich twarzy, nie mówiąc już o tym, że był inteligentny, obyty i dobry. Ale co on widział w Ruth? Nie miała urody ani delikatności, jakimi kiedyś odznaczała się moja matka. Była twarda i płaska jak deska. I tyle samo miała w sobie wrażliwości. Wstrząs, jakim był widok

ojca wynoszącego swoje rzeczy z rodzinnego domu, pogorszył jeszcze fakt, że Ruth, w zaawansowanej ciąży, czekała na niego na zewnątrz w samochodzie.

Siedziałam z mamą tego wieczoru, starając się nie patrzeć na puste miejsca na półkach, na których przedtem stały książki i przedmioty należące do taty. Najcenniejszy z nich - mała figurka z brązu, przedstawiająca rodzącą aztecką kobietę, którą podarował mu meksykański rząd - znikła z gzymsu kominka. Mama powiedziała, że biorąc pod uwagę okoliczności, nie będzie za nią tęskniła.

- Gdyby nie to dziecko - płakała. - Nie chcę się wściekać na to niewinne maleństwo, które jeszcze się nawet nie narodziło, ale naprawdę wolałabym, żeby akurat to dziecko nigdy się nie pojawiło. Gdyby nie ono, mogłabym wybaczyć. Zapomnieć! A tak... Spędzę resztę życia w samotności!

Uświadomiłam sobie z przerażeniem, że ja prawdopodobnie spędzę resztę życia na pocieszaniu matki.

Wcześniej próbowałam przekonać ojca, żeby jej nie opuszczał. Powiedziała, że biorąc pod uwagę jej wiek, to bardzo nie w porządku.

- Czuję się z tym okropnie - powiedział przez telefon. - Ale wpa-
kowałem się w tę... sytuację, Phoebe, i muszę zrobić to, co uważam za
słuszne.

- Uważasz, że słuszne jest porzucenie kobiety, która przez trzydzieści
osiem lat była twoją żoną?

- A czy byłoby słuszne opuszczenie własnego dziecka? Chcę przy nim
być.

- Przy mnie cię nie było, tato.

- Wiem. I to także ma wpływ na moją decyzję. - Westchnął ciężko. - Może robię to też dlatego, że całe życie grzebałem się w przeszłości, a teraz to dziecko ofiarowało mi przyszłość. Człowieka w moim wieku to bardzo podnosi na duchu. Poza tym naprawdę chcę być z Ruth.

Wiem, że trudno ci tego słuchać, Phoebe, ale taka jest prawda. Twoja matka dostanie dom i połowę mojej emerytury. Ma swoją pracę, kółko brydżowe i przyjaciół. Ja też chciałbym do nich należeć. Jak moglibyśmy się nie przyjaźnić po tylu wspólnych latach?

- Jak moglibyśmy się przyjaźnić, skoro mnie opuścił? - płakała matka, kiedy jej to powtórzyłam. Doskonale rozumiałam jej punkt widzenia... Szłam do Tranquil Vale w nadziei, że trochę się uspokoję. Annie miała przyjść później, ze względu na casting. Otwierając drzwi sklepu, czułam się trochę winna. Miałam nadzieję, że jednak nie dostanie tej roli, bo w przeciwnym wypadku wyjechałaby na dwumiesięczne tournée. Byłam z niej bardzo zadowolona. Punktualna, uśmiechnięta i miała świetne podejście do klientów. Dbała też, by wszystko w sklepie wyglądało świeżo i estetycznie. Dla Village Vintage była zdecydowanie dobrym nabytkiem.

Dzień zaczął się od sprzedaży, co stwierdziłam z radością, kiedy przejrzałam e-maile. Cindi z Beverly Hills napisała, że na pewno kupi suknię od Balenciagi dla jednej ze swoich najlepszych klientek, która chciałaby w niej wystąpić na uroczystości rozdania nagród Emmy, i że zadzwoni do mnie wieczorem, żeby ustalić warunki płatności.

O dziewiątej wywiesiłam na drzwiach tabliczkę z napisem „Otwarte”, po czym zadzwoniłam do pani Bell, żeby zapytać, kiedy mogę przyjść po rzeczy, które zamierzam kupić.

- Mogłabyś przyjść dzisiaj? - spytała. - Powiedzmy o jedenastej?
- Wolałabym o wpół do dwunastej. Do tego czasu wróci moja asystentka. Przyjadę samochodem.
- Dobrze, będę czekać.

Nagle rozległ się dźwięk dzwonka nad drzwiami i do sklepu weszła szczupła blondynka po trzydziestce. Przez jakiś czas z roztargnieniem przeglądała ubrania.

- Szuka pani czegoś konkretnego? - spytałam po chwili.
- Tak - odparła. - Szukam czegoś, co mnie... rozweseli. Jakiejś wesołej sukienki.
- Rozumiem... Diennej czy wieczorowej? Wzruszyła ramionami.
- To bez znaczenia. Musi tylko być jasna i kolorowa.

Pokazałam jej letnią sukienkę w niebieskie kwiatki z uszlachetnionej bawełny od Horrockses z połowy lat pięćdziesiątych. Dotknęła palcami szerokiej spódnicy.

- Śliczna.
- Horrockses szyli z bawełny wspaniałe sukienki. Często kosztowały jedną czwartą średniej pensji. A widziała pani te? - Wskazałam głową tiulowe „bezy”.
- Och. - Kobieta szeroko otworzyła oczy. - Są cudowne! Mogę przymierzyć różową? - spytała, jak mała dziewczynka. - Chcę przymierzyć różową!
- Oczywiście. - Zdjęłam sukienkę ze ściany. - Rozmiar dwanaście.
- Jest przepiękna! - zachwycała się kobieta, kiedy powiesiłam suknię w przymierzalni. Weszła do środka i zaciągnęła lnianą zasłonę.

Usłyszałam dźwięk rozpinanego zamka błyskawicznego, a potem cichy

szelest tiulu. -Wygląda tak... radośnie - mówiła. - Uwielbiam te baletowe spódnice. Czuję się w tym jak wróżka. - Wysunęła głowę przez szparę w zasłonie. -Mogłaby pani pomóc mi ją zapiąć? Nie mogę sobie poradzić.

- Wygląda w niej pani świetnie - powiedziałam, kiedy już to zrobiłam.

- Jest naprawdę... idealna - stwierdziła, patrząc na swoje odbicie w lustrze. - Dokładnie o coś takiego mi chodziło... O taką śliczną, wesołą sukienkę.

- Szuka pani czegoś na jakąś konkretną okazję?

- Cóż... - Dziewczyna potrząsnęła warstwami usztywnionego tiulu. - Staram się o dziecko. - Kiwnęłam uprzejmie głową, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. - Nie udało mi się zająć w ciążę w sposób naturalny, więc po dwóch latach zdecydowaliśmy się na in vitro. Okropna rzecz - dodała przez ramię.

- Nie musi mi pani o tym opowiadać - zaproponowałam subtelnie.

-Naprawdę...

Kobieta zrobiła krok w tył, żeby przyjrzeć się sobie dokładniej.

- Cóż, dziesięć razy dziennie mierzyłam temperaturę, łykałam różne tabletki i robiłam sobie zastrzyki tak długo, aż moje biodra wyglądały jak poduszczyk na szpilki. I tak pięć razy. Zupełnie mnie to zrujnowało. W końcu dwa tygodnie temu zaliczyłam cały cykl po raz szósty. To miał być ostatni raz, bo mąż powiedział, że nie ma siły więcej przez to wszystko przechodzić. - Urwała, żeby zaczerpnąć oddechu. - Tak więc była to ostatnia szansa... - Wyszła z przymierzalni i przyjrzała się sobie w bocznym lustrze. - Dziś rano dostałam wyniki. Zadzwoił mój ginekolog i powiedział, że...- Poklepała się po brzuchu. - Znowu nic.

- Och - mruknęłam. - Tak mi przykro.

Oczywiście, pomyślałam. Po co miałyby kupować sobie balową sukienkę, gdyby była w ciąży?

- Więc wzięłam na dzisiaj zwolnienie i szukam sposobów, żeby się jakoś podnieść na duchu. - Uśmiechnęła się do swojego odbicia. - A ta sukienka to doskonały początek. - Odwróciła się do mnie. - Jak ktokolwiek mógłby być smutny w takiej sukience? To niemożliwe, prawda?

- Jej oczy błyszczały. - Zupełnie niemożliwe... - Nagle usiadła na krześle w przymierzalni z takim wyrazem twarzy, jakby miała się rozpłakać.

Podbiegłam do drzwi i przekręciłam tabliczkę na stronę z napisem „Zamknięte”.

- Przepraszam - załkała kobieta. - Nie powinnam była tu wchodzić. Czuję się taka... rozbita.

- To zupełnie zrozumiałe - odezwałam się cicho. Podałam jej chusteczki. Podniosła na mnie oczy.

- Mam trzydzieści siedem lat. - Po jej policzku spłynęła łza. - Kobiety znacznie starsze ode mnie mają dzieci, więc dlaczego ja nie mogę? Choćby jednego - chlipała. - Czy chcę zbyt wiele?

Zasunęłam kotarę, żeby mogła się przebrać. Kilka minut później podeszła z sukienką do lady. Była już spokojna, miała tylko zaczerwienione powieki.

- Nie musi jej pani kupować - powiedziałam.

- Ale chcę - odparła cicho. - Ilekroć poczuję się przygnębiona, po prostu ją włożę. Albo powieszę na ścianie, tak jak pani tutaj, i sam jej widok podniesie mnie na duchu.

- Cóż, mam nadzieję, że odniesie spodziewany skutek, jeśli jednak zmieni pani zdanie, proszę ją po prostu przynieść z powrotem. Musi być pani pewna, że naprawdę chce ją mieć.

- Jestem pewna - szepnęła. - Ale dziękuję.

- Cóż... - Uśmiechnęłam się do niej bezradnie. - Życzę pani wszystkiego najlepszego - dodałam i wręczyłam jej torbę z „wesołą” sukienką.

Annie wróciła z castingu o jedenastej.

- Reżyser był wstrętny! - wykrzyknęła. - Kazał mi się obrócić wokół własnej osi, jakbym była kawałkiem mięsa!

Przypomniałam sobie okropnego Keitha, który kazał się w ten sposób obracać swojej dziewczynie.

- Mam nadzieję, że tego nie zrobiłaś.

- Oczywiście, że nie. Po prostu wyszłam. Powinnam to gdzieś zgłosić - mruknęła, zdejmując żakiet. - Tak czy inaczej, po czymś takim miło znowu znaleźć się w twoim sklepie.

Miałam wyrzuty sumienia, że jestem zadowolona z faktu, iż casting nie spełnił jej oczekiwań. Opowiedziałam Annie o dziewczynie, która kupiła różową bezę.

- Biedactwo - sapnęła, znowu opanowana. - A ty? Chcesz mieć dzieci? - zagadnęła, szybko nakładając błyszczący na usta.

- Nie - odparłam. - Dzieci nie ma na moim radarze. Poza dzieckiem mojego ojca, pomyślałam gorzko.

- Masz chłopaka? - spytała Annie, zamykając torebkę. - Nie żeby to była moja sprawa.

- Nie, jestem sama. Poza tym, że od czasu do czasu się z kimś umówię - powiedziałam, myśląc o zbliżającej się kolacji z Milesem. - W tej chwili najważniejsza jest dla mnie praca. A ty?

- Spotykam się z takim jednym Timem od kilku miesięcy - odpowiedziała Annie. - Jest malarzem, mieszka w Brighton. Ale na razie jestem za bardzo skupiona na karierze, żeby zakładać rodzinę. Poza tym mam dopiero trzydzieści dwa lata, mam czas. - Wzruszyła ramionami.

-Ty też masz jeszcze czas.

Spojrzałam na zegarek.

- Nie mam. Już jestem spóźniona. Muszę pojechać do pani Bell po ubrania.

Zostawiłam Annie w sklepie, poszłam do domu, wzięłam dwie walizki i pojechałam do Paragon.

Od czasu kiedy tam byłam, domofon został naprawiony, więc pani Bell nie musiała schodzić na dół. Kiedy otworzyła drzwi mieszkania, pomyślałam, że to dobrze, bo wydała mi się jeszcze słabsza niż przed tygodniem.

Powitała mnie ciepło i położyła kruchą, pokrytą plamami dłoń na moim ramieniu.

- Idź i spakuj rzeczy. Mam nadzieję, że później zostaniesz chwilę i napijesz się ze mną kawy?

- Oczywiście, z przyjemnością.

Poszłam do sypialni i włożyłam do jednej z walizek torebki, buty i rękawiczki, a potem otworzyłam szafę i wyjęłam ubrania. Znowu dostrzegłam wiszący z boku niebieski płaszczyk i zaczęłam się zastanawiać, jaka kryje się za nim historia.

Za moimi plecami rozległy się kroki pani Bell.

- Skończyłaś, Phoebe? - spytała, poprawiając pasek spódnicy w czerwono-zieloną kratę, która była na nią trochę za luźna.

- Prawie - odparłam. - Włożyłam dwa kapelusze do ślicznego starego pudła, które pani Bell dołączyła do ubrań, po czym włożyłam suknię od Ossie Clark do drugiej walizki.

- Te rzeczy od Jaegera... - powiedziała pani Bell, kiedy zatrzasnęłam walizkę. - Mam zamiar oddać je na cele dobroczynne, bo chcę pozbyć się wszystkiego, dopóki jestem w nastroju. Poprosiłabym moją pomoc domową, Paolę, ale akurat wyjechała. Może mogłabyś się tym zająć, Phoebe?

- Oczywiście. - Włożyłam ubrania do dużej reklamówki. - Niedaleko jest sklep Oxfam. Mam je tam zanieść?

- Jeśli to nie problem - rzekła pani Bell. - Dziękuję ci. Rozgość się teraz, a ja zaparzę kawę.

Gazowy kominek w salonie posykiwał cicho. Przez małe szybki w oknach półokrągłego wykuszu przeświecało słońce, rzucając na pokój siatkę wydłużonych cieni.

Pani Bell weszła do pokoju z tacą i drżącymi rękami naląła nam obu kawy ze srebrnego dzbanka. Potem zapytała mnie o sklep i o to, jak go otworzyłam. Opowiedziałam jej trochę o sobie i swoim życiu. Od niej dowiedziałam się, że siostrzeniec jej męża, który mieszka w Dorset, czasami do niej przyjeżdża, czego nigdy nie robi jej mieszkająca w Lyon bratanica.

- Nie ma teraz czasu, bo zajmuje się dwójką małych wnucząt. Dzwoni jednak do mnie czasami. To moja najbliższa krewna, córka mojego zmarłego brata, Marcela.

Rozmawiałyśmy jeszcze przez chwilę, a potem zegar na kominku wydzwonił dwunastą.

Postawiłam filiżankę na stoliku.

- Będę musiała się pożegnać. Ale dziękuję za kawę, pani Bell. Bardzo miło było znowu panią zobaczyć.

Na jej twarzy pojawił się wyraz rozczarowania.

- Tak się cieszę, że cię znowu widzę, Phoebe. Mam nadzieję, że będziemy w kontakcie - dodała. - Ale jesteś oczywiście bardzo zajęta młodą kobietą. Dlaczego miałabyś sobie zawracać głowę...

- Bardzo chętnie znowu się z panią spotkam - przerwałam. - Ale teraz muszę już wracać do sklepu, a poza tym nie chcę pani męczyć.

- Nie jestem zmęczona - powiedziała. - To dziwne, ale od dawna nie miałam tyle energii.

- Cóż... Może mogłabym jeszcze coś dla pani zrobić, zanim pójde?

- Nie - odparła. - Ale dziękuję.

- Pożegnaj się zatem. Do zobaczenia. Wstałam.

Pani Bell patrzyła na mnie, jakby ważyła coś w myślach.

- Zostań jeszcze chwilę - odezwała się nagle. - Proszę.

Moje serce wezbrało litością. Biedna kobieta czuła się samotna, potrzebowała towarzystwa. Już miałam jej powiedzieć, że zostanę jeszcze jakieś dwadzieścia minut, kiedy pani Bell odwróciła się nagle i poszła do sypialni. Usłyszałam, jak otwierała drzwi szafy. Kiedy wróciła, trzymała w ręce błękitny płaszczyk.

Spojrzała na mnie, a jej oczy błyszczały dziwną mocą.

- Pytałaś o to...

- Nie. - Pokręciłam głową. - To... nie moja sprawa.

- Byłaś ciekawa. Patrzyłam na nią, zaskoczona.

- Może... trochę - przyznałam. - Ale to nie moja sprawa, pani Bell. Nie powinnam go wtedy wyjmować.

- Ale ja naprawdę chcę ci o tym opowiedzieć - odparła. - Chcę opowiedzieć ci o tym płaszczyku i o tym, dlaczego go schowałam. A przede wszystkim, Phoebe, chcę ci opowiedzieć, dlaczego trzymam go od tyłu lat.

- Nie musi mi pani niczego opowiadać - zaprotestowałam słabo.

-Przecież pani mnie prawie nie zna.

Pani Bell westchnęła.

- To prawda. Ale ostatnio zaczęłam odczuwać wielką potrzebę, żeby opowiedzieć komuś tę historię. Historię, którą ukrywałam przez wszystkie te lata tutaj, dokładnie tutaj. - Dźgnęła palcami lewej ręki swoją klatkę piersiową. -I z jakiegoś powodu czuję, że gdybym istotnie miała ją komuś opowiedzieć, to właśnie tobie.

Patrzyłam na nią, zdumiona.

- Ale dlaczego?

- Nie wiem - odrzekła ostrożnie. - Wiem tylko, że coś mnie z tobą łączy. Czuję z tobą pewien rodzaj wspólnoty, której sama nie rozumiem.

- Och. Ale... tak czy inaczej... dlaczego chce pani opowiedzieć o tym właśnie teraz? - spytałam słabo. - Po tylu latach...

- Ponieważ... - Pani Bell usiadła na sofie, spoglądając na mnie nie-spokojnie. - W ubiegłym tygodniu... prawdę mówiąc, byłaś tu wtedy...

Otrzymałam wyniki pewnych badań medycznych. Nie rokują najlepiej -ciągnęła spokojnie. - Spodziewałam się, że tak będzie, bo ostatnio bardzo straciłam na wadze. - Teraz zrozumiałam dziwną reakcję pani Bell, kiedy zasugerowałam, że chce przenieść się do „czegoś mniejszego”. - Zaproponowano mi leczenie, ale odmówiłam. Byłoby to bardzo nieprzyjemne i niewiele zyskałabym w ten sposób czasu, a w moim wieku... - Rozłożyła bezradnie ręce. - Mam prawie osiemdziesiąt lat, Phoebe. Żyłam dłużej niż wielu innych, o czym sama wiesz najlepiej. -Wiedziałam, że mówiła o Emmie. - Teraz jednak tym silniej czuję, jak kruche i ulotne jest życie, a przez to ból, który dręczy mnie od tylu lat, jeszcze się nasilił. - Spojrzała na mnie błagalnie. - Muszę opowiedzieć o tym choć jednej osobie, teraz, póki jeszcze mam jasny umysł. Choć jedna osoba musi mnie wysłuchać i może zrozumie, co zrobiłam i dlaczego. - Odwróciła głowę do okna i na jej twarz padły długie cienie framug. - Tak naprawdę muszę się wypowiedzieć. Gdybym wierzyła w Boga, poszłabym do księdza. - Znowu spojrzała na mnie. - Czy mogę opowiedzieć o tym tobie, Phoebe? Proszę?... To nie zajmie nam wiele czasu, obiecuję. Najwyżej kilka minut.

Kiwnęłam głową i usiadłam. Pani Bell pochyliła się do przodu, gładząc palcami płaszczyk, który leżał nieruchomo na jej kolanach. Wzięła głęboki oddech, zmrużyła oczy, patrząc jakby przeze mnie, w okno. Jak w bramę wiodącą w przeszłość.

- Pochodzę z Awinionu - zaczęła. - Wiesz o tym. - Kiwnęłam głową. - Dorastałam w dużej wsi na obrzeżach miasta, mniej więcej pięć kilometrów od centrum. Było to spokojne, senne miejsce. Wąskie uliczki prowadziły na duży plac ocieniony przez platany. Było tam kilka

sklepów i przyjemny bar. Po północnej stronie placu stał kościół, a nad wejściem do niego widniał napis, składający się z wielkich rzymskich liter: „Liberte, Egalite et Fraternite”. - Pani Bell uśmiechnęła się przy tych słowach szyderczo. - Dalej zaczynały się pola, od których wieś oddzielona była tylko torami kolejowymi. Mój ojciec pracował w centrum Awinionu, gdzie miał sklep z artykułami żelaznymi. Miał też niewielką winnicę w pobliżu domu. Matka była maitresse de maison, dbała o ojca i opiekowała się mną oraz moim młodszym bratem Marcelem. Żeby zarobić czasem trochę pieniędzy, zajmowała się szyciem.

Pani Bell założyła kosmyk białych włosów za ucho.

- Marcel i ja chodziliśmy do miejscowej szkoły. Była bardzo mała, uczęszczała tam najwyżej setka dzieci, większość pochodziła z rodzin żyjących w okolicy od pokoleń. Ciągłe pojawiały się te same nazwiska: Caron, Paget, Marigny. I Aumage. - Natychmiast zrozumiałam, że to ostatnie nazwisko odegra w tej historii jakąś rolę. Pani Bell poruszyła się lekko na kanapie. - We wrześniu 1940 roku, kiedy miałam jedenaście lat, w mojej klasie pojawiła się nowa dziewczynka. Widziałam ją raz czy dwa w lecie, ale nie wiedziałam, kim jest. Matka powiedziała, że ta dziewczynka przeprowadziła się do naszej wioski z całą rodziną i że wcześniej wszyscy mieszkali w Paryżu. Dodała też, że kiedy zaczęła się okupacja, wiele takich rodzin musiało uciekać na południe. -Pani Bell spojrzała na mnie. - Wtedy tego nie wiedziałam, ale słówko „takie” okazało się później bardzo znaczące. Tak czy inaczej, ta dziewczynka nazywała się... - Pani Bell głos na moment uwiązł w gardle. -Monique... - wyszeptała po chwili. - Nazywała się Monique Richelieu, a nauczycielka poprosiła mnie, żebym się nią zajęła. - Pani Bell znowu

pogłaskała płaszczyk, niemal czule, a potem odwróciła głowę do okna. - Monique była miłą, przyjazną dziewczynką. Była też inteligentna i pracowita. I bardzo ładna. Miała piękne kości policzkowe, bystre ciemne oczy i włosy tak czarne, że czasem wydawały się aż granatowe. Choć bardzo starała się to ukryć, mówiła z akcentem, który wyróżniał się wśród wielu, z jakimi mówili inni mieszkańcy Prowansji. Ilekroć ktoś w szkole dokuczał jej z tego powodu, Monique mówiła, że to akcent paryski. Ale rodzice powiedzieli mi, że to nie był wcale akcent paryski, tylko niemiecki.

Pani Bell splotła dłonie, przy czym emaliowane kółko, które miała na ręce, zabrzęczało cicho o złotą bransoletkę zegarka.

- Monique zaczęła przychodzić do mnie do domu. Bawiłyśmy się, spacerowałyśmy po polach i wzgórzach, zbierając kwiaty i rozmawiając o swoich sprawach. Czasami pytałam ją o Paryż, który widziałam tylko na zdjęciach. Monique opowiadała mi trochę o życiu w wielkim mieście, ale nigdy nie powiedziała, gdzie dokładnie mieszkała jej rodzina. Często natomiast opowiadała o swojej najlepszej przyjaciółce, Miriam.

Miriam... - Twarz pani Bell nagle się rozjaśniła. - Lipietzka. Właśnie w tej chwili przypomniałam sobie to nazwisko. - Spojrzała na mnie, z niedowierzaniem kręcąc głową. - Tak to jest, Phoebe, na starość. To, co dawno temu zostało pogrzebane, nagle wydostaje się na powierzchnię. - Oczywiście... Wydaje mi się, że pochodzili z Ukrainy. Ale Monique mówiła, że bardzo brakuje jej Miriam, z której była bardzo dumna. Także dlatego, że Miriam była wspaniałą skrzypaczką. Pamiętam, że czułam się trochę zazdrosna, kiedy Monique mówiła o Miriam, i w skrytości ducha miałam nadzieję, że kiedyś ja stanę się jej najlepszą

przyjaciółką, choć byłam zupełnie niemuzykalna. Pamiętam, że bardzo lubiłam chodzić do domu Monique, który stał trochę na uboczu, niedaleko linii kolejowej. Były tam śliczny mały ogródek pełen kwiatów i studnia, a nad frontowymi drzwiami wisiała płaskorzeźba przedstawiająca głowę lwa.

Pani Bell odstawiła filiżankę.

- Ojciec Monique był marzycielem. Nie zaliczał się do praktycznych ludzi. Codziennie jeździł na rowerze do Awinionu, gdzie pracował jako księgowy w biurze rachunkowym. Jej matka nie pracowała, zajmowała się braćmi Monique, Olivierem i Christophem. Bliźniaki miały wtedy trzy lata. Pamiętam, że pewnego dnia Monique przygotowała wieczorny posiłek dla całej rodziny, choć miała przecież zaledwie jedenaście lat.

Powiedziała mi, że musiała nauczyć się gotować, bo po urodzeniu bliźniąt jej matka przez dwa miesiące nie wstawała z łóżka. Monique była świetną kucharką, choć pamiętam, że chleb, który tam jadłam, nie bardzo mi smakował. Tak czy inaczej... wojna trwała. My, dzieci, byliśmy tego świadome, ale nie wiedziałyśmy wiele, bo oczywiście w owych czasach nie było telewizji. Niewielu ludzi miało radioodbiorniki, a dorośli starali się ukryć przed nami, ile tylko mogli. Prawie nigdy nie rozmawiali o wojnie w naszej obecności, najwyżej narzekali na racjonowanie żywności. Mój ojciec najczęściej narzekał na brak piwa... Pani Bell urwała i ściągnęła wargi. - Pewnego dnia, latem 1941...

Monique i ja byłyśmy już bardzo zaprzyjaźnione. Wybrałyśmy się razem na spacer. Przeszłyśmy jakieś trzy kilometry jedną z polnych dróg, które przecinały okolicę, i natknęłyśmy się na starą, rozsypującą się stodołę. Kiedy weszłyśmy do środka, akurat rozmawiałyśmy o imionach.

Powiedziałam, że nie cierpię swojego, Therese. Wydawało mi się takie zwyczajne. Żałowałam, że rodzice nie nazwali mnie Chantal. Potem zapytałam Monique, czy lubi swoje. Ku memu zdumieniu poczerwieniała gwałtownie, a potem nagle wyrzuciła z siebie, że Monique nie jest jej prawdziwym imieniem. Naprawdę nazywała się Monika, Monika Richter. Osłupiałam. - Pani Bell pokręciła głową. - A potem Monique powiedziała, że jej rodzina przyjechała do Paryża z Mannheim pięć lat wcześniej i że jej ojciec zmienił nazwisko, żeby się nie wyróżniać. Zdecydował się na „Richelieu” ze względu na sławnego kardynała.

Pani Bell znowu spojrzała w okno.

- Kiedy spytałam Monique, dlaczego wyjechali z Niemiec, odparła, że nie czuli się tam bezpiecznie. Na początku nie chciała mi powiedzieć z jakiego powodu, ale kiedy ją trochę przycisnęłam, odparła, że to dlatego, że są Żydami. Powiedziała, że nigdy o tym nikomu nie mówiła i że oni wszyscy starają się to ukryć. Potem wymogła na mnie, żebym przysięgła, iż nigdy nie wyjawię tego żywej duszy. Bo w przeciwnym wypadku nie będziemy się już przyjaźnić. Zgodziłam się, oczywiście, choć nie rozumiałam, dlaczego to musi być taka tajemnica. Wiedziałam, że w Awinionie od stuleci mieszkało wielu Żydów, w centrum miasta stała stara synagoga. Jeśli jednak takie było życzenie Monique, postanowiłam je spełnić.

Pani Bell zaczęła znowu głaskać rękawy płaszczyka drżącymi rękami.

- Potem poczułam, że ja też chcę zdradzić Monique pewną tajemnicę. Zwierzyłam się jej więc, że niedawno zakochałam się w pewnym chłopcu z naszej szkoły. Nazywał się Jean-Luc Aumage. - Pani Bell zacisnęła usta w wąską linię. - Pamiętam, że kiedy jej o tym powie-

działam, Monique wydawała się dziwnie speszona. Potem jednak powiedziała, że wygląda na miłego chłopca i że na pewno jest bardzo przystojny.

Wzrok pani Bell znowu powędrował w stronę okna.

- Czas mijał, a my robiliśmy wszystko, by żyć tak, jakby wojny nie było, szczęśliwi, że mieszkamy w południowej „wolnej strefie”. Ale pewnego ranka, było to pod koniec czerwca czterdziestego drugiego roku, zauważyłam, że Monique jest bardzo nerwowa. Powiedziała mi, że właśnie dostała list od Miriam, która pisała, że teraz, tak jak wszyscy Żydzi w Strefie Okupowanej, musi nosić sześcioramienne gwiazdę przyszytą do płaszcza z napisem Juive na środku.

Pani Bell poprawiła płaszczyk na swoich kolanach i wygładziła błękitny materiał.

- Tego dnia oczy wreszcie otworzyły mi się na wojnę. Nocami siadywałam na podeście schodów pod pokojem rodziców i słuchałam audycji nadawanych przez BBC z Londynu; tak jak wielu ludzi mój ojciec kupił nasze pierwsze radio tylko w tym celu. Pamiętam, że kiedy słuchali tych biuletynów, mój ojciec często wydawał okrzyki przerażenia i rozpacz. Z jednego z tych programów dowiedziałam się, że teraz Żydów z obu stref obowiązywały szczególne prawa. Nie wolno im było wstępować do wojska, zajmować stanowisk w rządowych instytucjach ani kupować nieruchomości. Musieli przestrzegać godziny policyjnej, a w Paryżu w metrze wolno im było jeździć tylko ostatnimi wagonami pociągów. Następnego dnia spytałam matkę, dlaczego tak jest, ale powiedziała mi tylko, że żyjemy w ciężkich czasach i że będzie najlepiej, jeśli postaram się nie myśleć za dużo o tej strasznej wojnie, która

na pewno niedługo się skończy, grazie a Dieu. Staraliśmy się prowadzić w miarę „normalne” życie. Ale w listopadzie 1942 roku mój ojciec wrócił do domu wcześniej, zdyszany, i powiedział, że widział dwóch niemieckich żołnierzy z karabinami maszynowymi na motorach, którzy stali przy głównej drodze prowadzącej z naszej wioski do centrum miasta. Następnego ranka, kiedy poszłam do Awinionu z rodzicami, bratem i wieloma innymi, z przerażeniem zobaczyłam niemieckich żołnierzy stojących przy czarnych lśniących citroenach, które zaparkowali pod Palais des Papes. Niemcy stali też pod ratuszem i jeździli po naszych uliczkach wozami pancernymi, ubrani w hełmy i gogle. Nam, dzieciom, wydawali się śmieszni, jak istoty z innej planety. Pamiętam, że rodzice byli na nas źli, bo śmialiśmy się i pokazywaliśmy ich sobie palcami. Kazali nam zachowywać się tak, jakbyśmy ich nie widzieli. Powiedzieli, że jeśli wszyscy tak zrobią, obecność Niemców nie będzie miała na nas wpływu. Ale Marcel i ja wiedzieliśmy, że to tylko brawura; rozumieliśmy doskonale, że „wolna strefa” przestała istnieć i że teraz wszyscy jesteśmy sous la botte.

Pani Bell przerwała i wsunęła za ucho kosmyk włosów.

- Od tego dnia Monique stała się czujna i zupełnie oddaliła się ode mnie. Po lekcjach wracała prosto do domu. Nie mogła się już bawić w niedziele i nie zapraszała mnie do domu. Czułam się tym zraniona, ale kiedy chciałam z nią porozmawiać, powiedziała, że ma mniej czasu, bo matka potrzebuje jej pomocy. Miesiąc później, stojąc w kolejce po mąkę, podsłuchałam pewnego mężczyznę, który mówił, że teraz Żydzi będą mieli pieczątkę z napisem „Żyd” wbitą do dokumentów i kartek na żywność. Ten człowiek, który na pewno sam był Żydem, mówił, że to

straszna niesprawiedliwość. Jego rodzina mieszkała we Francji od dwóch pokoleń. Czyż on sam nie walczył za Francję podczas Wielkiej Wojny? - Pani Bell zmrużyła niebieskie oczy. - Pamiętam, jak potrzęsnał pięścią w stronę kościoła i spytał, gdzie jest teraz wolność, równość i braterstwo? Pomyślałam wtedy, naiwnie, że przynajmniej nie musi nosić żółtej gwiazdy, jak Miriam. To byłoby takie... okropne. - Spojrzała na mnie i pokręciła głową. - Nie wiedziałam jeszcze, że noszenie żółtej gwiazdy to nic w porównaniu z pieczętką w papierach.

Pani Bell przymknęła oczy, jakby wyczerpały ją wspomnienia. Potem znowu je otworzyła i spojrzała wprost przed siebie.

- Na początku czterdziestego trzeciego, mniej więcej w połowie lutego, zobaczyłam Monique, jak stała przy szkolnej bramie, pogrążona w rozmowie z Jean-Lukiem, który był wtedy bardzo przystojnym piętnastolatkiem. Ze sposobu, w jaki owinał jej szyję szalikiem... dzień był bardzo zimny... zrozumiałam, że Monique bardzo mu się podoba. Zauważyłam też, że i on się jej podoba. Uśmiechała się do niego, może nie zachęcająco, ale z taką słodyczą... I niepokojem, jak sędzę. -

Pani Bell westchnęła. - Ciągle byłam zadurzona w tym chłopaku, choć on nigdy na mnie nawet nie spojrzał. Jakaż byłam głupia! - dodała ponuro. - Jaka głupia! - Uderzyła się znowu w pierś, jakby chciała wyznaczyć swoją winę. Potem drżącym głosem podjęła: - Następnego dnia spytałam Monique, czy podoba jej się Jean-Luc. Ona tylko spojrzała na mnie poważnie, niemal ze smutkiem, i powiedziała: „Therese, ty nic nie rozumiesz”, co zdawało się potwierdzać moje przypuszczenia. Przypomniałam sobie, jak zareagowała, kiedy jej powiedziałam o swoim zaręczeniu. Wydawała się zmieszana, i teraz wiedziałam już, dlaczego.

-Pani Bell znowu się uderzyła w piersi. - Ale Monique miała rację, nie rozumiałam. Gdybym tylko mogła to wtedy pojąć... - Pokręciła głową.

-Gdyby tylko...

Pani Bell urwała na moment, żeby opanować wzruszenie.

- Po szkole, cała we łzach, pobiegłam do domu. Matka spytała mnie, dlaczego płaczę, ale za bardzo się wstydziłam, żeby jej powiedzieć.

Wtedy objęła mnie i powiedziała, żebym otarła oczy, bo ma dla mnie niespodziankę. Poszła do kącika, w którym trzymała swoje przybory do szycia, i przyniosła dużą torbę. W środku był śliczny wełniany płaszcz, błękitny jak niebo w czerwcowy poranek. Kiedy go mierzyłam, powiedziała, że trzy godziny stała w kolejce, żeby kupić materiał, a potem szyła płaszcz nocami, kiedy spałam. Uściskałam matkę i powiedziałam, że płaszcz podoba mi się tak bardzo, iż zatrzymam go na zawsze. Matka tylko się roześmiała. „Na pewno nie, głuptasku”, powiedziała. - Pani Bell uśmiechnęła się ponuro. - A jednak to ja miałam rację.

Znowu delikatnie musnęła palcami niebieski materiał. Zmarszczki na jej czole pogłębiły się nieco.

- Potem, pewnego kwietniowego dnia, Monique nie przyszła do szkoły. Nie przyszła też następnego dnia, i dwa dni później. Zapytałam o nią nauczycielkę. Powiedziała, że nie wie, gdzie jest Monique, ale że na pewno niedługo wróci. Potem nadeszła Wielkanoc, a Monique nadal nie było. Ciągle pytałam rodziców, gdzie ona może być, ale mówili, że będzie lepiej, jeśli o niej zapomnę. Że na pewno będę miała jeszcze wiele innych przyjaciółek. Odpowiadałam, że nie chcę innych, chcę Monique. Więc następnego ranka pobiegłam do jej domu. Zapukałam,

ale nikt nie otworzył. Zajrzałam w szpary w okiennicach i zobaczyłam na stole resztki jedzenia. Na podłodze leżał rozbity talerz. Domyśliłam się, że opuścili dom w wielkim pośpiechu, i postanowiłam natychmiast napisać do Monique. Usiadłam przy studni i zaczęłam układać w głowie list, kiedy uświadomiłam sobie, że przecież nie mogę do niej napisać, bo nie mam pojęcia, gdzie ona może być. Czułam się okropnie... Pani Bell przełknęła ślinę.

- Wówczas - ciągnęła - ciągle było bardzo zimno. - Zadrzała. - Mimo iż była już wiosna, nadal chodziłam w moim zimowym płaszczyku. I cały czas się zastanawiałam, dokąd mogła wyjechać Monique i dlaczego jej rodzina tak nagle opuściła dom. Rodzice nie chcieli rozmawiać ze mną na ten temat. Potem, z dziecięcym egoizmem, dostrzegłam też jasną stronę tej sytuacji. Monique niewątpliwie wróci, jeśli nie od razu, to po wojnie, ale może podczas jej nieobecności Jean-Luc zwróci uwagę na mnie? Pamiętam, że robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby tak się stało. Właśnie skończyłam czternaście lat i zaczęłam podkradać matce szminkę. Na noc nawijałam włosy na papiloty, tak jak ona, i przyciemniałam swoje jasne rzęsy pastą do butów, często z komicznym efektem. Szczypałam też policzki, żeby je zaróżowić. Marcel, półtora roku młodszy ode mnie, zauważył to i drwił ze mnie bez litości. Później, pewnego ciepłego, niedzielnego ranka, pokłóciłam się z bratem. Tak się ze mnie naśmiewał, że nie mogłam dłużej tego znieść. Wybiegłam z domu, zatrzaskując za sobą drzwi. Szłam przed siebie jakąś godzinę, aż w końcu dotarłam do starej stodoły, w której Monique mi się zwierzyła, że jest kimś innym. Weszłam do środka i usiadłam w smudze słońca, opierając się o snop siana. Słyszałam świergot jaskółek wysoko pod

stropem i łoskot przejeżdżających w oddali pociągów. Nagle ogarnął mnie straszny smutek. Zaczęłam płakać i nie mogłam przestać. Kiedy siedziałam tak, zalana łzami, usłyszałam jakiś szelest za plecami.

Pomyślałam, że to może być szczur, więc trochę się przestraszyłam, w końcu jednak ciekawość zwyciężyła. Wstałam i poszłam na drugi koniec stodoły, a tam, za stosem snopów siana, leżała... Monique. -Pani Bell spojrzała na mnie, szeroko otwierając oczy. - Osłupiałam. Nie mogłam pojąć, co ona tam robi. Zawołałam ją cicho po imieniu, ale nie odpowiadała. Wpadłam w panikę. Przyklęłam, chwyciłam ją za ramiona i zaczęłam potrząsać...

- I co? - spytałam, z mocno bijącym sercem. - Obudziła się? Pani Bell spojrzała na mnie dziwnie.

- Obudziła się, dzięki Bogu. Ale nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy. Nawet wtedy, kiedy już mnie rozpoznała, co chwila spoglądała gdzieś ponad moim ramieniem. W końcu przerażenie w jej oczach ustąpiło uldze zmieszanej ze zdumieniem. Potem wyszeptała, że nie słyszała, jak wchodziłam, bo była wyczerpana. W nocy ze strachu nie mogła spać. Podniosła się, zeszywniała, i stała tak przez chwilę, patrząc na mnie. A potem objęła mnie mocno ramionami, a ja starałam się jakoś dodać jej otuchy... - Pani Bell urwała z oczami pełnymi łez. - Usiadłyśmy razem na snopie siana. Monique powiedziała mi, że ukrywa się w tej stodole od ośmiu dni. Tak naprawdę była tam od dziesięciu. Wiedziałam o tym, bo mówiła, że dziewiętnastego kwietnia do jej domu przyszło gestapo. Jej akurat nie było, bo poszła kupić chleb. Zabrali jej rodziców i braci. Kiedy wracała, ostrzegli ją sąsiedzi, państwo Antignac. Do wieczora ukrywali ją u siebie na strychu, potem, kiedy zapadł zmrok,

zaprowadzili ją do starej stodoły. Powiedziała, że pan Antignac kazał jej tam zostać, do czasu, aż minie niebezpieczeństwo. Powiedział, że nie wie, jak długo to może potrwać, więc musi być dzielna i cierpliwa. Zastrzegł też, żeby nie robiła hałasu i nie wychodziła ze stodoły. Tylko nocą chodziła ukradkiem do strumienia, żeby przynieść sobie wody w dzbanku, który od niego dostała. Usta pani Bell zadrżały.

- Serce krwawiło mi nad Monique, która została całkiem sama, nie wiedząc, co się dzieje z jej rodziną, udręczona wizją ich nagłego uprowadzenia. Próbowałam sobie wyobrazić, jak ja poradziłabym sobie w takiej sytuacji. Wtedy dopiero cała groza wojny naprawdę do mnie dotarła. - Pani Bell spojrzała na mnie płonąącym wzrokiem. - Jak to możliwe, że całkowicie niewinni ludzie, mężczyźni i kobiety... I dzieci... - dodała gwałtownie: - Dzieci! - Jej jasnoniebieskie oczy były pełne łez. - Jak to możliwe - ciągnęła - że tak po prostu wyciągano ich z domów i ładowano do pociągów, zmierzających ku... „nowym horyzontom“?! - powiedziała z pogardą. - To eufemizm, którego znaczenie poznałam później. Tak jak określenie „obozy pracy na wschodzie”. - Głos uwiązł jej w gardle. - „Miejsce przeznaczenia nieznane” - wyszeptała. - Tak się to nazywało... - Zasłoniła twarz rękami.

Przez chwilę w ciszy, która zaległa w pokoju, słychać było tylko tykanie zegara.

- Na pewno chce pani mówić dalej? - spytałam łagodnie. Pani Bell kiwnęła głową.

- Chcę ci o tym opowiedzieć. - Sięgnęła do rękawa bluzki i wyjęła z niego chusteczkę do nosa. - Muszę... - Przycisnęła chusteczkę do oczu, zamrugowała i głosem drżącym z emocji i wysiłku podjęła opowieść. -

Monique już była wychudła i zaniedbana. Miała splątane włosy, a twarz i ręce brudne. Ale na szyi nosiła śliczny naszyjnik z weneckiego szkła, który dostała od matki na trzynaste urodziny. Paciorki, duże i prostokątne, mieniły się złoto-różowym, spiralnym wzorem. Monique ciągle ich dotykała, jakby przynosiło jej to ulgę. Powiedziała, że choć bardzo chce odnaleźć rodzinę, rozumie, że na razie musi zostać tam, gdzie jest. Dodała, że choć państwo Antignac są bardzo dobrzy, nie są w stanie przynosić jej jedzenia codziennie. Wtedy powiedziałam, że w takim razie ja będę to robić. Monique odparła, że nie wolno mi tak ryzykować, że to niebezpieczne. „Nikt mnie nie zobaczy”, zaprote- stowałam. „Będę udawała, że zbieram poziomki. A zresztą, kogo może obchodzić, co robię?” Po raz drugi w tym samym miejscu musiałam przysiąc Monique, że dochowam tajemnicy. Obiecałam, że nikomu nie powiem, iż ją widziałam. Nawet rodzicom i bratu. Potem pobiegłam do domu. W kuchni odkroiłam trochę chleba ze swojej racji i posmaro- wałam go masłem, dodałam sera z własnego, skromnego przydziału, dorzuciłam jabłko i włożyłam to wszystko do koszyka. Potem powie- działam matce, że znowu wychodzę, bo chcę nazbierać dzikich irysów, które kwitną o tej porze roku. Matka mruknęła tylko, że mam widać mnóstwo energii, i dodała, żebym się zbytnio nie oddalała. Pobiegłam do stodoły i dałam Monique jedzenie. Zjadła łąpczywie połowę i powie- działa, że resztę zostawi na kolejne dwa dni. Mówiła, że boi się szczu- rów, więc schowała zapas pod starym garnkiem. Powiedziałam jej, że wkrótce znowu przyjdę i przyniosę więcej jedzenia. Spytałam też, czy nie potrzebuje czegoś jeszcze. Odparła, że za dnia jest ciepło, ale noce wciąż są zimne. Tak zimne, że nie mogła spać. Miała na sobie tylko ba-

węlnianą sukienkę i rozpinany sweter, a do przykrycia cienki szary koc. „Przydałby ci się płaszcz”, powiedziałam. „Naprawdę ciepły płaszcz...” Nagle coś przyszło mi do głowy. „Przyniosę ci swój. Jutro, późnym popołudniem. Ale teraz lepiej już pójść, bo inaczej rodzice zaczną się niepokoić”. Pocałowałam ją w policzek i wyszłam. Tej nocy prawie nie spałam. Cały czas dręczyła mnie myśl, że Monique leży całkiem sama w stodole, przerażona, nasłuchując skrobania myszy i szczurów, i pohukiwania sów. Wiedziałam, że marznie tak bardzo, iż rano wstaje wyczerpana drżeniem. Potem pomyślałam o płaszczu, który jej zaniosę, i o tym, jak będzie jej w nim ciepło, i ogarnęła mnie radość. Monique była moją przyjaciółką. I miałam zamiar się o nią troszczyć.

Odwróciłam wzrok. Ciężko było mi słuchać tej historii, która coraz bardziej przypominała mi moją własną.

Pani Bell znowu głaskała materiał płaszczyka, jakby chciała go ukoić.

- Postanowiłam, że zaniosę jej wiele wspaniałych rzeczy. Ten płaszczyk, papier i kredki, żeby miała się czym zająć, kilka książek, mydło i pastę do zębów. I oczywiście jedzenie. Mnóstwo jedzenia... -ciągnęła pani Bell. Nagle wydało mi się, że gdzieś daleko słyszę dźwięk dzwonka. - Zasnęłam w końcu i śniłam o wspaniałej uczcie, którą zaniosę Monique.

- Pani Bell znowu uderzyła się w piersi. - Ale nie zrobiłam tego.

Przeciwnie, zawiodłam ją, strasznie ją zawiodłam. Katastrofalnie....

Drrrrrrr...

Rozległ się dzwonek do drzwi. Pani Bell drgnęła i podniosła głowę, a potem wstała, ostrożnie powiesiła płaszczyk na oparciu krzesła i wyszła z pokoju, przyglądając włosy. Usłyszałam jej kroki w korytarzu, a potem głos jakiejś kobiety.

- Pani Bell? Pielęgniarka środowiskowa... tylko porozmawiać... Nikt z poradni do pani nie dzwonił?... jakieś pół godziny... To chyba nie problem?

- Owszem, problem - wyszeptałam.

Pani Bell weszła do pokoju z pielęgniarką, jasnowłosą kobietą po pięćdziesiątce. Szybko wzięła płaszcz i zabrała go z powrotem do sypialni.

Pielęgniarka uśmiechnęła się do mnie.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam? - spytała. Miałam ochotę powiedzieć, że nawet bardzo. - Jest pani znajomą pani Bell?

- Tak. Wpadłam, żeby... porozmawiać. - Wstałam i spojrzałam na panią Bell, która wróciła do salonu. Jej twarz ciągle nosiła ślady silnych emocji. - Pójdę już, pani Bell, ale wkrótce do pani zadzwonię.

Pani Bell położyła dłoń na mojej ręce i spojrzała mi prosto w oczy.

- Tak, Phoebe - powiedziała. - Zadzwon.

Schodząc ze schodów, czułam się tak, jakby jakiś ciężar przygniatał mnie do ziemi, choć walizki były tak lekkie, że prawie ich nie zauważałam. W samochodzie rozmyślałam o historii, którą właśnie usłyszałam. Bardzo współczułam starszej pani, która ciągle tak silnie przeżywała wydarzenia sprzed kilkudziesięciu lat.

W domu oddzieliłam ubrania, które chciałam zabrać do Val. Zadrzałam na myśl o moim pierwszym spotkaniu z medium. Resztę rzeczy odłożyłam do prania albo chemicznego czyszczenia.

Wracając do Village Vintage, wstąpiłam do sklepu Oxfam. Wręczyłam torby z rzeczami pani Bell wolontariuszce, starszej kobiecie, którą często tam widywałam. Wiedziałam, że czasami bywała gderliwa.

- To wszystko ubrania od Jaegera w doskonałym stanie - wyjaśniłam. Kątem oka zauważyłam, że kotara zasłaniająca przymierzalnię poruszyła się lekko. Wyjęłam z torby kostium w kolorze akwamaryny.

- Nowy kosztowałby dwieście pięćdziesiąt funtów. A ten jest zaledwie sprzed dwóch lat.

- Ładny kolor - powiedziała kobieta.

- Prawda? Taki subtelny.

Wtedy zza zasłony wyszedł Dan. Miał na sobie turkusową sztruksową marynarkę i szkarłatne spodnie. Miałam ochotę włożyć ciemne okulary.

- Cześć, Phoebe. Wydawało mi się, że to ty. - Spojrzał w lustro. - Co sądzisz o tej marynarce?

- Co myślę o tej marynarce? - Cóż mogłam mu powiedzieć? - Krój w porządku, ale kolor jest po prostu... ohydny. - Dan był wyraźnie rozczarowany. - Przepraszam, ale zapytałeś.

- Mnie się podoba - odparł. - Jest taki... sam nie wiem... Jak byś go określiła?

- Pawioniebieski - zaproponowałam. - Nie... to raczej cyjan.

- Och. - Dan znowu odwrócił się do lustra. - Czy to coś jak cyjanek?

- Właśnie. Też jest... toksyczny. - Spojrzałam na wolontariuszkę i skrzywiłam się lekko. - Przykro mi.

Wzruszyła ramionami.

- Nic nie szkodzi. Ja też uważam, że jest okropny. Ale na nim wygląda prawie dobrze. - Skinęła głową w stronę Dana. - Chowasz bardzo przystojną twarz pod tymi włosami. - Spojrzałam na niego, uśmiechał się do wolontariuszki z wdzięcznością. Rzeczywiście miał bardzo przystojną twarz. Duży, prosty nos, ładne usta z dołeczkami w kącikach,

przejrzyste szare oczy. Kogo on mi przypominał? - Ale do czego mógłbyś nosić tę marynarkę? - spytała kobieta. - Musisz się nad tym zastanowić. Jesteś naszym stałym klientem, więc powinnam udzielić ci jakiejś rady.

- Och, będzie pasowała do wielu rzeczy - odparł Dan uprzejmie. - Na przykład do tych spodni.

- Nie jestem pewna - mruknęłam. Zdaje się, że przy doborze ubrań Dan nie kierował się żadnymi zasadami.

Zdjął marynarkę.

- Wezmę ją - oznajmił radośnie. - I te książki. - Wskazał stos książek w miękkich okładkach, który wznosił się na ladzie. Na wierzchu leżała biografia Greta Garbo. Dan postukał w nią palcem, po czym spojrzał na mnie. - Wiedziałaś, że Louis B. Mayer chciał, żeby zmieniła nazwisko na inne, bo uważał, że Garbo będzie się kojarzyło z garbowaniem?

- Eee, nie... nie wiedziałam. - Spojrzałam na piękną twarz na okładce. - Uwielbiam filmy z Gretą Garbo. Chociaż od wieków żadnego nie widziałam - dodałam, kiedy Dan płacił za marynarkę.

Spojrzał na mnie.

- A więc masz szczęście. W kinie w Greenwich będzie festiwal filmów o Rosji pod koniec miesiąca. Puszczą między innymi Annę Kareninę. - Odebrał resztę. - Pójdziemy razem.

Spojrzałam na niego.

- No... nie wiem.

- Dlaczego nie? - Wsunął drobne do skarbonki przy kasie. - Tylko nie mów, że wolałabyś iść sama.

- Nie... tylko, że... Wolałabym to przemyśleć.

- Nie rozumiem, dlaczego - odezwała się wolontariuszka, odrywając rachunek z kasy. - Moim zdaniem to cudowna perspektywa, wybrać się na film z Gretą Garbo z takim miłym młodym człowiekiem.

- Tak, ale... - Nie chciałam dodawać, że poza tym, iż jego zaproszenie zabrzmiało cokolwiek zbyt pewnie, widziałam Dana tylko dwa razy. - Nie wiem nawet, czy... będę mogła.

- Nie martw się. - Dan otworzył torbę. - Mam tu ulotkę z programem. - Wyjął ją i zaczął czytać. - To będzie... w środę, dwudziestego czwartego, o siódmej trzydzieści. Może być? - Patrzył na mnie wyczekująco.

- Cóż...

Wolontariuszka westchnęła ze zniecierpliwieniem.

- Jeśli ty z nim nie pójdziesz, ja to zrobię. Nie byłam w kinie od pięciu lat - dodała. - Od czasu, kiedy zmarł mój mąż. Kiedyś chodziliśmy do kina w każdy piątek. Teraz nie mam z kim pójść i wiele bym dała za takie zaproszenie. - Pokręciła głową, spoglądając na mnie z niedowierzaniem, a potem podała Danowi torbę z marynarką i uśmiechnęła się pocieszająco. - Proszę, kochany. Mam nadzieję, że niedługo znowu cię zobaczę.

- Na pewno - obiecał Dan. Potem razem wyszliśmy ze sklepu. - Co będziesz robić? - spytał, kiedy ruszyliśmy w dół ulicy.

- Muszę iść do banku. Miałam to załatwić już wcześniej.

- Idę w tamtą stronę, odprowadzę cię. Jak idą interesy?

- Całkiem nieźle - odparłam. - W dużej mierze dzięki twojemu artykułowi - dodałam. - Poczułam się trochę winna, że reagowałam na

niego z taką irytacją. Dan, jak zwykle, wytrącił mnie z równowagi swoją... spontanicznością. - A jak twoja gazeta?

- W porządku - rzucił. - Nakład wzrósł do jedenastu tysięcy. Na początku było dziesięć, więc to dobry wynik. Ale przydałoby nam się więcej reklam, miejscowe firmy ciągle nas nie zauważają.

Na szczycie wzgórza przeszliśmy przez skrzyżowanie i Dan zatrzymał się nagle przed wejściem do centrum Age Exchange*.

- Chciałbym tu wstąpić.

Spojrzałam na pomalowaną brązową farbą fasadę.

- Po co?

- Mam zamiar napisać o nich artykuł, więc muszę się trochę rozejrzeć.

- Od lat tu nie byłam - powiedziałam w zamyśleniu, zaglądając w okna budynku.

- Więc chodź ze mną - zaproponował Dan.

- Nie mam czasu. Tylko... - Właściwie dlaczego odmawiam, pomyślałam. Annie zajmuje się sklepem, a mnie wcale aż tak się nie spieszy. - Dobrze. Ale tylko na chwilę.

Wnętrze Age Exchange sprawiało wrażenie, jakby wiele lat temu czas się tu zatrzymał. Przywodziło na myśl jeden z tych dawnych sklepów, pełnych przedwojennych skrzynek na mydło i innych starych opakowań. Były tam ozdobna mosiężna kasa sklepowa przypominająca maszynę do pisania, radio z bakelitu i kilka małych skrzynkowych aparatów fotograficznych Kodak Brownie. W wysuniętych szufladach drewnianej komody leżały stare medale, szydełka, szmaciane lalki i szpule bawełnianej przędzy - zbieranina przedmiotów z innej epoki.

Przeszliśmy dalej, na tył pomieszczenia, gdzie znajdowała się galeria. Wisiało tam kilkanaście czarno-białych fotografii, które stanowiły część wystawy poświęconej życiu East Endu w latach trzydziestych i czterdziestych. Jedno ze zdjęć przedstawiało dziewczynkę bawiącą się na zbombardowanej ulicy w Stepney. Napis poniżej informował, że obecnie ma ona ponad osiemdziesiąt lat i mieszka w Blackheath.

- Więc to rodzaj muzeum - stwierdziłam.

- Raczej lokalny dom kultury - odparł Dan - w którym ludzie starsi mogą wspominać swoje życie. Są tu teatr i kawiarnia. Prawdę mówiąc...

- Dan kiwnął głową w stronę wysokiej lady - chętnie napiłbym się kawy.

A ty?

[* Age Exchange (ang.) - założona w 1983 roku w Wielkiej Brytanii organizacja, której celem jest szeroko pojęta pomoc ludziom starszym, a także ich integracja z lokalną społecznością i wymiana międzypokoleniowa. Lokalne centra Age Exchange łączą w sobie cechy muzeów, domów kultury i klubów (przyp. tłum.).]

Kiedy usiedliśmy przy stoliku, Dan wyjął notatnik i ołówek. Zaczął go ostrzyć.

- A więc ją znalazłeś. - Wskazałam głową temperówkę.

- Tak, dzięki Bogu.

- Jest taka wyjątkowa? Dan położył ją na stole.

- Mam ją po babci. Zmarła trzy lata temu.

- Zostawiła ci temperówkę? - spytałam. Dan kiwnął głową. Nie umiałam powstrzymać się od zadania kolejnego pytania: - To wszystko, co ci zostawiła?

- Nie. - Dan dmuchnął na zaostrzony czubek. - Zostawiła mi jeszcze pewien okropny obraz. Czułem się nieco... zawiedziony - powiedział delikatnie. - Ale temperówka naprawdę mi się podoba.

Gdy zaczął notować coś w zeszycie spytałam go, od jak dawna jest dziennikarzem.

- Od czterech miesięcy - odparł. - Jestem nowicjuszem.

To wyjaśniało jego braki w technice przeprowadzania wywiadów.

- A co robiłeś wcześniej?

- Pracowałem w agencji marketingowej. Zajmowałem się promocją różnych produktów. Głównie poprzez systemy nagród, bony wartościowe, vouchery, karty stałego klienta, oferty w stylu „kup dwa, trzeci dostaniesz za darmo”.

- Pięć procent zniżki przez pierwszy tydzień? - przerwałam mu kpiąco.

- Właśnie. - Dan oblał się rumieńcem. - Takie rzeczy...

- Dlaczego to rzuciłeś? Zawahał się.

- Robiłem w kółko to samo przez dziesięć lat i miałem ochotę na jakąś zmianę. Mój stary kumpel, Mart, rzucił niedawno pracę w „Guardianie”, gdzie redagował strony ekonomiczne, i założył własną gazetę. Mówił, że to zawsze było jego marzeniem, i stwierdził, że potrzebuje... pomocy.

Więc przemyślałem sobie wszystko i postanowiłem, że spróbuję.

- zaproponował ci, żebyś pisał do jego gazety?

- Nie - odparł Dan. - Miał już wtedy dwóch etatowych dziennikarzy. Ja zajmuję się marketingiem, ale mam carte blanche na pisanie o wszystkim, co mnie zainteresuje.

- Pochlebiasz mi.

Dan spojrzał na mnie.

- Widziałem cię - powiedział. - Dzień przed otwarciem sklepu, chyba ci o tym wspominałem. Przechodziłem ulicą, a ty akurat stałaś w oknie i ubierałaś tę lalkę...

- Manekin.

- Miałaś z tym problem, bo ciągle odpadała mu ręka. Przewróciłam oczami.

- Nie znoszę się z nimi szarpać.

- Widziałem, jak bardzo starałaś się nad sobą zapanować... I pomyślałem sobie: chciałbym pogadać z tą kobietą. No więc przyszedłem pogadać.

- Dwie kawy! - zawołała wolontariuszka, stawiając kubki na ladzie.

Wzięłam je i wyciągnęłam w stronę Dana.

- Który wybierasz? Czerwony czy zielony?

- Może... - zawahał się. - Czerwony. - Wyciągnął rękę.

- Ale wziąłeś zielony.

Dan spojrzał na kubek z ukosa.

- Rzeczywiście.

Nagle wszystko stało się jasne.

- Dan, jesteś daltonistą? - spytałam. Dan ściągnął wargi, a potem kiwnął głową. Dużo czasu mi to zajęło, pomyślałam. - Czy to bardzo... utrudnia życie?

- Właściwie nie. - Wzruszył ramionami z filozoficznym spokojem. - To tylko oznacza, że nie mogłem zostać elektrykiem...

- No tak, te kolorowe druciki.

- Ani kontrolerem lotów, ani pilotem, jeśli już o tym mowa. Trudności w postrzeganiu kolorów, jak to ładnie nazywają, oznaczają też, że widuję zielone koty, nie umiem zbierać truskawek i często źle dobieram sobie ubrania, co pewnie zdążyłaś zauważyć.

Poczułam, że się czerwienię.

- Gdybym wiedziała, dlaczego, wykazałabym więcej taktu.

- Ludzie pozwalają sobie czasem na niegrzeczne uwagi na temat moich strojów, ale im tego nie wyjaśniam, jeśli nie muszę.

- Kiedy to odkryłeś?

- Pierwszego dnia w szkole podstawowej. Mieliśmy narysować drzewo. Moje miało jaskrawoczerwone liście i zielony pień. Nauczycielka poradziła rodzicom, żeby poszli ze mną na badanie wzroku.

- Więc dla ciebie te spodnie nie są szkarłatne? Dan spojrzał w dół, na swoje sztruksy.

- Nie wiem, co to znaczy „szkarłat”. Dla mnie to abstrakcyjny koncept, jak dźwięk dzwonu dla kogoś, kto jest głuchy. A te spodnie wydają mi się oliwkowe.

Upiłam łyk kawy.

- A jakie kolory widzisz normalnie?

- Pastele. Jasny niebieski, różowy... No i oczywiście czerń i biel. Lubię wszystko, co jest czarno-białe. - Skinął głową w stronę wystawy starych fotografii. - Jest w tym coś, co...

Usłyszałam nagle melodię As Time Goes By i przez chwilę sądziłam, że płynie z głośników, potem zorientowałam się, że był to dzwonek komórki Dana.

Spojrzał na mnie przepaszająco i odebrał.

- Cześć, Matt - rzekł cicho. - Jestem za rogiem, w Age Exchange... Tak, mogę rozmawiać... przez chwilę... Przepraszam - powiedział do mnie bezgłośnie. - Och, rozumiem... - Spoważniał i wstał z krzesła. -Cóż, jeśli to podtrzyma... - dodał, odchodząc od stolika. - Mocny dowód. .. - mówił, wychodząc do małego ogródka na tyłach budynku. -Musi być pewna... Będę tam za dwie minuty... - Przepraszam - powiedział, kiedy wrócił do stolika. Wydawał się roztargniony. - Matt chce coś ze mną omówić, muszę już iść.

- Ja też mam kilka spraw do załatwienia. - Podniosłam torebkę. -Ale cieszę się, że tu wstąpiłam. Dzięki za kawę.

Wyszliśmy z centrum i przystanęliśmy na chodniku.

- Ja w tę stronę - Dan skinął w prawo. - Redakcja „Black & Green” jest dwa kroki stąd, obok poczty, a ty idziesz tam... Ale... pójdziemy razem na Annę Kareninę.

- Cóż... dlaczego nie pozwolisz mi się zastanowić? Dan wzruszył ramionami.

- Dlaczego po prostu nie powiesz „tak”?

A potem, jakby była to najnaturalniejsza rzecz na świecie, pocałował mnie w policzek i poszedł.

Kiedy pięć minut później weszłam do Village Vintage, Annie właśnie odkładała słuchawkę telefonu.

- Dzwoniła pani Bell - oznajmiła. - Zdaje się, że zapomniałaś zabrać pudło na kapelusze, kiedy byłaś u niej rano.
- Zapomniałam pudła? - Nawet tego nie zauważyłam.
- zaproponowała, żebyś przyszła po nie jutro o czwartej. Prosiła, żebyś zadzwoniła do niej tylko w przypadku, gdyby ci to nie pasowało. Ale ja mogę ci je przynieść, jeśli...
- Nie, zrobię to sama. Dziękuję. Pasuje mi jutro o czwartej. Nawet bardzo...

Annie spojrzała na mnie, zaciekawiona.

- Jaka ona jest, ta pani Bell? - spytała, podnosząc satynową sukienkę wieczorową, która ześlizgnęła się z wieszaka.
- Jest urocza... i bardzo interesująca.
- Pewnie starsi ludzie czasami wciągają cię w rozmowę.
- Owszem.
- Założę się, że opowiadają ciekawe rzeczy. To jest w tej pracy naprawdę fascynujące - ciągnęła Annie. - Uwielbiam, kiedy starsi ludzie opowiadają o swoim życiu, uważam, że powinniśmy częściej ich słuchać.

Właśnie zaczęłam opowiadać Annie o Age Exchange, w którym, jak się okazało, nigdy nie była, kiedy znowu zadzwonił telefon. Dzwonił producent z Radia Londyn. Powiedział, że widział wywiad ze mną w „Black & Green” i chciałby przyjść w następny poniedziałek, żeby porozmawiać o modzie retro. Odparłam, że chętnie to zrobię. Potem Miles przysłał mi SMS-a z informacją, że zarezerwował stół w Oxo Tower na czwartek, na ósmą wieczorem. Później odebrałam sporo zamówień internetowych, w tym pięć na francuskie koszule nocne. Widząc, jak

szybko znika mój towar, zarezerwowałam bilet do Awinionu na ostatni tydzień września. Resztę popołudnia spędziłam na rozmowach z ludźmi, którzy chcieli mi sprzedać swoje rzeczy.

- Jutro przyjdę dopiero w porze lunchu - powiedziałam do Annie, kiedy zamykałam sklep. - Muszę pojechać do Val, mojej krawcowej. - Nie dodałam, że mam się także spotkać z medium. Myśl o tym nagle wydała mi się przerażająca. Postanowiłam, że po południu pójde do pani Bell.

Rozdział 6

Następnego ranka wysłałam suknię od Balenciagi do Cindi z Beverly Hills, zastanawiając się z roztargnieniem, dla której z jej sławnych klientek była przeznaczona. Potem, lekko podenerwowana, pojechałam do Kidbrooke. W torebce miałam trzy zdjęcia Emmy. Pierwsze zostało zrobione, gdy miałyśmy dziesięć lat, na plaży w Lyme Regis, dokąd tata zabrał nas na cały dzień. Szukaliśmy skamielin. Na zdjęciu Emma trzyma w rękach duży amonit, który wtedy znalazła i zatrzymała na zawsze. Ojciec powiedział, że ma około dwustu milionów lat. Pamiętam, jak nam obu trudno było w to uwierzyć. Druga fotografia została zrobiona na wystawie dyplomowej w Royal College of Art. Trzecie zdjęcie przedstawiało nas obie w dniu urodzin Emmy - jak się okazało, ostatnich. Na głowie miała jedyny kapelusz, jaki zrobiła dla siebie. Był z zielonej słomki, z której „wyrastała” różowa jedwabna róża. Ciasno przylegał do głowy i miał dość wąskie rondo.

- Podoba mi się - powiedziała Emma z udawanym zdumieniem, przeglądając się w małym lusterku. - Oto kapelusz, w którym zostanę pochowana!

Podniosłam rękę do dzwonka Val. Otworzyła zdenerwowana, bo właśnie rozsypała pieprz.

- To rzeczywiście kłopot - sapnęłam, z bólem serca przypominając sobie kolację u Emmy. - Te ziarenka wcisną się wszędzie.

- Och, nie o to chodzi - odparła Val. - Tak się tym przejęłam, bo rozsypanie pieprzu przynosi straszego pecha.

Spojrzałam na nią, osłupiała.

- Dlaczego?

- Zwykle oznacza koniec przyjaźni. - Nagle zrobiło mi się zimno.

- Muszę teraz uważać, co mówię do Mags. No, co tam masz? - Val skinęła głową w stronę mojej walizki.

Wstrząśnięta tym, co właśnie usłyszałam, pokazałam Val sześć sukienek i trzy kostiumy pani Bell.

- Tylko kilka poprawek - mruknęła, oglądając ubrania. - Ta sukienka od Ossie Clark jest śliczna. Wyobrażam sobie, jak cudownie musiała w niej wyglądać jakaś kobieta w sześćdziesiątym piątym. - Odwróciła ją na lewą stronę. - Podarta podszewka? Zostaw to, Phoebe, zadzwonię, kiedy będą gotowe.

- Dzięki. W takim razie - dodałam z fałszywą wesołością - zajrzę do twojej sąsiadki.

Val uśmiechnęła się zachęcająco.

- Powodzenia.

Kiedy naciskałam dzwonek Maggie, serce biło mi jak dzwon.

- Wejź, kochana! - krzyknęła. - Jestem w salonie.

Ruszyłam przedpokojem, w którym unosił się zapach Magie Noir zmieszany ze stęchłym dymem papierosowym. Po chwili znalazłam Mags, siedzącą przy małym kwadratowym stoliku. Ruchem głowy wskazała mi miejsce naprzeciw siebie. Usiadłam i rozejrzałam się wokół. Nic w tym pokoju nie wskazywało na to, czym zajmuje się pani domu. Nie było żadnych obszytych frędzlami abażurów, kryształowych kul ani kart do Tarota. Tylko trzyczęściowa meblościanka, duży plazmowy telewizor, dębowa komoda i półka, na której siedziała wielka porcelanowa lalka o lśniących brązowych lokach i znudzonym wyrazie twarzy.

- Jeśli spodziewałaś się wirujących stolików, będziesz rozczarowana - powiedziała Mags. Zupełnie jakby czytała w moich myślach. Uznałam to za dobry znak. - Nie bawię się w gaszenie światła i trzymanie się za ręce. O, nie. Ja tylko umożliwię ci rozmowę z osobą, która była ci bliska. Jestem kimś w rodzaju operatora, który cię z nią połączy.

- Mags... - Nagle ogarnęły mnie wątpliwości. - Teraz, kiedy tu jestem, czuję się trochę... dziwnie. Nie sądzisz, że to profanacja, tak... dzwonić do zmarłych?

Zwłaszcza przez taką „międzymiastową”, dodałam w myślach.

- Nie, absolutnie - odparła Mags. - Rzecz w tym, że oni tak naprawdę nie zmarli, prawda? Po prostu są teraz gdzie indziej, ale - podniosła do góry palec - można się nimi skontaktować. W każdej chwili, Phoebe. Możemy zaczynać. - Mags patrzyła na mnie wyczekująco. -No, zaczynajmy. - Spojrzała znacząco na moją torebkę.

- Och. Przepraszam. - Sięgnęłam po portfel.

- Najpierw interes, potem przyjemność - powiedziała Mags. - Dziękuję.
- Wzięła ode mnie pięćdziesiąt funtów i wsunęła je do stanika. Wyobraziłam sobie, jak musi tam być ciepło. A potem zaczęłam się zastanawiać, co jeszcze tam trzyma. Dziurkacz? Książkę telefoniczną? Małego psa?

Teraz, kiedy Mags była już gotowa, położyła dłonie płasko na stoliku, jakby chciała zebrać siły przed podróżą w zaświaty. Jej pomalowane na czerwono paznokcie były tak długie, że wyginały się na końcach jak ptasie szpony.

- A więc... straciłaś kogoś - zaczęła.

- Tak. - Już postanowiłam, że nie pokażę Mags zdjęć ani nie powiem nic na temat Emmy.

- Straciłaś kogoś... - powtórzyła. - Kogoś, kogo kochałaś.

- Tak. - Czułam, jak zaczyna mnie ścisnąć w gardle.

- Bardzo kochałaś.

- Tak - powtórzyłam.

- Bliskiego przyjaciela. Kogoś, kto był dla ciebie całym światem.

Kiwnęłam głową, usiłując powstrzymać łzy.

Mags zamknęła oczy i zaczęła głęboko oddychać przez nos, wydając przy tym świszczące dźwięki.

- A co chciałabyś powiedzieć tej osobie?

Zaskoczyła mnie, bo nie spodziewałam się, że pierwsza będę musiała coś powiedzieć. Zamknęłam oczy i pomyślałam, że najbardziej chciałabym powiedzieć Emie, jak bardzo jest mi przykro. Chciałabym jej też powiedzieć, że bardzo mi jej brakuje, że ta tęsknota tkwi w moim sercu

jak cierń. A na końcu chętnie powiedziałabym jej, że jestem na nią zła za to, co zrobiła.

Spojrzałam na Mags i nagle ogarnął mnie niepokój.

- Jakoś... nic nie przychodzi mi w tej chwili do głowy.

- Nie ma sprawy, kochanie. Ale... - Mags zrobiła teatralną pauzę. - Twój przyjaciel chce ci coś powiedzieć.

- Co? - spytałam słabo.

- To bardzo ważne.

- Powiedz mi, co mówi.... - Serce waliło mi jak oszalałe. - Proszę.

- Cóż...

- Powiedz mi!

Mags wzięła głęboki oddech.

- On mówi, że... Zamrugalam.

- To nie jest „on”.

Mags otworzyła oczy i spojrzała na mnie, osłupiała.

- To nie jest „on”?

- Nie.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście.

- To dziwne, bo przychodzi do mnie imię Robert. - Spojrzała na mnie z ukosa. - Jest bardzo wyraźne.

- Nie znałam nikogo o tym imieniu.

- Więc może Bob?

Zaprzeczyłam, a Mags przekrzywiła głowę na bok.

- Rob?

- Nie.

- A czy mówi ci coś imię David?

- Maggie, moja przyjaciółka była kobietą.

Mags zmrużyła oczy, spoglądając na mnie spod sztucznych rzęs.

- Oczywiście - powiedziała rzeczowo. - Tak właśnie myślałam...

-Znowu zaniknęła oczy, głośno wciągając powietrze przez nos. - W porządku. Mam ją. Jeszcze chwila... zaraz cię z nią połączę... - Przez chwilę sądziłam, że usłyszę telefoniczny sygnał albo nagrany na taśmę głos, mówiący: „Proszę czekać, będzie rozmowa”.

- Więc jakie imię teraz do ciebie przychodzi? - spytałam. Mags przycisnęła palce do skroni.

- Na to pytanie nie mogę jeszcze odpowiedzieć, ale mam bardzo silne połączenie z kimś... zza morza...

- Zza morza? - Ucieszyłam się. - Zgadza się. I co dalej? Maggie patrzyła na mnie czujnie.

- Cóż, twoja przyjaciółka lubiła... podróże. Prawda?

- O-owszem... - Jak niemal wszyscy, pomyślałam. - Mags, chciałabym mieć pewność, że łączysz mnie z właściwą osobą, więc może powiesz mi, z jakim krajem moja przyjaciółka była w pewnym sensie związana... Odwiedziła go zaledwie trzy tygodnie przed tym, jak...

- Odeszła? To mogę ci powiedzieć. - Mags znowu zamknęła oczy.

Powieki miała obwiedzione jaskrawoniebieskim cieniem, który rozmażał się w kącikach. - Słyszę to teraz... głośno i wyraźnie... - Zasłoniła uszy rękami i wzniosła oczy do sufitu. - Słyszę, cię, kochanie! Nie musisz tak krzyczeć! - Mags spokojnie zwróciła wzrok na mnie. - Krajem, z którym twoja przyjaciółka była silnie związana, jest... Południowa...
Wstrzymałam oddech.

- Ameryka! Jęknęłam.

- Nie. Nigdy tam nie była. Choć zawsze chciała tam pojechać - dodałam. Mags patrzyła na mnie tępo.

- Właśnie... dlatego... to usłyszałam. Dlatego, że twoja przyjaciółka zawsze chciała tam pojechać, ale nie pojechała i teraz... ją to dręczy.

- Mags podrapała się po nosie. - Dobrze. Więc ta twoja przyjaciółka... która nazywała się... - Mags znowu zaniknęła oczy i wciągnęła powietrze. - Nadine... - Otworzyła oczy i spojrzała na mnie. - Lisa?

- Emma - powiedziałam, znużona.

- Emma. - Mags energicznie skinęła głową. - Oczywiście. A więc... Emma była bardzo rozsądną, zrównoważoną osobą, prawda?

- Nie - odparłam. To było beznadziejne. - Emma wcale taka nie była. Była wrażliwa i trochę naiwna... Może nawet trochę neurotyczna. Była wesoła i żywiołowa, ale miała też skłonności do popadania w zły nastrój. I była nieprzewidywalna. Robiła czasem... nieprzemysłane rzeczy. - Pomyślałam z goryczą o ostatnim z jej nieprzemysłanych wy-czynów. - Ale może powiesz mi coś o jej pracy? Tylko żebyśmy miały pewność, że to właściwa Emma?

Mags znowu zamknęła oczy i zaraz szeroko je otworzyła.

- Widzę kapelusz...

Ogarnęły mnie jednocześnie euforia i przerażenie.

- Czarny kapelusz - ciągnęła Maggie.

- Jakiego jest kształtu? - spytałam z mocno bijącym sercem. Mags zmrużyła oczy.

- Jest płaski... ma cztery rogi... i długi czarny frędzel... Wszystkiego mi się odechciało.

- Maggie, opisujesz czapkę akademicką. Mags uśmiechnęła się szeroko.

- Właśnie. Bo Emma była nauczycielką, prawda?

- Nie.

- Cóż... więc może miała taką czapkę na rozdaniu dyplomów? Może to właśnie widzę? - Mags zmrużyła oczy i uniosła lekko głowę, jakby usiłowała dojrzeć coś znikającego za horyzontem.

- Nie, nie miała - jęknęłam. - Emma skończyła szkołę plastyczną.

- Wydawało mi się, że była artystką - oznajmiła Mags wesoło. Złożyła dłonie i znów zamknęła oczy, jakby się modliła. Usłyszałam dźwięk telefonu. Co to była za melodia? No tak, Spirit in the Sky. Po chwili zdałam sobie sprawę, że dobiega z klatki piersiowej Mags.

- Przepraszam - powiedziała. Wyjęła zza dekoltu paczkę silk cutów, a potem komórkę. - Cześć - mruknęła do telefonu. - Rozumiem... Nie możesz... W porządku, nie ma sprawy. Dzięki za informację. - Zamknęła telefon, wetknęła go między piersi i wepchnęła głębiej palcem wskazującym. - Masz szczęście - powiedziała do mnie. - Klientka, która miała przyjść o dwunastej, właśnie odwołała wizytę, więc możemy przedłużyć sesję.

Wstałam.

- Dzięki, Mags, ale nie.

Należało mi się to, myślałam, jadąc z powrotem do Blackheath. Na samo wspomnienie tej niesmacznej sytuacji ogarniała mnie złość. A gdyby Mags rzeczywiście skontaktowała się z Emmą? Taki szok mógłby wywołać u mnie załamanie nerwowe. Właściwie byłam zadowolona, że Mags okazała się szarlatanką, a moje oburzenie zmieniło się w ulgę.

Zaparkowałam tam, gdzie zawsze, i weszłam do domu. Potem opróżniłam pralkę, załadowałam do niej kolejne rzeczy i poszłam do sklepu. Po drodze uświadomiłam sobie, że jestem głodna, wstąpiłam więc do Moon Daisy Cafe na szybki lunch. Kiedy usiadłam przy stoliku na zewnątrz, Pippa - która prowadzi ten bar i kiedyś powiedziała mi o Val - przyniosła mi egzemplarz „Timesa”. Przejrzałam z roztargnieniem wiadomości z kraju i ze świata, po czym przeczytałam artykuł na temat Londyńskiego Tygodnia Mody, który właśnie się rozpoczął. Potem otworzyłam gazetę na stronach ekonomicznych i osłupiałam na widok dużej fotografii Guya. Pod nią widniał napis „Dobry człowiek, który daleko zaszedł”. Zaszło mi w ustach. Szybko przebiegłam wzrokiem artykuł.

„Guy Harrap... lat trzydzieści sześć... Friends Provident... założył ostatnio fundację Ethix... inwestycje w przedsiębiorstwa, których działalność nie niszczy środowiska naturalnego... czyste technologie... sprzeciw wobec pracy dzieci... mając na uwadze... dobro zwierząt... oraz bezpieczeństwo i zdrowie ludzi...”

Ogarnęły mnie mdłości. Guy nie miał raczej na uwadze zdrowia i bezpieczeństwa Emmy, czyż nie? „Wiesz, jak ona lubi przesadzać. Pewnie próbuje w ten sposób zwrócić na siebie uwagę”. Nie, nie był takim dobrym człowiekiem, za jakiego chciał się uważać.

Spojrzałam na omlet, który przyniosła mi Pippa, ale nagle straciłam apetyt. Zadzwoiła komórka. Mama.

- Co u ciebie, Phoebe?

- Świetnie - skłamałam. Drżącymi rękami złożyłam gazetę, żeby nie patrzeć na Guya. - A u ciebie?

- Też świetnie - odparła lekko. - Świetnie, świetnie, absolutnie...
beznadziejnie, jeśli chcesz znać prawdę, kochanie.
Słyszałam, że próbuje powstrzymać łzy.
- Co się stało, mamó?
- Cóż, jestem dzisiaj w terenie, w Landbroke Grove. Musiałam dostarczyć Johnowi plany, i... - Przełknęła ślinę. - Czuję się tu okropnie, bo... to tak blisko tego miejsca, gdzie teraz mieszka ojciec z tą... z tą...
- Biedna. Postaraj się... o tym nie myśleć. Patrz w przyszłość.
- Masz rację, kochanie. - Pociągnęła nosem. - Tak zrobię. Prawdę mówiąc, pojawił się taki nowy... - Miałam nadzieję, że powie: „mężczyzna”. - Nowy sposób na zmarszczki. - Osłabłam. - Nazywa się Fraxel. To zabieg laserowy, bardzo naukowa metoda. Naprawdę cofa proces starzenia.
- Naprawdę?
- Tak, chodzi o to, żeby... Mam tu ulotkę... - Usłyszałam poskrzypywanie papieru kredowego. - Żeby „wyeliminować stare komórki epidermy i zregenerować twarz pacjentki, odnawiając kolejno jej fragmenty, tak jak odrestaurowuje się dzieło sztuki”. Niepokoi mnie tylko jedno - dodała mama. - Piszą tu, że terapia skutkuje „gwałtownym złuszczeniem naskórka”.
- Musisz tylko mieć odkurzacz pod ręką.
- I trzeba poddać się minimum sześciu zabiegom.
- Które kosztują...? Matka wstrzymała oddech.
- Trzy tysiące funtów. Ale różnica między zdjęciami „przed” i „po” jest naprawdę zdumiewająca.

- To dlatego, że na zdjęciach „po” kobiety się uśmiechają i mają makijaż.

- Zaczekaj, aż dobiegniesz sześćdziesiątki - jęknęła. - Zrobisz sobie to samo, co ja, plus wszystko, co jeszcze zdążą do tego czasu wymyślić.

- Na pewno nie zrobię - zaoponowałam. - Nie gardzę starością, mamó. Ja ją cenię. Dlatego właśnie zajmuję się tym, czym się zajmuję.

- Nie bądź taka świętoszkowata - burknęła matka. - A teraz powiedz, co się z tobą działo?

Postanowiłam, że nie powiem matce o wizycie u medium. Wspomniałam więc tylko o planowanym na koniec miesiąca wypadzie do Awinionu, a potem, pod wpływem impulsu, napomknęłam też o Milesie. Właściwie nie miałam zamiaru tego robić, ale pomyślałam, że to trochę poprawi jej nastrój.

- Wygląda to obiecująco - powiedziała, kiedy go opisałam. - Szesnastoletnia córka? - wtrąciła. - Cóż, byłabyś świetną macochą, nie mówiąc już o tym, że moglibyście też mieć kilkoro własnych dzieci. Jest rozwiedziony? Wdowiec? Och, to doskonale.... A ile ma lat? Aaa... rozumiem... Jednak z drugiej strony - dodała pogodnie, rozważając sytuację - to znaczy, że nie jest jakimś młokosem bez grosza przy duszy. A niech to, John mnie woła. Muszę kończyć, kochanie.

- Głowa do góry, mamó. I nie mówię o podciąganiu podbródka. Po lunchu spędziłam dwie godziny, przyjmując ubrania, dzwoniąc do firm handlowych i przeglądając strony internetowe domów aukcyjnych. Za dziesięć czwarta włożyłam żakiet i ruszyłam do Paragon.

Pani Bell wpuściła mnie z góry. Weszłam szybko na trzecie piętro, dudniąc stopami po kamiennych schodach.

- O, Phoebe. Tak się cieszę. Wejdz.

- Przykro mi, że zapomniałam o kapeluszach, pani Bell.

Na stoliku w holu leżała ulotka o pielęgniarkach zajmujących się - opieką nad chorymi na raka.

- Nie ma najmniejszego problemu. Zaparzę herbatę. Wejdz i usiądź.

Weszłam do salonu i stanęłam przy oknie, spoglądając na ogród.

Nie licząc małego chłopca w szarych spodenkach i koszulce, który szukał żołądzi wśród opadłych liści, w ogrodzie nie było nikogo.

Pani Bell weszła do pokoju z tacą, i tym razem, kiedy zaoferowałam pomoc, pozwoliła mi ją zanieść do stolika.

- Ręce mam coraz słabsze. Moje ciało powoli ulega wrogowi. Jeszcze jakiś miesiąc będę się czuła w miarę dobrze, a potem... już nie.

- Tak mi przykro - powiedziałam bezradnie.

- Trudno. - Wzruszyła ramionami. - Nic już nie mogę zrobić. Poza tym, że staram się cieszyć każdą chwilą z tego krótkiego czasu, jaki mi pozostał. - Podniosła dzbanek z herbatą, ale musiała to zrobić obiema rękami.

- Jaka jest ta pielęgniarka? Pani Bell westchnęła. -

- Miła i zorganizowana, czego można się było spodziewać. Powiedziała, że pewnie będę mogła tu zostać aż do... - Urwała. - Wolałabym uniknąć szpitala.

- Oczywiście.

Siedziałyśmy w ciszy, popijając herbatę. Zrozumiałam, że pani Bell nie dokończy swojej historii. Z jakiegoś powodu postanowiła, że tego nie zrobi. Może nawet żałowała, że powiedziała mi cokolwiek? Nagle postawiła filiżankę na stole.

- Pudło jest ciągle w sypialni - powiedziała. - Może po nie pójdziesz?

Poszłam do sypialni i w chwili, kiedy podnosiłam pudło, znowu usłyszałam głos pani Bell:

- Bądź tak dobra i przynieś też ten błękitny płaszczyk.

Serce zabiło mi szybciej. Podeszłam do szafy, wyjęłam płaszczyk z folii, zaniiosłam do pokoju i podałam pani Bell. Położyła go sobie na kolanach i pogłaskała.

- A więc... - odezwała się cicho, kiedy usiadłam. - Na czym skończyłam?

- Cóż... - Postawiłam pudło na podłodze. - Mówiła pani, że odnalazła swoją przyjaciółkę, Monique, w starej stodole. I że ukrywała się tam od dziesięciu dni. - Pani Bell powoli pokiwała głową. - Zaniiosła jej pani jedzenie...

- Tak - mruknęła. - Zaniiosłam jej trochę jedzenia, rzeczywiście. A potem obiecałam, że zaniiosę jej ten płaszczyk.

- Zgadza się.

Miałam wrażenie, że pani Bell wciąga mnie w tę historię. Spojrzała w okno, jakby znowu wróciły do niej wspomnienia.

- Pamiętam, jaka byłam szczęśliwa, kiedy myślałam o tym, że pomogę Monique. Ale jej nie pomogłam - dodała cicho. - Zdradziłam ją... - Na moment przycisnęła palce do ust, po czym odetchnęła głęboko. - Miałam wrócić do Monique późnym popołudniem. Cały czas myślałam o tym, co zrobię dla przyjaciółki... - Urwała. - Po lunchu poszłam do piekarni po swoją rację chleba. Stałam w kolejce godzinę, słuchając plotek o ludziach, którzy kupowali różne rzeczy na marche noir. W końcu dostałam przydziałowe pół bagietki, a kiedy wracałam, zobaczyłam

Jean-Luca, który siedział pod barem Mistral. Był sam. Ku mojemu zaskoczeniu nie patrzył przeze mnie, jak to zwykle czynił. Nie! Patrzył prosto na mnie! Potem, co zaskoczyło mnie jeszcze bardziej, zaprosił mnie gestem, żebym do niego dołączyła. Byłam tak przejęta, że nie mogłam wydusić słowa. Kupił mi szklankę soku jabłkowego. On pił piwo. Z radości kręciło mi się w głowie. Oto siedziałam w wiosennym słońcu z tym nieładzko przystojnym chłopcem, za którym od tak dawna wodziłam oczami.

W radiu Frank Sinatra śpiewał Night and Day. W owym czasie była to bardzo popularna piosenka. Nagle przypomniałam sobie o Monique, która dniem i nocą siedziała w stodole, i zdałam sobie sprawę, że powinnam do niej pójść, zaraz. Ale kelner przyniósł drugie piwo dla Jean-Luca. Chłopak spytał mnie, czy kiedykolwiek próbowałam piwa. Odparłam, że nie, oczywiście, przecież miałam dopiero czternaście lat.

Jean-Luc zaśmiał się tylko i powiedział, że już najwyższy czas, żebym spróbowała. Podsunął mi swoją szklankę, a mnie wydało się to takie romantyczne, także dlatego, że piwo było racjonowane. Upiłam więc mały łyk, a potem następny, i następny, choć wcale mi nie smakowało, ale nie chciałam, żeby Jean-Luc to zauważył. Zaczęło zmierzchać. Wiedziałam, że muszę iść. Już teraz. Ale wtedy kręciło mi się już w głowie, było niemal ciemno i zdałam sobie sprawę, zawstydzona, że tego wieczoru nie dotrę do stodoły. Postanowiłam więc, że pójdę tam o świcie, pocieszając się myślą, że spóźnię się tylko kilka godzin.

Pani Bell głaskała płaszczyk, jakby chciała go uspokoić.

- Jean-Luc powiedział, że zabierze mnie do domu. To było takie romantyczne, iść z nim w mroku przez wieś, podczas gdy na wieczornym

niebie zapalały się gwiazdy. Pomyślałam sobie, że zapowiada się pogodna noc. I zimna. - Pani Bell z roztargnieniem złapała za guzik płaszczyka szczupłymi palcami. - Teraz czułam się naprawdę winna, ale cały czas kręciło mi się w głowie i było mi tak dziwnie. I nagle przyszło mi do głowy, że może Jean-Luc mógłby pomóc. W końcu jego ojciec był żandarmem, a władze najwyraźniej musiały się pomylić. I tak... prawie pod samym domem... - Pani Bell zacisnęła dłonie na płaszczyku z taką siłą, że aż zbieleły jej kostki. - Powiedziałam Jean-Lucowi o Monique... powiedziałam mu, że znalazłam ją w starej stodole.

Wyjaśniłam, że mówię mu o tym tylko dlatego, że liczę na jego pomoc. Jean-Luc wydawał się bardzo zainteresowany, tak bardzo, że poczułam się trochę zazdrosna, a potem przypomniałam sobie, jak czule kiedyś zawiązał jej szalik na szyi. Tak czy inaczej... - Pani Bell przełknęła ślinę. - Spytał mnie, gdzie jest ta stodoła, więc powiedziałam mu, jak ją znaleźć. - Pokręciła głową. - Jean-Luc milczał przez chwilę, a potem powiedział, że słyszał o innych dzieciach ukrywanych w podobnych miejscach, a nawet w cudzych domach. Dodał, że to trudna sytuacja. Potem dotarliśmy do mojego domu, więc się pożegnał.

Moi rodzice słuchali muzyki w radiu, więc nie słyszeli, jak skradałam się na górę. Wypiłam mnóstwo wody, bo męczyło mnie pragnienie, a potem położyłam się do łóżka. Na krześle, w świetle księżycy, wisiał błękitny płaszczyk...

Pani Bell podniosła go teraz i przycisnęła do piersi.

- Wstałam następnego ranka. Nie o świcie, lecz dwie godziny później. Czułam się okropnie, bo wiedziałam, że nie dotrzymałam słowa danego Monique. Pocieszałam się jednak myślą, że wkrótce pójde do stodoły i

dam jej mój śliczny płaszczyk. A będzie to duże poświęcenie. Monique będzie mogła spać w nocy i wszystko dobrze się ułoży. I może Jean-Luc naprawdę będzie w stanie jej pomóc. - Przy tych słowach pani Bell uśmiechnęła się ponuro. - Czułam się winna, że nie poszłam do niej poprzedniego wieczoru, więc spakowałam tyle jedzenia, ile tylko mogłam, nie zwracając uwagi rodziców, do koszyka, a potem wyruszyłam do stodoły. Weszłam do środka. „Monique!”- zawołałam szeptem, zdejmując płaszczyk. Nie było odpowiedzi. Wtedy zobaczyłam koc, porzucony na ziemi. Znowu zawołałam Monique po imieniu, ale odpowiedział mi tylko świergot jaskółek. Zaczął mnie ogarniać zimny strach. Poszłam na tył stodoły, za snopy siana, a tam, na podłodze, gdzie sypiała Monique, zobaczyłam rozsypane wśród źdźbeł siana szklane koraliki. Pani Bell zacisnęła rękę na jednym z rękawów.

- Nie miałam pojęcia, co mogło się stać z Monique. Poszłam nad strumień, ale tam jej nie było. Miałam nadzieję, że zaraz wróci i będę mogła dać jej płaszczyk, tak bardzo go potrzebowała. - Pani Bell odruchowo wyciągnęła ręce z płaszczem w moją stronę, a potem opuściła go z powrotem na kolana. - Czekałam tam mniej więcej dwie godziny, a potem pomyślałam, że zbliża się pora obiadu i że rodzice będą się o mnie martwić, więc wróciłam do domu. Rodzice zauważyli moje zdenerwowanie i spytali, co się stało. Skłamałam. Powiedziałam, że jest chłopiec, który mi się podoba, Jean-Luc Aumage. Ale że ja mu się chyba nie podobam. „Jean-Luc Aumage!”, wykrzyknął mój ojciec. „Syn Rene Aumage? Tego drania? Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Nie marnuj czasu, moje dziecko, zasługujesz na kogoś lepszego!”. Cóż... - Oczy pani Bell płonęły oburzeniem. - Miałam ochotę uderzyć ojca za to, że

mówił takie rzeczy. Nie wiedział tego, co ja. Że Jean-Luc obiecał pomóc Monique. Może nawet już jej pomógł. Może dlatego nie było jej w stodole, bo Jean-Luc zabrał ją już do jej rodziców i braci. Byłam pewna, że zrobi wszystko, co w jego mocy. Więc z sercem pełnym nadziei pobiegłam do jego domu, ale matka Jean-Luca powiedziała, że wyjechał do Marsylii i wróci dopiero następnego dnia po południu.

Tego wieczoru znowu poszłam do stodoły, ale Monique nadal tam nie było. Mimo iż robiło się zimno, nie mogłam włożyć błękitnego płaszczka, bo teraz uważałam go już za jej płaszcz. Więc kiedy wróciłam do domu, poszłam do swojego pokoju. Pod łóżkiem była obluzowana deska, pod którą chowałam swoje skarby. Postanowiłam, że ukryję tam płaszcz do czasu, aż będę mogła dać go Monique. Najpierw jednak musiałam owinąć go w jakąś gazetę, żeby się nie pobrudził. Znalazłam egzemplarz „Gazette Provençal”, który wcześniej czytał mój ojciec. Kiedy oddzielałam kartki gazety, jeden z artykułów zwrócił moją uwagę. Dotyczył „udanej akcji”, w wyniku której aresztowano „obcych” i innych „bezpaństwowców” w Awinionie, Carpentras, Orange i Nimes dziewiętnastego i dwudziestego kwietnia. W osiągnięciu tego „sukcesu”, pisał dalej autor artykułu, bardzo pomogła polityka pieczętowania kart żywnościowych Żydów. - Pani Bell spojrzała na mnie. - Teraz wiedziałam już, co się stało z rodziną Monique. W artykule pisano o pociągach jadących na północ, które wywoziły z Francji Żydów i „innych obcych”. Ukryłam płaszcz i zeszłam na dół, oszołomiona.

Następnego dnia po południu pobiegłam do Jean-Luca i zapukałam do drzwi. Ku mej radości otworzył, a ja, z mocno bijącym sercem, spytałam go szeptem, czy udało mu się pomóc Monique. Zaśmiał się i odparł, że

jej pomógł. A jakże. Przerazona spytałam go, co ma na myśli. Nie odpowiedział, więc dodałam, że Monique wymaga opieki. Jean-Luc powiedział: „Teraz już dobrze się nią zaopiekują, tak jak innymi w jej rodzaju”. Spytałam, gdzie jest moja przyjaciółka, a on odrzekł, że pomógł ojcu odstawić ją do więzienia St Pierre w Marsylii, skąd zostanie wysłana pociągiem do Drancy tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Słyszałam o Drancy. Był to obóz na przedmieściach Paryża, w którym przetrzymywano osoby internowane. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że z Drancy Żydów wysyłano dalej na wschód. Do Auschwitz, Buchenwaldu i Dachau. - W jej oczach zabłyśły łzy. - Ale i tak kiedy Jean-Luc zamknął drzwi, dotarła do mnie cała groza tej sytuacji. Przysiadłam na murku i wyszeptałam do siebie: „Co ja narobiłam?” Chciałam pomóc, ale przez moją naiwność i bezdenną głupotę, przyjaciółka została odkryta i wysłana do... - Usta pani Bell zadrżały i po chwili dwie wielkie łzy spadły na niebieski płaszczyk. - Usłyszałam daleki gwizd i pomyślałam, że w tym pociągu może siedzieć Monique... Chciałam pobiec i go zatrzymać... - Sięgnęła po chusteczkę, którą jej podałam, i przycisnęła ją do oczu. - Później, po wojnie, kiedy wszyscy się dowiedzieliśmy, jaki naprawdę był los Żydów, byłam... - pani Bell głos uwiązł w gardle - zdruzgotana. Każdego dnia, bez przerwy, wyobrażałam sobie koszmar, przez który moja przyjaciółka, Monique Richelieu urodzona jako Monika Richter, musiała przejść. Dręczyła mnie świadomość, że na pewno zginęła w Bóg wie jakim upiornym miejscu. W cierpieniu, przeze mnie. - Pani Bell znowu uderzyła się w piersi. -Nigdy sobie tego nie wybaczyłam. I nie wybaczę.

Słuchałam tego ze ściśniętym gardłem. Żal było mi i pani Bell, i siebie samej.

- Jeśli chodzi o płaszczyk... - podjęła pani Bell - trzymałam go w ukryciu pod podłogą, mimo iż matka była na mnie bardzo zła i kazała mi go szukać. Nie dbałam o to, należał do Monique. Tak bardzo chciałam móc jej go dać, chciałam pomóc jej go włożyć i zapiąć guziki. -Dotknęła teraz jednego z nich. - Chciałam też dać jej to. - Wsunęła dłoń do kieszeni płaszczyka i wyjęła z niej naszyjnik. Różowo-brązowe szklane koraliki zaśniły w słońcu. Pani Bell przesunęła je między palcami a potem przytuliła do policzka. - Marzyłam, że pewnego dnia będę mogła dać Monique ten płaszczyk i korale. I dasz wiarę? - Spojrzała na mnie - To nadal jest moje marzenie. - Uśmiechnęła się smutno. - Pewnie wydaje ci się to dziwne, Phoebe.

Pokręciłam głową.

- Nie.

- Trzymałam płaszczyk pod podłogą do 1948 roku, kiedy wyjechałam z Awinionu i zaczęłam nowe życie tutaj, w Londynie. Z dała od miejsca, w którym to wszystko się wydarzyło. Tu nie musiałam się obawiać, że spotkam na ulicy Jean-Luca albo jego ojca. Nie musiałam przechodzić obok domu, w którym kiedyś mieszkała Monique i jej rodzina. Nie zniosłabym jego widoku, bo wiedziałam, że oni już nigdy do niego nie wrócą. I rzeczywiście nigdy więcej go nie widziałam. - Pani Bell westchnęła ciężko. - Ale nawet do Londynu zabrałam ze sobą ten płaszczyk, bo nadal miałam nadzieję, że pewnego dnia uda mi się spełnić obietnicę daną przyjaciółce. To było prawdziwym szaleństwem, gdyż wtedy wiedziałam już, że Monique widziano po raz ostatni piętego

sierpnia 1943 roku, kiedy przyjechała do Auschwitz. - Pani Bell zamru-
gała. - Ale mimo wszystko chowałam ten płaszczyk tyle lat. To moja...
moja... - Spojrzała na mnie. - Jak brzmi to słowo?

- Pokuta - odpowiedziałam cicho.

- Pokuta. - Pani Bell pokiwała głową. - Oczywiście. - Potem wsunęła
naszyjnik z powrotem do kieszeni płaszcza. - Taka jest właśnie historia
niebieskiego płaszczyka. - Wstała. - Odwieszę go teraz. Dziękuję, że
mnie wysłuchałaś, Phoebe. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Od
tyłu lat chciałam to komuś opowiedzieć. Komuś, kto mnie nie potępi, a
może nawet... zrozumie. - Spojrzała na mnie. - Rozumiesz, Phoebe?
Rozumiesz, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam? Dlaczego nadal czuję to,
co czuję?

- Owszem, pani Bell - odparłam cicho. - Lepiej niż może pani
przypuszczać.

Pani Bell poszła do sypialni. Słyszałam, jak zamyka szafę. Potem
wróciła do salonu i usiadła, z twarzą wyzutą z wszelkich emocji.

- Ale... - Poruszyłam się na krześle. - Dlaczego nie opowiedziała pani
tego swojemu mężowi? Z tego, co pani mówiła rozumiałam, że bardzo
go pani kochała.

Pani Bell kiwnęła głową.

- Bardzo. Ale właśnie dlatego, że go kochałam, nie miałam odwagi mu o
tym opowiedzieć. Przerazała mnie myśl, że gdyby się dowiedział,
mógłby patrzeć na mnie zupełnie inaczej, a może nawet potępić.

- Za co? Za to, że była pani młodą dziewczyną, która chciała zrobić coś
dobrego, ale przypadkiem zrobiła...

- Coś złego - dokończyła pani Bell. - Coś najgorszego. Oczywiście nie była to świadoma zdrada - ciągnęła. - Jak powiedziała Monique, nie rozumiałam. Byłam bardzo młoda i często próbowałam pocieszać się myślą, że Monique i tak mogła zostać odkryta. Kto wie...

- Tak - powiedziałam szybko. - Mogłaby. Możliwe, że i tak by zginęła, i to nie miałoby nic wspólnego z panią, absolutnie nic. - Pani Bell patrzyła na mnie z zainteresowaniem. - Pani tylko popełniła błąd - dodałam cicho.

- Ale z tą świadomością wcale nie żyło mi się łatwiej, ponieważ ten błąd kosztował życie mojej przyjaciółki. - Pani Bell odetchnęła głęboko. - I naprawdę trudno było mi to znieść.

Podniosłam pudło na kapelusze i postawiłam je sobie na kolanach.

- Doskonale panią rozumiem. To tak, jakby człowiek cały czas niósł w ramionach ciężki kamień, którego nikt inny nie może unieść, i nie miał go gdzie położyć...

W pokoju nagle zapadła cisza, w której tylko posykiwał gazowy kominek.

- Phoebe? - zapytała cicho pani Bell - Co się naprawdę stało z twoją przyjaciółką? Z Emmą?

Wbiłam wzrok we wzór na wieku pudła. Był niemal abstrakcyjny, ale dostrzegałam w nim kształt tulipanów i dzwonków.

- Mówiłaś, że była chora...

Kiwnęłam głową. Nagle zaczęło docierać do mnie tykanie stojącego na kominku zegara.

- To zaczęło się prawie rok temu, na początku października.

- Choroba Emmy? Pokręciłam głową.

- Wydarzenia, które do niej doprowadziły. Opowiedziałam pani Bell o Guyu.

- Emma musiała się czuć zraniona. Kiwnęłam głową.

- Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo. Twierdziła, że jej to nie przeszkadza, ale wkrótce stało się jasne, że to nieprawda. Bardzo cierpiała.

- Czujesz się winna? Zaszło mi w ustach.

- Tak. Przyjaźniłyśmy się prawie dwadzieścia pięć lat. Ale kiedy zaczęłam spotykać się z Guyem, właściwie przestała do mnie dzwonić, choć przedtem robiła to niemal codziennie. Kiedy ja dzwoniłam do niej, nie odbierała telefonu albo wydawała się taka... obca. Po prostu wycofała się z mojego życia.

- Ale twój związek z Guyem trwał?

- Nic nie mogliśmy na to poradzić, zakochaliśmy się w sobie. Guy uważał, że nie zrobiliśmy nic złego. Twierdził, że to nie nasza wina, że Emma za dużo się spodziewała po jego przyjaźni. Mówił, że z czasem na pewno jej przejdzie. Dodał też, że gdyby była prawdziwą przyjaciółką, zaakceptowałaby sytuację i spróbowała cieszyć się moim szczęściem.

Starsza pani kiwnęła głową.

- Nie sądzisz, że jest w tym trochę prawdy?

- Tak, na pewno. Ale to łatwo powiedzieć, a trudniej zrobić, zwłaszcza jeśli człowiek czuje się zraniony. A biorąc pod uwagę to, co później zrobiła, Emma musiała się czuć fatalnie.

- A co zrobiła?

- Po Bożym Narodzeniu pojechałam z Guyem na narty. W Sylwestra poszliśmy na kolację, która zaczęła się od lampki szampana. Kiedy Guy podał mi kieliszek, zobaczyłam, że coś w nim jest.

- Och - westchnęła pani Bell. - Pierścionelek. Kiwnęłam głową.

- Z pięknym dużym brylantem. Byłam zachwycona, i zaskoczona, bo znaleźliśmy się zaledwie od trzech miesięcy. Przyjęłam oświadczyny, pocałowaliśmy się, ale mnie już dręczyła myśl o tym, jak przyjmie to Emma. Wkrótce miałam się o tym dowiedzieć, bo następnego dnia, o dziwo, Emma zadzwoniła z życzeniami noworocznymi. Rozmawialiśmy chwilę i w końcu spytała mnie, gdzie jestem. Powiedziałam, że w Val d'Isere. Zapytała, czy z Guyem, więc odparłam, że tak. A potem powiedziałam jej, że właśnie się zaręczyliśmy. Po drugiej stronie... zapadła cisza.

- La pauvre filie - mruknęła pani Bell.

- Potem, drżącym głosem, Emma wyszeptała, że ma nadzieję, iż będziemy bardzo szczęśliwi. Powiedziałam, że bardzo chciałabym się z nią spotkać i że zadzwonię do niej po powrocie.

- Więc nadal chciałaś się z nią przyjaźnić?

- Tak. Sądziłam, że jeśli przyzwyczai się do nowej sytuacji, zacznie inaczej patrzeć na Guya. Wierzyłam też, że wkrótce zakocha się w kimś innym i wszystko wróci do normy.

- Ale tak się nie stało.

- Nie. - Przesunęłam palcami po sznurku przytwierdzonym do pudła. - Emma najwyraźniej żywiła bardzo głębokie uczucie do Guya i była przekonana, że ich znajomość przerodziłaby się w coś więcej, gdyby... gdyby on...

- Nie zakochał się w tobie. Kiwnęłam głową.
- W każdym razie szóstego stycznia wróciłam do Londynu i zadzwoniłam do Emmy. Nie odebrała. Zadzwoiłam na jej komórkę. To samo. Wysłałam do niej kilka e-maili i SMS-ów, ale nie dostałam odpowiedzi. Jej asystentki, Sian, nie było akurat w mieście, nie miałam więc kogo zapytać, co się z nią dzieje. W końcu zadzwoniłam do matki Emmy, Daphne. Dowiedziałam się od niej, że zaledwie trzy dni temu Emma postanowiła nagle wyjechać do Afryki Południowej, gdzie miała przyjaciół, i że w tej miejscowości, Natal, kiepsko działają telefony. Potem Daphne spytała, czy moim zdaniem wszystko jest z Emmą w porządku, bo ostatnio wydawała się przygnębiona, ale nie chciała powiedzieć, dlaczego. Udawałam, że nie wiem. Daphne dodała, że Emma miewa humory i że najlepiej je przeczekać. Czując się jak ostatnia hipokrytka, przyznałam jej rację.
- Miałaś jakieś wiadomości od Emmy w czasie, kiedy była w Afryce?
- Nie. Ale wiem, że w drugiej połowie stycznia była już w domu, bo odpowiedziała na zaproszenie na nasze przyjęcie zaręczynowe. Napisała, że nie może przyjść.
- Musiało ci być przykro.
- Owszem - mruknęłam. - Nawet nie przypuszcza pani, jak bardzo. Potem nadeszły Walentynki... - Zawahałam się. - Guy zarezerwował stolik w Bluebird Cafe w Chelsea, niedaleko jego mieszkania. Właśnie wychodziliśmy, kiedy, ku memu zaskoczeniu, zadzwoniła do mnie Emma, po raz pierwszy od Nowego Roku. Wydawało mi się, że miała dziwny głos. Jakby brakowało jej tchu. Spytałam, czy wszystko w porządku. Odparła, że czuje się okropnie. Odniosłam wrażenie, że była

bardzo słaba i drżała, jakby złapała grypę. Spytałam, czy wzięła jakieś lekarstwo; powiedziała, że tak, paracetamol. Dodała, że czuje się tak źle, że chciałaby umrzeć. Zaniepokoiło mnie to, więc powiedziałam, że chciałabym do niej przyjść. Wyszepiała: „Naprawdę, Phoebe? Przyjdź, proszę”. Powiedziałam więc, że będę u niej za pół godziny. Kiedy skończyłam rozmowę, zauważyłam, że Guy jest zły. Powiedział, że zarezerwował stolik na kolację walentynkową i chciał miło spędzić ze mną czas. I że nie wierzy, iż Emma rzeczywiście tak źle się czuje. „Wiesz, jak ona lubi przesadzać”, powiedział. „Pewnie chce zwrócić na siebie uwagę”. Odparłam, że głos Emmy brzmiał tak, jakby rzeczywiście była chora, i dodałam, że wiele ludzi choruje teraz na grypę. Guy twierdził, że w przypadku Emmy to pewnie tylko przeziębienie. Dodał też, że przesadzam, bo niepotrzebnie czuję się wobec niej winna, podczas gdy to ona powinna mieć wyrzuty sumienia. Przez trzy miesiące się na mnie boczyła i nie przyszła nawet na nasze przyjęcie zaręczynowe. A ja jestem na każde jej zawołanie. Powiedziałam, że Emma jest bardzo wrażliwa i trzeba postępować z nią delikatnie. Guy odparł, że ma dość tej „szalonej kapeluszniczki” i chce iść na kolację. Zaczął wkładać płaszcz. Intuicja podpowiadała mi, że powinnam natychmiast iść do Emmy, ale nie mogłam znieść myśli o kłótni z Guyem. Pamiętam, że stałam tak, obracając na palcu pierścioneł zaręczynowy, i powtarzałam: „Sama nie wiem, co robić...” A potem Guy zaproponował, żebyśmy poszli na kompromis. Zjemy kolację, a po powrocie zadzwonię do Emmy. Nie wychodziliśmy na długo, więc się zgodziłam. Poszliśmy do Bluebird. Pamiętam, że omawialiśmy sprawy związane ze ślubem. Odbyłby się za parę dni... Nie mogę w to uwierzyć.... - dodałam.

- Czy to cię smuci? Spojrzałam na panią Bell.

- Dziwne, ale właściwie... Nie czuję prawie nic. Tak czy inaczej, wróciliśmy do Guya o dziesiątej trzydzieści i zadzwoniłam do Emmy. Kiedy usłyszała mój głos, zaczęła płakać. Mówiła, że żałuje, iż nie była miłsza dla mnie i Guya. Że jest beznadziejną przyjaciółką. Powiedziałam, że to bez znaczenia i żeby się nie martwiła, bo ja się nią zajmę.

-Poczułam pod powiekami piekące łzy. - Potem usłyszałam, jak mówi: „Dzisiaj, Phoebe?” „Dzisiaj”, powtórzyłam. Spojrzałam na Guya, ale on pokręcił głową i gestem przypomniał mi, że piłam, więc nie powinnam prowadzić. Więc powiedziałam Emmie... - Chciałam przełknąć ślinę, ale czułam się tak, jakbym gardło miała zatkane mokrą szmatą.

-Powiedziałam jej, że przyjadę rano. Emma nie odpowiedziała, dopiero po chwili usłyszałam jej szept: „...teraz spać”. Odparłam więc: „Tak, idź teraz spać, przyjadę do ciebie rano. Spij dobrze, Em”.

Spuściłam wzrok na pudło na kapelusze. Kwiatowy wzór zaszedł gęstą mgłą.

- Wstałam o szóstej, dziwnie zaniepokojona. Zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do Emmy, ale nie chciałam jej budzić. Pojechałam więc do Marylebone i zaparkowałam pod domem, który wynajmowałam. Wiedziałam, gdzie trzyma zapasowy klucz, więc dyskretnie wyjęłam go ze schowka i weszłam do środka. Wnętrze wydawało się bardzo zaniebane. Na wycieracze leżało mnóstwo nieotwartych listów, w zlewie piętrzyły się brudne naczynia. Byłam wtedy u Emmy pierwszy raz od czasu tego feralnego przyjęcia. Stałam tam i myślałam o przerażeniu, jakie mnie ogarnęło w chwili, gdy Emma przedstawiła mi Guya. I euforii, w jaką wprowadził mnie kilka dni później jego telefon. Nasza przyjaźń,

myślałam, przeszła ciężką próbę, ale teraz wszystko będzie dobrze. Poszłam do salonu. Tam też był straszny bałagan. Na kanapie leżały ręczniki, a kosz na śmieci był pełen chusteczek higienicznych i pustych plastikowych butelek po wodzie mineralnej. Emma najwyraźniej była bardzo chora. Później poszłam wąskimi schodami na górę i stanęłam pod drzwiami jej sypialni. Po drugiej stronie panowała cisza, co przyjąłam z ulgą, bo oznaczało to, że Emma śpi. Uznałam, że w tej sytuacji sen na pewno dobrze jej zrobi.

Pchnęłam drzwi i na palcach podeszłam do łóżka. Nagle zdałam sobie sprawę, że Emma śpi tak głęboko, że nie słysząc nawet jej oddechu. Potem przypomniałam sobie, że zawsze potrafiła długo wstrzymać oddech, bo była świetną pływaczką. Kiedy byłyśmy dziećmi, często rzucała się na podłogę i przestawała oddychać na całe wieki. Zaraz jednak pomyślałam: po co miałyby robić to teraz, kiedy jesteśmy obie po trzydziestce? Kiedy tak stałam, przypomniał mi się nagle ten utwór, który Emma grała w szkole na fortepianie, Marzenie. Ona śni, pomyślałam. „Emmo”, powiedziałam łagodnie, „To ja”. Nie poruszyła się. „Obudź się, Emmo”, dodałam. Serce biło mi coraz szybciej. „Proszę, muszę sprawdzić, jak się czujesz. No, Em!” Nie odpowiedziała. „Emmo, obudź się, proszę!”, krzyknęłam, ogarnięta paniką. Chwyciłam ją za głowę... I wtedy przypomniało mi się, jak kiedyś w dzieciństwie bawiłyśmy się w chowanego i Emma tak dobrze udawała martwą, że naprawdę mnie przeraziła. A potem nagle zerwała się na nogi, śmiejąc się do rozpuku. Byłam tak zdenerwowana i zła, że się rozplakałam.

Teraz też przez chwilę sądziłam, że Emma wstanie, zacznie się śmiać, i krzyknie: „Nabrałam cię, Phoebe! Myślałaś, że umarłam, co?” Ale zaraz

przypomniałam sobie, że tamtego dnia Emma przysięgła, że nigdy więcej tego nie zrobi. Ciągle się nie ruszała. „Nie rób tego, Em”, jęknęłam. „Proszę!” Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jej... - Wbiłam wzrok w pudło na kapelusze, i teraz dostrzegłam we wzorze łubin. A może to były zawilce? -Pociągnęłam za kołdrę. Emma leżała na boku, w dżinsach i podkoszulce. Miała półotwarte oczy, które patrzyły gdzieś przed siebie. Jej skóra miała szarawy odcień. Palce zaciskała na słuchawce telefonu...

Pamiętam, że krzyknęłam, a potem zaczęłam szukać w torebce komórki. Ręce drżały mi tak bardzo, że nie mogłam trafić w dziewiątkę i musiałam próbować kilka razy... Dostrzegłam leżącą na podłodze fiolkę po paracetamolu. Podniosłam ją. Była pusta. Usłyszałam w telefonie głos operatora, który spytał, z którym pogotowiem chciałabym się połączyć. Brakowało mi tchu, prawie nie mogłam mówić, ale udało mi się wykrztusić, że muszą przysłać karetkę po moją przyjaciółkę, zaraz, natychmiast, niech się spieszą, proszę... - Znowu spróbowałam przełknąć ślinę. - Ale kiedy to mówiłam, wiedziałam, że Em... że Emma... już...

Na wieko pudła spadła pojedyncza łza.

- Och, Phoebe - wyszeptała pani Bell. Podniosłam głowę i spojrzałam w okno.

- Później powiedzieli mi, że zmarła jakieś trzy godziny przed moim przyjściem.

Siedziałam w milczeniu kilka chwil, ciągle trzymając w objęciach pudło na kapelusze i przeciągając między palcami bladozielony sznurek.

- Ale to okropne, zrobić coś takiego - powiedziała pani Bell cicho.

- Jakkolwiek czuła się nieszczęśliwa... żeby popełnić...

Spojrzałam na nią.

- Ale ona tego nie zrobiła, choć tak to na początku wyglądało. Przez pewien czas nikt właściwie nie wiedział, co jej się tak naprawdę stało... Co spowodowało jej... - Twarz pani Bell skryła się za mgłą. Opuściłam głowę.

- Tak mi przykro, Phoebe. Opowiadanie o tym za bardzo cię rozstraja.

- Owszem. Bo czuję się winna.

- Ale to nie twoja wina, że Guy zakochał się w tobie, a nie w Emmie.

- Ale wiedziałam, jak bardzo jej na nim zależało. Niektórzy powiedzieliby, że wiedząc o tym, nie powinnam była się z nim spotykać.

- Ale to mogła być jedyna w twoim życiu szansa na miłość.

- Właśnie to sobie mówiłam. Powtarzałam sobie, że może już nigdy w nikim tak się nie zakocham. I pocieszałam się, że Emma przeboleje Guya. Że zakocha się w kimś innym, bo zawsze tak było. Tym razem jednak stało się inaczej. - Westchnęłam. - Rozumiem, że nie mogła patrzeć na niego, kiedy był ze mną, bo miała nadzieję...

- Nie możesz obwiniać się o to, że źle ulokowała swoje nadzieje.

- Nie. Ale obwiniam się o to, że nie pojechałam do niej tamtego wieczoru, choć całą sobą czułam, że powinnam.

- Cóż - westchnęła pani Bell. - Może niczego by to nie zmieniło.

- Tak powiedział lekarz. Powiedział, że wieczorem Emma już zapadała w śpiączkę, z której nigdy... - Wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić. - Nigdy się nie dowiem prawdy. Ale wierzę, że gdybym

pojechała do niej od razu, kiedy zadzwoniła do mnie tamtego dnia, a nie dwanaście godzin później, Emma nadal by żyła.

Postawiłam pudło na podłodze, podeszłam do okna i spojrzałam na wyludniony ogród.

- Dlatego właśnie czuła pani, że coś nas łączy, pani Bell. Obie miałyśmy przyjaciółki, które na nas czekały.

Rozdział 7

W drodze na kolację z Milesem myślałam o ludziach, którzy potrafią panować nad emocjami. Jakby negatywne czy przygnębiające myśli można było układać w odpowiednich przegródkach umysłu i sięgać do nich tylko wtedy, kiedy nadchodzi chwila stosowna z psychologicznego punktu widzenia. Pomysł jest kuszący, ale jakoś nigdy nie mogłam w to uwierzyć. Z moich doświadczeń wynika, że smutek i żal przesączają się do naszej świadomości niemal niezauważalnie. Albo dopadają nas nagle, bez uprzedzenia. Jedynym lekiem jest czas. Choć bywa, że nawet całe lata, co widać na przykładzie pani Bell, mogą nie wystarczyć. Antidotum na smutek bywa także praca, podobnie jak skupienie na czymś uwagi. Uznałam, że dobrze mi zrobi, jeśli skupię uwagę na Milesie, i we czwartek, tuż po ósmej, wyszłam, żeby się z nim spotkać.

Ubrałam się dość elegancko, w blad różową sukienkę z lat sześćdziesiątych z jedwabnej tafty, a na nią zarzuciłam piękny złoty szal.

- Pan Archant już czeka - oznajmił maitre w restauracji Oxo Tower. Idąc za nim, dostrzegłam Milesa, który siedział przy stoliku na tle wielkiego

okna i studiował menu. Rozczarował mnie widok siwych włosów i okularów do czytania. Ale kiedy podniósł głowę i mnie zobaczył, jego twarz rozpromienił uśmiech, pełen radości i... niepokoju, który rozproszył uczucie zawodu. Wstał, wsuwając okulary do kieszonki na piersi i przytrzymując żółty krawat, żeby się nie przekrzywił. Jak na tak wyrafinowanego człowieka zachowywał się ujmująco nieporadnie.

- Phoebe. - Pocałował mnie w oba policzki, kładąc dłoń na moim ramieniu, jakby chciał mnie do siebie przyciągnąć. Nagle wydał mi się zaskakująco atrakcyjny. - Może napijesz się szampana? - zapytał.

- Bardzo chętnie - odparłam.

- Może być Dom Perignon?

- Jeśli nie mają tu nic lepszego - zażartowałam.

- Skończył się Vintage Krug, pytałem.

Zaśmiałam się, ale zaraz dotarło do mnie, że nie żartowałam.

Rozmawialiśmy, podziwiając z okna oświetloną słońcem rzekę i daleką kopułę katedry St Paul. Wzruszał mnie sposób, w jaki Miles chciał zrobić na mnie wrażenie i jak szczęśliwy się wydawał w moim towarzystwie. Spytałam go o pracę. Wyjaśnił, że jest jednym z założycieli firmy prawniczej, w której obecnie trzy razy w tygodniu udziela porad.

- Pracuję teraz na pół etatu - powiedział, popijając szampana. - Ale lubię trzymać rękę na pulsie i pomagać innym wejść do świata biznesu. A teraz powiedz mi coś o sklepie, Phoebe. Jak to się stało, że postanowiłaś go otworzyć?

Pokrótkie opowiedziałam Milesowi o pracy w Sotheby's. Otworzył szeroko oczy.

- A więc moją rywalką była profesjonalistka.
 - Owszem - odparłam, kiedy oddawał kelnerowi kartę win. - Ale zachowałam się jak narwana amatorka. Dałam się ponieść emocjom.
 - Muszę przyznać, że byłaś ostra. Ale co takiego jest w tej... przepraszam, znowu zapomniałem... Jak nazywa się ta projektantka?
 - Madame Gres - odrzekłam cierpliwie. - Była największą twórczynią haute couture na świecie. Drapowała ogromne ilości tkaniny, upinając je bezpośrednio na ciele. W ten sposób powstawały niezwykle suknie, które zmieniały kobiety w posągi. Madame Gres rzeźbiła w materiale. Była też bardzo odważna.
 - To znaczy?
 - Kiedy otworzyła La Maison de Gres w Paryżu w czterdziestym drugim, wywiesiła w oknie wielką francuską flagę, na znak sprzeciwu wobec okupacji. Ile razy Niemcy ją zdarli, wywieszała kolejną. Wiedzieli, że była Żydówką, ale zostawili ją w spokoju, bo chcieli, żeby ubierała oficerskie żony. Kiedy odmówiła, zamknęli ją w więzieniu. Zmarła, niestety, w zapomnieniu i ubóstwie, ale była geniuszem.
 - A co zrobisz z jej sukienką?
 - Nie wiem.
- Miles uśmiechnął się do mnie.
- Zachowaj ją na swój ślub.
 - Ktoś już mi to proponował, wątpię jednak, bym miała ją kiedykolwiek wykorzystać w taki sposób.
 - Byłaś już zamężna? - spytał. Zaprzeczyłam.
 - A myślałaś o tym?
- Kiwnęłam głową.

- Byłaś zaręczona? Przytaknęłam.
- Mogę cię o to zapytać?
- Wolałabym o tym nie mówić. - Odsunęłam od siebie myśli o Guyu. - A ty? - spytałam, kiedy na stole pojawiły się przystawki. - Jesteś wolny od dziesięciu lat, dlaczego...

- Dlaczego się powtórnie nie ożeniłem? - Miles wzruszył ramionami. - Spotykałem się z kilkoma kobietami. Wszystkie były bardzo miłe, ale... jakoś nic z tego nie wynikało. - Rozmowa w naturalny sposób zeszła na żonę Milesa. - Ellen była cudowna. Uwielbiałem ją. Pochodziła z Ameryki. Była malarką, uznaną portrecistką. Malowała głównie dzieci. Zmarła dziesięć lat temu, w czerwcu. - Wstrzymał na moment oddech, jakbyśmy omawiali jakąś trudną kwestię. - Pewnego popołudnia po prostu... upadła.

Miles opuścił łyżkę.

- Wylew. Tego dnia strasznie bolała ją głowa, ale ponieważ często cierpiała na migreny, nie pomyślała, że dzieje się coś niezwykłego.

- Pokręcił głową. - Możesz sobie wyobrazić, jaki to był szok...

- Tak - odparłam cicho.

- Mogłem się przynajmniej pocieszać myślą, że nie była to niczyja wina - powiedział Miles, a ja poczułam w sercu ukłucie zazdrości. - Po prostu jedna z tych okropnych, nieuchronnych rzeczy, które się zdarzają. Palec Boży, czy jak to tam można nazwać.

- Dla Roxanne to musiało być straszne. Przytaknął.

- Miała zaledwie sześć lat. Siedziała mi na kolanach, a ja próbowałem jej powiedzieć, że mamusia... - Głos uwiązł mu w gardle. - Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy, kiedy starała się to pojąć. Przecież połowa

jej wszechświata nagle... przestała istnieć. - Miles westchnął. -Wiem, że w Roxy ciągle jeszcze to tkwi. Gdzieś tuż pod powierzchnią czai się poczucie, że nie ma... poczucie...

- Poczucie braku? - podsunęłam cicho. Miles spojrzął na mnie.

- Właśnie. Poczucie braku.

Zadzwoniła jego komórka. Wyjął okulary z kieszonki na piersi, wsunął je na nos i spojrzął na ekranik.

- To Roxy. O Boże... Wybaczysz mi na moment, Phoebe? - Zdjął okulary i wyszedł na taras. Stał tam, oparty o balustradę, z powiewającym na wietrze krawatem. Najwyraźniej prowadził jakąś poważną rozmowę z Roxanne. Potem schował telefon do kieszeni.

- Bardzo przepraszam - powiedział, kiedy wrócił do stolika. -Pewnie pomyślałaś, że to niegrzecznie z mojej strony, ale kiedy chodzi o dziecko...

- Rozumiem - odparłam.

- Ma problem z wypracowaniem z historii starożytnej - wyjaśnił, kiedy kelner przyniósł główne dania. - Na temat Bodicei.

- Teraz ona chyba nazywa się Boudica. Miles kiwnął głową.

- Zapominam o tym. Tak czy inaczej, Roxy musi napisać to wypracowanie na jutro, a właściwie jeszcze nie zaczęła. Nie bardzo umie sobie zorganizować pracę. - Miles westchnął ciężko.

Wzięłam do ręki widelec.

- A lubi szkołę? Zmrużył oczy.

- Chyba tak, choć na razie to dopiero początek. Jest tam zaledwie od dwóch tygodni.

- Gdzie chodziła wcześniej?

- Do St Mary's. To szkoła dla dziewcząt w Dorking. Ale... - Urwał, więc podniosłam na niego oczy. - Nie bardzo jej się tam podobało.

- Nie chciała mieszkać w internacie?

- To jej nie przeszkadzało, ale zaszło tam pewne... - Zawahał się.

-Nieporozumienie. Na kilka tygodni przed końcem roku szkolnego.

Oczywiście... zostało wyjaśnione - ciągnął. - Ale pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli Roxy zacznie wszystko od początku. Więc teraz chodzi do Bellingham. Wydaje mi się, że jej się tam podoba, więc trzymam kciuki, żeby dobrze zdała maturę. - Upił łyk wina.

- A później pójdzie na uniwersytet?

- Roxy uważa, że studia to strata czasu.

- Naprawdę? - Odłożyłam widelec. - Cóż... jestem innego zdania.

Wspominałeś chyba, że chciałyby w przyszłości robić coś związanego z modą?

- Tak, choć nie wiem, co dokładnie miałyby to być. Roxy mówi coś o pracy dla jakiegoś magazynu z górnej półki, takiego tak „Vogue” albo „Tatler”.

- W tym świecie panuje straszna konkurencja. Jeśli myśli o tym poważnie, powinna wiedzieć, że wyższe wykształcenie bardzo by jej się przydało.

- To samo jej mówiłem - powiedział Miles ze znużeniem. - Ale Roxy jest bardzo uparta.

Kelner przyszedł sprzątnąć ze stolika talerze, więc skorzystałam z okazji, by zmienić temat.

- Masz rzadko spotykane nazwisko - zauważyłam. - Poznałam kiedyś Sebastiana Archanta, który jest właścicielem Fenley Castle. Pojechałam

tam, żeby oszacować wartość zbioru XVIII-wiecznych tkanin i strojów. Zapamiętałam aksamitny kubrak i bryczesy z lat osiemdziesiątych XVIII wieku, pięknie haftowane w anemony i niezapominajki. -Większość tej kolekcji trafiła do muzeum.

- Sebby to mój kuzyn w drugiej linii - wyjaśnił Miles. - Tylko nie mów, że próbował cię zniewolić za ogrodową pergolą.

- Niezupełnie. - Przewróciłam oczami. - Ale kolekcja była ogromna więc musiałam spędzić trzy noce na zamku, bo w pobliżu nie ma żadnego hotelu i... - Na samo wspomnienie aż mnie skręciło. - Pan domu próbował wejść do mojego pokoju. Musiałam zastawić drzwi skrzynią. Koszmar.

- Cały Sebastian, niestety. Choć tym razem trudno mu się dziwić. -Miles spojrzał mi prosto w oczy. - Jesteś śliczna, Phoebe. - Komplement był tak bezpośredni, że na moment zaparło mi dech w piersi. Nagle obudziło się we mnie pożądanie. - Ja trzymam bardziej z francuską linią mojej rodziny - ciągnął Miles - która uprawia winnice.

- Gdzie?

- W Chateauneuf-du-Pape, parę kilometrów na północ od...

- Awinionu - wtrąciłam. Spojrzał na mnie.

- Znasz ten region?

- Od czasu do czasu jeżdżę do Awinionu po towar. Prawdę mówiąc, wybieram się tam w następny weekend.

Miles opuścił rękę, w której trzymał kieliszek czerwonego wina.

- Gdzie się zatrzymasz?

- W Hotel d'Europe.

Miles pokręcił głową w radosnym zdumieniu.

- Cóż, panno Swift, jeśli zechce pani pójść ze mną na drugą randkę, zapraszam panią na kolację, bo także będę w tej okolicy.

- Naprawdę?

Miles energicznie kiwnął głową.

- A dlaczego?

- Ponieważ mój drugi kuzyn, Pascal, jest właścicielem winnicy. Zawsze byliśmy sobie bliscy i co roku we wrześniu jeżdżę do niego, żeby pomóc przy winobraniu. Sezon właśnie się zaczął. Jadę tam na ostatnie trzy dni. Kiedy wyjeżdżasz? - spytał. Powiedziałam mu.

- Więc możemy się spotkać we Francji - stwierdził z radością, która chwyciła mnie za serce. - Wiesz - dodał, kiedy kelner przyniósł kawę - wydaje mi się, że to musi być przeznaczenie. - Skrzywił się nagle i sięgnął po telefon. - Och, nie. Znowu. Tak mi przykro, Phoebe. - Włożył okulary i spojrzał na ekranik, marszcząc brwi. - Roxy bardzo się denerwuje tym wypracowaniem. Napisała, że jest w rozpacz. Dużymi literami i z pięcioma wykrzyknikami! - Westchnął. - Lepiej pojedę do domu. Wybaczysz mi?

- Oczywiście. - Wieczór i tak dobiegał już końca, a mnie ta troska o dziecko wydała się wzruszająca.

Miles zawołał kelnera, a potem spojrzał na mnie.

- Świetnie się bawiłem.

- Ja też - odparłam szczerze.

- To dobrze. - Miles się uśmiechnął.

Zapłacił, po czym zjechaliśmy windą na dół. Na chodniku chciałam się pożegnać, do najbliższej stacji metra miałam pięć minut, ale w tej samej chwili podjechała do nas taksówka.

Kierowca opuścił szybę w oknie.

- Pan Archant?

Miles kiwnął głową i odwrócił się do mnie.

- Zamówiłem taksówkę. Jadę do Camberwell, więc po drodze podrzucę cię do Blackheath.

- Och. Miałam zamiar pojechać metrem.

- Nigdy bym na to nie pozwolił. Spojrzałam na zegarek.

- Jest dopiero kwadrans po dziesiątej - zaproponowałam. - Więc nie ma potrzeby...

- Ale ja chętnie cię podwiozę. W ten sposób spędzimy razem jeszcze trochę czasu.

- W takim razie... - Uśmiechnęłam się do niego. - Dziękuję. Jadąc przez miasto, próbowaliśmy przypomnieć sobie coś na temat Boudicy.

Wiedzieliśmy tylko, że była królową z epoki żelaza, która zorganizowała powstanie przeciw Rzymianom. Tata wiedziałby dużo więcej, pomyślałam, ale było za późno, żeby do niego zadzwonić. Wiedziałam, że w nocy wstaje do Louisa.

- Czy ona nie zrównała czasem z ziemią Ipswich? - spytałam, kiedy jechaliśmy Walworth Road.

Miles wszedł do sieci.

- To było Colchester - powiedział, patrząc na ekranik komórki przez okulary. - Wszystko jest tutaj, na stronach Encyklopedii Britannica. Jak tylko wrócę, ściągnę to na komputer i wypracowanie gotowe.

Pomyślałam, że szesnastoletnia Roxy z pewnością potrafiłaby to zrobić sama.

Przejechaliśmy przez Camberwell Green, skręciliśmy w Camberwell Grove i zatrzymaliśmy się mniej więcej w połowie ulicy. Więc to tu mieszkał Miles. Spojrzałam na elegancką fasadę georgiańskiej willi, odsuniętej nieco od ulicy. W pokoju na dole poruszyła się zasłona, a za nią mignęła blada twarz Roxy.

Miles odwrócił się do mnie.

- Cudownie było się z tobą spotkać, Phoebe. - Pochylił się i pocałował mnie, na moment przytulając policzek do mojej twarzy. - A więc... do zobaczenia we Francji, -dowiedział to tak niepewnie, jakby było to raczej pytanie niż stwierdzenie.

- Do zobaczenia we Francji - powtórzyłam.

Kiedy zaproponowano mi udział w dyskusji na temat mody vintage, która miała się odbyć na antenie Radia Londyn, byłam zachwycona. Aż do chwili, kiedy przypomniałam sobie, że ich studio mieści się przy głównej ulicy w Marylebone. W poniedziałkowy poranek szłam szybko przez tę dzielnicę i starałam się zapanować na emocjami. Mijając pasmanterię, w której Emma kupowała tasiemki do kapeluszy, próbowałam wyobrazić sobie jej dom, który znajdował się zaledwie dwie ulice dalej. Teraz na pewno wynajął go ktoś inny. Wyobraziłam sobie rzeczy Emmy, spakowane do kilku skrzyń, przewiezionych do garażu jej rodziców. Potem z przerażeniem pomyślałam o pamiętniku, w którym Emma codziennie coś zapisywała. Jej matka na pewno zdążyła go już przeczytać.

Minęłam małą kafejkę, w której kiedyś powiedziałam Emmie, że spotykam się z Guyem. Wydało mi się, że widzę ją, siedzącą w oknie i

patrzącą na mnie ze zdumionym, urażonym wyrazem twarzy. Ale oczywiście nie była to Emma, tylko ktoś do niej podobny.

Pchnęłam oszklone drzwi Radia Londyn. Kobieta w recepcji napisała moje imię na plakietce. Wręczyła mi ją i poprosiła, żebym zaczekała. Siedząc na korytarzu, słuchałam wiadomości. „Informacje dla kierowców... South Circular... wypadek przy Highbury Corner... dziewięćdziesiąt cztery i dziewięć FM... A teraz prognoza pogody... aż do dwudziestu dwóch stopni... To ja, Ginny Jones... za kilka minut powi tam naszego gościa, właścicielkę sklepu, w którym sprzedaje się tylko ciuchy z historią, Phoebe Swift". Ogarnęło mnie lekkie zdenerwowanie. W tej samej chwili podszedł do mnie producent, Mike, z notatkami w ręce.

- To ma być luźna pogawędka, pięć minut i po wszystkim - wyjaśnił, prowadząc mnie jasno oświetlonym korytarzem. Pchnął ramieniem ciężkie drzwi studia, które otworzyły się z cichym odgłosem. - Teraz leci nagrany wcześniej wstęp, więc możemy rozmawiać - dodał, kiedy weszliśmy do środka. - Ginny, poznaj Phoebe.

- Witaj, Phoebe - powiedziała Ginny, kiedy usiadłam, i wskazała głową leżące przede mną słuchawki. Włożyłam je i usłyszałam końcówkę wstępu. Później była jeszcze krótka rozmowa z dziennikarzem sportowym, coś na temat London Olympics. I zapowiedź programu Danny'ego Bakera.

- A teraz... - Ginny uśmiechnęła się do mnie. - Jak zarobić na starych ubraniach. Bo na to właśnie ma nadzieję Phoebe Swift, która niedawno otworzyła sklep z modą vintage w Blackheath, i w tej chwili jest ze mną

w studio. Phoebe, właśnie zakończył się Londyński Tydzień Mody. W tym roku moda retro była jednym z głównych tematów, prawda?

- Owszem. Kilka największych domów mody pokazało kolekcje wyraźnie nawiązujące do przeszłości.

- Dlaczego vintage zdobywa obecnie taką popularność?

- Fakt, że takie ikony mody jak Kate Moss pokazują się w strojach z innych epok na pewno ma spory wpływ na to, co się dzieje na rynku.

- Kate Moss miała na sobie suknię ze złotej satyny z lat trzydziestych, która podarła się na strzępy, czyż nie?

- To prawda. A suknia ta kosztowała dwa tysiące funtów! Wiele hollywoodzkich gwiazd wybiera vintage na swój występ na czerwonym dywanie. Julia Roberts pokazała się na oskarowej gali w takiej właśnie sukni od Valentino, Renee Zellweger włożyła kanarkowożółtą suknię od Jean Desses z lat pięćdziesiątych. Wszystko to zmienia sposób, w jaki postrzegamy stroje vintage. Kiedyś uważano je za część stylu stosownego dla młodzieży i cyganerii. Dziś to symbol wyrafinowanej elegancji.

- Co zyskujemy, decydując się na strój vintage?

- Fakt, że mamy na sobie coś oryginalnego, niepowtarzalnego i wykonanego z najwyższą starannością, bez wątpienia może poprawić nastrój. Zyskujemy także świadomość, że nasz strój ma jakąś historię, że jest częścią pewnego dziedzictwa, co bez wątpienia jest pewną wartością. Taką, której nie mają współcześnie szyte ubrania.

- Co poradziłabyś osobom, które chciałyby zainwestować w vintage?

- Trzeba poświęcić sporo czasu na szukanie tego, co może nam odpowiadać. I wiedzieć, w czym jest nam dobrze. Kobieta o zaokrąglonych kształtach nie powinna wybierać strojów z lat dwudziestych czy

sześćdziesiątych, bo „pudełka” dodają kilogramów. Panie o bardziej kobiecych kształtach dobrze wyglądają w dopasowanych strojach z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Należy pamiętać, że opływające ciało suknie w stylu lat trzydziestych podkreślają brzuch i biust, dobrze więc wyglądają przede wszystkim na kobietach wysokich i szczupłych. Trzeba też mieć realistyczne oczekiwania. Dziewczyna, która sądzi, że w sklepie vintage zmieni się w Audrey Hepburn ze Śniadania u Tiffany'ego, zapewne się rozczaruje. Dlatego lepiej nie upierać się przy jakimś określonym stylu, który w dodatku może okazać się dla nas nieodpowiedni. Choćby dlatego, że łatwo wtedy przeoczyć coś, w czym mogłybyśmy wyglądać świetnie.

- A co masz dzisiaj na sobie, Phoebe? Spojrzałam na swoją sukienkę.
- Szyfonową sukienkę w kwiaty, bez metki, z późnych lat trzydziestych. To mój ulubiony okres. I kaszmirowy kardigan, także vintage.
- Bardzo ładny. Jesteś bardzo elegancka - powiedziała. - Czy zawsze nosisz ubrania vintage?

Kiwnęłam głową.

- Nawet jeśli strój jest nowy, dodatki zawsze pochodzą z innych epok. Rzadko zdarza się, żebym nie miała na sobie nic starego.
- Ale... - Ginny skrzywiła się lekko. - Nie wiem, czy chciałabym nosić cudze ubrania.
- Są ludzie, którzy tego nie lubią - odparłam i pomyślałam o mamie. - Z zamiłowaniem do vintage trzeba się urodzić. Wtedy mała plamka czy dziurka to żaden problem, jeśli się weźmie pod uwagę, że nosimy coś oryginalnego, co często wyszło z pracowni znanego projektanta.
- Co może być problemem w przypadku ubrań vintage? Cena?

- Nie, jeśli weźmiemy pod uwagę jakość, ceny mieszczą się w granicach rozsądku. Co jest jeszcze jedną zaletą w dzisiejszych czasach.

Problemem może być jednak rozmiar. Ubrania vintage bywają małe. Od lat trzydziestych do sześćdziesiątych panowała moda na wąską talię, sukienki i żakiety były bardzo dopasowane. Kobiety w owych czasach nosiły często gorsety, by się w nie zmieścić. Poza tym kobiety są dzisiaj po prostu większe. Radzę więc, by kupując takie stroje, nie kierować się rozmiarem podanym na metce, lecz wszystko mierzyć.

- A jak dbać o stare ubrania? - spytała Ginny. - Możesz nam powiedzieć, co robić, by wyglądały jak... nowe?

- Jest kilka podstawowych zasad - odparłam z uśmiechem. - Dżianiny należy prać ręcznie w szamponie dla dzieci i nie wieszać ich, kiedy są mokre. Lepiej suszyć je przewrócone na lewą stronę i rozłożone, by się nie rozciągnęły.

- A naftalina? - Ginny chwyciła się za nos.

- Brzydko pachnie, to prawda, a alternatywne środki nie zawsze działają. Dlatego wszystko, w czym mogą się zagnieździć mole, najlepiej trzymać w plastikowych torebkach. Rozpylenie w szafie odrobiny perfum też może działać cuda. Każdy silny i słodki zapach, na przykład Fendi, z pewnością odstraszy mole.

- Mnie coś takiego odstraszyłoby na pewno - zaśmiała się Ginny.

- Ubrania z jedwabiu - ciągnęłam - powinno się wieszać na szerokich, obitych miękką tkaniną wieszakach, z dala od bezpośredniego światła słonecznego, bo jedwab szybko blaknie. Wszystko, co zostało uszyte z satyny, należy trzymać z dala od wody, bo pod wpływem wilgoci może

się marszczyć. Nigdy też nie należy kupować satyny, która się strzępi lub ma ślady zaciągnięć. Takie ubrania długo nie wytrzymają.

- O czym przekonała się Kate Moss.

- Istotnie. Radzę też nie kupować niczego, co wymaga czyszczenia, bo może się okazać, że to niemożliwe. Żelatynowe cekiny topią się pod wpływem środków używanych obecnie w pralniach chemicznych.

Koraliki z bakelitu czy szkła mogą popękać.

- Bakelit... To także słowo z innej epoki - powiedziała Ginny z rozbawieniem. - A gdzie można kupić ubrania vintage? Poza twoim sklepem, oczywiście...

- Na aukcjach - odparłam. - I targach staroci, które kilka razy do roku odbywają się w większych miastach. Jest też, naturalnie, eBay, choć wówczas należy dokładnie poznać wymiary każdej rzeczy, którą zamierzamy kupić.

- A sklepy z używaną odzieżą działające na rzecz różnych organizacji?

- Można w nich znaleźć ciekawe ubrania, ale już nie po tak okazyjnych cenach, jak kiedyś, bo organizacje charytatywne zwracają teraz większą uwagę na wartość sprzedawanych rzeczy.

- Podejrzewam, że ludzie często przynoszą ci ubrania, które chcą sprzedać albo proszą cię, żebyś przejrzała ich garderoby?

- Owszem. Bardzo to lubię, bo nigdy nie wiem, co znajdę. A kiedy trafię na coś, co mi się podoba, mam takie cudowne uczucie. O tutaj.

-Położyłam rękę na piersi. - Podobne do zakochania.

- Więc vintage jest jak romans. Uśmiechnęłam się.

- Można tak powiedzieć.

- Masz jeszcze jakieś rady dla naszych słuchaczy?

- Owszem. Jeśli coś sprzedają, niech zawsze sprawdzą kieszenie.
- Znajdujesz w nich różne rzeczy? Kiwnęłam głową.
- Najróżniejsze. Klucze, długopisy, ołówki...
- Znalazłaś kiedyś gotówkę? - zażartowała Ginny.
- Niestety nie, choć kiedyś znalazłam przekaz pocztowy. Na dwa szylingi i sześć pensów.
- Zaglądajcie zatem do kieszeni - powiedziała Ginny - i do sklepu Phoebe Swift, Village Vintage, w Blackheath, jeśli chcecie wiedzieć...
- pochyliła się w stronę mikrofonu - jakie cuda się kiedyś nosiło.
- Uśmiechnęła się do mnie ciepło. - Phoebe Swift, dziękuję za rozmowę. Mama zadzwoniła, kiedy byłam już w drodze do metra. Wysłuchała audycji w pracy.
- Byłaś wspaniała! - wykrzyknęła entuzjastycznie. - Jak trafiłaś do radia?
- Przez wywiad w gazecie, który w dniu otwarcia przeprowadził ze mną ten facet, Dan. Pamiętasz go? Wychodził akurat, kiedy przyszłaś.
- Wiem. Był dziwnie ubrany i miał kręcone włosy. Lubię mężczyzn z kręconymi włosami - dodała.
- W każdym razie wywiad przeczytał producent z radia. A ponieważ miał zamiar zająć się tematem vintage w czasie Tygodnia Mody, więc zadzwonił do mnie.

Nagle uświadomiłam sobie, że prawie wszystko, co dotąd pomagało mi w interesach, zdarzyło się za sprawą artykułu Dana. To on sprawił, że zatrudniłam Annie, dzięki niemu poznałam panią Bell, a teraz miałam okazję wystąpić w radiu. Nie mówiąc już o tych wszystkich ludziach, którzy przychodzili do sklepu, bo dowiedzieli się o nim z gazety. Ogarnęła mnie fala wdzięczności.

- Zrezygnowałam z fraxela - powiedziała mama.
 - Dzięki Bogu.
 - Zamiast tego zdecydowałam się na odnowę laserową.
 - Na czym to polega?
 - Podgrzewają ci głębokie warstwy skóry za pomocą laserów. To obkurcza skórę i zapobiega obwisaniu. Można powiedzieć, że gotują ci twarz. Betty, z mojego kółka brydżowego, już to miała. Jest zachwycona. Chociaż mówiła, że czuła się tak, jakby przez półtorej godziny ktoś gasił jej na twarzy papierosy.
 - Koszmar. A jak teraz wygląda?
 - Prawdę mówiąc, zupełnie tak samo. Ona jednak jest przekonana, że wygląda młodziej, więc z całą pewnością było warto. - Zaczęłam zastanawiać się nad logiką tego stwierdzenia, kiedy mama dodała: - Och, muszę kończyć, Phoebe. John mnie woła...
- Pchnęłam drzwi sklepu i weszłam do środka. Annie podniosła głowę znad czegoś, co właśnie szyła.
- Niestety słyszałam tylko połowę audycji. Miałam problem ze złodziejem.
- Serce zabiło mi szybciej.
- Co się stało?
 - Nastawiałam właśnie radio, kiedy jakiś facet spróbował wsunąć do kieszeni portfel z krokodylej skóry. - Annie wskazała głową koszyk z portfelami i portmonetkami, który stał na ladzie. - Na szczęście w decydującej chwili spojrzałam w lustro, więc przynajmniej nie musiałam go gonić.
 - Zadzwońska na policję? Pokręciła głową.

- Błagał, żebym tego nie robiła. Zapowiedziałam mu jednak, że na pewno zawiadomię policję, jeśli kiedykolwiek jeszcze go tu zobaczę. A potem przyszła ta kobieta... - Annie przewróciła oczami. - Wzięła srebrną koronkową sukienkę mini od Billa Gibba, rzuciła ją na ladę i powiedziała, że da mi za nią dwadzieścia funtów.

- Co za tupet!

- Wyjaśniłam jej, że osiemdziesiąt funtów za tę sukienkę to bardzo rozsądna cena. I że jeśli lubi się targować powinna robić zakupy na wschodnich bazarach - powiedziała Annie, a ja parsknęłam śmiechem.

-A później stało się coś naprawdę podniecającego. Drzwi się otworzyły i weszła Chloe Sevigny. Kręci teraz film w południowym Londynie. Ucięłyśmy sobie małą pogawędkę o aktorstwie.

- Chloe nosi dużo strojów vintage. Kupiła coś?

- Tak, jeden z topów od Jeana Paula Gaultiera. Odebrałam też kilka wiadomości dla ciebie. - Annie wzięła do ręki kartkę papieru. -Dzwonił Dan. Ma bilety na Annę Kareninę na przyszłą środę. Prosił, żebym ci przekazała, że będzie na ciebie czekał pod kinem Picturehouse w Greenwich o siódmej.

- Doprawdy?

- Nie wybierasz się z nim do kina?

- Nie byłam pewna... Ale wygląda na to, że się wybieram, prawda?

-dodałam, lekko zirytowana.

Annie spojrzała na mnie, zaskoczona.

- Dzwoniła też Val. Naprawiła wszystko i prosi, żebyś odebrała ubrania. Na automatyczną sekretarkę nagrał się Rick Diaz z Nowego Jorku.

- Dostarcza mi amerykańskie stroje.

- Mówił, że ma dla ciebie jeszcze kilka tych debiutanckich sukienek.
- Świetnie, przydadzą się w karnawale.
- Właśnie. Dodał, że ma też sporo torebek i chciałby, żebyś je wzięła.

Jęknęłam.

- Mam już setki torebek.

- Wiem. Prosił, żebyś napisała do niego e-maila. I wreszcie... Oto, co dla ciebie przyszło... - Annie poszła do kuchni i wróciła po chwili, niosąc bukiet czerwonych róż, tak wielki, że nie było jej zza niego widać.

Oślupiałam.

- Trzy tuziny - rozległ się zza róż głos Annie. - Czy to od Dana?

- spytała, kiedy odpięłam od jednego z kwiatów kopertę i wyjęłam z niej karteczkę. - Nie żeby to była moja sprawa - dodała, stawiając bukiet na ladzie.

Miles. Przez chwilę zastanawiałam się, dlaczego wysłał mi kwiaty.

- To od kogoś, kogo niedawno poznałam - wyjaśniłam. - Na tej aukcji w Christie's.

- Naprawdę?

- Nazywa się Miles.

- Jest fajny?

- Wydaje się, że tak.

- A co robi?

- Jest prawnikiem.

- I nieźle sobie radzi, sądząc po kwiatkach, które ci przysłał. Ile ma lat?

- Czterdzieści dziewięć.

- Acha. - Annie uniosła jedną brew. - Więc on także jest vintage.

Kiwnęłam głową.

- Coś około 1960. Materiał nieco znoszony... kilka przetarć...

- Ale za to ma charakter?

- Tak sędzę. Spotkałam się z nim na razie tylko trzy razy.

- Cóż, wydaje się interesujący, więc mam nadzieję, że jeszcze się z nim spotkasz.

- Może. - Nie chciałam się przyznać, że zobaczę Milesa już w najbliższy weekend, w Prowansji.

- Wstawić kwiaty do wody?

- Tak, proszę.

Annie przecięła wstążkę.

- Chyba przydadzą się dwa wazon. Zdjęłam płaszcz.

- Nadal możesz przyjść w sobotę i w niedzielę?

- Tak - odparła Annie, zdejmując z bukietu celofan. - Ale ty na pewno będziesz z powrotem we wtorek?

- Wracam w poniedziałek wieczorem. Dlaczego pytasz? Annie zaczęła obcinać nożyczkami liście u dołu łodyg.

- We wtorek rano znowu idę na casting, więc będę mogła przyjść do sklepu dopiero po lunchu. Zostanę za to dłużej w piątek, jeśli nie masz nic przeciw temu.

- Nie mam. Co to za casting? - spytałam z niepokojem.

- Do serii reklam - odparła znużona. - Trzy miesiące w Stokeon--Trent.

- Cóż... trzymam kciuki - powiedziałam nieszczercze i zaraz poczułam się winna, bo miałam nadzieję, że Annie nie dostanie tej pracy. A przecież

wiedziałam, że to tylko kwestia czasu. W końcu ktoś ją zaangażuje, a wtedy...

Moje rozmyślania przerwał dźwięk dzwonka. Już miałam zostawić to Annie, kiedy zobaczyłam, kto przyszedł.

- Dzień dobry - odezwała się rudowłosa dziewczyna, która mierzyła zieloną sukienkę z tiulu prawie trzy tygodnie temu.

- Witam - odparła Annie ciepło, wkładając róże do wazonu. Dziewczyna stała przez chwilę wpatrzona w zieloną sukienkę, a potem przymknęła oczy.

- Dzięki Bogu - szepnęła. - Jeszcze tu jest.

- Jeszcze jest - powtórzyła Annie radośnie, stawiając wazon na środku stolika.

- Byłam pewna, że już jej nie będzie - powiedziała dziewczyna, odwracając się do mnie. - Bałam się, że wejdę i okaże się, że ktoś ją kupił.

- Sprzedaliśmy ostatnio dwie z tych sukienek, ale pani... to znaczy ta... - poprawiłam się - została.

- Wezmę ją - oświadczyła z uśmiechem.

- Naprawdę? - Zdjęłam sukienkę ze ściany.

Dziewczyna wydawała się teraz bardziej pewna siebie niż wtedy, kiedy przysłała z tym... Jak on się nazywał?

- Keithowi się nie podobała. - Otworzyła torebkę. - Ale mnie zachwyciła. - Spojrzała na mnie. - A on o tym wiedział. Nie muszę jej już mierzyć - dodała, kiedy powiesiłam sukienkę w przymierzalni. - Jest doskonała.

- Jest doskonała - przyznałam. - Dla pani. Bardzo się cieszę, że po nią pani wróciła. - Położyłam sukienkę na ladzie. - Kiedy ktoś wygląda w

czymś tak dobrze, jak pani w tej sukience, naprawdę chcę, żeby to kupił.
Wybiera się pani na jakieś eleganckie przyjęcie?

Pomyślałam, jak okropnie wyglądałaby w wybranej przez Keitha czarnej sukni, wśród jego znajomych z zarządu.

- Nie mam pojęcia, gdzie się w niej wybiorę - stwierdziła spokojnie. -
Wiem tylko, że muszę ją mieć. Kiedy ją włożyłam... - Wzruszyła
ramionami. - Ta sukienka mną zawładnęła.

Złożyłam „bezę”, przyciskając warstwy lekkiej halki, by zmieściły się w torbie.

Dziewczyna wyjęła z torebki różową kopertę i podała mi ją. Na wierzchu był obrazek przedstawiający Kopciuszka z animowanego filmu Disneya. Otworzyłam ją. W środku było dwieście siedemdziesiąt pięć funtów.

- Z przyjemnością dam pani pięć procent zniżki - oznajmiłam.

Dziewczyna się zawahała.

- Nie. Dziękuję.

- Nie ma problemu, naprawdę...

- Kosztuje dwieście siedemdziesiąt pięć funtów - upierała się
dziewczyna. - Taka była cena - dodała stanowczo, prawie agresywnie.

- Trzymajmy się jej.

- Cóż... w porządku. - Wzruszyłam ramionami, trochę zaskoczona.

Kiedy podałam jej torbę z sukienką, dziewczyna wydała lekkie, niemal ekstatyczne westchnienie. A potem, z wysoko podniesioną głową, wyszła ze sklepu.

- Więc jednak dostała swoją sukienkę z bajki - powiedziała Annie, kiedy patrzyliśmy, jak przechodzi przez ulicę. Po chwili wróciła do układania

róż w wazonie. - Szkoda tylko, że nie ma przy niej jakiegoś księcia. Ale dziś wydawała się inna, prawda? - Annie postawiła wazon na ladzie, a potem podeszła do okna. - Nawet chodzi inaczej... i wydaje się wyższa, zobacz. - Zmrużyła oczy, odprowadzając dziewczynę wzrokiem. - Te stare suknie potrafią dokonać cudów - dodała po chwili. - Potrafią kobietę... zmienić.

- To prawda. Ale dziwne, że nie chciała skorzystać ze zniżki.

- Chyba ważny był dla niej fakt, że zapłaciła za nią sama, co do pensa. Ale ciekawa jestem, co takiego się stało, że mogła ją kupić.

Wzruszyłam ramionami.

- Może Keith uległ i dał jej pieniądze. Annie pokręciła głową.

- Nigdy by tego nie zrobił. Prędzej ukradła mu te pieniądze - zasugerowała, a ja nagle oczami wyobraźni zobaczyłam rudą dziewczynę w sukience z zielonego tiulu za więziennymi kratami. - A może pożyczła je od przyjaciółki.

- Kto wie? - odparłam, wracając za ladę. - Tak czy inaczej, cieszę się, że ją kupiła, nawet jeśli nigdy się nie dowiemy, skąd wzięła pieniądze.

Annie ciągle patrzyła w okno.

- Może się dowiemy.

Opowiedziałam Danowi historię zielonej sukienki, kiedy spotkałam się z nim w środę pod kinem. Uznałam, że będzie to dobry temat na początek.

Na wypadek, gdyby rozmowa się nie kleiła.

- Kupiła jedną z tych kolorowych amerykańskich sukienek - wyjaśniłam, kiedy siedzieliśmy w barze przed seansem.

- Aha, już wiem. To te, o których mówisz „bezy”.

- Zgadza się. Chciałam jej dać pięć procent zniżki, ale odmówiła. Dan upił łyk wody Peroni.
- Dziwne.
- Więcej niż dziwne: szalone. Ile kobiet odrzuciłoby możliwość zaoszczędzenia piętnastu funtów? Ale ta dziewczyna uparła się, żeby zapłacić całe dwieście siedemdziesiąt pięć.
- Powiedziałaś: dwieście siedemdziesiąt pięć? - powtórzył Dan. Opowiedziałam mu o okolicznościach sprzedaży sukienki. Wydawał się czymś bardzo zaskoczony.
- Wszystko w porządku? - spytałam.
- Co? A tak, przepraszam. Jestem tylko trochę roztargniony. Mamy ostatnio mnóstwo pracy. Tak czy inaczej - powiedział, wstając - film zaraz się zacznie. Chcesz jeszcze coś do picia? Możemy zabrać to ze sobą.
- W takim razie poproszę jeszcze jeden kieliszek czerwonego wina. Dan poszedł do baru, a ja przypomniałam sobie, jak się zaczęło to spotkanie. Kiedy przyszedłam do kina o siódmej, Dan zadzwonił i powiedział, że się trochę spóźni, poszłam więc na piętro i usiadłam na jednej z kanap, podziwiając widok rozciągający się za panoramicznymi oknami. Potem rzuciłam okiem na pozostawioną przez kogoś gazetę. Całą ostatnią stronę zajmowała reklama „Szopy dla każdego”. Spoglądając na nią, zaczęłam się zastanawiać, jak też wygląda szopa Dana, o której tyle słyszałam. Czy to model shiplap aplex, czy premium z podwójnymi drzwiami albo norfolk extra. A może ministodoła tiger? Oglądałam właśnie titanium wonder, szopę o metalowych ścianach, którą określono

jako „niezwykle funkcjonalną”, kiedy przyszedł Dan. Wyraźnie się spieszył.

Usiadł obok, chwycił mnie za lewą dłoń i szybko podniósł ją do ust. Potem delikatnie położył ją znowu na moich kolanach. Spojrzałam na niego.

- Zawsze robisz coś takiego kobietom, które widziałeś tylko dwa razy?

- Nie. Tylko tobie. Przepraszam za spóźnienie - tłumaczył się, gdy usiłowałam odzyskać równowagę. - Ale jestem strasznie zajęty tym materiałem...

- Tym o Age Exchange? - spytałam.

- Nie, ten już skończyłem. Teraz zajmuję się pewną... sprawą biznesową- odparł wymijająco. - Matt jest autorem, ale ja też się w to zaangażowałem. Mieliśmy kilka problemów, które trzeba było rozwiązać. I właśnie nam się to udało. No, dobrze. - Klasnął w dłonie. - Pozwól, że przyniosę ci coś do picia. Na co masz ochotę? Nie, nie mów... „Nalej mi whisky - powiedział niskim, lekko schrypniętym głosem. - I piwo imbirowe do popicia, byle dużo”.

- Słucham?

- To pierwsze słowa wypowiedziane na ekranie przez Gretę Garbo. Do tego czasu kręciła tylko nieme filmy. Na szczęście okazało się, że jej głos pasuje do twarzy... Więc na co masz ochotę?

- Z całą pewnością nie na whisky. Ale chętnie napiłabym się czerwonego wina.

Dan wziął do ręki kartę.

- Do wyboru mamy merlota Le Carredon z Pays d'Oc, którego smak opisano tu jako krągły, pełny i łagodny, oraz Chateauneuf-du-Pape,

Chante le Merle, które posiada wspaniały aromat malin i upajający bukiet... A więc, które?

Pomyślałam o zbliżającym się wyjeździe do Prowansji.

- Chateauneuf-du-Pape proszę. Podoba mi się ta nazwa.

Teraz, pół godziny później, rozmowa zdecydowanie się kleiła. Dan przyniósł mi drugi kieliszek Chante le Merle, po czym zeszliśmy do sali kinowej, usiedliśmy w czarnych skórzanych fotelach, po czym oddaliśmy się Annie Kareninie i jaśniejszej urodzie Greta Garbo.

- U Garbo najważniejsza jest twarz - powiedział Dan, kiedy wychodziliśmy z kina po seansie. - Jej ciało nie ma znaczenia. Podobnie jak gra, choć była świetną aktorką. Ludzie myślą tylko o jej doskonałej, alabastrowej twarzy.

- Jest niemal jak maska - zauważyłam. - Jak Sfinks.

- Właśnie. Zawsze wydaje się daleka i samowystarczalna, w trochę melancholijny sposób. Ty też sprawiasz takie wrażenie - dodał lekko. Znowu mnie zaskoczył. Trochę nieprzyjemnie. Ale czy to z powodu wypitego wina, czy to dlatego, że miło spędziłam czas i nie chciałam zepsuć wieczoru, puściłam tę uwagę mimo uszu.

- Chodźmy coś zjeść - zaproponował Dan, a potem, nie czekając na odpowiedź, ujął mnie pod ramię. Nie miałam nic przeciw temu. Ciepło bijące od jego ciała było bardzo przyjemne. Przy nim wszystko wydawało się... proste. - Może być Cafe Rouge? - zagadnął. - Choć obawiam się, że to niezupełnie Revington Grill.

- Oczywiście, może być Cafe Rouge... - Weszliśmy do środka i usiedliśmy przy stoliku w rogu sali. - Dlaczego Garbo tak wcześnie

przestała występować w filmach? - spytałam, kiedy czekaliśmy na kelnera.

- Podobno bardzo przejęła się faktem, że jej ostatni film, Dwulicowa kobieta, miał złą prasę, i rzuciła aktorstwo. Bardziej prawdopodobne wyjaśnienie jest jednak takie, że postanowiła wycofać się w momencie, kiedy jej uroda była w pełnym rozkwicie. Nie chciała, by czas zniszczył jej idealny wizerunek. Marylin Monroe zmarła w wieku trzydziestu sześciu lat - ciągnął Dan. - Czy myślelibyśmy o niej tak samo, gdyby dożyła osiemdziesiątki? Garbo chciała żyć, ale w ukryciu.

- Masz sporą wiedzę. Dan rozwinął serwetkę.

- Uwielbiam kino. Zwłaszcza czarno-białe filmy.

- Dlatego, że masz problemy z rozróżnianiem kolorów?

- Nie. Dlatego, że kolor na ekranie nie jest niczym interesującym.

Codziennie oglądamy świat w kolorze. A kiedy coś jest czarno-białe, od razu zaczynamy przypuszczać, że to prawdziwa „sztuka”.

- Masz farbę na rękach - zauważyłam. - Bawiłeś się w zrób-to-sam? Dan przyjrzał się swoim palcom.

- Pracowałem wczoraj trochę przy szopie. Teraz trzeba ją już tylko wykończyć.

- A co takiego trzymasz w tej tajemniczej szopie?

- Zobaczysz jedenastego października, kiedy odbędzie się wielkie otwarcie. Niedługo zacznę rozsyłać zaproszenia. Przyjdiesz, prawda?

- Owszem, przyjdę. Jakie stroje będą obowiązywać na tym przyjęciu? Ogrodniczki? Kalosze?

Dan spojrzał na mnie, urażony.

- Swobodna elegancja..

- A więc nie smokingi?
- To byłaby lekka przesada. Ty jednak mogłabyś włożyć jedną z tych wspaniałych kreacji retro... Właściwie byłoby najlepiej, gdybyś przyszła w tej blad różowej sukni, wiesz, tej, która kiedyś do ciebie należała.
- W niej z całą pewnością nie przyjdę.
- Ciekaw jestem, dlaczego?
- Po prostu jej nie lubię.
- Wiesz, naprawdę jest w tobie coś ze Sfinksa - powiedział Dan. - Jesteś zagadkowa. Mam wrażenie, że z czymś się zmagasz. Że jest coś, z czym nie potrafisz sobie poradzić.

Znowu to zrobił.

- Owszem - odparłam cicho. - Nie potrafię poradzić sobie z twoim. .. tupetem.
 - Tupetem? Kiwnęłam głową.
 - Lubisz wygłaszać bardzo bezpośrednie, wręcz osobiste, uwagi. Ciągłe mówisz rzeczy, które... mnie zaskakują. Zawsze jesteś taki... Jak to się mówi?
 - Spontaniczny? Zawsze jestem spontaniczny?
 - Nie. Zawsze wprawiasz mnie w zakłopotanie... zażenowanie... W konsternację! O to mi chodziło. Wprawiasz mnie w konsternację, Dan. Uśmiechnął się.
 - Podoba mi się sposób, w jaki wymawiasz słowo „konsternacja”. Mogłabyś je powtórzyć? Jest piękne, prawdę mówiąc - ciągnął. - Ale ludzie dość rzadko go używają. Kon-ster-na-cja.
- Przewróciłam oczami.
- Teraz próbujesz mnie... zirytować.

- Przepraszam. Może dlatego, że jesteś taka chłodna i opanowana.

Naprawdę cię lubię, Phoebe, ale od czasu do czasu mam ochotę... Sam nie wiem... Wytrącić cię trochę z równowagi.

- Ach, tak. Rozumiem. Cóż, nie udało ci się to. Jestem wyjątkowo zrównowazona. No, a ty, Dan? - ciągnęłam, chcąc przejąć kontrolę nad rozmową. - Sporo już o mnie wiesz, w końcu przeprowadziłeś ze mną wywiad. Tymczasem ja nie wiem o tobie prawie nic.

- Poza tym, że mam tupet.

- I to wielki - odparłam z uśmiechem. - Więc może opowiesz mi coś o sobie?

Dan wzruszył ramionami.

- W porządku... Cóż... dorastałem w Kent, niedaleko Ashford. Mój ojciec był lekarzem, matka nauczycielką. Teraz oboje są już na emeryturze. To, co jest chyba najbardziej interesujące w naszej rodzinie, to fakt, że mieliśmy psa rasy Jack Russell Terrier. Nazywał się Percy i dożył osiemnastu lat, co w przeliczeniu na życie człowieka równa się stu dwudziestu sześciu latom. Chodziłem do miejscowej szkoły średniej dla chłopców, a potem studiowałem historię w York. Przez dziesięć lat budowałem swoją błyskotliwą karierę w branży marketingu bezpośredniego, a teraz pracuję dla „Black & Green”. Żadnych małżeństw, żadnych dzieci. Kilka związków, z których ostatni zakończył się kilka lat temu, bardzo kulturalnie. I to by było na tyle.

- Podoba ci się dziennikarstwo? - spytałam, znowu spokojna i opanowana.

- To fajna przygoda, ale nie coś, czym chciałbym się zajmować przez dłuższy czas - odparł. Zanim zdążyłam zapytać, czym miałyby się ochotę

zajmować przez dłuższy czas, Dan znowu skierował rozmowę na inny tor. - Cóż, obejrzelśmy Annę Kareninę. A w piątek, w ramach tego samego festiwalu wyświetlą Doktora Żywago. Miałabyś ochotę pójść? Spojrzałam na Dana.

- Prawdę mówiąc, tak. Ale nie mogę.

- Och - mruknął Dan. - A dlaczego?

- Dlaczego? - powtórzyłam. - Dan, znowu to robisz.

- Wprawiam cię w konsternację?

- Tak. Posłuchaj... Nie muszę ci mówić, dlaczego nie mogę pójść.

- Nie, nie musisz - powiedział. - Już się domyśliłem. To dlatego, że masz chłopaka, który gdyby nas teraz zobaczył, rozerwałby mnie na strzępy. Zgadłem.

- Nie - westchnęłam ze znużeniem, a Dan się uśmiechnął. - Dlatego, że jadę do Francji po towar.

- Aha. - Kiwnął głową. - Przypominam sobie. Jedziesz do Prowansji. W takim razie obejrzymy coś, kiedy już wrócisz. Nie, przepraszam, będziesz potrzebowała jakichś sześciu tygodni, żeby to przemyśleć, prawda? Więc może zadzwonię w połowie listopada? Nie przejmuj się, najpierw wyślę ci e-maila z informacją, kiedy zamierzam zadzwonić... A jeszcze wcześniej może napiszę, że chcę wysłać do ciebie e-maila, żebyś nie wzięła mnie za jakiegoś tupeciarza...

Spojrzałam na niego.

- Chyba będzie łatwiej, jeśli po prostu powiem „tak”.

Rozdział 8

Wczesnym rankiem pojechałam na dworzec St Pancras i wsiadłam do pociągu Eurostar, gotowa wyruszyć do Prowansji. Podróż trwa sześć godzin, z przesiadką w Lille. Postanowiłam przyjemnie spędzić ten czas. Czekaając, aż pociąg ruszy, przejrzałam egzemplarz „Guardiana”. W części lokalnej ze zdumieniem zauważyłam zdjęcie Keitha. Znajdowało się obok artykułu na temat należącej do niego agencji deweloperskiej, która specjalizowała się wykupywaniem terenów przemysłowych pod nowe inwestycje. Firma została niedawno wyceniona na dwadzieścia milionów funtów i miała wejść na giełdę. Z artykułu dowiedziałam się, że Keith zaczynał od wysyłkowej sprzedaży mebli kuchennych, ale w dwa tysiące drugim roku jego magazyny spłonęły w wyniku podpalenia przez niezadowolonego pracownika. „To była najgorsza noc w moim życiu”, twierdził Keith. „Ale kiedy patrzyłem na płonące budynki przysiągłem sobie, że z tych popiołów powstanie coś wartościowego”. A więc stąd „Phoenix”, nazwa jego nowej firmy, pomyślałam, kiedy pociąg drgnął wreszcie i wyjechał z dworca.

Teraz otworzyłam „Black & Green”, które wzięłam na stacji w Blackheath. Wcześniej byłam zbyt zmęczona, by czytać. W numerze, zgodnie z moimi oczekiwaniami, były dwa artykuły o komercyjnych ubezpieczeniach, jeden o zagrożeniu, jakim są dla małych sklepów wielkie sieci handlowe, i jeden o braku miejsc parkingowych. Poza tym były dodatek weekendowy i kolumna towarzyska, ilustrowana zdjęciami znanych ludzi, którzy ostatnio pojawili się w naszej okolicy - w tym Chloe Sevigny patrzącej na witrynę Village Vintage. Było też kilka ujęć sławnych osób,

mieszkających w pobliżu - Joolsa Hollanda kupującego kwiaty i Glendy Jackson na koncercie charytatywnym w Blackheath Hall.

Całą środkową część strony zajmował tekst Dana o Age Exchange, zatytułowany A la recherche du temps.

„Age Exchange to miejsce, w którym ceni się przeszłość. To miejsce, gdzie starsi ludzie mogą dzielić się wspomnieniami ze sobą nawzajem i z młodszymi pokoleniami”. Dalej pisał o tym, jak ważne jest opowiadanie o swoich przeżyciach. Wspomniał o historii kraju i zgromadzonych w Centrum memorabiliach, które pomagają ożywić wspomnienia. Na końcu dodał, że „Centrum pomaga poprawić jakość życia ludzi starszych poprzez pokazanie młodzieży wartości ich wspomnień”.

Był to dobrze napisany, pełen zaangażowania artykuł.

Teraz, kiedy pociąg nabrał szybkości, złożyłam gazetę i spojrzałam w okno, na krajobraz Kentu. Niedawno skończyły się żniwa i jasne pola czerniły się już gdzieś po wypalaniu słomy. Znad tłęcej się jeszcze miejscami ziemi unosił się w intensywnie niebieskie niebo późnego lata biały jak alabaster dym. Przejeżdżając przez Ashford, nagle wyobraziłam sobie Dana, stojącego na peronie w swoich niedobrych kolorystycznie rzeczach i machającego do mnie ręką. Niedługo potem pociąg wjechał w tunel pod Kanałem. Po drugiej stronie za oknami rozciągała się belgijska równina. Płaska, monotonna,znaczona tylko potężnymi pylonami.

W Lille przesiadłam się do TGV. Oparłam głowę o szybę, zasnęłam i śniłam o Milesie, i o Annie. O dziewczynie, która kupiła zieloną tiulową sukienkę, i o tej, która nie mogła zajść w ciążę i kupiła różową. Potem przyśniła mi się pani Bell jako mała dziewczynka. Szła przez pola w

błękitnym płaszczyku, zrozpaczona, i szukała swojej przyjaciółki, której już nigdy miała nie odnaleźć. Potem otworzyłam oczy i ze zdumieniem odkryłam, że za oknami przesuwał się już krajobraz Prowansji -wiejskie domostwa o barwie terakoty, srebrzystoszara ziemia i zielone cyprysy, sterczące wszędzie jak wielkie wykrzykniki.

We wszystkich kierunkach, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się winnice. Zielone pnącza sadzono tu w tak równych rzędach, że cały teren wyglądał jak przeczesany grzebieniem. Robotnicy w kolorowych koszulach szli za maszynami zbierającymi winogrona, maszyny podskakiwały na kamieniach, wzbijając kurz. Najwyraźniej vendanges ciągle jeszcze szły pełną parą.

- Avignon TGV- rozległ się głos z głośników. -Descendez icipour Avignon, Gare TGV.

Wyszłam z dworca, mrużąc oczy w ostrym świetle słońca. Odebrałam wynajęty samochód i ruszyłam do miasta. Najpierw jechałam drogą wzdłuż opasujących Awinion, średniowiecznych murów; później, wąskimi, krętymi uliczkami prowadzącymi do hotelu, w którym miałam zarezerwowany pokój.

Zameldowałam się, umyłam i przebrałam, a potem wyszłam na główny deptak Awinionu, Rue de la Republique, pełen sklepów i restauracji, w których już zaczynał się wieczorny ruch. Na chwilę zatrzymałam się na Place d'Horloge. Tam, naprzeciw imponującego gmachu ratusza, kręciła się powoli staroświecka karuzela. Patrzyłam na dzieci, wznoszące się i opadające na kremowozłoty drewnianych konikach i próbowałam sobie wyobrazić Awinion w czasach, które nie miały nic wspólnego z tą sielanką. Wyobraziłam sobie niemieckich żołnierzy, stojących dokładnie

tam, gdzie ja teraz stałam, z karabinami u boku. Wyobraziłam sobie panią Bell i jej brata, jak śmieją się i wytykają Niemców palcami. I zdenerwowanych rodziców, którzy próbują ich uciszyć. Potem poszłam pod Palais des Papes i usiadłam w kafejce naprzeciw średniowiecznej fortecy. Słońce zachodziło już na turkusowym niebie. Pani Bell powiedziała mi kiedyś, że pod koniec wojny ludzie chronili się przed nalotami w pałacowych piwnicach. Patrząc teraz na te potężne mury, próbowałam wyobrazić sobie tłumy biegnące w ich stronę przy wtórze wyjących syren.

W końcu wróciłam do terażniejszości i zaczęłam robić plany na kilka kolejnych dni. Kiedy rozłożyłam mapę, zadzwoniła komórka. Rzuciłam okiem na ekranik i odebrałam.

- Miles - powiedziałam radośnie.

- Phoebe? Jesteś już w Awinionie?

- Siedzę właśnie pod Palais des Papes. A ty gdzie jesteś?

- Dopiero co przyjechaliśmy do kuzyna - oznajmił. Zauważyłam, że użył liczby mnogiej, co oznaczało, że zabrał Roxy. Nie było w tym nic zaskakującego, a jednak poczułam się trochę rozczerowana. -Co robisz jutro?

- Rano wybieram się na targ do Villeneuve lez Avignon, a później do Pujaut.

- Pujaut jest mniej więcej w połowie drogi do Chateauneuf-du-Pape. Może przyjechałabyś tutaj, jak skończysz? Poszlibyśmy razem na kolację.

- Bardzo chętnie, Miles, ale co to znaczy „tutaj”?

- Do Chateau de Bosquet. Łatwo je znaleźć. Przejeżdżasz przez Chateauneuf-du-Pape, skręcasz w drogę do Orange i mniej więcej półtora kilometra dalej zobaczysz po prawej stronie duży dom. Przyjedź najwcześniej, jak będziesz mogła.

- Dobrze.

Tak więc rankiem przejechałam przez Rodan i dotarłam do Ville-neuve lez Avignon. Zaparkowałam na wzgórzu, po czym wąską ulicą zesłam na plac targowy, gdzie handlarze rozkładali swój towar na leżących na ziemi kocach. Były tam stare rowery i spłowiałe leżaki, wyszczerbiona porcelana i wyroby z rżniętego szkła, stare klatki na ptaki, zardzewiałe narzędzia i łysiejące pluszowe misie o łapach z popękanej skóry. Na straganach leżały stare obrazy olejne i wyblakłe prowansalskie narzuty z gałganków. Materiały i ubrania, rozwieszane na sznurach między drzewami, powiewały na wietrze.

- Ce sont que des vrais antiquities, madame - odezwała się zachęcająco jedna z handlerek, kiedy przeglądałam jej towar. - Tous en tres bon etat. Było tego mnóstwo. Spędziłam kilka godzin wybierając proste, drukowane sukienki z lat czterdziestych i pięćdziesiątych oraz białe koszule nocne z dwudziestych i trzydziestych. Niektóre uszyto z tak zwanego chambre - surowego lnianego płótna, inne z mieszanki włókien lnu i bawełny zwanej metisse, a jeszcze inne z lekkiego jak pajęczyna muślinu, na który we Francji mówi się valencienne. Wiele koszul zdobiły piękne hafty. Zastanawiałam się, czyje dłonie potrafiły tak drobno wyszyć te idealne drobne kwiatuszki i listki. Byłam ciekawa, czy kobiety, które to robiły, czerpały ze swojej pracy przyjemność i czy przyszło im kiedyś

do głowy, że przyszłe pokolenia będą się zachwycać ich umiejętnościami.

Kiedy kupiłam już wszystko co chciałam, usiadłam w małej kafejce i zjadłam wczesny lunch. Teraz pozwoliłam sobie wreszcie pomyśleć o zbliżającej się randce. Sądziłam, że we Francji będę nerwowa, ale nie byłam. Przeciwnie, cieszyłam się, że nie jestem w Londynie. Przez chwilę zastanawiałam się, co robi teraz Guy i jak się czuje. Potem zadzwoniłam do Annie.

- Jest dziś duży ruch - powiedziała. - Sprzedałam już spódnicę od Vivienne Westwood i ten płaszcz w jodełkę od Diora.

- Świetnie.

- Pamiętasz, co mówiłaś w radiu o Audrey Hepburn?

- Owszem.

- No więc była tu dziś rano kobieta, która chciała, żebym zmieniła ją w Grace Kelly. A było to naprawdę trudne zadanie.

- Nie była dość ładna?

- Przeciwnie, była naprawdę piękna. Tyle że łatwiej byłoby z niej zrobić Grace Jones.

- Och.

- Wpadła też na chwilę twoja mama, chciała zabrać cię na lunch. Zapomniała, że jesteś we Francji.

- Zadzwonię do niej.

Zrobiłam to, a mama natychmiast zaczęła mi opowiadać o nowej metodzie walki ze zmarszczkami, o której właśnie z kimś rozmawiała.

- Wzięłam dziś rano wolne i poszłam do tej kliniki - mówiła, gdy popijałam kawę. - Dobrze działa na głębokie zmarszczki. Wykorzystują

plazmę azotową do stymulacji naturalnych procesów regeneracyjnych. Wstrzykują ją pod skórę, a wtedy fibroblasty biorą się do roboty. W wyniku tego, wierz lub nie, powstaje zupełnie nowa skóra.

Przewróciłam oczami.

- Phoebe? Jesteś tam?

- Jestem, ale muszę już kończyć.

- Jeśli nie zdecyduję się na regenerację plazmową, może skorzystam z jednego z tak zwanych wypełniaczy. Do wyboru jest restylene, perlene albo sculptrra. W klinice wspominali też o przeszczepie tłuszczu, wiesz, pobierają tłuszcz z tylnych partii ciała i wstrzykują ci w twarz, problem jednak polega na tym, że...

- Przepraszam cię, mamó. Naprawdę muszę już kończyć. - Od tego wszystkiego zrobiło mi się niedobrze.

Wróciłam do samochodu. Odsunęłam od siebie myśli o groteskowych procedurach, które opisywała matka, i wyruszyłam do Pujaut.

Widok tablicy z nazwą Chateauneuf-du-Pape wywołał u mnie miłe podniecenie związane ze spotkaniem z Milesem. Miałam ze sobą sukienkę, w którą chciałam się przebrać, bo cały dzień spędziłam w tych samych rzeczach.

Targ w Pujaut był niewielki, kupiłam na nim jednak jeszcze sześć koszul nocnych i kilka ozdobionych angielskim haftem bluzek, które dziewczęta lubią teraz nosić do džinsów. Było już po wpół do trzeciej. Znalazłam małą restauracyjkę i przebrałam się w sukienkę - bawełnianą szmizjerkę z lat sześćdziesiątych w biało-granatowe paseczki.

Wyjeżdżając z Pujaut, widziałam robotników pracujących w winnicach, które rozciągały się we wszystkie strony aż po horyzont. Przy drodze

zauważyłam wiele tablic z napisami, które zapraszały do zwiedzania i degustacji win.

Teraz widziałam przed sobą przycupnięty na szczycie wzgórza Chateauf-du-Pape. Kremowe budynki tuliły się do siebie u stóp średnio-wiecznej wieży. Przejechałam przez wieś i skręciłam w kierunku Orange. Mniej więcej półtora kilometra dalej zobaczyłam tablicę wskazującą drogę do Chateau de Bosquet.

Zjechałam na obsadzony po obu stronach cyprysami podjazd, wiodący do dużego, czworobocznego domu z podcieniami. W winnicach po obu jego stronach widziałam plecy mężczyzn i kobiet w kapeluszach, którzy pochylali się nad winoroślami. Słyszając silnik mojego samochodu, jeden z nich - wysoki, szpakowaty mężczyzna - wyprostował się, osłonił oczy od słońca i pomachał do mnie.

Ja także do niego pomachałam.

Kiedy zaparkowałam, Miles już szedł w moim kierunku. Uśmiechnął się, gdy opuściłam szybę w oknie. Twarz miał pokrytą tak grubą warstwą kurzu, że zmarszczki wokół jego oczu wydawały się głębsze niż zwykle.

- Phoebe! - Otworzył drzwiczki. - Witaj w Chateau de Bosquet.

-Wysiadłam, a on mnie pocałował. - Później poznasz Pascala i Cecil. Na razie wszyscy jeszcze pracują. - Odwrócił głowę w stronę winnicy.

-Jutro ostatni dzień, więc musimy się spieszyć.

- Może ja też wam pomogę? Miles spojrzał na mnie.

- Miałybyś ochotę? To brudna robota. Wzruszyłam ramionami.

- Nie przeszkadza mi to. - Popatrzyłam na robotników, którzy trzymali czarne wiadra i sekatory. - Nie używacie maszyn?

Pokręcił głową.

- W Chateauneuf-du-Pape winogrona muszą być zbierane ręcznie.

Dlatego potrzebujemy naszej małej armii. - Zerknął na moje ażurowe czółenka. - Buty są w porządku, ale przyda ci się fartuszek. Zaczekaj chwilę.

Miles poszedł do domu, a ja zauważyłam Roxy. Siedziała na ławce pod wielkim figowcem, czytając jakiś magazyn.

- Roxy! - zawołałam i zrobiłam kilka kroków w jej stronę. - Witaj!

Roxanne podniosła głowę i, nie zdejmując okularów przeciwsłonecznych, uśmiechnęła się do mnie blado, po czym wróciła do lektury.

Poczułam się zlekceważona, zaraz jednak przypomniałam sobie, że większości nastolatków brak ogłady towarzyskiej. Poza tym Roxy widziała mnie dotąd tylko raz, więc dlaczego miałaby być nastawiona do mnie przyjaźnie?

Miles wyszedł z domu z niebieskim kapeluszem w ręce.

- Przyda ci się - oznajmił, wkładając mi go na głowę. - Tak jak i to... - Wręczył mi butelkę z wodą. - A fartuszek ochroni sukienkę. Należał do matki Pascala. Była uroczą kobietą, ale dość postawną.

Roxy upiła łyk coli.

- Chciałeś powiedzieć: „grubą”.

Miles rozłożył wielki fartuch, włożył mi go przez głowę, a potem sięgnął do tyłu po troczki, muskając oddechem mój policzek. Przeciągnął troczki do przodu.

- No - przyznał, zawiązując je na kokardę. Cofnął się nieco, by móc mi się przyjrzeć. - Wyglądasz ślicznie.

Roxy patrzyła na mnie bez słowa przez ciemne szkła swoich ray-banów, co dziwnie mnie krępowało. Miles podniósł z ziemi dwa duże wiadra i, wymachując nimi, ruszył w kierunku winnicy.

- Chodźmy, Phoebe.

- Potrzebne są do tego jakieś umiejętności? - spytałam, kiedy się z nim zrównałam.

- Właściwie nie.

Weszliśmy między pnącza. Kilka wróbli wzbiło się w powietrze spod naszych stóp. Z trawy wyskakiwały wielkie koniki polne. Miles zerwał kiść winogron i mi ją podał.

Włożyłam jedno do ust.

- Pyszne. Jaki to gatunek?

- Grenache. Winnica jest dość stara. Powstała w 1960 roku. Ale nadal jest pełna życia. - Potem zmrużył oczy, osłonił je ręką i spojrzał w niebo. - Dzięki Bogu pogoda nam dopisuje. W 2002 były straszne ulewy i winogrona zaczęły gnić. Wyprodukowaliśmy wtedy tylko pięć tysięcy butelek, zamiast stu tysięcy. To była prawdziwa katastrofa. Miejscowy ksiądz co roku błogosławi winnice. Tym razem chyba naprawdę się przyłożył, bo mamy rekordowe zbiory.

Wszędzie pełno było dużych okrągłych kamieni. W tych, które pękły, migotały drobiny białego kwarcu.

- Otoczaki to prawdziwe utrapienie - powiedziałam, starając się je omijać.

- Rzeczywiście - zgodził się Miles. - Zostawił je Ren, który płynął tędy tysiące lat temu. Spełniają jednak ważną funkcję, bo nagrzewają się za dnia, a nocą oddają ciepło. Między innymi dlatego w tym kraju tak

dobrze uprawia się wino. No, dobrze. Mogłabyś zacząć tutaj? - Zatrzymał się i rozchylił gęste, czerwonozłote liście, ukazując wielką kiść ciemnych winogron. - Chwyć je od spodu. - Delikatnie uniosłam ciepłe grona. - Utnij łodyżkę. Bez liści, proszę. A teraz włóż je do pierwszego wiadra. Staraj się za dużo ich nie dotykać.

- A co będziemy wrzucać do drugiego wiadra?

- Winogrona gorszej jakości. Odrzucamy mniej więcej dwadzieścia procent zbiorów, potem wyrabia się z tego wino stołowe.

Wokół panowała wesoła atmosfera. Robotnicy śmiali się i rozmawiali, niektórzy słuchali walkmanów albo iPodów. Jedna z dziewcząt śpiewała. Była to aria z Czarodziejskiego Fletu, ta o mężach i żonach. Jasny, dźwięczny sopran niósł się nad rzędami winorośli.

Mann und Weib, und Weib undMann...

Jakie to dziwne, że akurat dzisiaj to słyszę, pomyślałam.

...reichen an die Gottheit an.

- Kim są ci wszyscy ludzie? - spytałam.

- Kilkoro z nich to miejscowi, którzy co roku nam pomagają. Jest też paru studentów i obcokrajowców. W tej posiadłości vendanges trwają mniej więcej dziesięć dni, a kiedy dobiegają końca, Pascal wydaje wielkie przyjęcie, żeby wszystkim podziękować.

Przyłożyłam sekator do gałązki.

- Mam uciąć w tym miejscu?

Miles pochylił się i położył dłoń na mojej ręce.

- Lepiej tutaj - poinstruował. - O, tak. - Jego dotyk wywołał u mnie nagle dreszcz pożądania. - Teraz utnij. Są ciężkie, więc uważaj, żeby nie spadły na ziemię. - Ostrożnie ułożyłam kiść w pierwszym wiadrze. -

Będę niedaleko - dodał Miles, odchodząc do swoich wiader, które stały kilka kroków dalej.

Dzień był upalny, a praca ciężka. Byłam zadowolona, że dostałam butelkę z wodą, a zwłaszcza fartuch, który już pokrył się jasnym pyłem. Wyprostowałam się, żeby odciążyć na moment plecy, i zerknęłam na Roxy, która nadal siedziała w cieniu ze swoim kolorowym magazynem dla nastolatek i butelką coli.

- Powinienem zapędzić Roxy do pomocy - powiedział nagle Miles, jakby czytał w moich myślach. - Ale przymuszanie nastolatków do czegokolwiek często przynosi efekt odwrotny do zamierzonego.

Poczułam stróżkę potu spływającą mi między łopatkami.

- A jak się skończyła ta sprawa z wypracowaniem z historii starożytnej?

- Bardzo dobrze. Mam nadzieję, że dostanę piątkę - dodał sucho.

-Zasłużyłem na to, bo pisałem je całą noc.

- A więc jesteś tatą na piątkę. Zapełniłam już całe wiadro. Co teraz?

Miles podszedł i przebrał zebrane przeze mnie winogrona, po czym podniósł oba wiadra.

- Zaniesiemy je do wyciśnięcia. - Ruchem głowy wskazał betonowe zabudowania stojące na prawo od domu.

W pierwszym budynku unosił się silny, słodki zapach drożdży. Wielki biały cylinder na środku podskakiwał i głośno terkotał. Za nim stała wysoka drabina. Na jej szczycie siedział mężczyzna w niebieskim roboczym kombinezonie i wrzucał do cylindra winogrona, które podawała mu drobna blondynka w żółtej sukience.

- To jest właśnie Pascal - powiedział Miles. -I Cecile. - Pomachał do nich ręką. - Pascalu! Cecile! To jest Phoebe!

Pascal przyjaźnie skinął w moją stronę głową, po czym wziął od Cecile wiadro i wrzucił jego zawartość do cylindra. Cecile uśmiechnęła się do mnie.

Miles wskazał cztery wielkie zbiorniki stojące pod przeciwległą ścianą.

- To zbiorniki fermentacyjne. Sok winogronowy pompuje się do nich wprost z cylindra za pomocą tego węża. Teraz pójdziemy tędy...

- Ruszyłam za nim do następnego budynku, w którym było chłodniej.

Stało tam mnóstwo stalowych pojemników, na których kredą wypisane były daty. - Sfermentowany sok dojrzewa w tych kanistrach, a także w dębowych beczułkach, które stoją tam. Mniej więcej po roku jest butelkowany.

- A kiedy nadaje się do picia?

- Wino stołowe można pić już po osiemnastu miesiącach, lepsze gatunki po dwóch, trzech latach, a najlepsze roczniki dojrzewają nawet piętnaście lat. Produkuje tu głównie wina czerwone.

Stał tam stół, a na nim opróżnione do połowy, zakorkowane butelki, a także kieliszki, korkociągi i kilka książek o winie. Na ścianach wisiały różne diplômes d'honneur, które Chateau de Bosquet zdobyło na międzynarodowych targach win.

Na jednej z butelek zauważyłam ładną etykietę z kosem, trzymającym w dziobie kiść winogron. Przyjrzałam się jej dokładnie.

- Chante le Merle - przeczytałam i odwróciłam się do Milesa. - Piłam to wino w zeszłym tygodniu, w kinie Picturehouse w Greenwich.

- Ta sieć kupuje nasze wina. Smakowało ci?

- Bardzo. Miało taki... uwodzicielski bukiet, o ile pamiętam.

- A jaki film wtedy widziałaś?

- Annę Kareninę.

- Z...?

- Z Gretą Garbo.

- Nie... To znaczy... z kim byłaś na tym filmie? Tak tylko pytam...

-dodał nieśmiało.

Wzruszał mnie ten brak pewności, tym bardziej że podczas naszego pierwszego spotkania wydawał się doskonale wiedzieć, czego chce.

- Ze znajomym, Danem. Ma bzika na punkcie kina. Miles kiwnął głową.

- Cóż... - Spojrzał na zegarek. - Już prawie szósta. Chodźmy się przygotować. Kolację zjemy we wsi. Roxy prawdopodobnie zostanie z Pascalem i Cecile. Może się trochę podciągnie we francuskim - dodał. - Pewnie chciałybyś się umyć...

Podniosłam do góry poplamione fioletowym sokiem dłonie.

Wracając do domu, zauważyłam, że Roxy opuściła swoje stanowisko pod drzewem. Zostawiła butelkę po coli, której szyjkę obsiadły osy.

Miles pchnął ogromne drzwi i weszliśmy do chłodnego wnętrza. W przestronnym holu o łukowatym sklepieniu wspartym na belkach zobaczyłam potężny kominek i stertę drewna. Po drugiej stronie stał rząd beczek. U stóp schodów ustawiono wypchanego niedźwiedzia, z obnażonymi pazurami i zębami.

- Nie przejmuj się nim - powiedział Miles, kiedy go mijaliśmy.

-Dotychczas nikogo nie ugryzł. Idziemy na górę. Proszę... - Przeszliśmy przez podest, po czym Miles pchnął drewniane drzwi, za którymi stała duża kamienna wanna, przypominająca sarkofag. Zdjął z haczyka ręcznik.

- Wezmę kąpiel.

- Zakładam, że gdzie indziej - zażartowałam. Zastanawiałam się przez chwilę, czy Miles ma zamiar się przy mnie rozebrać. Nagle zdałam sobie sprawę, że nie miałabym nic przeciw temu.

- Mam tu pokój z łazienką- wyjaśnił, wychodząc. - Na końcu tego korytarza. Spotkamy się na dole za jakieś... dwadzieścia minut? Roxy!
-zawołał, zamykając za sobą drzwi. - Roxy! Muszę z tobą porozmawiać...

Rozwiązałam fartuch, który doskonale ochronił mój strój, i oczyściłam z kurzu buty. Potem związałam włosy w węzeł, umyłam się, korzystając ze starej mosiężnej baterii prysznicowej. Ubrałam się i nałożyłam lekki makijaż.

Kiedy wyszłam na korytarz, usłyszałam szept Milesa i płaczliwy głos jego córki.

- .. .przecież nie wychodzę na długo, kochanie.

- Skąd ona się tu wzięła?

- Ma tu jakieś sprawy zawodowe.

- Nie chcę, żebyś wychodził!

- Więc chodź z nami.

- Nie chcę...

Deska na najwyższym stopniu zaskrzypiała pod moją stopą. Miles drgnął i podniósł głowę.

- O, jesteś już, Phoebe - powiedział. - Możemy już iść? - Kiwnęłam głową. - Właśnie pytałem Roxy, czy nie miałaby ochoty wybrać się z nami - dodał, kiedy zaczęłam schodzić ze schodów.

- Mam nadzieję, że do nas dołączysz, Roxy - zaproponowałam.

Postanowiłam, że ją oczaruję. - Mogłybyśmy porozmawiać o modzie.

Twój tata mówi, że chciałabyś się tym zająć w przyszłości.

Spojrzała na mnie spode łba.

- Tak, to mnie interesuje...

- Więc może pójdziesz z nami? - zaproponował ciepło Miles.

- Nie chce mi się wychodzić.

- W takim razie zjedz kolację z robotnikami. Roxy skrzywiła się z niesmakiem.

- Dzięki, ale nie. Miles pokręcił głową.

- Roxy, to są tacy mili młodzi ludzie. Ta dziewczyna z Polski, Beata, studiuje, żeby zostać śpiewaczką operową. Świetnie mówi po angielsku, mogłabyś sobie z nią pogadać. - Roxy wzruszyła tylko szczupłymi ramionami. - Więc może zjesz z Pascalem i Cecile? - Dziewczyna jęknęła i założyła ręce na piersi. - Nie bądź taka uparta - prosił Miles. - Chcę tylko, żebyś...

Ale Roxy była już w połowie holu. Odwrócił się do mnie.

- Tak mi przykro, Phoebe - powiedział z westchnieniem. - Roxy jest w trudnym wieku. - Kiwnęłam uprzejmie głową i nagle przypomniało mi się francuskie określenie okresu dorastania, 'age ingrat. - Za parę godzin jej przejdzie. A teraz... - Zakołysał z brzękiem kluczkami od samochodu. - W drogę!

We wsi Miles zaparkował swoje renault przy głównej ulicy. Kiedy wysiedliśmy z samochodu, wskazał głową restaurację, przed którą stały na zewnątrz stoliki przykryte białymi, trzepoczącymi na wietrze obrusami. Weszliśmy do środka.

- Aaa... monsieur Archant - powiedział z namaszczeniem maitre, przytrzymując drzwi. - Un plaisir de vous revoir. Un grandplaisir.
-Nagle jego twarz zmarszczyła się w uśmiechu i mężczyźni zaczęli się głośno śmiać i poklepywać po plecach.

- Miło cię widzieć, Pierre - rzekł Miles. - Chciałbym cię przedstawić uroczej Phoebe.

Pierre podniósł moją dłoń do ust.

- Enchante.

- Pierre chodził do szkoły z Pascalem - wyjaśnił Miles, kiedy maitre prowadził nas do stolika w rogu. - Wszyscy świetnie się tu bawiliśmy podczas letnich wakacji. Kiedy to było? Jakies trzydzieści pięć lat temu. Pierre wyduł wargi.

- Oui, trente-ciną ans. Kiedy ciebie jeszcze nie było na świecie -dodał, spoglądając na mnie z uśmiechem.

Nagle stanęła mi przed oczami wizja piętnastoletniego Milesa trzymającego na rękach mnie w wieku niemowlęcym.

- Masz ochotę na kieliszek wina? - spytał Miles, otwierając carte du vin.

- Owszem - odparłam ostrożnie. - Ale chyba nie powinnam pić, bo muszę wracać samochodem do Awinionu.

- Cóż - zaproponował Miles, zakładając okulary do czytania i przeglądając listę. - Przecież zjesz kolację.

- W takim razie się napiję, ale tylko jeden kieliszek.

- Gdybyś jednak postanowiła wypić więcej, możesz zostać u nas -dodał lekko. - Mamy pokój gościnny. Z wielką sztabą na drzwiach.

- Och, na pewno mi się nie przyda... Miałam na myśli pokój - poprawiłam się szybko, czując, jak na twarz wypływa mi rumieniec. - To

znaczy, dziękuję, ale raczej nie skorzystam. - Miles uśmiechnął się, widząc moje zakłopotanie. - A więc... mówiłeś, że co roku pomagasz tu przy winobranii?

Kiwnął głową.

- Głównie po to, by nie tracić kontaktu z rodziną. Ta posiadłość została wybudowana przez mojego pradziadka, Philippe'a, który był też pradziadkiem Pascala. Poza tym mam też niewielki udział w winnicy, więc chcę mieć poczucie, że angażuję się w to przedsiębiorstwo.

- A więc Chateau de Bosquet to twoje village vintage*.

- Chyba tak. - Miles się uśmiechnął. - Uwielbiam proces wytwarzania wina. Całą tę maszynę i hałas, zapach winogron i poczucie związku z ziemią... Podoba mi się fakt, że zawiera się w tym wszystko: geografia, chemia, meteorologia, a także historia. Cudowne jest także to, że wino jest jedną z niewielu rzeczy, które z czasem stają się coraz lepsze.

- Tak jak ty? -zazartowała. Uśmiechnął się lekko.

- Czego się napijesz?

Wybrałam Chateauneuf-du-Pape Fines Roches.

- A ja wezmę kieliszek Cuvee Reine - Miles zwrócił się do Pierre'a.

-Poza domem nie pijam win Bosquet - powiedział do mnie, kiedy otworzyłam menu. - Dobrze jest znać konkurencję.

Pierre postawił przed nami wino i miskę dużych, zielonych oliwek.

Miles podniósł kieliszek.

- Jak miło znowu cię zobaczyć, Phoebe. W ubiegłym tygodniu, na kolacji, miałem nadzieję, że wkrótce znowu się spotkamy. Ale nawet do głowy mi nie przyszło, że... och... - Sięgnął do kieszeni i wyjął komórkę.

- Posłuchaj, Roxy - wyszeptał, kiedy przeglądałam kartę dań. - Po-

wiedziałem ci, dokąd się wybieramy... Oczywiście, że powiedziałem... Jesteśmy w Mirabelle. - Wstał. - Przecież ci to proponowałem. - Usłyszałam, jak westchnął, zmierzając do drzwi. - Wiesz, że mogłaś pojechać z nami, kochanie. Jaki sens ma wspomnianie o tym teraz? Miles przez chwilę rozmawiał z Roxy, stojąc na zewnątrz. Potem wrócił do stolika z wyrazem znużenia na twarzy.

- Przepraszam cię za to - westchnął, chowając telefon do kieszeni.

- Teraz jest zła, bo z nami nie poszła! Muszę powiedzieć, że Roxy jest czasami dość trudna, ale w głębi serca to bardzo dobre dziecko.

- Na pewno - mruknęłam.

- Nigdy nie zrobiłaby nic... - Miles się zawahał. - Nic złego. - Do stolika podszedł Pierre, więc złożyliśmy zamówienie. - Ale chciałbym porozmawiać o tobie, Phoebe - ciągnął Miles. - W ubiegłym tygodniu, kiedy byliśmy na kolacji, tak wymijająco odpowiadałaś na moje pytania. Chciałbym dowiedzieć się o tobie więcej.

Wzruszyłam ramionami.

- Na przykład?

- Cóż... Na przykład czegoś o twoim życiu osobistym. Opowiedz mi o swojej rodzinie.

Opowiedziałam mu więc o rodzicach, a także o Louisie. Miles pokręcił głową.

- Trudna sytuacja. Musi być ci ciężko - dodał, kiedy Pierre przyniósł przystawki.

Rozłożyłam serwetkę na kolanach.

- Owszem. Chciałabym częściej widywać Louisa, ale to wszystko było takie krępujące. Postanowiłam, że będę go odwiedzać, i po prostu nie

powiem o tym matce. Tak w ogóle to ona kocha dzieci - dodałam -ale jak mogłaby pokochać tego malca?

- Cóż... - Miles pokręcił głową. - Nie wiem.

[* Village - wieś, vintage - tu: wina najlepszych roczników. Aluzja do nazwy sklepu głównej bohaterki (przyp. tłum.).]

- Mama czuje się teraz bardzo zraniona - ciągnęłam, przełamując bułkę na pół. - Nigdy nie przypuszczała, że ojciec ją zostawi. Ale teraz, kiedy o tym wszystkim pomyślę, widzę, że oni właściwie niczego razem nie robili. Od wielu lat. A w każdym razie nie pamiętam, żeby było inaczej.

- Mimo to na pewno jest jej trudno.

- To prawda. Ale ma przynajmniej swoją pracę. Opowiedziałam mu, czym zajmuje się mama. Miles wziął do ręki łyżkę.

- Więc pracuje dla tego faceta od dwudziestu dwóch lat? Kiwnęłam głową.

- Są jak zawodowe małżeństwo. Kiedy John przejdzie na emeryturę, ona też to zrobi. Ale ponieważ John ma zamiar pracować do siedemdziesiątki, zostało im jeszcze trochę czasu. Dzięki pracy mama może się trochę oderwać od smutnych myśli. Poza tym pieniądze też jej się przydają, zwłaszcza że ojciec... chwilowo nie pracuje - zakończyłam ostrożnie.

- Więc nie ma szans, żeby twoja mama i jej szef...

- Och, nie! - Zaśmiałam się. - John ją uwielbia, ale kobiety go tak naprawdę nie interesują.

- Rozumiem. Upiłam łyk wina.

- Twoi rodzice na zawsze zostali razem?

- Byli małżeństwem przez pięćdziesiąt trzy lata, póki śmierć ich nie rozłączyła. Zmarli w odstępie trzech miesięcy. Czy to, co się stało, podważyło twoją wiarę w małżeństwo?

Odłożyłam widelec.

- Zakładasz, że w nie wierzyłam.

- Mówiłaś, że byłaś zaręczona, więc uznałem, że tak. - Miles upił łyk wina, po czym ruchem głosu wskazał moją prawą dłoń. - Czy to twój pierścionek zaręczynowy?

- Nie. - Spojrzałam na pięknie oszlifowany szmaragd w otoczeniu dwóch małych brylantów. - Należał do mojej babci. Bardzo go lubię. Także dlatego, że pamiętam, jak go nosiła.

- A te zaręczyny były dawno temu? Pokręciłam głową.

- Na początku tego roku - powiedziałam i zauważyłam wyraz zaskoczenia na twarzy Milesa. - Prawdę mówiąc... - dodałam, odwracając głowę do okna - właśnie dziś mieliśmy się pobrać.

- Dzisiaj? - Miles spojrzał na mnie ponad szklami okularów.

- Tak. Mieliśmy pobrać się dziś, o trzeciej po południu, w Urzędzie Stanu Cywilnego w Blackheath. Potem miało się odbyć przyjęcie na osiemdziesiąt osób w Clarendon Hotel. Zamiast tego spędziłam cały dzień na winobraniu w Prowansji, z człowiekiem, którego prawie nie znam.

Miles patrzył na mnie w zamyśleniu.

- Nie wydajesz się zbyt... zmartwiona tym stanem rzeczy. Wzruszyłam ramionami.

- Dziwne, ale nie czuję... właściwie nic.

- Co oznacza, że to ty zakończyłaś ten związek.

- Tak.

- Ale... dlaczego?

- Bo... musiałam.

- Nie kochałaś narzeczonego? Upiłam łyk wina.

- Kochałam. To znaczy wcześniej go kochałam. Nawet bardzo. Potem zdarzyło się coś, co zupełnie zmieniło moje uczucia do niego. Uznałam, że muszę to zakończyć. - Spojrzałam na Milesa. - Pewnie wydają ci się zimna?

- Cóż... trochę - odparł, marszcząc lekko brwi. - Ale nie znam sytuacji, więc nie mogę jej oceniać. Zakładam, że nie był ci wierny albo w jakiś inny sposób cię zdradził.

- Nie. Po prostu zrobił coś, czego nie potrafiłam mu wybaczyć.

- Spojrzałam na Milesa, wydawał się zaskoczony. - Powiem ci, co się stało, jeśli chcesz. Ale możemy też zmienić temat.

Zawahał się.

- Dobrze - powiedział po chwili. - Nie przeczę, że jestem zaintrygowany.

Opowiedziałam mu więc pokrótce o Emmie i Guyu. Wysłuchał mnie, a potem oderwał kawałek bułki.

- Bardzo trudna sytuacja.

- Owszem. - Upiłam kolejny łyk wina. - Żałuję, że w ogóle poznałam Guya.

- Ale... Co właściwie ten biedny człowiek zrobił?

Dopiłam wino, czując, jak przyjemne ciepło rozlewa się po całym moim ciele. Opowiedziałam Milesowi o zaręczynach, a potem o Walentynkach i telefonie Emmy. I o tym, jak w końcu pojechałam do niej do domu.

Pokręcił głową.

- Co za okropna trauma, Phoebe.

- Trauma? - powtórzyłam. - Tak. To ciągle do mnie wraca. Śnię, że jestem w pokoju Emmy i pociągam za kołdrę...

Miles patrzył na mnie ze smutkiem.

- Więc wzięła cały paracetamol?

- Tak, ale patolog stwierdził, że to były tylko cztery tabletki. Najwyraźniej ostatnie cztery, bo fiolka była pusta.

Wydawał się zaskoczony.

- Więc dlaczego...?

- Na początku nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, co się z nią stało.

Wyglądało to na przedawkowanie. - Zacisnęłam palce na serwetce. - Ale jak na ironię wzięła za mało tabletek, i dlatego...

Miles patrzył na mnie.

- Mówiłaś, że wydawało ci się, że to przeziębienie.

- Tak. Tak to wyglądało, kiedy pierwszy raz do mnie zadzwoniła.

- A jakiś czas wcześniej była w Afryce Południowej? Kiwnęłam głową.

- Spędziła tam trzy tygodnie.

- Czy to była malaria? - spytał łagodnie. - Niezdiagnozowana malaria?

Ogarnęło mnie znajome uczucie, jakbym spadała w głęboką, ciemną otchłań.

- Tak - mruknęłam. - To była malaria. - Przymknęłam oczy. - Gdyby tylko przyszło mi to do głowy tak szybko, jak tobie.

- Moja siostra, Trish, zachorowała na malarię kilka lat temu - powiedział Miles cicho. - Po podróży do Ghany. Miała szczęście, że przeżyła, bo był to najgorszy rodzaj...

- Plasmodium falciparum - przerwałam mu. - Przenoszony przez zakażone komary anopheles, ale tylko przez samice. Teraz wiem o tym wszystko. Szkoda, że tak późno.
 - Trish nie skończyła profilaktycznej terapii antymalarycznej. Czy Emma zrobiła to samo? Zakładam, że to miałaś na myśli, wspominając o zbyt małej dawce?
- Kiwnęłam głową.
- Kilka dni po jej śmierci matka Emmy znalazła tabletki w jej kosmetyczce. Z liczby tych, które zostały, wywnioskowała, że Emma brała je tylko przez dziesięć dni, zamiast zalecanych ośmiu tygodni. Poza tym zaczęła je przyjmować za późno. Powinna była to robić już na tydzień przed wyjazdem.
 - Była wcześniej w Afryce Południowej?
 - Wiele razy. Kiedyś tam mieszkała.
 - Więc powinna wiedzieć, jakie jest ryzyko.
 - O, tak. - Urwałam, bo Pierre przyniósł zamówione dania. - Mimo iż ryzyko zachorowania na malarię jest tam niewielkie, Emma zawsze sprawiała wrażenie, że nie zaniedbuje przyjmowania tego środka. Tym razem jednak zachowała się bardzo nieostrożnie.
 - Jak myślisz, dlaczego? Przesunęłam palcami po nóżce kieliszka.
 - Czasem wydaje mi się, że mogła to zrobić celowo...
 - Że chciała zachorować?
 - Może. Była bardzo przygnębiona. Myślę, że właśnie dlatego tak nagle zdecydowała się na ten wyjazd. A może po prostu zapomniała albo chciała zagrać w rosyjską ruletkę o swoje życie. Wiem tylko, że

powinnam była pójść do niej zaraz, jak tylko do mnie zadzwoniła. - Odwróciłam wzrok.

Miles dotknął mojej ręki.

- Nie miałaś pojęcia, jak poważnie była chora.

- To prawda - odparłam ponuro. - Po prostu nie przyszło mi do głowy, że mogła... - Pokręciłam głową. - Jej rodzice na pewno rozpoznaliby objawy, ale akurat byli na wycieczce objazdowej w Hiszpanii i nie można było się z nimi skontaktować. Wiem, że Emma dwa razy próbowała dodzwonić się do matki.

- Więc oni także żyją w poczuciu winy.

- Tak. Do tego sposób, w jaki to się stało... Fakt, że Emma była zupełnie sama... To dla nich bardzo trudne. Dla mnie też. Musiałam im powiedzieć... - Poczulałam łzy pod powiekami. - To ja musiałam im powiedzieć...

Miles uścisnął moją dłoń.

- Co za straszne przeżycie.

Ściśnięte gardło bolało mnie od tłumionego płaczu.

- Tak. Ale jej rodzice nadal nie wiedzą, że Emma miała do mnie żal.

-Nerwowo mięłam serwetkę. - Gdyby nie czuła się taka nieszczęśliwa, pewnie nie pojechałaby do Afryki Południowej i nie zachorowałaby na malarię. - Znowu z bólem w sercu pomyślałam o jej pamiętniku. - Mam nadzieję, że nigdy się nie dowiedzą... Miles... Mogłabym dostać jeszcze jeden kieliszek wina?

- Oczywiście - odparł i zawołał Pierre'a. - Ale jeśli zechcesz wypić więcej, powinnaś chyba zostać u nas na noc. Dobrze?

- Dobrze. Ale nie będzie takiej konieczności. Miles patrzył na mnie uważnie.
- Nadal nie rozumiem, dlaczego musiałaś zerwać zaręczyny. Przez chwilę obracałam kieliszek w ręce.
- Nie byłam w stanie poradzić sobie z faktem, że Guy przekonał mnie, bym nie jechała do Emmy. Powiedział, że ona chce tylko zwrócić na siebie uwagę. - Na samą myśl o tym znowu ogarnął mnie gniew.
- Mówił, że pewnie się tylko przeziębila.
- Czy ty... naprawdę obwiniasz go o jej śmierć? Zaczekałam, aż Pierre doleje mi wina.
- Przede wszystkim obwiniam siebie, bo mogłam tej śmierci zapobiec. Ale tak, winię też Guya, bo gdyby nie on... natychmiast bym do niej pojechała. Zobaczyłabym, jak bardzo jest chora i... I wezwałabym karetkę. Możliwe, że by przeżyła. Ale Guy przekonał mnie, że powinnam poczekać, więc pojechałam do niej dopiero następnego ranka, a wtedy... - Zamknęłam oczy.
- Powiedziałaś to Guyowi? Znowu podniosłam do ust kieliszek.
- Nie od razu. Na początku byłam w szoku, nie potrafiłam tego wszystkiego ogarnąć. Ale tego ranka, kiedy odbył się pogrzeb...
- Urwałam, bo przed oczami znowu stanęły mi trumna i położony na niej ulubiony kapelusz Emmy, ten z zielonej słomki, leżący na wieńcu różowych róż. - Zdjęłam pierścionek zaręczynowy. Kiedy Guy odwiózł mnie po pogrzebie do domu, zapytał, co się z nim stało, a ja odparłam, że nie byłam w stanie nosić go przy rodzicach Emmy. Doszło do okropnej sceny... Guy twierdził, że nie ma powodu, bym czuła się winna. Mówił, że Emma zmarła z własnej winy, że nie zadbała o swoje

zdrowie i to kosztowało ją życie, a także unieszczęśliwiło jej rodziców i przyjaciół.

Odparłam, że czuję się winna i już nigdy nic tego nie zmieni. Powiedziałam, że bezustannie dręczy mnie myśl o tym, że kiedy my siedzieliśmy w restauracji, jedząc i pijąc, Emma konała w samotności. A w końcu wyrzuciłam z siebie to, co chciałam mu powiedzieć od dwóch tygodni. Że gdyby nie jego interwencja, może Emma nadal by żyła. Guy patrzył na mnie tak, jakbym go uderzyła. Był oburzony oskarżeniem, ale powtórzyłam, że to prawda. Potem poszłam na górę, wzięłam pierścionek i mu go oddałam. I wtedy widziałam Guya po raz ostatni. Właśnie dlatego dzisiaj nie wyszłam za mąż - zakończyłam cicho i westchnęłam.

-Chciałeś dowiedzieć się czegoś o moim życiu osobistym, więc się dowiedziałeś. Podejrzewam tylko, że było to bardziej osobiste, niż mógłbyś sobie życzyć.

- Cóż... - Miles ujął moją dłoń. - Przykro mi, że musiałaś przejść przez coś tak... strasznego. Cieszę się jednak, że mi o tym powiedziałaś.

- Jestem tym trochę zaskoczona. Przecież prawie cię nie znam.

- Nie, nie znasz mnie. Przynajmniej na razie - dodał miękko. - Pogłaskał mnie po rękę, a mnie znowu przeszył dreszcz. Jak prąd elektryczny.

- Miles... - Spojrzałam na niego. - Chyba jednak wypiję ten trzeci kieliszek.

Niedługo później wyszliśmy z restauracji - także dlatego, że Roxy znowu zaczęła dzwonić. Miles obiecał jej, że wróci przed dziesiątą. Ale kiedy byliśmy przy deserze, zadzwoniła jeszcze raz. Musiałam ugryźć się w język. Roxy nie miała ochoty wyjść do restauracji z ojcem, postanowiła jednak zrobić wszystko, by za dobrze się nie bawił.

- Nie mogłaby poczytać książki? - spytałam. Albo przynajmniej jakiegoś numeru „Bravo”, dodałam w myślach.

Miles bawił się kieliszkiem.

- Roxy to inteligentna dziewczyna, ale nie jest tak... samodzielna, jak bym chciał - dodał ostrożnie. - Z pewnością za dużo koło niej skakałem, kiedy była młodsza. - Podniósł ręce do góry w geście poddania. - Ale kiedy jesteś samotnym rodzicem jedyne dziecko, to właściwie nieuniknione. Poza tym oczywiście staram się jej wynagrodzić to, co się stało. Mam tego pełną świadomość.

- Ale dziesięć lat to bardzo długi czas. A ty jesteś atrakcyjnym mężczyzną - powiedziałam. Miles bawił się teraz widelcem. - Dziwię się, że nie znalazłeś nikogo, kto mógłby zastąpić Roxy matkę i zaspokoić twoje potrzeby i emocje.

Miles westchnął.

- Zawsze czułem, że tego potrzebuję. Nadal tak czuję. Kilka lat temu był ktoś, na kim bardzo mi zależało, ale nic z tego nie wyszło. Może teraz w końcu wszystko się ułoży... - Uśmiechnął się i zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się nieco. - Tak czy inaczej... - odsunął krzesło od stołu - lepiej już wracajmy.

W domu Pascal oznajmił Milesowi, że Roxy właśnie się położyła.

Najpierw jednak postarała się, by ojciec wcześniej wrócił z restauracji, pomyślałam. Miles wyjaśnił, że muszę u nich zanoćować.

- Mais bien sur! - wykrzyknął Pascal. Klasnął w dłonie i spojrzał na mnie z uśmiechem. - Vous etes bienvenue.

- Dziękuję.

- Pościelę łóżko gościnne - powiedział Miles. - Pomożesz mi, Phoebe?

- Oczywiście.

Weszłam za nim na schody, trochę niepewnie, z powodu wypitego wcześniej wina. Na górze Miles otworzył wielką komodę, która pachniała cudownie ciepłą bawełną, i wyjął komplet pościeli.

- Mój pokój jest tam, na końcu - wyjaśnił, kiedy szłam za nim długim korytarzem. - Naprzeciwko sypia Roxy. A ty będziesz spać tutaj.

- Pchnął drzwi i wszedł do wielkiej sypialni, o ścianach obitych różową tkaniną Toile de Jouy w scenki rodzajowe, przedstawiające zbiory jabłek.

Dziwnie się czułam, ścieląc łóżko z Milesem. Intymność tej sytuacji krępowała mnie, a jednocześnie podniecała. Kiedy wygładzaliśmy prześcieradło, nasze ręce nagle się zetknęły i znowu ogarnęła mnie fala pożądania. Miles ułożył na wierzchu grubą, miękką kołdrę.

- Gotowe... - Uśmiechnął się do mnie nieśmiało. - Pożyczyć ci do spania jedną z moich koszul? - spytał, a ja kiwnęłam głową. - Gładką czy w paski?

- Proszę podkoszulek. Miles ruszył do drzwi.

- Podkoszulek raz. Już się robi.

Szybko wrócił z szarym podkoszulkiem od Calvina Kleina. Podał mi go.

- Cóż... Chyba powinienem pójść spać. - Pocałował mnie w policzek. -

Jutro czeka mnie kolejny długi dzień w winnicy. - Pocałował mnie w drugi policzek, a potem przytulił do siebie. - Dobranoc, Phoebe -

mruknął. Zamknęłam oczy. W jego objęciach było mi bardzo

przyjemnie. - Tak się cieszę, że tu jesteś - wyszeptał. Jego ciepły oddech

musnął moje ucho. - Ale jak dziwnie pomyśleć, że to miała być twoja noc poślubna.

- Rzeczywiście.
- Tymczasem jesteś w Prowansji, z zupełnie obcym człowiekiem... Mam problem. - Spojrzałam na Milesa, jego twarz przybrała nagle wyraz niepewności.
- Tak?
- Chciałbym cię pocałować.
- Och.
- Wiesz, tak naprawdę.
- Rozumiem - powiedziałam. Miles przesunął palcem po moim policzku.
- Cóż... - mruknęłam. - Możesz to zrobić.
- Mogę cię pocałować? - wyszeptał.
- Możesz mnie pocałować - odszepnęłam.

Miles ujął moją twarz w dłonie, a potem pochylił się i dotknął moich ust wargami. Były suche i chłodne. Staliśmy tak przez kilka chwil. A potem zaczęliśmy się całować coraz śmieiej, coraz namiętniej, aż w końcu poczułam, że Miles sięga do zamka mojej sukienki, chcąc ją rozpiąć. Nie udało mu się to jednak.

- Przepraszam - powiedział ze śmiechem. - Od dawna tego nie robiłem. - Jeszcze przez chwilę poruszał zamkiem. - No, już.

Zsunął mi sukienkę z ramion. Spadła na podłogę. Wyszłam z niej i pozwoliłam się zaprowadzić do łóżka. Miles zaczął rozpinąć koszulę. Rozpięłam jego dzinsy. Potem położyłam się na łóżku i patrzyłam, jak się rozbiera. Mógł dobiegać pięćdziesiątki, ale ciało miał szczupłe i twarde. I wydawał się - tak jak winnica zasadzona w roku jego narodzin - pełen życia.

- Chcesz tego, Phoebe? - spytał, kładąc się przy mnie. - Bo sztaba, o której ci wspominałem, naprawdę tu jest. Wystarczy zabarykadować nią drzwi.

- Żebyś nie mógł tu wejść?

- Tak. - Znowu mnie pocałował. - Żebyś nie mógł wejść.

- Nie. - Namiętnie oddałam mu pocałunek, a potem objęłam go ramionami i przyciągnęłam go do siebie. - Chcę, żebyś wszedł.

Rozdział 9

Mann und Weib, und Weib und Mann...

Zbudził mnie głos polskiej dziewczyny, która śpiewała w winnicy za oknem.

Reichen an die Gottheit an...

Miles znikł, zostawiając po sobie tylko lekkie wgniecenie na poduszce i męski zapach, który utrzymywał się na pościeli. Usiadłam, objęłam kolana ramionami i przez chwilę myślałam o tym, jaki obrót przybrało moje życie. W pokoju ciągle panował mrok, tylko na podłodze kładły się wąskie smugi światła słonecznego, które przedzierało się przez szpary w żaluzjach. Zza okien dobiegały gruchanie gołębi i daleki odgłos maszyn pracujących w zabudowaniach winnicy.

Otworzyłam okno i spojrzałam na rozległy krajobraz o barwie zgaszonej czerwieni, urozmaicony przez wyniosłe cyprysy i chwiejące się na wietrze sosny. W oddali dostrzegłam Milesa. Ładował wiadra na przyczepę ciężarówki. Stałam i obserwowałam go przez kilka chwil, myśląc o tym, w jak intensywny, niemal pełen czci sposób kochał się ze mną ubiegłej nocy. I jaką rozkosz zdawał się czerpać z mojego ciała.

Pod oknem rósł wysoki figowiec, na którym dwa białe gołębie dziobały wspólnie lekko nadpsuty, fioletowobrązowy owoc.

Umyłam się, ubrałam, zdjęłam pościel z łóżka i zeszłam na dół. W świetle poranka wypchany niedźwiedź zdawał się przyjaźnie uśmiechać. Przeszłam przez hol i weszłam do kuchni. Na końcu bardzo długiego stołu siedziała Roxy i wraz z Cecile jadła śniadanie.

- Bonjour, Phoebe - powiedziała Cecile ciepło.

- Bonjour, Cecile. Witaj, Roxanne.

Roxy uniosła jedną, starannie wymodelowaną w salonie kosmetycznym brew.

- Jeszcze tu jesteś?

- Owszem - odparłam lekko. - Nie chciałam wracać do Awinionu po ciemku.

- Et vous avez bien dormi? - spytała Cecile bez cienia znaczącego uśmiechu na twarzy.

- Tres bien. Merci.

Wskazała koszyk pełen croissantów i kawałków bagietki, po czym podała mi talerz.

- Może masz ochotę na filiżankę kawy?

- Poproszę. - Cecile nalewała mi kawy z bulgoczącego na blacie ekspresu, a ja rozglądałam się po wielkiej kuchni. Była wyłożona kaflami w kolorze terakoty, pod sufitem wisiały girlandy czosnku i papryczek chilli, a na półkach lśniły pięknie wypolerowane, stare naczynia z miedzi. - Ślicznie tu, Cecile. To cudowny dom.

- Dziękuję. - Cecile podała mi kawałek briozki. - Mam nadzieję, że jeszcze nas odwiedzisz.

- Wyjeżdżasz? - spytała Roxy tonem, który wydawał się całkowicie obojętny. Mimo tego wyraźnie wyczuwałam jej wrogość.

- Po śniadaniu. - Odwróciłam się do Cecile. - Muszę się dostać do Isle sur la Sorgue.

- C'est pas trop loin - odparła. - Najwyżej godzina drogi.

Kiwnęłam głową. Bywałam już wcześniej w Isle sur la Sorgue, nigdy jednak nie jechałam tam z tej strony. Wiedziałam, że muszę sprawdzić drogę na mapie.

Podczas gdy Cecile i ja gawędziłyśmy trochę po francusku, trochę po angielsku, do kuchni wkroczył śliczny czarny kot z wysoko podniesionym ogonem. Zawołałam go i ku memu zdumieniu kot wskoczył mi na kolana, i zwinął się tam w kłębek, pomrukując z zadowoleniem.

- To jest Minou - odezwała się Cecile, kiedy pogłaskałam zwierzę po łbie. - Chyba cię polubiła - dodała, spoglądając na moją prawą dłoń.

-Quelle jolie bague - powiedziała z zachwytem. - Twój pierścionek. Jest piękny.

- Dziękuję. - Spojrzałam na niego. - Należał do mojej babci. Roxanne nagle odsunęła się od stołu i wstała. Potem wzięła z miski z owocami brzoskwinię, podrzuciła ją do góry i zręcznie złapała.

- Zjadłaś już petit dejeneur, Roxanne? - spytała Cecile.

- Tak - odparła Roxy lekko. - Do zobaczenia później.

- My się już dzisiaj nie zobaczymy - powiedziałam. - Ale mam nadzieję, że niedługo spotkamy się znowu.

Nie odpowiedziała, a kiedy wyszła z kuchni, zaległa krępująca cisza.

Cecile bez wątplenia także zauważyła afront, jaki mnie spotkał.

- Roxanne est une filie belle - stwierdziła, sprzątając ze stołu naczynia, z których jadła Roxy.

- Jest śliczna, to prawda.

- Miles, U s 'adore.

- Oczywiście. - Wzruszyłam ramionami. - Elle est sa filie.

- Oui - przytaknęła Cecile z westchnieniem. - Mais elle est aussi... comment dire? Son tendon d'Achille.

Udałam nagle zainteresowanie kotem, który właśnie przewrócił się łapkami do góry, wystawiając do głaskania miękkie brzuszki. Dopiłam kawę, po czym spojrzałam na zegarek.

- Muszę ruszać w drogę, Cecile. Mais merci beaucoup pour votre hospitalite. - Zepchnęłam kota z kolan i chciałam włożyć swój talerz i filiżankę do zmywarki, ale Cecile mi na to nie pozwoliła. Odprowadziła mnie do drzwi.

- Au revoir, Phoebe - powiedziała, kiedy wyszliśmy przed dom. - Życzę ci miłego pobytu w Prowansji. - Pocałowała mnie w oba policzki. - I życzę ci... - spojrzała w stronę Roxanne, siedzącej nieopodal w słońcu - szczęścia.

Idąc w stronę samochodu, żałowałam, że Cecile powiedziała to, co powiedziała. Roxy może być bezczelna, samolubna i roszczeniowa, ale czyż większość nastolatków właśnie taka nie jest? Poza tym znałam Milesa od niedawna, więc było jeszcze za wcześnie, by życzyć mi szczęścia. Ale podobał mi się, uświadomiłam sobie nagle... Bardzo mi się podobał.

Ośloniłam oczy dłonią i rozejrzałam się po winnicy, szukając Milesa.

Zauważyłam go po chwili, szedł w moją stronę z lekko zaniepokojonym

wyrazem twarzy, jakby się bał, że mu ucieknę. Rozczulało mnie to połączenie dobrych manier i niepewności.

- Nie wyjeżdżasz jeszcze, prawda?

- Niestety, wyjeżdżam. Ale... dziękuję ci... za wszystko.

Miles uśmiechnął się, a potem podniósł moją dłoń do ust w taki sposób, że serce na moment stanęło mi w piersi. Potem wskazał na mapę, która leżała na masce samochodu.

- Sprawdziłaś, jak się stąd dostać do Isle sur la Sorgue?

- Owszem. To niedaleko.

Usiadłam za kierownicą. Gdzieś niedaleko rozległy się srebrzyste trele kosa.

- Chante le Merle* - powiedziałam.

- Zgadza się. - Miles pochylił się i pocałował mnie przez otwarte okno. - Do zobaczenia w Londynie. Taką przynajmniej mam nadzieję - dodał. Położyłam rękę na jego dłoni i pocałowałam go jeszcze raz.

- Do zobaczenia w Londynie - powtórzyłam...

Krótką podróż do Isle sur la Sorgue była bardzo przyjemna. Proste, puste drogi prowadziły wzdłuż zalanych słońcem sadów i winnic, w których niedawno zakończyły się zbiory. Tuż przy drodze, w żółknącej trawie, czerwieniły się maki. Myślałam o Milesie i o tym, jak atrakcyjny mi się wydawał. Ciągle czułam na ustach jego pocałunki.

Zaparkowałam na obrzeżach uroczego miasteczka nad rzeką, po czym wśród tłumów miejscowych i turystów, ruszyłam w stronę placu targowego. Były na nim stragany pełne lawendowych mydełek, butelek z oliwą, aromatycznego salami, prowansalskich narzut z gałganków i

wyplatanych ze słomy koszyków, żółtych, zielonych i o barwie terakoty. Panował tu prawdziwie jarmarczny gwar.

- Vtngt euros!
- Merci, monsieur.
- Les prix sontpetits, non?
- Je vous en prie.

Potem przeszłam przez mały drewniany mostek przewieszony nad wąską rzeką. W tej części ryriku było ciszej, a kupujący spokojnie oglądali towary wystawione na straganach. Zatrzymałam się przy jednym, na którym leżały stare siodło, para czerwonych rękawic bokserskich, stała butelka z dużym statkiem w środku, było kilka albumów ze znaczkami pocztowymi i sterta egzemplarzy magazynu informacyjnego „L'illustration” z lat czterdziestych. Przejrzałam je. Na okładkach były zdjęcia wykonane przez fotoreporterów grupy Magnum. Lądowanie w Normandii, uczestnicy Ruchu Oporu wraz z żołnierzami sił alianckich, uliczne festyny organizowane po wyzwoleniu. „L'entree des troupes alliee” - głosił napis na jednej z okładek - „La provence liberee du joug allemand”.

Teraz zajęłam się tym, po co tu przyjechałam. To znaczy przejrzałam wystawioną na sprzedaż starą odzież. Wybrałam kilka białych perkalowych koszul, drukowanych sukienek, a także bluzek i kamizelek. Wszystkie były w doskonałym stanie. Potem usłyszałam, jak zegar na kościelnej wieży wybija trzecią. Nadszedł czas powrotu. Wyobraziłam sobie Milesa, ciągle pracującego przy kończącym się winobrani. Tego wieczoru miało się odbyć wielkie przyjęcie, dla wszystkich, którzy pomagali w zbiorach.

Włożyłam torby do bagażnika i wsiadłam do samochodu, otwierając wszystkie okna, by wypuścić nagrzane powietrze. Trasa do Awinionu wydawała się prosta, ale kiedy już zbliżałam się do miasta, zdałam sobie nagle sprawę, że pomyliłam drogę. Nie pojechałam na południe, tak jak powinnam, lecz na północ. Jakby nie dość tego, że jechałam w odwrotnym kierunku, nie bardzo miałam gdzie zawrócić. Co gorsza, za mną pojawił się długi sznur samochodów. W końcu dotarłam do miasteczka o nazwie Rochemare.

Spojrzałam w lusterko. Jadący za mną samochód był tak blisko, że prawie mogłam sprawdzić kolor oczu kierowcy. Skrzywiłam się, słysząc jego zirytowane trąbienie. Chcąc się od niego uwolnić, skręciłam w wąską dróżkę i odetchnęłam z ulgą. Przejechałam jeszcze jakiś kilometr i nagle znalazłam się na dużym, ładnym placu. Po jednej stronie było kilka sklepów i bar, przed którym, w cieniu wysokich platanów, stało kilka stolików. Przy jednym z nich siedział starszy mężczyzna i pił piwo. Po drugiej stronie stał duży kościół. Mijając go, spojrzałam na fasadę i serce zabiło mi mocniej.

Nagle usłyszałam znowu głos pani Bell.

„Dorastałam w dużej wsi na obrzeżach miasta, mniej więcej pięć kilometrów od centrum. Było to spokojne, senne miejsce. Wąskie uliczki prowadziły na duży plac ocieniony przez platany. Było tam kilka sklepów i przyjemny bar...”

Zatrzymałam się na pierwszym wolnym miejscu, pod piekarnią. Wsiadłam z samochodu i podeszłam do kościoła. Głos pani Bell dźwięczał mi w uszach.

„Po północnej stronie placu stał kościół, a nad wejściem do niego widniał napis składający się z wielkich rzymskich liter: Liberte, Egalite et Fraternite ”.

Z mocno bijącym sercem czytałam teraz te słynne słowa, wykute w kamieniu dużymi rzymskimi literami. Potem odwróciłam się i spojrziałam na plac. To tutaj dorastała pani Bell. Nie było co do tego wątpliwości. To był ten kościół. Ten bar - Mistral, widziałam teraz napis nad wejściem - w którym siedziała tamtego wieczoru. Nagle przyszło mi do głowy, że siedzący przed nim staruszek mógł być Jean-Lukiem Aumage. Miał co najmniej osiemdziesiąt lat, więc było to możliwe. Kiedy tak stałam, rozglądając się wokół, mężczyzna dopił piwo, wstał, włożył na głowę beret i ruszył powoli w poprzek placu, podpierając się laską. Wróciłam do samochodu i pojechałam dalej. Zabudowa przerzedziła się po chwili. Teraz po obu stronach drogi widziałam małe winnice i sady, a nieco dalej trakcje linii kolejowej.

Dalej zaczynały się pola, od których wieś oddzielona była tylko torami kolejowymi. „Mój ojciec miał niewielką winnicę w pobliżu domu...” Zatrzymałam się i, siedząc w samochodzie, próbowałam sobie wyobrazić Therese i Monique wędrujące po tych polach, wśród sadów i winnic. Wyobraziłam sobie Monique, ukrywającą się w starej stodole. Patrząc teraz na ciemne sylwetki cyprysów, widziałam palce, oskarżycielsko wyciągnięte w kierunku nieba. Przekręciłam kluczyk w stacyjce i pojechałam dalej. Tam, na samym końcu wsi, stało kilka nowych domów, był też rząd czterech budynków, które wyglądały na znacznie starsze. Zaparkowałam za ostatnim z nich i wysiadłam z samochodu.

Przed domem, w niewielkim ogródku, kwitły w donicach białe i różowe pelargonie. Była tam też studnia, a nad drzwiami wisiała owalna kamienna tablica z płaskorzeźbą przedstawiającą głowę lwa. Wyobraziłam sobie to miejsce siedemdziesiąt lat wcześniej, opuszczane przez mieszkańców wśród krzyków przerażenia i protestu.

Nagle za żaluzjami dostrzegłam jakiś ruch. Był to zaledwie ulotny cień, nic więcej, ale z jakichś powodów serce zaczęło walić mi jak młotem. Poczułam, jak włosy na karku podnoszą mi się z przerażenia. Stałam tam jeszcze przez chwilę, a potem wróciłam do samochodu.

Usiadłam za kierownicą, spoglądając na dom we wstecznym lusterku, po czym, z lekko drżącymi jeszcze dłońmi, odjechałam.

Kiedy znowu dotarłam do centrum wsi, rytm mojego serca wrócił do normy. Cieszyłam się, że los przywiódł mnie do Rochemare. Teraz jednak musiałam je opuścić. Chcąc wrócić do głównej drogi, skręciłam w lewo w wąską uliczkę. Przy jej końcu stanęłam, a potem opuściłam szybę w oknie. Był tam pomnik, postawiony jakby od niechcienia. Aux Morts Glorieux - głosiły czarne litery na smukłej kolumnie z białego marmuru. W kamieniu wyrżnięto nazwiska poległych w I i II wojnie światowej. Nazwiska, które już znałam: Caron, Didier, Marigny i Paget. Potem z nagłym drgnieniem, zupełnie jakbym osobiście znała tego człowieka, przeczytałam:

„1954, Indochiny - J-L Aumage”.

Pani Bell zapewne o tym wie, pomyślałam we wtorek, wyciągając niektóre z zakupionych od niej ubrań. Musiała być w Rochemare przynajmniej kilka razy. Powiesiłam na wieszaku jej popielaty kostium od

Pierre'a Cardina i, przesuając po nim szczotką, zastanawiałam się, co czuła, kiedy się o tym dowiedziała.

Potem chciałam wywiesić stroje wieczorowe pani Bell, ale przypomniałam sobie, że większość z nich ciągle znajduje się u Val. Właśnie zaczęłam się zastanawiać, jak mogłabym je odebrać, kiedy rozległ się dźwięk dzwonka nad drzwiami i do sklepu weszły dwie uczennice. Z pewnością wybrały się pooglądać ubrania w czasie przerwy na lunch.

Przeglądały przez chwilę stroje na wieszakach, a ja zajęłam się układaniem na manekinie zielonego zamszowego płaszcza od Jean Muir, który także należał do pani Bell. Zapięłam go i zerknęłam na ostatnią z amerykańskich tiulowych sukienek. Byłam ciekawa, kto ją kupi.

- Przepraszam - usłyszałam nagle. Odwróciłam się. Dziewczynki stały przy ladzie. Były mniej więcej w wieku Roxy - może trochę młodsze.

- Słucham?

- No, bo... - Jedna z dziewcząt, o ciemnych włosach do ramion i niemal śródziemnomorskiej cerze, trzymała w ręce portfel z wężowej skórki, który leżał w koszyku wraz z innymi portfelami i portmonetkami. - Właśnie to oglądałam i...

- Jest z końca lat sześćdziesiątych - powiedziałam. - Kosztuje osiem funtów.

- Tak, tak jest napisane na metce. Ale chodzi o to, że... - Zaraz zaczniesz się targować, pomyślałam ze znużeniem. - Że jest w nim ukryta kieszonka. - Spojrzałam na dziewczynę. - Proszę... - Pociągnęła do góry skórzaną klapkę i pokazała mi schowany zamek błyskawiczny. - Nie wiedziała pani o tym, prawda?

- Nie, nie wiedziałam - odparłam cicho. Kupiłam te portfele na aukcji, przetarłam je szmatką i od razu wystawiłam na sprzedaż.

Dziewczynka rozpięła zamek.

- Proszę spojrzeć. - W środku tkwił zwitek banknotów. Podała mi portfel. Wyjęłam je. - Osiemdziesiąt funtów - powiedziała, zdumiona. Przypomniała mi się Ginny z Radia Londyn, która spytała mnie, czy znalazłam kiedyś gotówkę w którejś ze sprzedawanych rzeczy. Przez chwilę miałam ochotę zadzwonić do niej i powiedzieć, że tak.

- Pomyślałam, że powinnam pani o tym powiedzieć - oznajmiła dziewczynka.

Spojrzałam na nią.

- To bardzo ucziwie z twojej strony. - Wyjęłam ze zwitka dwa banknoty dwudziestofuntowe i podałam jej. - Proszę.

Dziewczyna oblała się pąsem.

- Nie chciałam...

- Wiem, że nie chciałaś, ale proszę. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

- Cóż... dziękuję! - powiedziała dziewczyna radośnie i wzięła banknoty.

- Masz, Sarah... - Wyciągnęła jeden w stronę koleżanki, dziewczynki niemal tego samego wzrostu, ale o krótkich, jasnych włosach.

Sarah pokręciła głową.

- Ty je znalazłaś, Katie, nie ja. Lepiej się pospieszmy, nie mamy dużo czasu.

- Szukacie czegoś konkretnego? - zapytałam.

Wyjaśniły, że szukają sukienek na charytatywny bal nastolątek, organizowany przez Fundację Walki z Białaczką.

- Odbędzie się w Muzeum Historii Naturalnej - powiedziała Katie. Był to więc ten sam bal, na który wybierała się Roxy. - Będzie nas tam około tysiąca, więc wszystkie chcemy się jakoś wyróżnić z tłumu. Niestety, nie mamy zbyt wiele pieniędzy - dodała przepraszająco.

- Cóż... poszukajcie dobrze. Mam tu kilka przyciągających wzrok sukienek z lat pięćdziesiątych, takich jak ta. - Zdjęłam z wieszaka sukienkę bez rękawów z uszlachetnionej bawełny w barwny, abstrakcyjny wzór składający się z kółek i kwadratów. - Kosztuje osiemdziesiąt funtów.

- Jest niezwykła - zachwyciła się Sarah.

- Wyprodukowała ją firma Horrocks. Szyli fantastyczne bawełniane sukienki w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Ten wzór zaprojektował Eduardo Paolozzi. - Dziewczęta kiwnęły głowami, ale Katie nagle spojrzała na żółtą tiulową „bezę”.

- A ile kosztuje ta? - spytała. Podałam jej cenę. - Och, jest za droga. To znaczy, dla mnie - dodała szybko. - Ale jestem pewna, że ktoś ją kupi, bo jest po prostu... - Westchnęła. - Cudowna.

- Będziesz musiała wygrać na loterii - stwierdziła Sarah, spoglądając na sukienkę. - Albo wziąć na soboty jakąś lepiej płatną pracę.

- Chciałabym - odparła Katie. - Teraz zarabiam tylko czterdzieści pięć funtów na dzień, więc musiałabym pracować przez... mniej więcej... dwa miesiące, żeby kupić tę sukienkę. A do tego czasu będzie już dawno po balu.

- Masz już czterdzieści funtów - powiedziała Sarah. - Musisz uzbierać jeszcze tylko dwieście trzydzieści pięć.

Katie przewróciła oczami.

- Przymierz ją - zaproponowała Sarah. Katie wzruszyła ramionami.
- A po co?
- Wydaje mi się, że będzie ci w niej dobrze.
- Jeśli nawet, i tak mnie na nią nie stać.
- Przymierz - poparłam jej przyjaciółkę. - Choćby tylko dla zabawy. Poza tym naprawdę lubię oglądać te ubrania na klientkach. Katie jeszcze raz spojrzała na sukienkę.

- Dobrze.

Zdjęłam sukienkę ze ściany i powiesiłam w przymierzalni. Katie weszła do środka i kilka minut później wyłoniła się zza zasłony.

- Wyglądasz jak... słonecznik - wypaliła z uśmiechem Sarah.
- Wyglądasz w niej doskonale - zgodziłam się, podczas gdy Katie patrzyła na swoje odbicie w lustrze. - Niewielu osobom jest dobrze w żółtym, ale ty masz piękną, ciepłą karnację.
- Będziesz musiała wypchać sobie stanik - powiedziała Sarah, kiedy Katie podciągnęła sukienkę od góry. - Mogłabyś włożyć do miseczek te śmieszne poduszeczki, które wyglądają jak filety z kurczaka. Katie odwróciła się i spojrzała na nią smutno.

- Mówisz tak, jakbym miała kupić tę sukienkę. A tak nie jest.
- Mama nie mogłaby ci dołożyć? - spytała Sarah. Katie pokręciła głową.
- Jest na debecie. Może mogłabym poszukać sobie jakiejś pracy na wieczór... - dodała w zamyśleniu, kładąc ręce na biodrach i obracając się w obie strony.
- Mogłabyś opiekować się dziećmi - podsunęła Sarah. - Dostaję pięć funtów za godzinę za pilnowanie dzieci moich sąsiadów. Kiedy już położę je spać, mogę odrabiać lekcje.

- Prawdę mówiąc, to całkiem niezły pomysł - mruknęła Katie, wspinając się na palce i spoglądając na swoje odbicie z boku. - Mogłabym wywiesić ogłoszenie w sklepie z zabawkami albo w spożywczym. W każdym razie cudownie było przymierzyć tę sukienkę. - Przez chwilę patrzyła w lustro, jakby próbowała zapamiętać chwilę, w której wyglądała tak ślicznie. Potem, z pełnym żalu westchnieniem, zaciągnęła zasłonę.

- Chcieć to móc! - zawołała za nią Sarah.

- Owszem - odparła Katie. - Ale zanim zaoszczędzę dość, żeby ją kupić, zrobi to ktoś inny. - Wyszła z przymierzalni w ponurym, szarym mundurku szkolnym. - Czuję się jak Kopciuszek po balu - powiedziała.

- Może pojawi się jakaś dobra wróżka? - zażartowała Sarah. - Na jak długo mogłaby ją pani odłożyć? - zapytała, odwracając się do mnie.

- Zwykle tylko na tydzień. Chciałabym móc odłożyć ją na dłuższy czas, ale...

- Ale nie może pani. - Katie podniosła plecak. - Przecież nie wie pani, czy w ogóle po nią przyjdę. - Spojrzała na zegarek. - Jest za dwadzieścia druga. Musimy lecieć. - Spojrzała na Sarah. - Pani Doyle dostanie szalu, jeśli się spóźnimy. Dziękuję. - Uśmiechnęła się do mnie.

Dziewczęta wyszły, i w tej samej chwili wróciła Annie.

- Wydawały się miłe - oceniła.

- Były urocze.

Opowiedziałam Annie o tym, jak uczciwie zachowała się Katie, kiedy znalazła pieniądze w portfelu.

- Jestem pod wrażeniem.

- Spodobała jej się żółta tiulowa „beza” - dodałam. - Chciałabym ją dla niej zatrzymać do czasu, aż uda jej się zaoszczędzić dość pieniędzy, ale...

- To ryzykowne - stwierdziła Annie. - Ktoś inny może kupić ją od razu.

- To prawda... A jak ci poszło na castingu? - spytałam z niepokojem. Annie zdjęła żakiet.

- Beznadziejnie. Były tłumy dziewczyn.

- Cóż... trzymam kciuki - powiedziałam trochę nieszczerze. -A czy twój agent nie mógłby znaleźć ci pracy?

Annie przeczesła palcami krótkie jasne włosy.

- Nie mam agenta. Ostatni był do niczego, więc go zwolniłam. Nie mogę zatrudnić nowego, bo nie pracuję, więc nie mógłby zobaczyć, jak gram. Dlatego wysyłam swoje CV gdzie się da i od czasu do czasu chodzę na castingi. - Zaczęła wycierać szmatką ładę. - W aktorstwie najbardziej nie lubię tego, że na nic nie mam wpływu. Nie mogę znieść, że w moim wieku mogę tylko siedzieć i czekać, aż jakiś reżyser w końcu do mnie zadzwoni. Tak naprawdę powinnam po prostu napisać własny tekst.

- Mówiłaś, że lubisz pisać.

- Owszem. Chciałabym znaleźć jakąś historię, którą mogłabym przerobić na monodram. Wtedy mogłabym napisać tekst, zorganizować przedstawienia i grać w nich. Miałabym wpływ na wszystko.

Przyszło mi do głowy, że historia pani Bell na pewno nadawałaby się na monodram. Ale niestety, nawet gdybym mogła ją opowiedzieć Annie, brakowało jej szczęśliwego zakończenia.

Odezwał się mój telefon. Spojrzałam na ekranik i poczułam, że rumienię się z zadowolenia. Miles zaprosił mnie do teatru w sobotę. Odpisałam mu, a potem powiedziałam Annie, że idę do Paragon.

- Chcesz odwiedzić panią Bell?

- Tak, wstąpię do niej na herbatę.

- Więc masz nową przyjaciółkę - powiedziała Annie z uśmiechem. - Mam nadzieję, że mnie też będzie odwiedzać jakaś miła, młoda kobieta, kiedy będę już stara i samotna.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani, że tak się wprosiłam

-mówiłam do pani Bell dwadzieścia minut później.

- Przeszkadza? - powtórzyła, wpuszczając mnie do środka. - Bardzo się cieszę, że cię widzę.

- Wszystko w porządku? - spytałam, bo wydała mi się szczuplejsza niż tydzień wcześniej i miała bardziej ściągniętą twarz.

- Wszystko w porządku... dziękuję. No, niezupełnie wszystko, oczywiście... - Urwała. - Ale siedzę sobie i czytam, albo po prostu patrzę w okno. Mam jeszcze jedną czy dwie znajome, które także mnie odwiedzają. Moja pomoc, Paola, przychodzi dwa razy w tygodniu rano, a we czwartek przyjedzie moja bratanica i zostanie u mnie trzy dni.

Jakże żałuję, że nie mam dzieci - powiedziała, kiedy szłam za nią do kuchni. - Ale nie miałam szczęścia. Bocian nie przyleciał. Dziś kobiety mogą liczyć na pomoc. - Westchnęła, otwierając szufladę.

Mogą, pomyślałam, ale ta pomoc nie zawsze przynosi skutek. Przypomniała mi się kobieta, która kupiła różową „bezę”.

- Niestety, moje jajniki sprezentowały mi tylko raka - dodała pani Bell, stawiając na tacy dzbanuszek z mlekiem. - To wredne z ich strony.

Może wzięłabyś tacę...

- Właśnie wróciłam z Awinionu - oznajmiłam, nalewając kilka chwil później herbatę do filiżanek.

Pani Bell w zamyśleniu kiwnęła głową.

- Udany wyjazd?

- Kupiłam kilka ślicznych rzeczy, więc pod tym względem bardzo.

- Podałam jej filiżankę. - Pojechałam też do Chateauneuf-du-Pape. - Opowiedziałam pani Bell o Milesie.

Upiła łyk herbaty, przytrzymując filiżankę obiema rękami.

- Było chyba bardzo romantycznie.

- Cóż... nie pod każdym względem. Wspomniałam o zachowaniu Roxanne.

- Zrobiła ci „pa-pa”? Uśmiechnęłam się.

- Rzeczywiście tak to trochę wyglądało. Roxanne jest, delikatnie mówiąc, bardzo wymagająca.

- Może być problem.

- Tak - odparłam, myśląc o wrogości Roxanne. - Chociaż wydaje mi się, że Miles mnie... lubi.

- Byłby szalony, gdyby cię nie lubił.

- Dziękuję... Ale mówię o tym właściwie tylko dlatego, że wracając do Awiononu, pomyliłam drogę. I nagle znalazłam się w Rochemare.

Pani Bell poruszyła się w swoim fotelu.

- Och.

- Nie wspominała mi pani, jak nazywała się pani rodzinna wieś.

- Nie, wolałam o tym nie mówić. Nie było potrzeby.
- Rozumiem. Ale rozpoznałam to miejsce z pani opisu. Widziałam tam staruszkę siedzącego pod barem na placu i przyszło mi nawet do głowy, że to może być Jean-Luc Aumage...
- Nie - przerwała mi pani Bell i odstawiła filiżankę. - Nie, nie.
- Zaprzeczyła. - Jean-Luc zginął w Indochinach.
- .. .ale potem zobaczyłam ten pomnik.
- Zginął w bitwie pod Dien Bien Phu. Podobno usiłował pomóc wietnamskiej kobiecie, która chciała uciec. Dziwne - dodała cicho.
- Zastanawiałam się czasami, czy za tym szlachetnym czynem nie kryło się czasem poczucie winy z powodu tego, co zrobił dziesięć lat wcześniej. - Pani Bell rozłożyła ręce. - Kto wie? - Spojrzała w okno. - Kto wie? - powtórzyła cicho. - Nagle podniosła się z fotela, krzywiąc przy tym lekko. - Przepraszam cię na moment, Phoebe. Chciałabym ci coś pokazać.

Wyszła z pokoju i poszła do sypialni. Słyszałam, jak otwierała szufladę. Po minucie czy dwóch wróciła z dużą brązową kopertą, której brzegi spłówiały tak, że nabrały odcienia ochry.

Pani Bell usiadła, otworzyła kopertę i wyjęła z niej duże zdjęcie. Przez chwilę wpatrywała się w nie uważnie, a potem ruchem dłoni pokazała, żebym się zbliżyła. Przysunęłam do niej swoje krzesło.

Czarno-biała fotografia przedstawiała mniej więcej setkę dzieci, dziewcząt i chłopców. Niektóre stały na baczność, inne miały przekrzywione głowy i wyglądały na znudzone, jeszcze inne mrużyły oczy w świetle słońca. Starsze dzieci stały sztywno z tyłu, najmłodsze siedziały

z przodu ze skrzyżowanymi nogami. Chłopcy mieli równe przedziałki, dziewczynki włosy ujarzmione wstążkami i grzebieniami.

- To zdjęcie zostało zrobione w maju czterdziestego drugiego - powiedziała pani Bell. - Wtedy było nas w szkole około stu dwudziestu uczniów.

Przesunęłam wzrokiem po tym morzu twarzy.

- A gdzie pani jest?

Pani Bell wskazała dziewczynkę stojącą w trzecim rzędzie po lewej stronie. Miała wysokie czoło, szerokie usta i ciemnoblonde włosy do ramion, które okalały jej twarz miękkimi falami. Potem przesunęła palec na dziewczynkę stojącą po jej lewej stronie, o czarnych, obciętych na pazia włosach, wysokich kościach policzkowych i ciemnych oczach, które zdawały się patrzeć przyjaźnie, a jednocześnie czujnie.

- A to jest Monique.

- Wygląda, jakby się czegoś obawiała.

- Tak. W jej oczach widać niepokój. Strach, że ktoś odkryje, kim jest. -

Pani Bell westchnęła. - Biedne dziecko.

- A on?

Teraz pani Bell wskazała chłopca stojącego pośrodku ostatniego rzędu. Jego głowa stanowiła najwyższy punkt kompozycji. Patrząc na jego jasne jak len włosy i regularne rysy, zrozumiałam dziewczęce zauroczenie pani Bell.

- Dziwne - mruknęła - ale ilekroć wspominałam po wojnie Jean--Luca, myślałam z goryczą, że na pewno dożyje sędziwego wieku i umrze spokojnie we śnie, w otoczeniu dzieci i wnuków. A przecież Jean-Luc miał zaledwie dwadzieścia sześć lat, kiedy został zabity, z dala od domu,

w chaosie bitwy, z odwagą ratując obcego człowieka. W gazecie napisali... Marcel przysłał mi wycinek... że wrócił, by pomóc wietnamskiej kobiecie, która przeżyła i opisała go później jako „bohatera”. Może istotnie, przynajmniej dla niej, nim był.

Pani Bell odłożyła zdjęcie.

- Często się zastanawiałam, dlaczego Jean-Luc zrobił Monique to, co zrobił. Był bardzo młody, oczywiście, ale to żadne usprawiedliwienie. Czczył swojego ojca i uważał go za bohatera, choć niestety Rene Aumage bohaterem nie był. Możliwe też, że po części kierowała nim chęć odwetu za to, że został odrzucony. Monique trzymała go na dystans, i miała po temu powody.

- Ale Jean-Luc mógł nie wiedzieć, jaki naprawdę los spotka Monique - powiedziałam cicho.

- Nikt tego wtedy nie wiedział. Prawda wyszła na jaw później. A tym, którzy wiedzieli i mogli zaświadczyć o tym, co się działo, po prostu nikt nie wierzył. Ludzie nazywali ich szaleńcami. Gdyby tylko... -mruknęła pani Bell. - Pozostaje jednak faktem, że Jean-Luc zachował się strasznie, podobnie jak wielu innych w owym czasie... Tak jak wielu zachowało się heroicznie - dodała. - Na przykład rodzina Antignac. Po wojnie okazało się, że ukrywali w swoim domu czwórkę innych dzieci, i wszystkie one przeżyły wojnę. - Spojrzała na mnie. - Było wielu takich odważnych ludzi, i często o nich myślę. - Wsunęła fotografię z powrotem do koperty.

- Pani Bell - powiedziałam łagodnie - znalazłam dom Monique.

-Drgnęła i skrzywiła się przy tych słowach. - Przepraszam - dodałam

szybko. - Nie chciałam pani zdenerwować. Ale rozpoznałam go, bo stoi przed nim studnia, a nad drzwiami jest płaskorzeźba z głową lwa.

- Ostatni raz widziałam ten dom sześćdziesiąt sześć lat temu - odparła cicho. - Bywałam później w Rochemare, oczywiście, ale nigdy nie wróciłam pod dom Monique. To było ponad moje siły. A potem, kiedy w latach siedemdziesiątych zmarli moi rodzice, a Marcel przeniósł się do Lyonu, nic mnie już z tym miejscem nie łączyło.

Zamieszałam herbatę.

- Kiedy tam stałam, dostrzegłam jakiś ruch za żaluzją w oknie. To tylko cień, ale w jakiś sposób mną... wstrząsnął. Poczułam nagle...

Pani Bell spojrzała na mnie.

- Co poczułaś? Patrzyłam na nią przez chwilę.

- Nie jestem pewna. Było to coś, czego nie umiem wytłumaczyć. Mogę tylko powiedzieć, że nie byłam w stanie podejść do drzwi, zapukać i zapytać...

- O co zapytać? - spytała ostro. Ton jej głosu bardzo mnie zaskoczył. - O co mogłabyś zapytać?

- Cóż...

- Co takiego mogłabyś odkryć, Phoebe, czego sama nie wiem? -Błękitne oczy pani Bell płonęły. - Monique i jej rodzina zginęli w czterdziestym trzecim.

Wytrzymałam jej wzrok, za wszelką cenę starając się zachować spokój.

- Jest pani tego pewna?

Pani Bell odstawiła filiżankę. Usłyszałam, jak brzęknęła o spodeczek.

- Po wojnie próbowałam zdobyć jakieś informacje na ich temat, choć bałam się tego, czego mogłam się dowiedzieć. Szukałam ich pod ich

francuskim i niemieckim nazwiskiem przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Z dokumentów, do jakich dotarli, a zabrało im to ponad dwa lata, wynikało, że matka i bracia Monique zostali wysłani do Dachau w czerwcu 1943 roku. Ich nazwisko znajdowało się na liście transportowej. Później ślad się urywa, bo ci, którzy nie przeszli selekcji do pracy, nie byli rejestrowani. A kobiety z małymi dziećmi nie kwalifikowały się do pracy. - Pani Bell głos uwiązł w gardle. - Czerwony Krzyż odnalazł dokumentację dotyczącą ojca Monique. Został wysłany do prac przymusowych, ale zmarł pół roku później. A jeśli chodzi o moją przyjaciółkę... - Usta pani Bell zadrżały. - Po wojnie Czerwony Krzyż nie natrafił na żaden jej ślad. Wiedzieli, że trzy miesiące spędziła w obozie przejściowym w Drancy, a potem została wysłana do Auschwitz. W obozowej dokumentacji... naziści byli pod tym względem bardzo skrupulatni... odnotowano, że przybyła tam piątego sierpnia 1943. Fakt, że miała tam swoją kartotekę, świadczy o tym, że przeżyła selekcję. Uznano jednak, że zmarła albo została zabita, choć nie odnaleziono zapisów o jej śmierci.

Poczułam, że mój puls przyspiesza.

- A więc nie wie pani na pewno, co się z nią stało. Pani Bell poruszyła się na fotelu.

- Nie. Nie wiem, ale...

- I później już jej pani nie szukała? Pani Bell pokręciła głową.

- Szukałam Monique przez trzy lata. A to, czego się dowiedziałam, przekonało mnie, że nie przeżyła obozu. Uznałam, że dalsze poszukiwania nie przyniosłyby mi nic poza frustracją. Wyszłam za mąż, wyjechałam do Anglii... Dostałam od losu szansę, by zacząć wszystko

od początku. Postanowiłam więc, choć może było to bezwzględne, odzielić przeszłość grubą kreską. Nie mogłam bez końca ciągnąć jej za sobą, nie mogłam się bez końca karać... - Pani Bell znowu głos uwiązał w gardle. - Nie odważyłam się też opowiedzieć o tym mężowi, za bardzo się bałam, że zobaczę w jego oczach wyraz rozczarowania. A to by... wszystko zepsuło. Więc pogrzebałam historię Monique, na kilkadziesiąt lat, i nikomu o niej nawet nie wspomniałam. Nikomu. Aż do chwili, w której spotkałam ciebie.

- Ale nie wie pani, czy Monique rzeczywiście zginęła w Auschwitz -należałam. Serce waliło mi jak oszalałe.

Pani Bell wpatrywała się we mnie przez kilka sekund.

- To prawda. Ale nawet jeśli nie umarła tam, to zginęła zapewne w innym obozie koncentracyjnym, albo w chaosie jaki ogarnął Europę w czterdziestym piątym, kiedy wojska alianckie były coraz bliżej i naziści kazali tym, którzy byli jeszcze w stanie iść, maszerować w śniegu do obozów w głębi Niemiec. Nie przeżyła nawet połowa. Wielu ludzi zmarło lub zaginęło, po tysiącach zgonów nie został żaden ślad. Sądzę, że taki był właśnie los Monique.

- Ale nie wie pani, czy tak istotnie było... - Chciałam przełknąć ślinę, choć zupełnie zaschło mi w gardle. - A nie mając co do tego pewności, musiała się pani przecież czasami zastanawiać, czy...

- Phoebe - powiedziała z mocą pani Bell. Jej oczy błyszczały. -Monique nie żyje od ponad sześćdziesięciu pięciu lat. A jej dom, tak jak te stare ubrania, które sprzedajesz, ma teraz nowych właścicieli i nowe życie. Cokolwiek poczułaś, stojąc przed nim, było... zupełnie nieracjonalne. Bo mogłaś zobaczyć tylko cień osoby mieszkającej tam teraz, a nie... sama

nie wiem... jakiejś „obecności”, jeśli to właśnie sugerujesz, która... usiłowała cię zmusić... nie wiem do czego! A teraz... -Pani Bell przyłożyła drżącą rękę do piersi. - Jestem zmęczona.

Wstałam.

- Powinnam już iść. - Odniosłam tacę do kuchni, po czym wróciłam do salonu. - Przykro mi, jeśli wytrąciłam panią z równowagi, pani Bell. Nie chciałam tego.

Pani Bell westchnęła ciężko.

- Mnie też jest przykro, że tak się... zdenerwowałam. Wiem, że masz dobre chęci, Phoebe, ale to dla mnie bardzo bolesna sprawa... zwłaszcza teraz, kiedy wiem, że moje życie wkrótce dobiegnie końca. Umrę, wiedząc, że nie byłam w stanie naprawić krzywdy, jaką wyrządziłam.

- Raczej błędu, który pani popełniła - poprawiłam ją łagodnie.

- Tak, błędu. Okropnego błędu. - Pani Bell wyciągnęła do mnie rękę, a ja ją ujęłam. Była taka drobna i lekka. - Ale doceniam, że myślisz o mojej historii. - Poczułam, jak jej palce zaciskają się na mojej dłoni.

- Myślę. Myślę o niej bardzo często, pani Bell. Kiwnęła głową.

- A ja myślę o twojej.

Rozdział 10

We czwartek Val zadzwoniła do mnie znowu, prosząc, żebym odebrała naprawione rzeczy, więc zaraz po pracy pojechałam do Kidbrooke. Zatrzymując samochód pod domem Val, miałam nadzieję, że nie zastanę u niej Mags. Wstydziłam się faktu, że skorzystałam z jej usług. Teraz wydawało mi się to takie głupie... I niskie.

Wyciągnęłam rękę do dzwonka, ale nagle drgnęłam gwałtownie. Tłusty czarny pająk, jeden z tych, które pojawiają się jesienią, zdążył go już opleść swoją siecią. Zapukałam więc głośno, a kiedy Val otworzyła drzwi, pokazałam jej pająka. Spojrzała na niego.

- Och, to bardzo dobrze. Pająki przynoszą szczęście. Wiesz dlaczego?

- Nie.

- Bo to pająk ukrył Dzieciątko Jezus przed żołnierzami Heroda, oplatając je pajęczyną. Niewiarygodne, prawda? Dlatego nie wolno zabijać pająków - dodała.

- Nawet by mi to do głowy nie przyszło.

- Interesujące - mruknęła Val, przyglądając się pająkowi. - Snuje swoją pajęczynę do góry, co oznacza, że właśnie wróciłaś z podróży.

Spojrzałam na nią, zaskoczona.

- Rzeczywiście, byłam niedawno we Francji.

- Gdyby snuł sieć w dół, oznaczałoby to, że dopiero wybierasz się w podróż.

- Naprawdę? Jesteś prawdziwą skarbnicą wiedzy - powiedziałam, wchodząc do środka.

- Cóż, uważam, że powinno się wiedzieć takie rzeczy. Podążając za Val przez przedpokój, poczułam lekki zapach Magie Noir i nikotyny. A jednak spotkałam Maggie, pomyślałam z przerażeniem.

- Cześć, Mags - rzuciłam, uśmiechając się z przymusem.

- Cześć, kochana - wychrypiała Mags, która siedziała w pracowni Val na fotelu, szczelnie go sobą wypełniając. Jadła ciasteczko owsiane.

- Szkoda, że ostatnio nam nie wyszło. Ale powinnaś była pozwolić mi spróbować jeszcze raz. - Strząsnęła okruszek z kącika ust długim, po-

malowanym na czerwono paznokciem. - Wydaje mi się, że Emma za chwilę przywlokłaby do nas swój tyłek.

Popatrzyłam na Mags, nagle oburzona faktem, że ktoś mówi o mojej najlepszej przyjaciółce, używając tak wulgarnych określeń.

- Nie sądzę, Maggie - odparłam, usiłując zachować spokój. - Prawdę mówiąc, skoro już poruszyłeś ten temat, pozwolę sobie zauważyć, że nasze spotkanie było kompletną stratą czasu.

Mags wyglądała tak, jakbym uderzyła ją w twarz. Potem wyjęła zza dekoltu paczkę chusteczek higienicznych i wyciągnęła jedną.

- Problem w tym, że ty w to nie wierzysz. Spojrzałam na nią. Rozkładała chusteczkę.

- To nieprawda. Wierzę, że po śmierci człowieka dusza ludzka może nadal żyć, a nawet, że możliwe jest wykrycie obecności kogoś, kto już nie żyje. Ponieważ jednak nic, co powiedziałaś o mojej przyjaciółce, nie było prawdą, nawet jej płęć, poważnie powątpiewam w twoje zdolności w tym kierunku. Mags wydmuchała nos.

- Miałam kiepski dzień - bąknęła. - Poza tym we wtorek rano eter przewodzi najslabiej.

- Mags naprawdę jest bardzo dobra, Phoebe - poparła ją lojalnie Val. - Niedawno połączyła mnie z moją babcią, prawda? - Mags pokiwała głową. - Zgubiłam jej przepis na ciasto cytrynowe i chciałam, żeby jeszcze raz mi go podała.

- Osiem jajek - powiedziała Mags. - A nie sześć.

- Tego właśnie nie mogłam zapamiętać - przyznała Val. - Tak czy inaczej, dzięki Mags, ucięłam sobie przyjemną pogawędkę z babcią.

-Dyskretnie przewróciłam oczami. - Mags jest tak dobra, że została za-

proszona jako medium do programu Mówią duchy, w telewizji ITV2, prawda, Mags? - Medium kiwnęło głową. - Jestem pewna, że pocieszy wielu widzów. Powinnaś to oglądać, Phoebe - dodała Val z uśmiechem. -W każdą niedzielę o dziesiątej trzydzieści.

Podniosłam torbę.

- Zapamiętam.

- Wyglądają świetnie - stwierdziła Annie następnego ranka, kiedy pokazałam jej ubrania pani Bell naprawione przez Val: żółtą plisowaną suknię wieczorową, wspaniałą płaszcz od Guya Laroche z różowego jedwabiu, długą do ziemi sukienkę od Ossie Clark i śliwkowy kostium z gabardyny. Pokazałam jej też sukienkę z dzianiny w tęczowe paski od Missoniego, która miała na brzegu dziurkę wygryzioną przez mole.

- Sprytne - powiedziała Annie, kiedy się jej przyjrzała. Val zacerowała ubytek w materiale kolorowymi nićmi. - Musiała używać bardzo cienkiej igły i doskonale dobrała kolory. - Teraz Annie podniosła do góry wieczorowy płaszcz z szafirowego jedwabiu, z rękawami do łokci, od Chanel. - Jest wspaniały. Powinnyśmy go dać na wystawę, nie sądzisz? Może zamiast tego kostiumu w szkocką kratę od Vivienne Westwood.

Annie przyszła o ósmej, żeby pomóc mi poukładać wszystko od nowa przed otwarciem sklepu. Odłożyłyśmy na bok prawie połowę rzeczy, zastępując je strojami w kolorach obowiązujących tej jesieni - granacie, głębokiej czerwieni, morskiej zieleni, ciemnym fiolecie i złocie -barwach szlachejnych kamieni, przypominających renesansowe malarstwo. Potem znalazłyśmy kilka rzeczy, które odzwierciedlały linię modną w tym sezonie - sztywne płaszcze z paskiem w talii, sukienki

o dużych kołnierzach i szerokich spódnicach, i odważnie skrojone żakiety poszerzające linię ramion, z marszczonymi rękawami. Wyjęłyśmy też ubrania uszyte z najmodniejszych tkanin - brokatu, koronki, satyny i adamaszku, a także z tweedu i gniecionego aksamitu.

- To, że sprzedajemy stroje vintage, nie oznacza, że możemy ignorować najnowsze trendy - powiedziałam, wracając z zaplecza ze stertą ubrań.

- Prawdę mówiąc, powinniśmy przywiązywać do nich nawet większą uwagę - zauważyła Annie. - W tym sezonie moda jest bardzo wyrazista - dodała, kiedy wręczyłam jej wiśniową sukienkę z uszytą z koła spódnicą od Balmaina, kostium z czekoladowej skóry z paskiem i szerokimi połami od Alaia Couture i futurystyczną pomarańczową sukienkę od Courreges z połowy lat sześćdziesiątych. - Wszystko musi być teraz duże i zamaszyste - ciągnęła Annie. - Mocne, odważne kolory, śmiały krój, sztywne materiały, które odstają od ciała. I wszystko to tutaj mamy, Phoebe, wystarczy to złożyć w jedną całość.

Annie rozpakowała już większość ubrań pani Bell i teraz patrzyła na śliwkowy kostium z gabardyny.

- Jest śliczny, ale mogłybyśmy uwspółcześnić go trochę, dodając szeroki miękki pasek i kołnierz ze sztucznego futra. Poszukać czegoś odpowiedniego?

- Tak, proszę.

Powiesiłam kostium na wieszaku, próbując wyobrazić sobie, jak wyglądała w nim pani Bell, kiedy nosiła go w latach czterdziestych, gdy starała się odszukać Monique. Gdyby, uchowaj Boże, podobna sytuacja zaistniała obecnie, pani Bell miałaby do dyspozycji radio i telewizję. Mogłaby rozesłać e-maile po całym świecie i zamieścić apel w Inter-

necie albo ogłoszenia na Facebook, MySpace czy YouTubie. Mogłaby wystukać nazwisko Monique w którejś z wyszukiwarek i czekać na wpływające z eteru informacje...

- Proszę - powiedziała Annie, schodząc ze schodków z kołnierzem ze sztucznego futra ocelota. - Wydaje mi się, że to powinno pasować... A ten pasek ma chyba odpowiedni kolor. - Przyłożyła go do żakietu. - Idealnie.

- Mogłabyś włożyć je na ten kostium? - spytałam. - Muszę jeszcze. .. odebrać wiadomości.

- Jasne.

Odkąd pani Bell opowiedziała mi swoją historię, często myślałam o tym, by poszukać informacji o Monique w Internecie, choć prawdopodobieństwo, że coś znajdę, było niewielkie. Poza tym, co miałabym zrobić, gdybym istotnie się czegoś dowiedziała? Jak mogłabym to zataić przed panią Bell? A biorąc pod uwagę, że informacje te niemal na pewno byłyby smutne, jeśli nie tragiczne, powinnam zachować je dla siebie. Jednak kiedy zobaczyłam dom Monique, zaczęłam myśleć o tym inaczej. Trawiło mnie pragnienie, by poznać prawdę. Teraz, kierowana jakimś wewnętrznym nakazem, którego sama nie rozumiałam, usiadłam przed komputerem i wpisałam nazwisko Monique w Google'u.

Na ekranie nie pojawiło się nic istotnego. Kilka wzmianek o Avenue Richelieu w Quebecu i liceum imienia Kardynała Richelieu w Paryżu. Wpisałam nazwisko jeszcze raz, bez pierwszej litery „e”. Potem wpisałam „Monika Richter”. Znalazłam psychoanalityka z Kalifornii, niemiecką lekarzkę, pediatrę, i australijskiego ekologa. Żadna z tych osób nie miała najprawdopodobniej związku z poszukiwaną przeze mnie osobą.

Zacząłam szukać, wpisując „Monica”, zamiast „Monika”. Następnie dodałam „Auschwitz”, w nadziei, że w morzu informacji o tym obozie znajdzie się jakieś świadectwo naocznego świadka. W końcu dodałam „Mannheim”, bo pamiętałam, że stamtąd pochodziła rodzina Monique. Nie znalazłam jednak nic, co w jakikolwiek sposób łączyłoby się z przyjaciółką pani Bell ani z jej rodziną. Wskoczyło tylko kilka wzmianek o wystawie Gerharda Richtera zorganizowanej w tym mieście.

Przez chwilę bezradnie patrzyłam w ekran. Więc to już koniec. Pani Bell miała rację. W Rochemare widziałam tylko cień jakiejś żywej osoby w oknie domu, który już dawno zapomniał o swoich wojennych mieszkańcach. Już miałam wyjść z sieci, kiedy nagle postanowiłam zajrzeć jeszcze na strony Czerwonego Krzyża.

Ze strony głównej dowiedziałam się, że Biuro Informacji i Poszukiwań rozpoczęło działalność pod koniec wojny i że należące do niego archiwa, zawierające prawie pięćdziesiąt milionów nazistowskich dokumentów obozowych, znajduje się w północnych Niemczech. Każdy bez wyjątku może zlecić poszukiwania, które prowadzą następnie archiwiści Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Trwa to średnio od jednej do czterech godzin. Biorąc pod uwagę liczbę zleceń, poszukujący powinien spodziewać się odpowiedzi najdalej po trzech miesiącach.

Kliknęłam na pole oznaczone słowami „Ściągnij formularz”. Był zaskakująco krótki. Należało po prostu podać dane osobowe poszukiwanej osoby i miejsce, w którym ostatnio była widziana. Poszukujący musiał również podać swoje dane, a także opisać związek z poszukiwaną osobą oraz podać powód rozpoczęcia poszukiwań. Przy tym

ostatnim były do wyboru dwie opcje: „odszkodowania wojenne” i „poznanie losów”.

- Poznanie losów - mruknęłam.

Wydrukowałam formularz i włożyłam go do koperty. Postanowiłam, że zaniosę go do pani Bell, kiedy jej bratanica wyjedzie. Wypełnimy go razem, a potem wyślę go e-mailem do Czerwonego Krzyża. Jeśli w ich ogromnych archiwach odnajdą jakieś informacje na temat Monique, myślałam, pani Bell będzie mogła przynajmniej zamknąć ten rozdział swojego życia. Zgodnie z tym, co napisano na stronie internetowej, poszukiwania nie powinny trwać dłużej niż trzy miesiące, co oznaczało, że odpowiedź może nadejść szybciej. Po miesiącu, a może już po dwóch tygodniach. Zastanawiałam się, czy nie dołączyć do formularza prośby o przyspieszenie procedury, z uwagi na chorobę pani Bell. Zaraz jednak przyszło mi do głowy, że zapewne taki problem dotyczy wielu poszukujących z pokolenia pani Bell, z których najmłodszy był teraz już dobrze po siedemdziesiątce.

- Są jakieś zamówienia? - zawołała Annie.

- Och... - Wróciłam do rzeczywistości. Szybko weszłam na stronę Village Vintage i otworzyłam skrzynkę z wiadomościami. - Tak, są... trzy. Ktoś chce kupić tę zieloną torebkę od Kelly'ego, jest też zainteresowanie spodniami od Pucciego i... Hurra! Sprzedała się madame Gres!

- Ta sukienka, której nie chcesz.

- Zgadza się. - Wróciłam do sklepu i zdjęłam suknię z wieszaka, żeby przygotować ją do wysłania. - W ubiegłym tygodniu ta kobieta napisała do mnie z pytaniem o wymiary - powiedziałam. - Teraz przysłała pieniądze, dzięki Bogu.

- Naprawdę chciałaś się jej pozbyć, prawda?
- Chyba tak.
- Dlatego, że dostałaś ją od chłopaka? Spojrzałam na Annie.
- Tak.
- Domyślałam się tego, ale nie znałyśmy się, więc nie chciałam pytać. Teraz, kiedy się już znamy, mogę sobie pozwolić na trochę wścibstwa. .. Uśmiechnęłam się do niej. To prawda, teraz zdążyłyśmy się już poznać. Podobały mi się przyjazna swoboda Annie i entuzjazm, z jakim pracowała w sklepie.
- Było nieprzyjemnie? - spytała.
- Cóż, można tak powiedzieć.
- W takim razie sprzedaż sukienki jest całkowicie zrozumiała. Gdyby Tim mnie rzucił, prawdopodobnie pozbyłabym się wszystkiego, co od niego dostałam. Poza obrazami, na wypadek, gdyby miało się kiedyś okazać, że są coś warte. - Annie ustawiła na półce czerwone szpilki od Brunona Magli. - A jak ci się układa z ofiarodawcą czerwonych róż, jeśli mogę zapytać?
- Jest bardzo... miło. Prawdę mówiąc, widziałam się z nim we Francji - odparłam i wyjaśniłam, dlaczego.
- To świetnie, najwyraźniej za tobą szaleje. Uśmiechnęłam się. A potem, zapinając guziki różowego kardiganu z kaszmiru, opowiedziałam Annie nieco więcej o Milesie.
- A jaka jest jego córka?
- Owinęłam szyję manekina na wystawie ciężkim złotym łańcuchem.
- Ma szesnaście lat. Jest bardzo ładna... i bardzo zepsuta.

- Jak wiele nastolatek - zauważyła Annie. - Ale nie zawsze będzie nastolatką.

- Fakt - przyznałam pogodnie.

- Chociaż nastolatki mogą być naprawdę okropne.

Nagle ktoś zapukał w szybę. Była to Katie, w szkolnym mundurku.

Pomachała do nas ręką. Nastolatki mogą być też urocze, pomyślałam.

Otworzyłam drzwi i Katie weszła do środka.

- Cześć - powiedziała, po czym z niepokojem rozejrzała się dookoła.

- Jest, dzięki Bogu - dodała z uśmiechem, patrząc na żółtą sukienkę z tiulu.

- Jest - potwierdziłam. Postanowiłam, że nie powiem jej, iż zaledwie poprzedniego dnia mierzyła ją pewna kobieta. I wyglądała w niej jak grejpfrut. - Annie, to jest Katie.

- Pamiętam, byłaś tu tydzień czy dwa temu - odezwała się Annie ciepło.

- Katie spodobała się żółta amerykańska sukienka.

- Jest cudowna - westchnęła tęsknie Katie. - Zbieram na nią pieniądze.

- Mogę zapytać, jak ci idzie?

- Cóż, opiekuję się teraz dziećmi z dwóch rodzin i mam już sto dwadzieścia funtów. Bal będzie pierwszego listopada, więc mam nadzieję, że zdążę odłożyć resztę.

- Cóż... Tak trzymać. Żałuję, że nie mam dzieci, mogłabyś się nimi zajmować.

- Idę właśnie do szkoły i pomyślałam, że wstąpię i jeszcze na nią popatrzę. Nie mogłam się oprzeć... Mogłabym zrobić jej zdjęcie?

- Oczywiście.

Katie wyjęła telefon komórkowy, rozległo się pstryknięcie migawki.

- Super - pisnęła, patrząc na ekranik. - Będzie mnie to mobilizować. No, muszę lecieć, jest za kwadrans dziewiąta.

Katie zarzuciła torbę na ramię i odwróciła się, żeby wyjść, najpierw jednak podniosła gazetę, która właśnie wylądowała na wycieraczce, i podała ją Annie.

- Dziękuję, kochanie - powiedziała Annie.

Pomachałam do Katie, po czym zaczęłam przekładać rzeczy na stojaku ze strojami wieczorowymi.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła nagle Annie.

Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w gazetę. A potem mi ją pokazała. Połowę pierwszej strony „Black & Green” zajmowało duże zdjęcie Keitha. Pod jego ściągniętą twarzą widniał napis: „Miejscowy tuz handlu nieruchomościami podejrzany o malwersacje - tylko u nas!” Annie przeczytała artykuł na głos.

„Znany deweloper Keith Brown, prezes Phoenix Land, może wkrótce stanąć przed sądem w związku z odkrytymi przez dziennikarzy naszej gazety dowodami, które wskazują na poważne oszustwo ubezpieczeniowe. Brown założył Phoenix Land w 2004 roku, inwestując w to przedsięwzięcie pieniądze uzyskane w ramach odszkodowania po pożarze, który dwa lata wcześniej pochłonął należący do niego magazyn mebli kuchennych. Firma ubezpieczeniowa, Star Alliance, podała w wątpliwość roszczenia Browna, który twierdził, że magazyn został podpalony przez niezadowolonego pracownika, a ten znikł bez śladu...”

- Odmówiła wypłaty... Brown wszczął postępowanie... - ciągnęła Annie

- Star Alliance w końcu uznało roszczenie... Dwa miliony fantów... - Urwała. Popatrzyłyśmy na siebie. - Teraz „Black & Green” otrzymało

przekonujące dowody na to, że Brown sam podpalił swój magazyn... -
Annie spojrzała na mnie oczami wielkimi jak spodki, po czym wróciła do czytania. - „Pan Brown odmówił odpowiedzi na pytania, które zadaliśmy mu wczoraj, ale jego próba oskarżenia gazety o pomówienie nie przyniosła rezultatu...” Dobrze! - wykrzyknęła Annie z satysfakcją. - Dobrze też wiedzieć, że nawet jeśli nie byliśmy dla niego miłe, na pewno mu się to należało. - Podała mi gazetę.

Szybko przebiegłam tekst wzrokiem, a potem przypomniałam sobie wypowiedzi Keitha, które czytałam w „Guardianie” - o tym, jaki był „zdruzgotany”, kiedy patrzył na płonący magazyn i jak „przysiągł sobie”, że z jego popiołów powstanie coś wartościowego. Już wtedy wydawało mi się, że w jego słowach pobrzmiewa jakaś fałszywa nuta, i teraz wiedziałam, dlaczego.

- Ciekawa jestem, jak „Black & Green” zdobyło te informacje -powiedziałam.

- Być może firma ubezpieczeniowa, która od początku coś podejrzewała, znalazła jakieś „przekonujące dowody”, cokolwiek to znaczy.

- Ale po co mieliby je przekazywać lokalnej gazecie? Na pewno mogli pójść z tym od razu na policję.

- No tak, racja.

A więc to musiała być ta trudna biznesowa historia, nad którą pracował Dan. Ta, która zaprzętała go, kiedy siedzieliśmy w Age Exchange i zadzwonił do niego Mart.

- Mam nadzieję, że jego dziewczyna nie stanie za nim murem - powiedziała Annie. Choć oczywiście mogłaby go odwiedzać w więzieniu w tej zielonej tiulowej sukience, wyglądając jak Dzwoneczek z Piotrusia

Pana. - Zachichotała. - A skoro już mowa o tiulowych sukienkach, Phoebe... Odpisałaś dostawcy z Ameryki?

- Nie. Ale muszę to niedługo zrobić.

Byłam tak zaprzątnięta historią Monique, że zupełnie o tym zapomniałam.

- Tak, musisz - odparła Annie. - Zbliża się karnawał, a w „Vogue'u” pisali, że takie sukienki są teraz bardzo na czasie. Im więcej halek, tym lepiej.

- Zaraz do niego napiszę.

Wróciłam do komputera i weszłam do Outlooka, żeby napisać do Ricka. Okazało się jednak, że zrobił to pierwszy. Otworzyłam wiadomość.

„Cześć, Phoebe.

Nagrałem ci się wczoraj na sekretarkę z informacją, że mam dla ciebie jeszcze sześć sukienek z tiulu, wszystkie najwyższej jakości i w doskonałym stanie”.

Obejrzałam przesłane zdjęcia. Istotnie, były to urocze „bezy” w głębokich, żywych kolorach doskonałych na jesień. Indygo, zieleń, kakao, fiolet i błękit. Powiększyłam fotografie, by sprawdzić, czy nie są spłowiałe albo przetarte, po czym wróciłam do tekstu wiadomości.

„Przesyłam ci też zdjęcie torebek, o których wspominałem wcześniej. Chciałbym je sprzedać razem z sukienkami, bo większość z nich...”

- Cholera - mruknęłam. Nie chciałam ich kupować, zwłaszcza że funt spadł ostatnio bardzo w stosunku do dolara, zdawałam sobie jednak sprawę z tego, że powinnam je wziąć, bo w przeciwnym wypadku Rick może przestać dostarczać mi rzeczy, na których mi naprawdę zależy. - No dobrze, obejrzyjmy i torebki - powiedziałam do siebie ze znużeniem.

Torebki były na jednym zdjęciu. Sfotografowano je na białym tle, a pochodziły głównie z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Były zupełnie zwyczajne, poza bardzo ładną skórzaną torbą od Gladstone'a, prawdopodobnie z lat czterdziestych, i perłową kopertówką z wczesnych lat siedemdziesiątych.

- Ile za to chce? - mruknęłam.

Wszystko za osiemset dolarów, łącznie z kosztami przesyłki. Kliknęłam pole z napisem „Odpowiedz”.

„Zgoda, Rick.

Kupuję. Zapłacę ci przez PayPal kiedy dostanę fakturę. Proszę przyślij wszystko pocztą lotniczą, jak najszybciej. Dziękuję, Phoebe”.

- Kupiłam jeszcze sześć „bez” - powiedziałam do Annie, kiedy wróciłam do sklepu.

Annie akurat przebierała jeden z manekinów.

- To dobra wiadomość, powinny się dobrze sprzedąć.

- Kupiłam też dwanaście torebek. Większości wcale nie chciałam, ale muszę je wziąć, bo to quid pro quo.

- Nie ma ich za bardzo gdzie trzymać - zauważyła Annie, podnosząc rękę manekina.

- Wiem. Te, które nie są dość stare, zaniosę do sklepu Oxfam. A teraz pójdę wysłać madame Gres.

Poszłam do biura, szybko owinęłam sukienkę w bibułkę, przewiązałam ją białą wstążką i włożyłam do papierowej torby. Potem odwróciłam wywieszkę na drzwiach tak, by na zewnątrz znajdował się napis „Otwarte”.

- Zobaczymy się później.

Kiedy wyszłam ze sklepu, zadzwoniła moja matka. Właśnie dotarła do pracy.

- Postanowiłam - wyszeptała.

- Co postanowiłaś? - spytałam, skręcając w Montpelier Vale.

- Postanowiłam zapomnieć o tych wszystkich głupich zabiegach, o których myślałam. O regeneracji plazmowej, odnowie komórkowej i tak dalej.

Spojrzałam w okno salonu piękności, który właśnie mijałam.

- To doskonała wiadomość, mamo.

- Myślę, że i tak by mi nie pomogły.

- Na pewno masz rację - odparłam, przechodząc przez ulicę.

- I są takie kosztowne.

- To prawda. Byłaby to tylko strata pieniędzy.

- Właśnie. Więc doszłam do wniosku, że równie dobrze mogę po prostu zrobić sobie lifting.

- Mamo... Nie rób tego.

- Zrobię sobie lifting - powtórzyła cicho, kiedy przechodziłam obok sklepu sportowego. - Czuję się fatalnie, a to na pewno podniesie mnie na duchu. Zrobię sobie taki prezent na sześćdziesiąte urodziny, Phoebe.

Pracowałam przez tyle lat - ciągnęła - więc dlaczego nie miałabym pozwolić sobie na małe kosmetyczne „odświeżenie”, jeśli mam na to ochotę?

- Oczywiście, mamo. To twoje życie. Ale co, jeśli nie będziesz zadowolona z efektów? - powiedziałam. Przed oczami stanęła mi nagle wizja jej ładnej twarzy nienaturalnie ponaciąganej, pełnej blizn i zgrubień.

- Sprawdziłam kilka miejsc - mówiła dalej. - Wczoraj wzięłam wolne i poszłam na konsultacje do trzech chirurgów plastycznych, po czym postanowiłam, że pójdę pod nóż Freddiego Churcha, w jego klinice w Maida Vale. Dwudziestego czwartego listopada - powiedziała. Byłam ciekawa, czy pamięta, że Louis urodził się właśnie tego dnia. -I nie próbuj mnie od tego odwozić, kochanie. Podjęłam już decyzję.

Wpłaciłam zaliczkę i na pewno się nie wycofam.

- W porządku. - Westchnęłam. Protesty na nic by się nie zdały; kiedy mama coś postanowiła, zawsze umiała się tego trzymać. Poza tym byłam bardzo zajęta i nie miałam siły się z nią spierać. - Mam tylko nadzieję, że nie będziesz tego żałować.

- Na pewno nie będę. A teraz powiedz mi jeszcze szybko, jak tam twój nowy mężczyzna? Nadal się spotykacie?

- Tak, jutro się z nim zobaczę. Idziemy do Almeida Theatre.

- Cóż, wydaje mi się, że go polubiłaś, więc nie zrób czegoś głupiego. Rozumiesz, masz trzydzieści cztery lata - dodała - a zanim się obejrzyysz, będziesz miała czterdzieści trzy i...

- Przepraszam, mamu, muszę już kończyć - przerwałam i wyłączyłam telefon.

Na poczcie było pusto, więc wysłanie paczki zajęło mi tylko kilka minut. W drodze powrotnej natknęłam się Dana, który podszedł do mnie z uśmiechem.

- Spojrzałem w okno i zobaczyłem, że wychodzisz z poczty. - Ruchem głowy wskazał swoje biuro, które znajdowało się dokładnie nad księgarnią dla dzieci, po naszej prawej stronie.

- Więc tu się mieścicie, w samym sercu dzielnicy. Bardzo ładnie. A tak przy okazji, gratuluję. Właśnie przeczytałam artykuł z pierwszej strony.

- Cóż, to nie mój artykuł - odparł Dan - tylko Matta. Ja uczestniczyłem tylko w rozmowach z prawnikami. Ale to świetna historia dla takiej małej, lokalnej gazety. I wszystko to stało się tak szybko.

- Umieram z ciekawości, od kogo się o tym dowiedzieliście - powiedziałam. - Ale oczywiście wiem, że nie możesz zdradzić swojego źródła... Chyba że możesz? - dodałam z nadzieją.

Dan się uśmiechnął.

- Obawiam się, że nie.

- Żal mi jego dziewczyny. Nie mówiąc już o tym, że biedaczka straci teraz pewnie pracę.

Dan wzruszył ramionami.

- Dostanie inną, jest bardzo młoda. Widziałem jej zdjęcia - dodał. Potem zapytał mnie o wyjazd do Francji i przypomniał, że zgodziłam się pójść z nim znowu do kina. - Przypuszczam, że jutro jesteś zajęta, prawda, Phoebe? Wiem, że powinienem zapytać wcześniej, ale byłem taki zabiegany w związku z tą sprawą z Brownem. Moglibyśmy pójść na nowy film braci Coenów. Albo po prostu zjeść kolację.

- Cóż... - Spojrzałam na niego. - Byłoby wspaniale. Ale... mam już inne plany.

- Och. - Dan uśmiechnął się z żalem. - Ależ ze mnie półgłówek. Mogłem pomyśleć o tym wcześniej. Więc... spotykasz się z kimś jutro, Phoebe?

- Cóż... ja... Posłuchaj, Dan, znowu wprawiasz mnie w konsternację.

- Przepraszam. - Wzruszył ramionami. - Nic na to nie mogę poradzić. Ale dostałaś zaproszenie na jedenastego? Wysłałem na adres sklepu.

- Tak. Przyszło wczoraj.

- Mam nadzieję, że przyjdiesz. Obiecałaś mi to. Spojrzałam na Dana.

- Owszem. Przyjdę.

Tego ranka trudno było mi się skupić na pracy, bo ciągle myślałam o Milesie i o tym, jak cudownie będzie pójść z nim do teatru.

Wybieraliśmy się na Stratę Harleya Granville-Barkera. W przerwie między jedną klientką a drugą przeczytałam kilka z zamieszczonych w Internecie recenzji. Częściowo po to, by przypomnieć sobie fabułę -widziałam już tę sztukę wiele lat temu - a częściowo, żeby zrobić na Milesie wrażenie przenikliwymi uwagami na jej temat. Potem w sklepie zrobił się duży ruch, jak to zwykle bywa w soboty. Sprzedałam płaszcz pani Bell od Guya Laroche'a - niemal z żalem - i morelową tunikę z jedwabnej organzy, obszytą złotymi koralikami. Potem jakaś kobieta chciała przymierzyć żółtą tiulową „bezę”. Już po raz trzeci w tym tygodniu ktoś zainteresował się tą sukienką. Kobieta ruszyła do przymierzalni, a ja obrzuciłam ją niespokojnym spojrzeniem. Sukienka mogła na niej dobrze leżeć. Modliłam się w duchu, żeby jej się nie spodobała. Kobieta zniknęła za zasłoną. Usłyszałam zgrzyt rozpinanego zamka błyskawicznego i szelest tiulu.

- Cudownie! - wykrzyknęła. Rozchyliła zasłonę i spojrzała w lustro, odwracając się do niego najpierw jednym bokiem, a potem drugim. -Jest bajeczna - powiedziała, wspinając się na palce. - Te warstwy tiulu są jak piana. I te migoczące kryształki... - Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się szeroko. - Wezmę ją!

Wyobraziłam sobie rozczarowanie Katie. Pamiętałam, jak zrobiła zdjęcie tej sukience i jak ładnie w niej wyglądała. Dziesięć razy lepiej od

tej kobiety, która była za stara i nie dość smukła, ze swoimi pulchnymi białymi plecami i ramionami.

Kobieta odwróciła się do przyjaciółki.

- Nie uważasz, że jest wspaniała, Sue?

Sue, wysoka i koścista jak postaci z obrazów Modiglianiego, była całkowitym przeciwieństwem koleżanki, przywodzącej na myśl raczej krągłe kobiety Rubensa. Przygryzła dolną wargę i zmarszczyła lekko nos.

- Cóż, szczerze mówiąc, Jill, nie bardzo mi się podoba. Jesteś zbyt blada, a poza tym stanik jest trochę za ciasny. O, zobacz. Tutaj. - Odwróciła przyjaciółkę tyłem do lustra. Teraz Jill mogła zobaczyć fałdkę tłuszczu wystającą nad usztywnionym stanikiem. - Sue przekrzywiła głowę. - Wiesz, są takie mrożone desery, sorbet wciśnięty w cytrynę, który wylewa się górą...

- Tak? - sapnęła Jill.

- Cóż, tak to właśnie wygląda.

Wstrzymałam oddech, zastanawiając się, jak też zareaguje na to Jill.

Przez chwilę patrzyła w lustro, a potem powoli pokiwała głową.

- To prawda, Sue. Okrutna, ale prawda.

- Od czego są najlepsze przyjaciółki? - spytała Sue pogodnie i uśmiechnęła się do mnie przepraszająco. - Przykro mi, chyba właśnie straciła pani klientkę.

- Nie ma problemu - odparłam, uszczęśliwiona. - Strój musi leżeć idealnie, prawda? Niedługo dostanę więcej tych tiulowych sukienek. Może trafi się jakaś bardziej odpowiednia. Proszę zajrzeć w przyszłym tygodniu.

- W takim razie przyjdziemy.

Kiedy wyszły ze sklepu, powiesiłam żółtą „bezę” na wieszaku z rezerwacjami i przypięłam do niej karteczkę z napisem „Katie”. Czułam, że nie wytrzymam więcej przymiarek. Potem przyniosłam z zaplecza malinową suknię wieczorową od Lanvina Castillo z połowy lat pięćdziesiątych i powiesiłam ją na ścianie.

Zamknęłam sklep o wpół do szóstej, pognałam do domu, przebrałam się i ruszyłam do Islington na spotkanie z Milesem. Spiesząc w dół Almeida Street, zobaczyłam go pod teatrem. Rozglądał się dookoła. Zauważył mnie po chwili i podniósł rękę.

- Przepraszam za spóźnienie - wydyszałam. W teatrze odezwał się dzwonek. - To dzwonek na pięć minut przed rozpoczęciem spektaklu?

- Na jedną minutę. - Pocałował mnie. - Bałam się, że nie przyjdiesz. Wsunęłam rękę pod jego ramię.

- Jak mogłabym nie przyjść. - Niepewność Milesa dziwnie mnie wzruszała. Wchodząc do teatru, zastanawiałam się przez chwilę, czy wynikała ona z dzielącej nas różnicy wieku, czy też może Miles zawsze czuł się niepewnie, kiedy mu na kimś zależało.

- Dobra sztuka - powiedział mniej więcej godzinę później, kiedy zaczął się antrakt i zabłyśły światła. Podnieśliśmy się z foteli. - Widziałem ją już kiedyś, całe wieki temu, w Narodowym. Chyba w dziewięćdziesiątym pierwszym.

- Tak, na pewno wtedy, bo ja też na tym byłam. Z całą szkołą.

Przypomniałam sobie, że Emma pojawiła się dopiero na drugim akcie, zalatując dżinem.

Miles się roześmiał.

- W takim razie byłaś wtedy mniej więcej w wieku Roxy. A ja miałem trzydzieści jeden lat i byłem już młodym mężczyzną. Wtedy też bym się w tobie zakochał.

Uśmiechnęłam się. Wyszliśmy do przestronnego, nowoczesnego foyer. Tłum zniósł nas w stronę baru.

- Przyniosę drinki - powiedziałam. - Czego się napijesz?

- Kieliszek Cotes du Rhone, jeśli je tu mają. Spojrzałam na menu.

- Mają. A ja napiję się Sancerre. - Stałam w kolejce do baru, a Miles zatrzymał się kilka kroków dalej.

- Phoebe... - usłyszałam nagle za plecami jego szept. Odwróciłam się. Wydawał się mocno zmieszany, na jego twarz wypłynął ciemny rumieniec. - Zaczekam na zewnątrz.

- Dobrze - odparłam zaskoczona.

- Wszystko w porządku? - zagadnęłam, kiedy spotkaliśmy się kilka minut później przy wejściu. Podałam mu kieliszek. - Bałam się, że źle się poczułeś.

Pokręcił głową.

- Nic mi nie jest. Tylko... zauważyłem tam pewnych ludzi, których wolałbym unikać.

- Naprawdę? - Zaciekawiał mnie. - Którzy to? - Miles dyskretnym ruchem głowy wskazał stojącą na drugim końcu holu mniej więcej czterdziestoletnią blondynkę w turkusowej narzutce i szpakowatego mężczyznę w ciemnym płaszczu. - Kim są? - spytałam cicho.

Miles ściągnął wargi.

- Nazywają się Wycliff. Ich córka chodzi do dawnej szkoły Roxy.

- Westchnął. - Niezbyt mile ich... wspominam.

- Rozumiem - powiedziałam. Przypomniałam sobie, że Miles napomknął kiedyś coś na temat „nieporozumienia” w St Mary's. Cokolwiek się wtedy wydarzyło, nadal potrafiło wytrącić go z równowagi. Kiedy rozległ się dzwonek, wróciliśmy na swoje miejsca.

Po sztuce, gdy przechodziliśmy przez ulicę, w drodze do restauracji naprzeciw teatru, zauważyłam, że pani Wycliff spojrzała na Milesa z ukosa, a potem dyskretnie pociągnęła męża za rękaw. Usiadłszy przy stoliku, spytałam, co takiego zrobili Wycliffowie, co tak go zdenerwowało.

- Zachowali się okropnie w stosunku do Roxy. Byli naprawdę... nieprzyjemni. - Kiedy podnosił do ust szklankę z wodą, jego dłoń drżała lekko.

- Dlaczego? - spytałam, a Miles się zawahał. - Czy dziewczynki się nie lubiły?

- Och, bardzo się lubiły. - Odstawił szklankę. - Prawdę mówiąc, Roxy i Clara były najlepszymi przyjaciółkami. A potem, na początku letniego semestru się... pokłóciły. - Patrzyłam na Milesa, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego wzbudzało to w nim takie emocje. - Clarze coś zginęło - wyjaśnił Miles. - Złota bransoletka. Oskarżyła Roxy o to, że ją wzięła. - Z oburzeniem wyduł usta.

- Och.

- Wiedziałem, że Roxy nigdy by tego nie zrobiła. Wiem, że potrafi być irytująca, jak to zwykle nastolatki. - Wsunął palec pod kołnierzyk koszuli. - W każdym razie zadzwonili do mnie ze szkoły i powiedzieli, że Clara i jej rodzice utrzymują, iż Roxy skradła tę cholerną bransoletkę. Byłem wściekły. Powiedziałem, że nie pozwolę, by ktokolwiek rzucał

falszywe oskarżenia na moją córkę. Ale dyrektorka zachowała się...
oburzająco. - Przy ostatnich słowach na skroni Milesa zaczęła pulsować
żyła.

- Czyli jak?

- Była uprzedzona. Nie chciała uwierzyć w wersję Roxy.

- To znaczy? Miles westchnął.

- Jak już mówiłem, Roxy i Clara były przyjaciółkami. Ciągłe pożyczaly
sobie różne rzeczy, jak to dziewczęta w tym wieku. Sam widziałem, bo
kiedyś Clara spędzała u nas Wielkanoc - ciągnął Miles. - Pewnego ranka
zeszła na śniadanie ubrana wyłącznie w rzeczy Roxy i jej biżuterię. I
vice versa. Cały czas to robiły. Uważały, że to bardzo zabawne.

- Więc... chcesz powiedzieć, że Roxy jednak miała tę bransoletkę?
Oblał się rumieńcem.

- Znalazła się u niej w szufladzie. Ale rzecz w tym, że ona jej nie
ukradła. Po co miałyby cokolwiek kraść, skoro ma tyle własnych rze-
czy? Wyjaśniła, że przyjaciółka pożyczyła jej tę bransoletkę, i dodała, że
Clara ma kilka jej błyskotek. Co okazało się prawdą. Ciągłe wymieniały
się różnymi rzeczami. I na tym powinna się ta sprawa zakończyć. - Miles
westchnął. - Ale Wycliffowie postanowili zrobić z tego aferę. Byli
naprawdę wredni - dodał z goryczą.

- A co zrobili?

Miles wziął głęboki oddech, a potem powoli wypuścił powietrze.

- Powiedzieli, że powiadomią policję. Nie miałem wyboru, musiałem im
zagrozić, że jeśli nie przestaną szkalować mojej córki, pozwę ich do
sądu o pomówienie.

- A co na to wszystko szkoła? Miles zacisnął usta w wąską linię.

- Szkoła stanęła po stronie Wycliffów. Bez wątpienia dlatego, że ten facet ofiarował pół miliona na nowy szkolny teatr. Wierz mi... niedobrze mi się od tego robiło. Postanowiłem, że Roxy nie będzie więcej chodzić do tej szkoły. Jak tylko napisała ostatni test, przyjechałem po nią i zabrałem ją do domu. Była to całkowicie moja decyzja.

Upił kolejny łyk wody. Zastanawiałam się właśnie, co powiedzieć, kiedy kelner przyszedł po talerze. Do czasu, kiedy wrócił z głównym daniem, Miles zdążył się uspokoić, a po chwili mogło się wydawać, że zupełnie zapomniał o tamtej sprawie. Aby jeszcze trochę poprawić atmosferę, zagadnęłam go na temat sztuki. Potem poprosił o rachunek.

- Przyjechałem tu samochodem - powiedział. - To znaczy, że mogę cię odwiedzić do domu.

- Dziękuję.

- Mogę cię zawieźć do twojego domu - ciągnął Miles - albo, jeśli chcesz, do mojego. - Spojrzał na mnie niespokojnie, czekając na moją reakcję. - Mogę znowu pożyczyć ci podkoszulek - dodał cicho. - I dać ci szczoteczkę do zębów. Roxy ma suszarkę do włosów, jeśli może ci być potrzebna. Dzisiaj jest na imprezie, w Cotswolds. - To dlatego tym razem nie bombardowała ojca telefonami. - Jadę po nią dopiero jutro po południu. Więc pomyślałem sobie, że moglibyśmy spędzić razem poranek, a później pójść gdzieś na lunch... - Wstaliśmy od stolika. - Co o tym myślisz, Phoebe?

Kierownik sali podał nam płaszcze.

- Myślę, że... to świetny pomysł. Miles uśmiechnął się szeroko.

- To dobrze.

Kiedy jechaliśmy przez południowy Londyn, słuchając koncertu Mozarta na klarnet, byłam bardzo zadowolona, że wracamy razem. Gdy zatrzymał samochód, spojrzałam na śliczny ogródek przed domem, otoczony niskim żywopłotem i ogrodzeniem z kutego żelaza. Miles otworzył drzwi frontowe i weszliśmy do szerokiego przedpokoju o wysokim białym suficie, wyłożonych boazerią ścianach i czarno-białej marmurowej szachownicy na podłodze, wypolerowanej na wysoki połysk.

Wziął mój płaszcz, a ja zajrzałam dyskretnie do dużej jadalni, o pomalowanych na bordowo ścianach, w której stał długi, mahoniowy stół. Potem poszłam za Milesem do kuchni. Były tam ręcznie malowane szafki i ciemny, granitowy blat, który lśnił w świetle halogenów zamocowanych na suficie. Przez wysokie okna widziałam trawnik, obsadzony dookoła drzewami.

Miles wyjął z amerykańskiej lodówki butelkę wody Evian, po czym poszliśmy szerokimi schodami na pierwsze piętro. Jego sypialnia była pomalowana na żółto, a w przylegającej do niej łazience stały żeliwna wanna i kominek. Rozebrałam się.

- Mogę dostać tę szczoteczkę do zębów? - zawołałam do Milesa. Wszedł do łazienki, spojrzał na moje nagie ciało z aprobatą, po czym otworzył szafkę, w której dostrzegłam butelki z szamponem i płynem do kąpieli oraz kilka tubek pasty do zębów.

- Gdzież ona jest? - mruknął. - Roxy zawsze szuka tu różnych rzeczy. .. O, jest. - Podał mi nową szczoteczkę. - Acha, jeszcze koszulka. Zaraz przyniosę. - Podniósł włosy na moim karku i pocałował mnie w szyję, a potem w ramię. - Jeśli uważasz, że będzie ci potrzebna.

Odwrociłam się do niego i objęłam go w pasie.

- Nie - szepnęłam. - Nie będzie.

Obudziliśmy się późno. Spojrzałam na budzik stojący na nocnym stoliku i w tej samej chwili poczułam, jak Miles obejmuje mnie ramionami i dotyka moich piersi.

- Jesteś śliczna, Phoebe - mruknął. - Zakochuję się w tobie. Pocałował mnie, a potem przytrzymał mi ręce nad głową i znowu się kochaliśmy...

- Mógłbyś pływać w tej wannie - powiedziałam jakiś czas później, kiedy brałam kąpiel.

Miles dołał do wody płynu do kąpieli i wszedł do wanny. Oparłam się o jego pierś i leżeliśmy tak przez chwilę w miękkiej pianie. Po kilku minutach ujął moją dłoń i przyjrzał jej się uważnie.

- Marszczą ci się paluszki - orzekł i ucałował wszystkie po kolei. - Czas się wysuszyć.

Wyszliśmy z wanny. Miles wziął miękki biały ręcznik ze sterty leżącej na stołku, i otulił mnie nim. Razem umyliśmy zęby, a później Miles wziął moją szczoteczkę i włożył ją do jednego kubka wraz ze swoją.

- Trzymaj ją tutaj - powiedział.

- Och - mruknęłam, dotykając mokrych włosów. - Mogłabym pożyczyć suszarkę?

Miles owinął się w pasie ręcznikiem.

- Chodź ze mną.

Przeszliśmy przez podest. Wczesno jesienne słońce świeciło jasno w wysokie, sięgające niemal do podłogi okna. Kiedy podniosłam wzrok, zauważyłam piękny portret Roxy wiszący na przeciwległej ścianie.

- To jest Ellen - wyjaśnił Miles, kiedy się przed nim zatrzymaliśmy. - Zamówiłem go, kiedy się zaręczyliśmy. Miała wtedy dwadzieścia trzy lata.

- Roxy jest do niej bardzo podobna - powiedziałam. - Chociaż...

-Spojrzałam na Milesa. - Ma twój nos... I twój podbródek. - Pogłaskałam go lekko. - To tutaj mieszkałeś z Ellen?

- Nie. - Miles otworzył drzwi z napisem „Roxanne” składającym się z dużych, różowych liter. - Mieszkaliśmy w Fulham, ale po jej śmierci chciałem się przeprowadzić... nie mogłem znieść tego, że wszystko tam ciągle mi o niej przypominało. Kiedyś zostałem zaproszony do tego domu na przyjęcie i bardzo mi się spodobał. Więc kiedy niedługo później został wystawiony na sprzedaż, postanowiłem go kupić. A teraz... Pokój Roxy był wielki i wyłożony grubym białym dywanem. Łóżko także było wielkie i białe, a nad nim, na czterech kolumnkach, wisiał różowo-złoty baldachim. Na białej toalecie stało mnóstwo drogich kremów do twarzy, balsamów do ciała i buteleczek z perfumami J'adore. Przy ozdobionych różowo-złotymi zasłonami oknach stał szezlony obity blad różowym brokatem, a na niskim stoliczku obok niego leżała sterta luksusowych magazynów o modzie, z błyszczącymi zimno okładkami. Zauważyłam też stojący na drugim stoliku domek dla lalek. Była to kopia georgiańskiej kamienicy o lśniących frontowych drzwiach i wąskich wysokich oknach.

- Wygląda zupełnie jak ten dom - zauważyłam.

- Bo to jest ten dom - wyjaśnił Miles. - A raczej jego dokładna kopia. - Otworzył małe drzwiczki, żebym mogła zajrzeć do środka. - Wszystko się zgadza w najdrobniejszych szczegółach. Są tu nawet identyczne

żyrandole, żaluzje i mosiężne gałki u drzwi. - Spojrzałam na miniaturową replikę żeliwnej wanny na wygiętych nóżkach, w której jeszcze kilka chwil temu leżałam. - Dałam go Roxy na jej siódme urodziny. - Pomyślałam, że może dzięki temu poczuje się tu bardziej u siebie. Ciągle jeszcze się tym bawi... - Miles się wyprostował. - No cóż, pozwól teraz tutaj... - Znaleźliśmy się w garderobie Roxy. - Tu gdzieś trzyma suszarkę. - Ruchem głowy wskazał biały stolik, na którym leżał cały zestaw różnych fryzjerskich przyrządów. - Pójdę zrobić śniadanie. - Nie zajmie mi to dużo czasu - powiedziałam.

Usiadłam w saloniku fryzjerskim Roxy. Były tam profesjonalna suszarka do włosów, kilka lokówek, prostownica i całe mnóstwo grzebieni, spinek i wsuwek. Szybko wysuszyłam włosy i spojrzałam na ubrania wiszące na wieszakach wzdłuż trzech ścian garderoby. Musiało tam być co najmniej sto sukienek i kostiumów. Rozpoznałam czerwony zamszowy płaszcz z ubiegłorocznej kolekcji wiosennej Gucciego. Po drugiej stronie wisiały satynowe spodnie i sukienka koktajlowa od Husseina Chalayana. Były też trzy czy cztery kombinezony narciarskie i z osiem długich sukni wieczorowych w foliowych pokrowcach. Pod wieszakami biegła chromowana półka, na której stało mniej więcej sześćdziesiąt par butów. Przy jednej ścianie, w kilku sizalowych koszach, tkwiło około trzydziestu torebek.

Na podłodze zauważyłam aktualny egzemplarz „Vogue'a”. Podniosłam go i otworzyłam na stronach poświęconych modzie. Połowa strojów na zdjęciach została zaznaczona różowymi karteczkami samoprzylepnymi w kształcie serduszek. Serduszkami oznaczona była błękitna sukienka balowa od Ralpa Laarena za dwa tysiące funtów i czarna sukienka z

jednym rękawem projektu Zaca Posen. Przy koktajlowej sukience z różowej jedwabnej tafty od Robinson Brothers za tysiąc siedemset funtów widniało serduszko z adnotacją: „Sprawdzić, czy nie ma jej Sienna Fenwick”, napisaną dużymi, okrągłymi literami. W polu zainteresowań Roxy znalazła się też ekstrawagancka suknia wieczorowa projektu Christiana Lacroix, z jedwabnej tkaniny we wzór przypominający szklany witraż. Kosztowała trzy tysiące funtów. „Tylko na zamówienie”, zanotowała obok niej Roxy. Pokręciłam głową, zastanawiając się, które z tych kreacji będzie w końcu musiał kupić jej Miles.

Wyłączyłam suszarkę i położyłam ją dokładnie tam, skąd ją wzięłam. Przechodząc przez pokój, zatrzymałam się jeszcze, by zamknąć drzwi domku dla lalek, które Miles zostawił lekko uchylone. Ponownie zajrzałam do środka i tym razem dostrzegłam w salonie dwie laleczki -siedzącego na sofie tatusia w brązowym garniturze i tuż obok niego małą dziewczynkę w biało-różowej sukience.

Wróciłam do sypialni Milesa, ubrałam się, pomalowałam, wyjęłam kolczyki z zielonej miseczki stojącej na kominku w łazience, po czym zeszłam na dół, skąd dolatywał mnie już zapach świeżo zaparzonej kawy.

Miles był przy stoliku śniadaniowym, na którym stała taca z tostami i marmoladą.

- Śliczna kuchnia - powiedziałam. - Ale inna niż ta z domku dla lalek.

Miles przycisnął guziczek na ekspresie do kawy.

- Przerobiłem ją w ubiegłym roku, także dlatego, że chciałem mieć profesjonalny skład win. - Skinął dłonią w lewo, gdzie stały dwie duże

lodówki i stojak na butelki, sięgający od podłogi do sufitu. - Podniósł tacę. - Możemy napić się czasem Chante le Merle, jeśli ci smakuje. Na ścianie przy wysokim oknie wisiał fotomontaż składający się z kilkunastu zdjęć Roxy - na nartach, na koniu, na wycieczce w górach, na kortach tenisowych... Na jednym uśmiechała się, stojąc pod Górą Stołową, na innym stała na szczycie Ayers Rock.

- Roxy ma nieprawdopodobne szczęście - powiedziałam, patrząc na zdjęcie, na którym siedziała z wędką na rufie jachtu, na tle krajobrazu przypominającego Karaiby. - Jak na dziewczynkę w jej wieku, wiele już widziała i, jak sam mówiłeś, tak wiele już ma.

Miles westchnął.

- Pewnie zbyt wiele - odparł. Nie odpowiedziałam. - Ale Roxy to moje jedyne dziecko i jest dla mnie wszystkim. Nie mówiąc już o tym, że jest wszystkim, co zostało mi po Ellen. - Głos uwiązł mu w gardle. - Chcę, żeby była tak szczęśliwa, jak to tylko możliwe.

- Oczywiście - mruknęłam. Elle est son tendon d'Achille. Czy to właśnie miała na myśli Cecile? Że Miles zepsuł Roxy?

Wyszliśmy na taras. Spojrzałam na długi, szeroki trawnik obsadzony dookoła grządkami ziół i niewielkich krzewów. Miles postawił tacę na stoliku z kutego żelaza.

- Czy mogłabyś przynieść gazetę? Będzie przed drzwiami. Zaczął nalewać kawę. Wyszłam i wróciłam po chwili do ogrodu z „Sunday Times”. Jedząc śniadanie w łagodnym jesiennym słońcu, Miles przeglądał gazetę, a ja przerzucałam kartki dodatku „Styl”. Potem wzięłam dodatek „Biznes” - na pierwszej stronie był artykuł zatytułowany „Upadek Phoenixa”. Szybko przebiegłam go wzrokiem. Autor powtó-

rzył zarzuty postawione Brownowi przez „Black & Green”. Tylko tutaj pod artykułem było zdjęcie dziewczyny Keitha Browna, podpisane: „Kelly Marks ma wiele do powiedzenia”. A więc to ona była „źródłem”? W artykule napisano, że kiedyś Brown za dużo wypił i pochwalił się swojej dziewczynie, jak sprytnie udało mu się naciągnąć towarzystwo ubezpieczeniowe. Obwinił o podpalenie niezadowolonego pracownika, który, jak się okazało, posługiwał się fałszywym numerem ubezpieczeniowym i znikł po pożarze, najprawdopodobniej po to, by uniknąć odpowiedzialności. Policja puściła w obieg jego portret pamięciowy, ale mężczyzny tego nigdy nie odnaleziono, nadal był uznawany za zaginionego. Brown, ogarnięty euforią po podpisaniu jakiejś intratnej umowy, powiedział Kelly Marks nie tylko, że ten człowiek nigdy nie istniał, ale także że to on sam podpalił magazyn. Dwa tygodnie temu Kelly postanowiła posłuchać sumienia i wyznała wszystko „Black & Green”. W artykule przytoczono też wypowiedź Matta, który twierdził, że choć nie może zdradzać swoich źródeł, podtrzymuje każde słowo, jakie w jego gazecie napisano.

- Niesamowite - mruknęłam.

- Co takiego? - spytał Miles. Podałam mu gazetę, a on szybko przebiegł artykuł wzrokiem. - Znam tę sprawę - powiedział. - Mój znajomy reprezentował firmę ubezpieczeniową w sprawie przeciw Brownowi. Mówił, że ani przez chwilę nie wierzył w historyjkę Browna, ale nie mógł udowodnić mu kłamstwa, więc Star Alliance musiało wypłacić odszkodowanie. Brown najwyraźniej uznał, że to zamknięta sprawa. I stał się nieostrożny.

- Przyszło mi do głowy, że to mogła być jego dziewczyna. - Opowiedziałam Milesowi o tym, jak przyszli razem do Village Vintage. - Ale zaraz odrzuciłam ten pomysł. Dlaczego miałyby go wystawić, skoro był nie tylko jej chłopakiem, ale także pracodawcą?

Miles wzruszył ramionami.

- Z zemsty. Brown pewnie ją zdradzał. To najczęstszy scenariusz. Albo chciał ją rzucić, a ona się o tym dowiedziała. A może obiecał jej awans, a dał go komuś innemu. Jej motywy na pewno w końcu wyjdą na jaw. Nagle przypomniało mi się, co powiedziała Kelly Marks, kiedy płaciła za sukienkę.

„Kosztuje dwieście siedemdziesiąt pięć funtów. Taka była cena”.

Rozdział 11

Tego ranka zadzwoniłam do pani Bell.

- Bardzo chętnie bym się z tobą spotkała, Phoebe - powiedziała. - Ale w tym tygodniu to niemożliwe.

- Czy pani bratanica została na dłużej?

- Nie, ale siostrzeniec mojego męża zaprosił mnie do siebie, do Dorset, gdzie mieszka z rodziną. Przyjedzie po mnie jutro i odwiezie do domu w piątek. Muszę pojechać do nich teraz, kiedy jeszcze jestem w stanie podróżować...

- Więc może mogłabym odwiedzić panią po powrocie?

- Oczywiście. Nigdzie więcej się już nie wybieram - odparła. -Będę bardzo zadowolona z twojego towarzystwa, jeśli tylko znajdziesz dla mnie czas.

Pomyślałam o formularzu Czerwonego Krzyża, który ciągle nosiłam w torebce.

- Mogłabym przyjść w niedzielę po południu?

- Tak, będę czekać. Przyjdź o czwartej.

Odłożyłam słuchawkę i spojrzałam na zaproszenie na sobotnią imprezę, które dostałam od Dana. Nie mogłam nic z niego wywnioskować. Były tam tylko adres oraz dzień i godzina. Nie znalazłam ani słowa na temat szopy, która - uświadomiłam sobie właśnie - musiała być bardzo duża. Może tak naprawdę był to jeden z tych drewnianych domków letniskowych. Może stały tam stoły bilardowe albo automaty do gry. A może miała rozsuwany sufit, a pod nim wielki teleskop? Zdecydowałam się skorzystać z zaproszenia z czystej ciekawości. A także dlatego, że lubiłam rozmawiać z Danem. Podobały mi się jego joie de vivre i ciepło. Miałam też nadzieję, że będę mogła zapytać go o sprawę Phoenix Land. Ciągle zastanawiałam się, dlaczego dziewczyna Keitha zrobiła to, co zrobiła.

W poniedziałek w prasie pisali o tym jeszcze więcej. Kelly Marks przyznała się dziennikarzowi „Independent”, że to ona była źródłem. Ale zapytana o motywy, odmówiła komentarzy.

- To ta sukienka - powiedziała Annie we wtorek rano, patrząc na ostatni artykuł na ten temat, jaki ukazał się w „Black & Green”. Odłożyła gazetę. - Mówiłam ci, stare ubrania potrafią zmieniać ludzi. Myślę, że to z powodu sukienki.

- Co? Chcesz powiedzieć, że sukienka nią „zawładnęła” i kazała jej ujawnić prawdę?

- Nie... ale myślę, że pragnienie, by tę sukienkę posiadać, dało jej siłę, by go rzucić. W naprawdę spektakularny sposób.

W czwartek w „Mail” ukazał się artykuł zatytułowany „Brawo!” Autor chwalił postawę Kelly i cytował inną kobietę, która także doniosła na swojego chłopaka, który okazał się oszustem. „Express” pisał o oszustwach ubezpieczeniowych, nawiązując także do Browna, jako „podejrzanego o podpalenie własnego magazynu w 2002 roku”.

- Jak prasa może tak się o tym rozpisywać? - spytałam Milesa po południu. Wstąpił do sklepu po drodze do Camberwell. Akurat nie było klientów, więc został chwilę. - To chyba pomówienia?

- Nie, bo postępowanie jeszcze się nie zaczęło. - Miles wyjął komórkę i zaczął coś pisać. - Na razie gazety mogą powtarzać podejrzenia i pisać wszystko, na co mają ochotę, jeśli tylko mają coś na poparcie swoich słów. Mogą, na przykład, opisywać rolę tej dziewczyny w domniemanym przestępstwie. Ale kiedy Brown zostanie oskarżony, dziennikarze będą musieli uważać na każde słowo.

- A dlaczego jeszcze nie został oskarżony? Miles podniósł na mnie wzrok.

- Bo firma ubezpieczeniowa i policja zapewne nie mogą dojść do porozumienia co do tego, kto ma wnieść sprawę. Jest to dość kosztowne. A teraz może porozmawiamy o czymś przyjemniejszym? W sobotę chciałbym pójść do opery. Wystawiają Cyganerię i jest jeszcze kilka miejsc, ale musiałbym dzisiaj je zarezerwować. Prawdę mówiąc, powinienem zadzwonić tam teraz... mam tu numer... - Miles zaczął go wy-

stukiwać, ale potem spojrział na mnie jeszcze raz, trochę zaskoczony.

- Chyba nie masz na to specjalnej ochoty.

- Mam. Czy też raczej, miałabym. To cudowny pomysł. Ale... nie mogę.

Miles był wyraźnie rozczarowany.

- Dlaczego?

- Mam już plany na sobotę.

- Och.

- Idę na przyjęcie, tu niedaleko. To bardzo mała impreza.

- Rozumiem... A kto wydaje to przyjęcie?

- Mój znajomy, Dan.

Miles patrzył na mnie przez chwilę.

- Wspominałaś o nim kiedyś.

- Pracuje dla lokalnej gazety. Zaprosił mnie już dawno.

- I wolisz pójść do niego niż do opery?

- Nie w tym rzecz... Po prostu obiecałam mu, że przyjdę, i chciałabym dotrzymać słowa.

Miles przyglądał mi się uważnie.

- On... jest tylko przyjacielem, prawda, Phoebe? Wiem, że spotykamy się od niedawna, ale wolałbym wiedzieć, czy...

Kiwnęłam głową.

- Dan to po prostu przyjaciel - odparłam z uśmiechem. - Dość ekscentryczny, prawdę mówiąc.

Miles wstał.

- Cóż... jestem trochę rozczarowany.

- Przykro mi, ale przecież nie planowaliśmy nic na sobotę.

- To prawda. Ale zakładałem, że... - Miles westchnął. - W porządku. - Podniósł teczkę. - Wezmę Roxy. Po południu będziemy kupować suknię balową więc w zamian za to powinna pójść ze mną do opery.

A więc pójście do opery miało być ceną, którą Roxy zapłaci za to, że ojciec kupi jej bardzo drogą wieczorową suknię...

- Może wybralibyśmy się gdzieś w przyszłym tygodniu? - spytałam Milesa. - Na przykład do Festival Hall? Powiedzmy, we wtorek? Kupię bilety.

To wyraźnie podniosło go na duchu.

- Byłoby wspaniale! - Pocałował mnie delikatnie. - Zadzwoń do ciebie jutro.

W sobotę, jak zwykle, panował duży ruch. Cieszyło mnie to, ale uświadomiłam sobie też, że z trudem daję sobie radę sama. Po lunchu przyszła Katie. Zobaczyła sukienkę od Lanvina Castillo na miejscu złotej „bezy” i wydłużyła jej się buzia. Przez chwilę wydawało mi się, że zaraz się rozplacze.

- Wszystko w porządku - uspokołam ją szybko. - Zarezerwowałam ją dla ciebie.

- Och, dziękuję! - Przyłożyła ręce do piersi. - Mam już sto sześćdziesiąt funtów, a to już więcej niż połowa. Wracam właśnie z pracy, i pomyślałam sobie, że wstąpię na chwilę. Nie wiem dlaczego, ale nie mogę przestać myśleć o tej sukience.

Miałam nadzieję, że wyjdę dokładnie o wpół do szóstej, ale dwadzieścia pięć po piątej do sklepu weszła kobieta i chciała zmierzyć niemal wszystko, łącznie z sukienką, którą musiałam zdjąć z wystawy. W końcu nic nie kupiła.

- Przepraszam - mruknęła, wkładając płaszcz. - Chyba nie jestem dziś w nastroju.

Teraz, pięć po szóstej, ja też nie byłam w nastroju.

- Nie ma problemu - odparłam tak uprzejmie, jak potrafiłam. Właściciel sklepu nie powinien okazywać irytacji.

Zamknęłam sklep i poszłam do domu, przygotować się przed wyjściem do Dana. Na zaproszeniach napisał, że przyjęcie zaczyna się o siódmej trzydzieści i prosił, żeby być przed ósmą.

Kiedy taksówka zatrzymała się przed jego domem - wiktoriańską kamienicą stojącą przy spokojnej ulicy w pobliżu stacji Hither Green - było już prawie ciemno. Dan naprawdę się postarał, pomyślałam, płacąc taksówkarzowi. Na drzewach przed domem zawiesił sznury małych lampek i wynajął firmę cateringową - drzwi otworzył mi kelner. Wchodząc do środka, usłyszałam śmiech i rozmowy. Zaprosił niewielu gości, uświadomiłam sobie, kiedy weszłam do salonu. Było tam około dwunastu osób i Dan, dla odmiany elegancko ubrany, w ciemnoniebieskiej jedwabnej marynarce. Rozmawiał ze wszystkimi i dolewał szampana do kieliszków.

- Spróbuj, proszę, tych kanapek - mówił akurat do kogoś. - Zjemy później. - A więc zapowiadała się kolacja. - Phoebe! - wykrzyknął ciepło na mój widok i pocałował mnie w policzek. - Chodź, poznasz wszystkich. - Szybko przedstawił mnie znajomym, wśród których byli też Matt i jego żona, Sylvia. Poznałam Ellie, dziennikarkę z gazety, która przyszła ze swoim chłopakiem, Mikiem, oraz kilku sąsiadów Dana, a także, ku memu zdumieniu, burkliwą kobietę ze sklepu Oxfam, która, jak się teraz dowiedziałam, miała na imię Joan. Powiedziałam jej, że

dostanę niedługo kilka torebek ze Stanów, które najprawdopodobniej jej przyniosę. Potem zapytałam jeszcze, czy nie ma na zbyciu starych zamków błyskawicznych - metalowych - bo mnie się właśnie kończą.

- Wydaje mi się, że jeszcze niedawno widziałam cały koszyk - powiedziała. - I słoik starych guzików, skoro już o tym mowa.

- W takim razie proszę je dla mnie zatrzymać, dobrze?

- Oczywiście. - Upiła łyk szampana. - A jak ci się podobała Anna Karenina?

- Bardzo - odparłam, ciekawa, skąd wiedziała, że byłam z Danem w kinie.

Joan wzięła kanapkę od krążącego wśród gości kelnera.

- Dan zabrał mnie na Doktora Żywago. Piękny film.

- Och. - Zerknęłam w stronę Dana. Miał w zanadrzu wiele niespodzianek, pomyślałam. Miłych niespodzianek. - Cóż... wspaniały.

- Wspaniały - powtórzyła Joan. Przymknęła oczy, a potem znowu je otworzyła. - Byłam w kinie po raz pierwszy od pięciu lat. A potem Dan zaprosił mnie na kolację.

- Naprawdę? To urocze. - Przez chwilę myślałam, że się rozplacę.

-Poszliście do Cafe Rouge?

- Och, nie. Zabrał mnie do Rivington.

- Aha.

Spojrzałam na Dana, który zastukał w kieliszek i powiedział, że skoro wszyscy już przyszli, nadszedł czas, by przejść do głównego punktu programu, po czym zaprosił nas na zewnątrz.

Ogród na tyłach domu był spory. Miał jakieś sześćdziesiąt stóp kwadratowych. Na jego końcu stała duża... szopa. Nie inaczej, szopa. Tyle

tylko, że prowadził do niej czerwony dywan, a przed drzwiami stały dwa słupki, na których wisiał czerwony sznurek. Na ścianie obok wejścia była jakaś tabliczka za złotą zasłoną, najwyraźniej czekająca na oficjalne odsłonięcie.

- Nie wiem, co jest w tej szopie - powiedziała Ellie, kiedy ruszyliśmy po dywanie w stronę ogrodowej budowli. - Ale wydaje mi się, że nie będzie to kosiarka do trawników.

- Masz rację, to nie kosiarka - odparł Dan. - Cóż... dziękuję wszystkim za przybycie dzisiejszego wieczoru - rzekł, kiedy zatrzymaliśmy się przed szopą. - Teraz poproszę Joan, by uczyniła mi ten zaszczyt... Joan podeszła do sznureczka przy zasłonie. Kiedy Dan kiwnął głową, odwróciła się do nas.

- Mam ogromną przyjemność otworzyć szopę Dana, która od dziś będzie nosiła nazwę... - Pociągnęła za sznurek.

„Robinson Rio”, przeczytałam.

- Robinson Rio - powiedziała Joan, wyraźnie tak samo zaskoczona jak my wszyscy.

Dan otworzył drzwi i włączył światło.

- Zapraszam.

- Zdumiewające - mruknęła Sylvia, wchodząc do środka.

- A niech mnie - odezwał się ktoś inny.

Migotliwy kryształowy żyrandol wisiał nad dwunastoma krzesłami, które obito czerwonym aksamitem i ustawiono w czterech rzędach na wzorzystym czerwono-złotym dywanie. Całą przeciwległą ścianę zajmował ekran, zasłonięty teraz kurtyną. Po drugiej stronie stał duży, staroświecki projektor, a na ścianie po prawej wisiała niebieska tablica z

białymi plastikowymi literami, którymi wypisano: „W tym tygodniu -Camille, wkrótce - Sokół Maltański". Na ścianie po lewej stronie wisiał stary, oprawiony plakat do filmu Trzeci człowiek.

- Siadajcie gdzie wam wygodnie - zapraszał Dan, podchodząc do projektora. - Jest tu ogrzewanie podłogowe, więc nie będzie zimno. Camille trwa tylko siedemdziesiąt minut, ale jeśli ktoś nie ma ochoty oglądać filmu, może wrócić do domu i wypić drinka. Zaraz po zakończeniu seansu, tuż po dziewiątej, będzie kolacja.

Wszyscy usiedli. Ja między Joan i Ellie. Dan zamknął drzwi i przyćmił światła, a zaraz potem usłyszeliśmy szum projektora i hipnotyzujący stuk przewijanej taśmy filmowej. W końcu kurtyna się rozsunęła, ukazując ryczącego lwa MGM. Rozległa się muzyka, pojawiły się napisy początkowe i nagle znaleźliśmy się wszyscy w XIX-wiecznym Paryżu, w gmachu Opery...

- To było cudowne - sapnęła Joan, kiedy światła znowu się zapaliły. - Zupełnie jak w prawdziwym kinie, zawsze uwielbiałam ten zapach żarówki projektora...

- Jak za dawnych czasów - odezwał się za naszymi plecami Matt. Joan odwróciła się do niego.

- Jesteś zdecydowanie za młody, żeby tak mówić.

- Chciałem powiedzieć, za dawnych, szkolnych czasów - wyjaśnił Matt.

- Dan prowadził w szkole kółko filmowe. W każdy wtorek podczas przerwy na lunch pokazywał filmy z Laurelem i Hardym, Haroldem Lloydem i kreskówki z Tomem i Jerrym. Cieszę się, że od tego czasu poprawiła się trochę ostrość na ekranie.

- Wtedy używałem starego universala - odparł Dan. - A to jest projektor firmy Bell and Howell, choć zamontowałem w nim parę usprawnień, nowoczesny wzmacniacz i wentylator. A szopa została wyłożona materiałem dźwiękochłonnym, żeby sąsiedzi nie narzekali.

- Nie narzekamy - odezwał się jeden z sąsiadów. - Wszyscy jesteśmy tutaj!

- Co planujesz w związku z tym kinem? - zagałam, kiedy wracaliśmy do domu.

- Chciałbym, żeby spełniało funkcję klubu miłośników klasycznego filmu - odparł. Weszliśmy do dużej kwadratowej kuchni. Stał tam długi sosnowy stół nakryty dla dwunastu osób. - Co tydzień będę organizował pokaz. Osoby, które przyjdą pierwsze, będą mogły obejrzeć film, a po projekcji wypić drinka i wziąć udział w dyskusji.

- Brzmi świetnie - stwierdził Mike. - Gdzie przechowujesz filmy?

- Na piętrze, w pokoju, w którym mam osuszacz powietrza. Przez lata zebrałem setki filmów. Kupowałem je od zamykanych wypożyczalni i na aukcjach. Zawsze chciałem mieć własne kino. Prawdę mówiąc, kiedy kupowałem ten dom dwa lata temu, najważniejsza była dla mnie szopa w ogrodzie.

- A skąd wzięłeś fotele? - spytała Joan, kiedy Dan odsunął dla niej krzesło.

- Kupiłem je pięć lat temu, kiedy rozbierano kino Odeon w Essex. Trzymałem je u rodziców. Ellie... może usiądziesz tam? A ty, Phoebe, tutaj, między Mattem a Sylvia.

Kiedy usiadłam, Matt nalał mi wino.

- Rozpoznałem cię, oczywiście - powiedział. - Ze zdjęcia przy artykule w naszej gazecie.

- Ten artykuł bardzo mi pomógł - odparłam. Kelner postawił przede mną talerz z aromatycznym risotto. - Dan świetnie go napisał.

- Wydaje się trochę... roztargniony, ale to dobry człowiek. Jesteś - dobrym człowiekiem, prawda, Dan? - dodał Matt ze śmiechem.

- Dzięki, stary!

- Dan to naprawdę dobry człowiek - powtórzyła Sylvia. - Wiesz, kogo mi przypominasz? Nagle sobie to uświadomiłam. Jesteś podobny do Dawida Michała Anioła.

Dan przesłał jej całusa, a ja spojrzałam na niego i zdałam sobie sprawę, że to prawda. A więc to była ta „znana osoba”, z którą mi się kojarzył.

- Naprawdę - ciągnęła Sylvia, przekrzywiając głowę na bok. -A w każdym razie tak wyglądałby Dawid, gdyby był bardziej przy kości -dodała ze śmiechem.

Dan uderzył się w pierś.

- Powinienem zacząć ćwiczyć.

Rozłożyłam serwetkę, a potem odwróciłam się do Marta.

- „Black & Green” radzi sobie... po prostu doskonale.

- Nawet nam się nie śniło o takim sukcesie - odparł Matt. - To oczywiście tylko dzięki tej historii.

Podniosłam widelec.

- Możesz o tym rozmawiać?

- Cóż, sprawa dostała się już do wiadomości publicznej, więc tak. Dzięki zainteresowaniu ze strony mediów mogliśmy zwiększyć nakład do szesnastu tysięcy. Przychody z reklam wzrosły o trzydzieści procent i

zaczęliśmy wreszcie zarabiać. Musielibyśmy wydać ze sto tysięcy na promocję, żeby zaistnieć na rynku w taki sposób, jaki zapewniła nam ta jedna sprawa.

- A skąd się o tym dowiedzieliście? - spytałam. Mart upił łyk wina.

- Kelly Marks sama się do nas zgłosiła. Wiedziałem co nieco o Brownie jeszcze z „Guardiana”, w którym wcześniej pracowałem. Od kilku lat krążyły o nim różne plotki. Tak czy inaczej, facet znowu wypłynął, zaczął udzielać wywiadów, wspominał o giełdzie... A tu nagle, ni stąd ni zowąd, dzwoni do mnie ta kobieta, anonimowo, i mówi, że ma dobrą historię na temat Browna, więc chciałaby zapytać, czy jesteśmy zainteresowani.

- Byliście zainteresowani - wtrąciła Sylvia, podając mi miskę z sałatką, po czym spojrzała na Martę. - Opowiedz Phoebe, co było dalej. Mart odstawił kieliszek.

- No więc, to było w poniedziałek, trzy tygodnie temu. Zaprosiłem ją do redakcji. Przyszła w porze lunchu następnego dnia. Zorientowałem się, że to jego dziewczyna, bo widziałem ją na zdjęciach z Brownem. Kiedy streściła historię, od razu wiedziałem, że chcę o tym pisać. Powiedziałem jej jednak, że będzie to możliwe tylko wówczas, jeśli dostanę szczegółowe oświadczenie z jej podpisem. Powiedziała, że podpisze...

-Matt wziął do ręki widelec. - Wtedy uznałem, że czas skonsultować to z Danem.

Kiwnęłam głową, zastanawiając się, dlaczego miał konsultować się z Danem, który nie był ani redaktorem, ani nawet doświadczonym dziennikarzem. Zerknęłam w stronę Dana, ale akurat rozmawiał z Joan.

- Trudno, żebyś nie spytał go o zdanie - usłyszałam głos Sylvii. - Skoro to współwłaściciel gazety!

Spojrzałam na nią.

- Sądziłam, że Dan pracuje dla Matta. Wydawało mi się, że gazeta należy do Matta, który zatrudnia Dana jako specjalistę do spraw marketingu.

- Dan zajmuje się marketingiem - odparła. - Ale Matt go nie zatrudnia. - Uśmiechnęła się, jakby taki pomysł wydał jej się bardzo zabawny. - Zakładając gazetę, Matt zwrócił się do Dana o pomoc finansową. Obaj włożyli w to pieniądze, w sumie trochę ponad pół miliona.

- Och... rozumiem.

- Więc oczywiście Matt musiał dostać jego zgodę - dodała Sylvia. Teraz w końcu zrozumiałam, dlaczego Dan brał udział w rozmowach z prawnikiem.

- Dan był tym równie podekscytowany jak ja - ciągnął Matt, podając Sylvii parmezan. - Pozostała tylko kwestia podpisania przez Kelly oświadczenia. Powiedziałem jej, że nie płacimy za informacje, ale ona stanowczo twierdziła, że nie chce pieniędzy. Odniosłem wrażenie, że dla niej był to rodzaj moralnej krucjaty przeciw Brownowi.

- Musiał ją czymś naprawdę wkurzyć - powiedziała Sylvia. Matt odłożył widelec.

- Tak właśnie pomyślałem. W każdym razie, Kelly przyszła i napisała oświadczenie. Ale potem, kiedy przyszło do złożenia podpisu, nagle się zawahała, spojrzała na mnie i powiedziała, że zmieniła zdanie. Jednak chciałyby dostać pieniądze.

- Och.

Matt pokręcił głową.

- Załamalem się. Byłam pewny, że zaraz zażąda dwudziestu tysięcy i że od początku to sobie zaplanowała. Już miałem jej powiedzieć, że w takim razie możemy zapomnieć o całej sprawie, kiedy oznajmiła, że chce dwustu siedemdziesięciu pięciu funtów. Byłem kompletnie zaskoczony. Wtedy powtórzyła: „Chcę dwieście siedemdziesiąt pięć funtów. To moja cena”. Spojrzałem na Dana, a on wzruszył ramionami i kiwnął głową. Więc wyjąłem z portfela pieniądze, włożyłem do koperty i jej podałem. Była tak uszczęśliwiona, jakby dostała dwadzieścia tysięcy... A potem podpisała oświadczenie.

- To była różowa koperta - powiedziałam. - Z obrazkiem z filmu Disneya.

Matt spojrzał na mnie zdumiony.

- Zgadza się. Dzień wcześniej księgowy przyszedł do pracy z córką, która przyniosła ze sobą papeterię dla dzieci. To była pierwsza koperta, jaka się nawinęła. Wziąłem ją, bo chciałem jak najszybciej zamknąć sprawę. Skąd o tym wiesz?

Wyjaśniłam, że Kelly Marks przyszła do Village Vintage i kupiła zieloną sukienkę, której Brown nie chciał jej kupić dwa tygodnie wcześniej. W tym momencie Dan odwrócił się do nas.

- Powiedziała ci o tym, pamiętasz, Dan? - spytałam. - O tym, że Kelly nie chciała obniżki?

- Pamiętam. Wtedy nie mogłem z tobą o tym rozmawiać - dodał - ale siedziałem tam i próbowałem coś z tego zrozumieć. Pomyślałem: w porządku, sukienka kosztuje dwieście siedemdziesiąt pięć funtów, Kelly

zażądała od nas tyle samo, więc na pewno jest tu jakiś związek... Tylko nie wiedziałem, jaki.

- Myślę, że ja wiem - odezwała się Sylvia. - Kelly chciała zerwać z Brownem, ale było jej trudno, biorąc pod uwagę, że był też jej szefem.

-Sylvia spojrzała na mnie. - Mówiłaś, że Brown nie chciał zapłacić za tę sukienkę. Nie wydawała się wtedy zdenerwowana?

- Nawet bardzo, prawie się rozplakała.

- Cóż, to prawdopodobnie była ta kropla, która przepełniła czarę. -Sylvia wzruszyła ramionami. - Kelly postanowiła zrobić coś, od czego nie będzie już odwrotu. Jego odmowa wywołała u niej pragnienie zemsty.

„Bardzo mi się podobała. A on o tym wiedział...” Odwróciłam się do Sylvii.

- To ma sens. Myślę, że te dwieście siedemdziesiąt pięć funtów stało się symbolem. Kupiła za nie sukienkę i wolność. Dlatego nie chciała zapłacić mniej...

Matt patrzył na mnie szeroko otwierając oczy.

- Chcesz powiedzieć, że dostaliśmy te informacje z powodu jednej z twoich kiecek?

„Kiedy ją przymierzyłam... Ta sukienka po prostu mną zawładnęła”. Zdałam sobie sprawę, że Annie miała rację.

- Tak, myślę, że właśnie to chcę powiedzieć. Matt podniósł swój kieliszek.

- A więc za twój sklep, Phoebe. - Skinął głową, a potem się zaśmiał. - Mój Boże, ta sukienka musiała ją chyba opętać.

Kiwnęłam głową.

- Stroje vintage mają to do siebie.

Idąc do pani Bell następnego ranka we wspaniałym jesiennym słońcu, myślałam o Danie. Miał wiele okazji, by powiedzieć mi, że jest współwłaścicielem gazety, ale nie zrobił tego. Może nie chciał się chwalić. A może sam niewiele o tym myśli. Teraz jednak przypomniałam sobie, jak wspomniał kiedyś, że Mart potrzebował jego pomocy, kiedy zakładał gazetę. Najwyraźniej mówił wtedy o pomocy finansowej. A przecież Dan nie sprawiał wrażenia osoby dobrze sytuowanej. Wręcz przeciwnie, nosił ubrania kupowane w sklepach z używaną odzieżą i wydawał się trochę zaniedbany. Może wziął kredyt, pomyślałam, albo obciążył hipotekę. W takim razie wydawało się dziwne, że nie wiązał z „Black & Green” swojej przyszłości. Skręcając w Paragon, zastanawiałam się, co właściwie chciałby robić w życiu.

Zostałam na przyjęciu do północy. A kiedy wychodząc, zajrzałam do torebki, zobaczyłam, że Miles dwa razy dzwonił na komórkę. Po powrocie zastałam kolejne dwie wiadomości od niego, nagrane na automatyczną sekretarkę. Jego głos brzmiał pogodnie, ale było dla mnie jasne, że nie podoba mu się fakt, iż nie może ze mną porozmawiać.

Weszłam na schodki domu pod numerem 8 i nacisnęłam dzwonek pani Bell. Czekałam dłużej niż zwykle, w końcu jednak usłyszałam jej głos w domofonie.

- Witaj, Phoebe.

Pchnęłam drzwi i weszłam na górę.

Nie widziałam pani Bell od dwóch tygodni. W tym czasie zmieniła się tak bardzo, że odruchowo objęłam ją na powitanie. Mówiła, że przez pierwszy miesiąc będzie się czuła stosunkowo dobrze, a później już nie. Teraz jej stan z pewnością znacznie się pogorszył. Była boleśnie wychu-

dzona, a jej błękitne oczy wydawały się ogromne w ściągniętej twarzy. Przez skórę na rękach przebierały drobne, białe kości.

- Jakie piękne kwiaty - powiedziała, kiedy podałam jej bukiet anemonów. - Uwielbiam żywe kolory. Wyglądają jak witraż.

- Włożyć je do wazonu?

- Proszę. I może dzisiaj ty zrobisz herbatę?

- Oczywiście.

Poszliśmy do kuchni. Napełniłam czajnik wodą, a potem wyjęłam filiżanki i spodeczki, i ułożyłam wszystko na tacy.

- Mam nadzieję, że nie była pani sama przez cały dzień - powiedziałam. Znalazłam kryształowy wazon i ułożyłam w nim kwiaty.

- Nie, rano była u mnie pielęgniarka. Przychodzi teraz codziennie.

Wsypałam do dzbanka trzy łyżeczki herbaty Assam.

- A jak było w Dorset?

- Bardzo przyjemnie. Miło było spotkać się z Jamesem i jego żoną. Z ich domu widać morze, więc sporo czasu spędziłam, po prostu siedząc przy oknie i patrząc na fale. Mogłabyś postawić wazon na stoliku w holu? Boję się, że mogłabym go upuścić.

Zrobiłam to, a potem zaniósłam tacę do salonu. Pani Bell szła przede mną pochylona, jakby bolały ją plecy. Kiedy usiadła na swoim fotelu nie założyła nogi na nogę, jak zwykle, splatając dłonie na jednym kolanie, lecz skrzyżowała je w kostkach i odchyliła się na oparcie, wyraźnie znużona.

- Wybacz mi, proszę, ten bałagan - powiedziała, wskazując głową stertę papierów na stoliku. - Wyrzucam stare listy i rachunki... Gruzy mojego życia - dodała, kiedy podałam jej filiżankę z herbatą. - Tyle tego jest. -

Ruchem głowy wskazała wypełniony po brzegi kosz na śmieci, stojący obok fotela. - Ale to znacznie ułatwi zadanie Jamesowi. A właśnie, kiedy odwoził mnie do domu w ubiegłym tygodniu, przejechaliśmy przez Montpelier Vale.

- Widziała pani sklep?

- Owszem. Na wystawie wisiały dwa z moich strojów! Ozdobiłaś mój kostium z gabardyny futrzanym kołnierzem. Wygląda to bardzo elegancko.

- Moja asystentka, Annie, pomyślała, że nada mu to bardziej jesienny wygląd. Mam nadzieję, że nie było pani przykro widzieć swoje ubrania wystawione na sprzedaż.

- Wręcz przeciwnie, ucieszyło mnie to. Przez chwilę nawet próbowałam sobie wyobrazić kobietę, która będzie je nosić.

Uśmiechnęłam się. Potem pani Bell spytała mnie o Milesa, więc opowiedziałam jej o wizycie w jego domu.

- A więc tatuś psuje swoją małą księżniczkę.

- Owszem, do szaleństwa - wyznałam jej. - Roxy jest taka rozpieszczona.

- Cóż, to chyba lepiej niż gdyby ją zaniedbywał. - Musiałam przyznać jej rację. - I wydaje mi się, że bardzo mu na tobie zależy, Phoebe.

- Nie spieszę się z niczym. Znam go w końcu zaledwie od sześciu tygodni, a jest prawie piętnaście lat starszy ode mnie.

- Rozumiem. Cóż... więc masz nad nim pewną przewagę.

- Chyba tak, choć nie jestem pewna, czy chcę mieć przewagę nad kimkolwiek.

- Wiek nie jest ważny. Liczy się tylko to, czy go lubisz i czy on dobrze cię traktuje.

- Lubię, nawet bardzo. Jest atrakcyjny i traktuje mnie dobrze. Na pewno bardzo się stara.

Potem zmieniłyśmy temat i zaczęłam opowiadać pani Bell o Robinson Rio.

- Dan wygląda mi na bardzo pogodnego człowieka.

- Taki właśnie jest. Ma mnóstwo joie de vivre.

- To cudowna cecha, u każdego. Ja usiłuję wykrzesać z siebie trochę joie de mourir* - dodała, uśmiechając się posepnie. - Ale to niełatwe.

Przynajmniej mam dość czasu, by po sobie posprzątać... - Kiwnęła głową w stronę sterty papierów. - A także spotkać się z rodziną i powiedzieć im adieu.

- Może to tylko au revoir! - zasugerowałam poważnie.

- Kto wie? - powiedziała pani Bell.

Zapadła nagle cisza. Uznałam, że to dobry moment, i sięgnęłam po torebkę.

Pani Bell spojrzała na mnie, zawiedziona.

- Nie idziesz chyba jeszcze, Phoebe?

- Nie. Ale... jest coś, o czym chciałabym z panią porozmawiać, pani Bell. Może to nie jest odpowiedni moment, biorąc pod uwagę, że nie czuje się pani dobrze... - Otworzyłam torebkę. - A może właśnie dlatego jest to jeszcze ważniejsze.

Pani Bell odstawiła filiżankę na spodeczek.

- Phoebe, co chcesz mi powiedzieć?

Wyjęłam z torebki kopertę, a z niej formularz Czerwonego Krzyża. Położyłam go na kolanach i rozprostowałam zagięcia. A potem wzięłam głęboki oddech.

- Pani Bell, niedawno weszłam na stronę Czerwonego Krzyża. I myślę, że gdyby chciała pani spróbować jeszcze raz... Spróbować dowiedzieć się, co stało się z Monique. Prawdopodobnie mogłaby to pani zrobić.

- Och - mruknęła. - Ale... jak? Przecież już próbowałam.

- Tak, ale to było bardzo dawno temu. Do archiwów dodano tak wiele informacji. Wszystko jest napisane na ich stronie w Internecie.

Dowiedziałam się na przykład, że w osiemdziesiątym dziewiątym roku Związek Radziecki przekazał im ogromny zbiór dokumentów nazistowskich, które Rosjanie zdobyli pod koniec wojny. - Spojrzałam na nią. - Pani Bell, kiedy rozpoczynała pani swoje poszukiwania w czterdziestym piątym, Czerwony Krzyż miał zaledwie ułamek tego, czym dysponuje obecnie. Mówię o pięćdziesięciu milionach dokumentów dotyczących setek tysięcy ludzi, którzy trafili do obozów koncentracyjnych.

Pani Bell westchnęła.

- Rozumiem.

- Mogłaby pani zlecić poszukiwanie. Wszystko odbywa się za pomocą komputera.

- Nie mam komputera.

- Nie, ale ja mam. Wystarczy, że wypełni pani ten formularz. Mam go tutaj... - Podałam formularz pani Bell, która podniosła go obiema rękami i przeczytała, przymykając jedno oko. - Wysłałabym to do nich e-

mailem, a oni z kolei do archiwum w Bad Arolsen w północnych Niemczech. Za kilka tygodni dostałaby pani odpowiedź.

- Biorąc pod uwagę, że zostało mi kilka tygodni, mogą nie zdążyć
-zauważyła sucho.

- Wiem, że czas... działa na pani niekorzyść. Pomyślałam jednak, że gdyby mogła się pani dowiedzieć, co się stało, chciałaby pani tego.

Prawda? - spytałam i wstrzymałam oddech.

Pani Bell opuściła formularz na kolana.

- A po co miałabym się dowiedzieć, Phoebe? A raczej, po co miałabym dowiedzieć się teraz? Po co mi jakieś oficjalne pismo, potwierdzające, że istotnie spotkał ją straszny koniec? Myślisz, że to by mi pomogło? -

Pani Bell wyprostowała się na swoim fotelu, krzywiąc się przy tym z bólu. Potem jej twarz znowu się odprężyła. - Phoebe, chcę być teraz spokojna, by stawić czoło moim ostatnim dniom. Chcę uciszyć swój żal, a nie od nowa zacząć się nim dręczyć. - Podniosła formularz i spojrzała na mnie. - To przyniosłoby mi tylko cierpienie. Musisz to zrozumieć, Phoebe.

- Rozumiem. I z całą pewnością nie chcę przysparzać pani cierpienia. - Coś zaczęło mnie ścisnąć w gardle. - Chcę tylko pomóc.

Pani Bell patrzyła na mnie przez chwilę.

- Chcesz mi pomóc, Phoebe? - spytała. - Na pewno?

- Tak, oczywiście. - Nie pojmowałam, dlaczego mnie o to pyta. - Myślę, że właśnie dlatego znalazłam się w Rochemare. To nie był przypadek.

Czuję, że zawiódł mnie tam los czy przeznaczenie. Czy jak chce to pani nazwać. Od dnia, kiedy doświadczyłam tego dziwnego uczucia związanego z Monique, nie mogę przestać o tym myśleć. - Pani Bell

ciągle patrzyła na mnie w milczeniu. - Mam silne przeczucie, sama nie wiem dlaczego, że ona mogła przeżyć wojnę, że pani sądzi, iż zginęła, bo... no cóż... tak to mogło wyglądać. Ale może jakimś cudem pani przyjaciółka nie zginęła, nie zmarła, nie... - Opuściłam głowę na piersi.
- Phoebe.

Wpatrywałam się w sukienkę. Była w niej maleńka dziurka, której wcześniej nie zauważyłam.

- Phoebe - powtórzyła pani Bell cicho. Poczułam, jak po policzku spływa mi łza.

- Phoebe, tu nie chodzi o Monique, prawda? - spytała pani Bell.

Chciałam przełknąć ślinę, ale nie byłam w stanie. - Tu chodzi o Emmę.

-Uniosłam głowę. Widziałam panią Bell jak przez mgłę. - Chcesz przywrócić do życia Monique, bo Emma umarła - wyszeptała.

- Może... nie wiem. - Wzięłam głęboki oddech i spojrzałam w okno.

Wiem tylko, że jest mi... tak smutno... I jestem taka zagubiona...

- Phoebe - powiedziała pani Bell łagodnie. - Nawet jeśli udowodnisz, że Monique nie zginęła, nie zmieni to tego, co stało się z Emmą.

- Nie - mruknęłam przez ściśnięte gardło. - Nic tego nie zmieni.

-Zakryłam twarz rękami.

- Moje biedne dziecko - usłyszałam głos pani Bell. - Cóż mogę ci powiedzieć? Tylko tyle, że będziesz musiała spróbować żyć dalej, nie zadręczając się zbytnio czymś, czego nie można już naprawić. Czymś, co zresztą może nie było wcale twoją winą.

Przełknęłam ślinę i spojrzałam na panią Bell.

- Wystarczy, że czuję, iż była to moja wina. Zawsze będę się o to obwiniać - powiedziałam ochryple. - Zawsze będę dźwigać ten ciężar.

Będę go za sobą wlokła do końca życia. - Na samą myśl o tym poczułam się zmęczona. Zamknęłam oczy i przez chwilę słuchałam szumu gazowego kominka i miarowego tykania zegara.

Pani Bell westchnęła.

- Masz całe życie przed sobą, Phoebe... może pięćdziesiąt lat, może jeszcze więcej. - Otworzyłam oczy. - Znajdziesz jakiś sposób, by przeżyć je szczęśliwie. Tak szczęśliwie, jak będziesz potrafiła. Proszę...

- Podała mi chusteczkę.

Przycisnęłam ją do oczu.

- Nie wydaje mi się, żeby to było możliwe.

- Teraz może nie - odparła. - Ale tak będzie.

- Pani nigdy nie przeboleła tego, co się stało.

- Nie, ale nauczyłam się z tym żyć. Nie pozwoliłam, by ten ciężar mnie przygniótł. Ty ciągle czujesz się nim przygnieciona.

Kiwnęłam głową, a potem odwróciłam głowę do okna.

- Codziennie chodzę do sklepu, obsługuję klientów, rozmawiam z asystentką. Robię wszystko to, co powinnam. W wolnym czasie spotykam się z przyjaciółmi, Milesem. Funkcjonuję, nawet całkiem dobrze. Ale w głębi duszy... ciągle się z tym zmagam... - Głos uwiązł mi w gardle.

- Nie ma w tym nic dziwnego, Phoebe. Biorąc pod uwagę, że to wszystko stało się zaledwie kilka miesięcy temu. I myślę, że stąd właśnie wzięła się twoja obsesja na punkcie Monique. Rozpacz sprawiła, że skupiłaś się na niej, jakbyś wierzyła, że przywracając ją do życia, zdołasz w jakiś sposób przywrócić do życia także Emmę. Ale to niemożliwe.

- Tak - powiedziałam, ocierając oczy. - To niemożliwe.
 - Dość już tego, Phoebe. Proszę. Już dość. Przez wzgląd na nas obie.
- Pani Bell wzięła do ręki formularz Czerwonego Krzyża, przedarła go na pół, a potem wrzuciła do kosza na śmieci.

Rozdział 12

Pani Bell miała rację, uświadomiłam sobie później. Po powrocie do domu siedziałam w kuchni ponad godzinę, z głową opartą na rękach i wzrokiem wbitym w stół. Rzeczywiście owładnęła mną obsesja na punkcie Monique. Obsesja podsycana przez smutek i poczucie winy. Teraz było mi wstyd, że tak bardzo wytrąciłam przez to z równowagi tę starszą schorowaną kobietę.

Odczekałam kilka dni, a potem, pokorna, znowu poszłam do pani Bell. Tym razem nie rozmawiałyśmy o Monique ani o Emmie. Gawędziłyśmy o drobiazgach: wiadomościach, wydarzeniach lokalnych - zbliżał się pokaz sztucznych ogni - i programach telewizyjnych.

- Ktoś kupił pani niebieski wieczorowy płaszcz - powiedziałam, kiedy zaczęłyśmy grać w scrabble.
- Naprawdę? Kto?
- Bardzo ładna modelka, trochę przed trzydziestką.
- Będzie więc chodził na wystawne przyjęcia - stwierdziła pani Bell, układając litery na swoim stojaczku.
- Na pewno. Powiedziałam jej, że tańczył z Seanem Connerym. Zrobiło to na niej ogromne wrażenie.

- Mam nadzieję, że zatrzymasz sobie przynajmniej jedną z moich rzeczy
- dodała pani Bell.

Do tej pory nie przyszło mi to do głowy.

- Bardzo podoba mi się ten kostium z gabardyny. Ciągłe wisi w oknie.

Wydaje mi się, że będzie na mnie pasował.

- Miło byłoby pomyśleć, że go nosisz. Och, coś takiego! Masz sześć spółgłosek. I co teraz? O... - Drżącą ręką położyła kilka liter na planszy.

- Jest. - Ułożyła słowo „prosić”. - A romans nadal kwitnie?

Policzyłam jej punkty.

- Z Milesem? Podniosła na mnie wzrok.

- Tak, z Milesem. A niby z kim?

- Trzydzieści dziewięć, dobry wynik... Widuję się z Milesem dwa, trzy razy w tygodniu. Pokażę go pani... - Wyjęłam aparat fotograficzny i pokazałam pani Bell zdjęcie, które zrobiłam w jego ogrodzie.

Kiwnęła głową z aprobatą.

- Przystojny mężczyzna. Ciekawe, dlaczego dotąd się ponownie nie ożenił.

- Zapytałam go o to - odparłam i przestawiłam litery na swoim stojaczkę. - Powiedział, że był ktoś, na kim mu zależało, jakieś osiem lat temu. Potem, w piątek, byliśmy na kolacji w Michalin. Wtedy powiedział mi, dlaczego nic z tego nie wyszło. Okazało się, że ta kobieta, Eve, chciała mieć dzieci.

Pani Bell wyglądała na równie zaskoczoną jak ja, kiedy to usłyszałam.

- Dlaczego to był taki problem? Wzruszyłam ramionami.

- Miles nie był pewny, czy chce mieć więcej dzieci. Uważał, że to mogłoby być trudne dla Roxy.

Pani Bell odgarnęła z czoła kosmyk białych włosów.

- Myślę, że dla niej byłoby to bardzo dobre. Prawdę mówiąc, najlepsze.

- Powiedziałam właśnie coś takiego... Ale Miles odparł, że Roxy, która tak bardzo potrzebowała jego uwagi, musiałaby dzielić się miłością ojca z innymi dziećmi. Jej matka zmarła dwa lata wcześniej.

Spojrzałam w okno, przypominając sobie tę rozmowę.

- Strasznie się tym dręczyłem - powiedział Miles przy kawie. - Czas mijał. Eve miała trzydzieści pięć lat i spotykaliśmy się wtedy już od ponad roku.

- Rozumiem - odparłam. - Więc doszło do konfliktu.

- Właśnie. Naturalnie chciała wiedzieć... do czego zmierzamy. A ja po prostu... nie wiedziałem, co robić. - Odstawił filiżankę na stół. - Więc zapytałem Roxy.

Spojrzałam na niego.

- Zapytałeś Roxy? O co?

- Czy chciałaby mieć pewnego dnia braciszka albo siostrzyczkę.

Wydawała się... wstrząśnięta. A potem wybuchnęła płaczem. Miałem wrażenie, że zdradziłem ją, choćby rozważając taki pomysł, więc...

-Wzruszył ramionami.

- Więc zerwałeś z Eve?

- Nie chciałem narażać Roxy na stres. Zmartwiłam się.

- Biedna dziewczyna.

- Tak. Tyle przeszła.

- Miałam na myśli Eve. Miles spojrzał na mnie.

- Bardzo to przeżyła. Wiem, że niedługo później poznała kogoś innego i ma dzieci. A ja z czasem zacząłem się zastanawiać, czy... - Westchnął.

- Czy nie popełniłeś błędu? Miles się zawahał.
- Zrobiłem to, co uważałem za najlepsze dla mojego dziecka...
- Biedna dziewczyna - powiedziała pani Bell, kiedy skończyłam.
- Mówi pani o Eve?
- Mówię o Roxy. Ojciec dał jej taką władzę. A to bardzo źle wpływa na charakter dziecka.

Elle est son tendon d'Achille... Może to właśnie miała na myśli Cecile. Że Miles nałożył na barki Roxy zbyt duży ciężar, oczekując, że będzie podejmowała decyzje, które powinien podejmować sam.

Wyłożyłam swoje litery w słowo „szansa” .

- Dwanaście punktów.

Pani Bell podała mi torebkę z literami.

- Oczywiście, żal mi też jego dziewczyny. A co będzie, jeśli ty zechcesz mieć dzieci, Phoebe? - Wydęła wargi. - Mam nadzieję, że Miles nie będzie wtedy pytał o zdanie Roxy!

Uniosłam brwi.

- Powiedział, że właśnie dlatego mi o tym mówi. Chce, żebym wiedziała, że gdybym chciała założyć rodzinę, nie będzie się sprzeciwiał. Jak zauważył, Roxy jest już prawie dorosła. - Wyjęłam z woreczka kilka liter. - Ale za wcześnie jeszcze, by o tym myśleć.

Pani Bell spojrzała na mnie znad planszy.

- Miej dzieci, Phoebe, jeśli możesz. Nie tylko dla szczęścia, jakie dają ale też ze względu na to, że życie rodzinne zostawia niewiele czasu na rozmyślanie o smutnych wydarzeniach z przeszłości.

Kiwnęłam głową.

- Myślę, że to prawda. Cóż... mam trzydzieści cztery lata, więc ciągle mam czas... - O ile nie będę miała z tym problemów, pomyślałam. Jak ta kobieta, która kupiła różową tiulową „bezę”. - Pani kolej.

- Spokój - powiedziała z uśmiechem. Przez chwilę patrzyła na litery, a potem ułożyła je na planszy. - S-p-o-k-ó... i jeszcze j.

- To będzie... dziesięć punktów.

- A jak ci idzie w sklepie?

- Teraz jest duży ruch, niedługo Boże Narodzenie... - powiedziałam. Zaraz zdałam sobie sprawę, że popełniłam nietakt, i obalałam się rumieńcem.

Pani Bell uśmiechnęła się posępnie.

- Cóż, nie sądzę, żebym miała łamać się z kimś opłatkiem. Z drugiej strony jednak... Kto wie? - Wzruszyła ramionami. - Może...

We wtorek do sklepu przyszła kobieta, która chciała pokazać mi kilka rzeczy.

- To wszystko bielizna - oznajmiła. - Nigdy nie była noszona.

W małej skórzanej walizeczce leżały piękne koszule nocne z jedwabnej satyny, peniuary obszyte koronką śliczne gorseciki i pasy do pończoch, a także długi błękitny szlafroczek, wiązany pod biustem, z haftowanymi brzegami.

- Można pójść w tym na przyjęcie, prawda? - powiedziała, kiedy podniosłam go do góry.

- Rzeczywiście. To śliczne rzeczy. - Przesunęłam dłonią po łososiowym peniuarze z pikowanej satyny. - Wszystko to rzeczy z lat czterdziestych, doskonałej jakości. - Wyjęłam z walizki blad różowy szlafrok ze wstawkami z koronki i dwa brzoskwiniowe satynowe staniki z majtkami

do kompletu. - To bielizna firmy Rigby & Peller; wtedy działali od niedawna. - Większość rzeczy nadal miała metki i była w doskonałym stanie, jeśli nie liczyć kilku niewielkich śladów rdzy w miejscach, gdzie metalowe zatrzaski stykały się z materiałem. - To był czyjś posąg?

- Niezupełnie - odparła kobieta. - Bo nie było ślubu. To wszystko należało do siostry mojej matki, Lydii. Zmarła niedawno. Miała osiemdziesiąt sześć lat. Była starą panną w najlepszym stylu i uroczą osobą. Uczyła w szkole podstawowej: Nigdy nie interesowała się modą, zawsze nosiła proste, praktyczne stroje... Tak czy inaczej, kilka tygodni temu pojechałam do Plymouth uporządkować jej dom. Przejrzałam garderobę i oddałam większość rzeczy organizacji charytatywnej. Potem poszłam na strych i tam natknęłam się na tę walizkę. Kiedy ją otworzyłam... byłam oszołomiona. Nie mogę uwierzyć, że te rzeczy należały do niej.

- Dlatego, że są takie ładne i... seksowne? - spytałam. Kobieta kiwnęła głową. - Czy pani ciotka była kiedyś zaręczona?

- Niestety nie. - Kobieta westchnęła. - Wiedziałam, że przeżyła wielki zawód, ale nie pamiętałam szczegółów. Poza tym, że ten człowiek był Amerykaninem. Więc natychmiast zadzwoniłam do matki, która ma osiemdziesiąt trzy lata. Mama powiedziała mi, że cioteczka Lydia zakochała się w pewnym oficerze, nazywał się Walter, którego poznała wiosną czterdziestego trzeciego na tańcach w Drill Hall w Totnes. Wtedy było tu mnóstwo amerykańskich żołnierzy, ćwiczyli na Slapton Sands i Torcross przed lądowaniem w Normandii.

- Zapewne... zginął? Kobieta pokręciła głową.

- Przeżył. Matka powiedziała mi, że był bardzo przystojnym i miłym człowiekiem. Pamiętała, jak naprawił jej rower i przynosił słodczyce i

rajstopy. Bardzo często spotykał się z Lydią, a przed powrotem do Stanów przyszedł się pożegnać i powiedział, że przyśle kogoś po nią, jak tylko wszystko przygotuje. Tak to ujął. Tak więc Walter wrócił do Michigan, ale pisali do siebie, a on w każdym liście obiecywał, że wkrótce przyjedzie i zabierze Lydię do siebie, ale...

- Nigdy tego nie zrobił?

- Nie. Trwało to trzy lata. Przysyłał listy i zdjęcia, swoje, swoich rodziców, braci, a nawet psa... A potem, w 1948, napisał, że właśnie się ożenił.

Wyjęłam z walizki białą satynową koszulkę.

- W tym czasie pani ciotka kupowała te wszystkie rzeczy?

- Tak, na miesiąc miodowy, którego w końcu nie było. Moja matka i babcia powtarzały jej, żeby o nim zapomniała, ale Lydia nigdy nie przestała wierzyć, że po nią przyjedzie. Złamał jej serce, a ona nigdy już na nikogo innego nie spojrzała. Wielka szkoda.

Kiwnęłam głową.

- Przykro patrzeć na tę śliczną bieliznę, wiedząc, że nigdy nie miała z niej żadnej... przyjemności. - Bez trudu wyobraziłam sobie nadzieje i oczekiwania, które sprawiały, że kupowała te rzeczy. - Musiała wydać na to sporo pieniędzy. I wszystkie kartki na odzież.

- To prawda - westchnęła kobieta. - W każdym razie szkoda, że nikt tego nigdy nie nosił. Mam nadzieję, że może teraz te rzeczy zaznają trochę... namiętności.

- Cóż, chętnie je kupię - powiedziałam i podałam cenę. Kobieta była z niej zadowolona, więc wypisałam czek i zabrałam bieliznę na zaplecze.

Ponieważ nie była nigdy noszona, zostawiłam ją na wierzchu, by pozbyć się lekkiego zapachu stęchlizny, który do niej przylgnął. Kiedy zaczęłam ją rozwieszać, usłyszałam dzwonek, a potem głos jakiegoś mężczyzny, który prosił Annie o podpis.

- Przesyłka! - zawołała do mnie po chwili. - Dwie duże paczki, to pewnie te amerykańskie sukienki. Tak - dodała, kiedy schodziłam ze schodów. - Nadawcą jest... Rick Diaz, z Nowego Jorku.

- Nie spieszył się - stwierdziłam, gdy Annie rozcięła nożyczkami pierwszą paczkę. Otworzyła ją i zaczęła wyciągać sukienki. Warstwy tiulu rozkładały się szybko, jakby wypchane przez sprężyny.

- Są wspaniałe - zachwycała się Annie. - Popatrz tylko na spódnice, jakie mają piękne kolory! - Podniosła szkarłatną. - Ta jest jak ogień, a ta niebieska wygląda jak niebo w letni wieczór. Na pewno się sprzedadzą Phoebe. Na twoim miejscu zamówiłabym ich więcej.

Wyjęłam z paczki pomarańczową i wygładziłam zgnieciony materiał.

- Cztery z nich powiesimy na ścianie, tak jak poprzednie, a dwie na wystawie. Czerwoną i tę w kolorze kakao.

Potem Annie otworzyła drugą paczkę, w której, zgodnie z moimi przewidywaniami, były torebki.

- Tak jak myślałam - stwierdziłam, przeglądając je szybko. - Większość jest stosunkowo nowa i w kiepskim gatunku. To, na przykład, jest podróbka Louisa Vuittona.

- Skąd wiesz, że to podróbka?

- Spójrz na podszewkę. W oryginalnych jest zawsze z brązowego płótna, nie z szarego. Nie zgadza się też liczba szwów na uchwytych. Powinno ich być dokładnie pięć. Tego też nie chcę - dodałam, odkładając na bok

granatową torbę na ramię firmy Saks z połowy lat dziewięćdziesiątych. - Ta od Kennetha Cole'a jest zdefasonowana, a na tej puściły koraliki... Więc też nie... Nie, nie... I nie - powiedziałam, otwierając torebkę z metką domu towarowego Loehmann. - Jestem trochę zła, że musiałam je kupić - stwierdziłam. - Ale chyba muszę się starać, żeby Rick był zadowolony, bo w przeciwnym razie mógłby mi więcej nie przysłać rzeczy, które mnie rzeczywiście interesują.

- Ta jest ładna - powiedziała Annie, wyciągając z pudła skórzaną torebkę od Gladstone'a, z lat czterdziestych. -I w bardzo dobrym stanie. Przyjrzałam się jej.

- Owszem, jest trochę podniszczona, ale wypoleruję ją i... O! Ta mi się podobała. - Wzięłam do ręki ładną perłową kopertówkę. - Bardzo elegancka. Może nawet zatrzymam ją dla siebie? - Wsunęłam ją pod pachę i spojrzałam w lustro. - Tak czy inaczej, na razie wezmę je na zaplecze.

- A co z tą żółtą „bezą”? - spytała Annie, wieszając sukienki na wieszakach. - Ciągle jest zarezerwowana. Co się stało z Katie?

- Od przeszło dwóch tygodni nie miałam od niej wiadomości.

- Kiedy jest ten bal?

- Za dziesięć dni, więc zostało jeszcze trochę czasu...

Ale minął kolejny tydzień, a Katie nie przyszła ani nie zadzwoniła. W środę przed balem pomyślałam, że powinnam się z nią skontaktować. Ale ustawiając na wystawie wielką dynię - jedyny akcent związany ze zbliżającym się świętem Halloween - uświadomiłam sobie, że nie znam jej nazwiska ani numeru telefonu. Zostawiłam dla niej wiadomość w supermarkecie, w którym pracowała, ale w piątek nadal nie było od niej

żadnych wieści, więc po lunchu powiesiłam żółtą sukienkę z powrotem na ścianie, w miejsce ciemnoniebieskiej, która się sprzedała.

Układając tiulowe halki, zastanawiałam się, czy Katie znalazła tańszą sukienkę, która tak samo jej się spodobała, czy też może postanowiła nie iść na bal. Potem pomyślałam o sukni, w której wybierała się na bal Roxy. Była to wieczorowa kreacja „witrażowa” z aktualnej kolekcji Christiana Lacroix, którą widziałam w „Vogue”. Kosztowała trzy tysiące sześćset funtów.

- To ogromna suma - powiedziałam do Milesa, kiedy siedzieliśmy w mojej kuchni dzień po tym, jak ją kupił. Po raz pierwszy był u mnie w domu. Usmażyłam steki, a on przyniósł butelkę doskonałego Chante le Merle. Wypiłam dwa kieliszki, więc czułam się swobodna i rozluźniona.

- Trzy tysiące sześćset funtów - powtórzyłam z niedowierzaniem.

- To dużo pieniędzy. Ale co mogłam powiedzieć?

- Może: „Jest za droga”? - zaproponowałam wesoło. Miles pokręcił głową.

- To nie takie proste.

- Naprawdę?

Nagle zadałam sobie pytanie, czy Roxy kiedykolwiek usłyszała słowo „nie”.

Miles odłożył widelec.

- Ta sukienka bardzo jej przypadła do gustu. A to pierwszy bal dobroczynny, w którym uczestniczy. Będzie tam prasa, może ją sfotografują. Poza tym przewidziana jest nagroda dla najlepiej ubranego gościa. Roxy bardzo chce wziąć udział w konkursie, więc... - Westchnął. - Powiedziałem, że ją dostanie.

- I nie musi nic zrobić w zamian za to?
- A co miałyby zrobić? Umyć samochód czy wypielić ogródek?
- Na przykład. Albo po prostu więcej się uczyć?
- Nie stosuję takich metod - powiedział Miles. - Roxy wie, ile kosztuje ta sukienka, i jest wdzięczna, że ją dla niej kupiłem. Uważam, że to wystarczy. A teraz, kiedy nie korzysta z internatu, chesne jest znacznie niższe, więc się nie sprzeciwiałem. W Christie's też byłem gotów sporo zapłacić, pamiętasz?

Przewróciłam oczami.

- Jak mogłabym zapomnieć? - Podałam Milesowi sałatę i pomyślałam o wspaniałej białej kreacji z jedwabiu i szyfonu. Byłam ciekawa, czy kiedykolwiek ją włożę. - Więc nie chcesz, żeby Roxy czuła, że zarobiła na tę suknię, albo przynajmniej że miała w ten zakup jakiś wkład?

Miles znowu wzruszył ramionami.

- Niespecjalnie mi na tym zależy. Bo jaki miałoby to sens?
- Cóż... Chyba chodzi o to, że... - Urwałam i upiłam łyk wina.
- Pozwalasz, żeby Roxy wszystko spadało z nieba, bez cienia wysiłku z jej strony. Jakby mogła mieć wszystko, czego zapragnie.

Miles patrzył na mnie przez chwilę w milczeniu.

- Co, u diabła, chcesz przez to powiedzieć? Skrzywiłam się lekko.
- Tylko to, że... dzieci potrzebują motywacji. To wszystko.
- Och. - Miles natychmiast się rozluźnił. Opowiedziałam mu o Katie i o żółtej sukience. Miles podniósł do ust kieliszek.
- A więc to sprowokowało ten wykład?
- Możliwe. Uważam, że to, co robi ta dziewczyna, jest godne pochwały.

- To prawda. Ale Roxy jest w innej sytuacji. Nie czuję się winny, wydając na nią tak dużo, bo stać mnie na to. Poza tym oddaję też spore sumy na cele dobroczynne. Mam chyba prawo robić ze swoimi pieniędzmi to, co uważam za stosowne. A uważam za stosowne wydać je na rodzinę, to znaczy na Roxy.

- Cóż... - Wzruszyłam ramionami. - To twoje dziecko. Miles obrócił w dłoni kieliszek.

- Właśnie. Wychowuję ją samotnie od dziesięciu lat. Nie jest to łatwe. I nie znoszę, kiedy inni mówią mi, że robię to źle.

A więc inni także zauważyli, że Miles rozpuścił Roxy, pomyślałam, wchodząc do sklepu w sobotni poranek. No cóż, trudno było tego nie zauważyć. Zastanawiałam się, czy gdybyśmy kiedyś mieli dziecko, Miles tak samo by je traktował. Doszłam do wniosku, że nie pozwoliłabym mu na to. Potem zaczęłam się zastanawiać nad tym, jak wyglądałoby nasze życie. Być może z czasem Roxy przyzwyczaiłaby się do mojej obecności, gdyby jednak było inaczej... Cóż, ona ma szesnaście lat, powiedziałam sobie, zdejmując płaszcz. Wkrótce zaczniesz żyć własnym życiem.

Odwróciłam tabliczkę na drzwiach, żalując, że nie ma nikogo, kto mógłby mi dziś pomóc, bo w soboty zawsze panował największy ruch. Rozmawiałam o tym z Annie, powiedziała jednak, że wolałaby nie pracować w weekendy, bo zwykle spędza je w Brighton. Postanowiłam też nie prosić o pomoc mamy. W końcu ciągle pracowała na pełnym etacie i potrzebowała trochę czasu na odpoczynek.

W ciągu pierwszej godziny sklep odwiedziło osiem osób. Sprzedałam szkarłatną tiulową „bezę” i męski prochowiec firmy Burberry.

Potem pewien mężczyzna szukał prezentu dla żony i kupił kilka sztuk bielizny ciotki Lydii. Później znowu zrobiło się pusto, oparłam się więc o ladę i przez chwilę cieszyłam oczy widokiem Heath. Dzieci jeździły na rowerach i rolkach, ludzie biegali, pchali wózki albo puszczały latawce. Spojrzałam na niebo. Nisko nad ziemią zasnuwał je nimbus, wyżej piętrzyły się wyniosłe cumulusy, a wysoko, wysoko nad nimi błękit znaczył rozległy, cienki jak pajęczyna cirrus. Kiedy wyteżyłam wzrok, byłam w stanie dostrzec dalekie, metalicznie połyskujące sylwetki samolotów i ciągnące się za nimi białe smugi kondensacyjne. Niżej wielka, podświetlona od dołu chmura zdawała się zwisać nad Heath jak statek kosmiczny. Wyobraziłam sobie to samo niebo rozbłyskujące dziesiątkami kolorów. Doroczny pokaz sztucznych ogni miał się odbyć już za tydzień. Lubię te pokazy. Cieszyłam się też, że tym razem obejrzę fajerwerki z Milesem. Nagle odezwał się dzwonek nad drzwiami.

Była to Katie. Zarumieniła się, wchodząc, a potem spojrzała na ścianę, na której wisiała żółta sukienka w otoczeniu innych kolorowych „bez”.

- Wywiesiła ją pani znowu - powiedziała ze smutkiem.
- Tak, dłużej nie mogłam jej przetrzymywać.
- Rozumiem - westchnęła. - Naprawdę bardzo mi przykro.
- Więc... już jej nie chcesz.

Katie znowu westchnęła z frustracją.

- Ależ chcę. Tylko że w ubiegłym tygodniu ktoś ukradł mi telefon i mama powiedziała, że byłam nieostrożna, więc muszę sama zapłacić za nowy. Potem wypadły mi dwa dni opieki nad dziećmi, bo ta rodzina wyjechała na cały tydzień, a w supermarkecie już nie pracuję, bo tam tylko kogoś zastępowałam. Nie mogę kupić tej sukienki, bo ciągle brakuje mi

stu funtów. - Wzruszyła ramionami. - Nie przyszłam powiedzieć o tym wcześniej, bo ciągle miałam nadzieję, że jakoś zarobię te pieniądze.

- Wielka szkoda. Co w takim razie włożysz na bal? Katie wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Mam taką jedną wyjściową sukienkę. - Skrzywiła się z niesmakiem. - Jest z poliestru w kolorze zielonego jabłuszka.

- Och, musi być...

- Okropna? Owszem, w komplecie z nią powinien być woreczek, na wypadek, gdyby komuś zrobiło się niedobrze. Mogłabym poszukać czegoś innego, ale trochę za długo to odkładałam. Pewnie wcale nie pójdę na ten bal. - Przewróciła oczami. - Chyba straciłam ochotę.

- Może spodoba ci się coś tańszego?

- Może... - Katie przejrzała rzeczy na wieszakach, a potem pokręciła głową. - Nie bardzo.

- Więc udało ci się zarobić sto siedemdziesiąt pięć funtów? - spytałam. Katie kiwnęła głową. Spojrzałam na sukienkę.

- Naprawdę ją chcesz?

Katie także podniosła wzrok na żółtą „bezę”.

- Bardzo mi się podoba. Marzę o niej. Najgorsze, że w tej komórce, którą mi ukradli, miałam jej zdjęcie.

- To najlepsza odpowiedź na moje pytanie. Posłuchaj, możesz ją kupić za sto siedemdziesiąt pięć funtów.

- Naprawdę? - Katie z radości omal nie uniosła się w powietrze. - Ale przecież na pewno mogłaby ją pani sprzedać za pełną cenę.

- Mogłabym. Ale wolę ją sprzedać tobie, o ile naprawdę ją chcesz. To ciągle spora suma, więc musisz być pewna.

- Jestem pewna - powiedziała Katie stanowczo.
- Może chciałabyś najpierw zadzwonić do mamy? - Skinęłam głową w stronę telefonu.
- Nie. Mamie też bardzo podobała się ta sukienka. Widziała ją na zdjęciu. Powiedziała, że nie może mi jej kupić, ale dołożyła mi trzydzieści funtów, co było bardzo miłe z jej strony.
- To prawda. - Zdjęłam sukienkę ze ściany. - Jest twoja. Katie klasnęła w dłonie.
- Dziękuję.

Potem otworzyła torbę i wyjęła kartę płatniczą.

- Masz do niej pantofelki? - spytałam, kiedy wystukiwała kod.
- Mama ma ładne żółte czółenka, a ja naszyjnik z żółtych szklanych kwiatuszków. Jeszcze coś błyszczącego do włosów i gotowe.
- Doskonale. A masz jakąś narzutkę?
- Nie, niestety.
- Zaczekaj chwilę. - Poszłam na zaplecze i wróciłam po chwili ze złotawym szalem z jedwabnej organzy, przesytym srebrną nicią. - To będzie pasowało. Tylko proszę, przynieś mi to z powrotem po balu.
- Oczywiście. Dziękuję.

Spakowałam szal razem z sukienką i podałam torbę Katie.

- Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawiła na tym balu...
- „Dinozaury z Muzeum Historii Naturalnej mają za sobą bardzo męczącą noc - poinformował następnego ranka prezenter Sky News. Oglądałam z Milesem telewizję w kuchni przy śniadaniu. - Tysiąc nastolatków pojawiło się wczoraj na balu dobroczynnym, zorganizowanym na rzecz walki z białaczką. Sponsorem wydarzenia była firma

Chrysalis. Zabawę prowadzili pełni młodzieńczej werwy Ant i Dec, a goście, wśród których była sama księżniczka Beatrice... - księżniczka pojawiła się na ekranie w blad różowej wieczorowej sukni - .. raczyli się szampanem i kanapkami, i tańczyli przy akompaniamencie zapewnionym przez grupę Bootleg Beatles. Dodatkowej rozrywki dostarczała im ekipa produkcji teatralnej High School Musical. Na loterii można było wygrać iPody, cyfrowe aparaty fotograficzne i wiele innych pożądanых przez nastolatki gadżetów, a także wycieczkę do Nowego Jorku na amerykańską premierę Quantum of Solace. Bal przyniósł ponad sześćdziesiąt pięć tysięcy funtów".

- Ciekawe, czy zobaczymy tam Roxy - powiedział Miles, wpatrując się w ekran.

Roxy ciągle jeszcze spała. Dochodziła do siebie po balu. Tuż przed pierwszą w nocy przywiozła ją matka koleżanki ze szkoły. Miles na nią czekał, ja wcześniej poszłam do łóżka.

- Mówiłeś jej, że spotkamy się rano? - spytałam Milesa, smarując grzankę dżemem. - Obiecałeś, że to zrobisz - dodałam z niepokojem.

- Cóż, niestety nie zrobiłem. Była bardzo zmęczona i od razu poszła spać.

- Mam nadzieję, że nie będzie miała nic przeciw temu.

- Och... na pewno nie.

Roxy pojawiła się nagle kilka minut później, w miękkim szlafroku z gołębioszarego kaszmiru i różowych pantoflach w kształcie królików. Kolana tak zaczęły mi drżeć, że musiałam przycisnąć je do stołu, od spodu. Zaraz jednak przypomniałam sobie, że jestem od niej dwa razy starsza.

- Cześć, kochanie. - Miles uśmiechnął się do Roxy, która patrzyła na mnie z wyrazem wystudiowanego zaskoczenia. - Pamiętasz Phoebe, prawda, kotku?

- Witaj, Roxy - rzekłam. Ze zdenerwowania bardzo szybko biło mi serce. - Jak było na balu?

Roxy podeszła do lodówki.

- W porządku.

- Znam pewną dziewczynę, która też tam była - oznajmiłam.

- To baaardzo ciekawe - odparła, wyjmując z lodówki sok pomarańczowy.

- Dużo było twoich znajomych? - spytał Miles.

- Tak, trochę. - Roxy wspięła się ociężale na stołek przy wysokim śniadaniowym stole i nalała sobie soku do szklanki. - Sienna Fenwick, Lucy Courts, Ivo Smythson, Izzy Halford, Milo Debenham, Tiggy Thornton... Och, i stary dobry Caspar. To znaczy Caspar von Schellenberg, nie von Eulenberg. - Ziewnęła szeroko. - W toalecie spotkałam Peaches Geldof. Zabawna jest. - Roxy wyjęła grzanekę z tosterka.

- Clara też tam była? - zagadnął Miles. Roxy wzięła do ręki nóż.

- Była. Zakasowałam ją na miejscu... dziwkę - dorzuciła Roxy swobodnie, smarując grzanekę masłem.

Miles westchnął.

- Ale poza tym dobrze się bawiłaś?

- Tak. Cudownie, prawdę mówiąc, do czasu, kiedy jakaś idiotka zniszczyła mi sukienkę.

- Jakaś idiotka zniszczyła ci sukienkę? - powtórzyłam głupio. Roxy spojrzała na mnie ciężkim wzrokiem.

- To właśnie powiedziałam.

- Roxanne... - zaczął Miles. Serce aż podskoczyło mi z radości. Więc w końcu skarci ją za to zachowanie. Najwyższy czas. - To była taka droga sukienka. Nie powinnaś była pozwolić, żeby coś się z nią stało, kotku. Zmarkotniałam.

- To nie była moja wina - rzuciła ostro Roxy. - Ta głupia dziewczucha nadepnęła mi na nią, kiedy wchodziliśmy na schody przed konkursem na najlepszą kreację. Dziura z tyłu za bardzo mi nie pomogła.

- Mogłabym coś z tym zrobić - powiedziałam. - Tylko musiałabyś najpierw pokazać mi sukienkę.

Roxy wzruszyła ramionami.

- Wyślę ją do Lacroix.

- To będzie dużo kosztowało. Chętnie wezmę ją do swojej krawcowej, jest naprawdę świetna.

- Zagramy w tenisa, tato? - zaproponowała Roxy, zupełnie mnie ignorując.

- Mogłabym nawet sama ją naprawić. Jeśli to tylko pęknięty szew...

- Naprawdę mam ochotę na tenisa. - Roxy wyjęła z tostera drugą grzanekę.

- Odrobiłaś już zadanie domowe? - spytał Miles.

- Tato, jest przerwa semestralna. Nie mam żadnego zadania domowego.

- Ale mówiłaś, że musisz napisać wypracowanie z geografii. Zaległe.

- No, tak... - Roxy założyła za ucho kosmyk jasnych włosów. - Nie zabierze mi to dużo czasu. Mógłbyś mi pomóc...

Miles westchnął.

- W porządku. A później zagramy. - Spojrzał na mnie. - Może się do nas przyłączysz, Phoebe?

Roxy przełamała grzankę na pół.

- W tenisa raczej nie grywa się trójkami.

Spojrzałam na Milesa, pewna, że tym razem zareaguje. Nie zrobił tego jednak. Jak mógł puścić jej płazem taką bezczelność? Zagryzłam wargi.

- Poza tym - ciągnęła Roxy - chcę poćwiczyć serw, więc musisz mi rzucać piłki, tato.

- Phoebe? - Miles spojrzał na mnie. - Miałabyś ochotę zagrać?

- Nie, dziękuję - odparłam spokojnie. - Zresztą muszę już wracać. Mam mnóstwo pracy.

- Na pewno? - spytał Miles.

- Tak. Dziękuję. - Wzięłam torebkę. Nie wszystko naraz. Roxy wie, że nocowałam u nich w domu. Uznałam, że to na razie wystarczy...

W poniedziałek rano poprosiłam Annie, żeby poszła do banku i przyniosła trochę gotówki do kasy. Wróciła z egzemplarzem „Evening Standard”.

- Widziałaś to?

Na środkowych stronach był obszerny artykuł na temat balu i zdjęcie dziewczyny, która zdobyła nagrodę dla najlepiej ubranego gościa. Miała na sobie futurystyczną krynolinę, którą uszyła sama z nachodzących na siebie kół srebrnej skóry. Była to piękna kreacja. Niżej zamieszczono jeszcze jedno zdjęcie - dwóch chłopców i dwie dziewczyny. Jedną z nich była Katie. Pod zdjęciem autor artykułu zacytował jej wypowiedź:

„Kupiłam sukienkę w Village Vintage w Blackheath, gdzie można dostać piękne stroje retro za rozsądne ceny”.

- Dziękuję, Katie!

- Doskonała reklama. - Annie się uśmiechnęła. - Więc jednak poszła na ten bal.

- Niewiele brakowało, żeby zrezygnowała. Opowiedziałam Annie, co się stało.

- Cóż, właśnie odzyskałaś swoje sto funtów, Phoebe. I to z nawiązką - dodała, wieszając żakiet na zapleczu. - A teraz powiedz mi, szykuje się na dziś coś, o czym powinnam wiedzieć?

- Jadę do Sydenham obejrzeć ubrania pewnej kobiety, która wyjeżdża na stałe do Hiszpanii i chce się pozbyć części garderoby. Nie będzie mnie jakieś dwie godziny.

W końcu wróciłam dopiero po czterech, ponieważ pani Price

-afektowana sześćdziesięcioparolatka w sweterku w panterkę - była niezwykle gadatliwa. Wyciągała z szaf kolejne stroje, szczegółowo opowiadając, co kupił jej pierwszy mąż, co drugi, a w czym nie podobała się trzeciemu. I że strasznie trudno dogodzić mężczyznom, jeśli chodzi o ubrania.

- Może powinna pani chodzić w tym, co się pani podoba - powiedziałam przekornie.

- Gdyby to było takie proste. - Westchnęła. - Ale znowu się rozwodzę, więc teraz wszystko się zmieni.

Kupiłam od niej około dziesięciu rzeczy, w tym dwie bardzo ładne sukienki koktajlowe od Oscara de la Renty, czarną jedwabną suknię wieczorową z białymi różami na ramieniu od Niny Ricci i suknię z kre-

mowej krepy projektu Marca Bohana dla Domu Mody Diora. Zostawiłam pani Price czek. Umówiliśmy się, że w przyszłym tygodniu odbiorę ubrania.

Wracając do Blackheath, zastanawiałam się, czy znajdę na zapleczu miejsce dla nowych strojów. Na ścianach wisiało już mnóstwo rzeczy.

- Mogłabyś pozbyć się tych toreb od Ricka - zasugerowała Annie, kiedy omówiłam z nią tę sprawę.

- To prawda.

Poszłam więc na górę, odszukałam pudło z torebkami i wyjęłam te, które mnie nie interesowały. Z torebki od Saksa wyjęłam pióro, a z podróbki Louisa Vuittona przepisy Neimana Marcusa. Kiedy zajrzałam do torby od Kennetha Cole'a, okazało się, że podszewkę ma poplamioną tuszem, więc nie byłam pewna, czy mogę ją zanieść nawet do Oxfam. W końcu spakowałam dziesięć toreb do dwóch dużych reklamówek i spojrzałam na dwie, które zamierzałam zatrzymać.

Najpierw wzięłam tę z lat czterdziestych, od Gladstone'a. Można ją było od razu wystawić - skóra miała piękny odcień koniaku i choć była trochę przetarta od spodu, ledwie można było to zauważyć. Wypolerowałam ją szybko, po czym wzięłam do ręki perłową kopertówkę. Była prosta, elegancka i w doskonałym stanie. Najwyraźniej niewiele jej używano. Sprawdziłam zapięcie, które działało bez zarzutu, a kiedy podniosłam klapkę, dostrzegłam, że w środku coś jest. Jakaś broszura czy może ulotka. Wyjęłam ją. Był to program koncertu muzyki kameralnej w wykonaniu kwartetu smyczkowego Grazioso, który odbył się piętnastego maja 1975 roku w Massey Hall w Toronto. A więc torebka

pochodziła z Kanady i była w tak dobrym stanie, bo zapewne od tego dnia leżała nietknięta.

Program był wydrukowany prostym, czarnym drukiem na białym tle. Na okładce był kubistyczny rysunek przedstawiający cztery instrumenty, a z tyłu zdjęcie czworga muzyków - trzech mężczyzn i jednej kobiety.

Wszyscy mieli około czterdziestu lat. Przeczytałam, że podczas pierwszej połowy koncertu grali Deliusa i Szymanowskiego, a po przerwie Mendelssohna i Brucha. Pod zdjęciem było kilka zdań na temat kwartetu. Dowiedziałam się, że powstał w 1954, i że ten koncert był częścią tournée po kraju. Otworzyłam program. Na przedostatniej stronie zamieszczono biografie artystów. Przeczytałam nazwiska: Reuben Keller, Jim Cresswell, Hector Levine i Miriam Lipietzka... Nagle zabrakło mi tchu w piersi.

„Nazywała się Miriam. Miriam... Lipietzka! Właśnie przypomniałam sobie to nazwisko...”

Wzięłam głęboki oddech i przyjrzałam się jedynej kobiecie na zdjęciu. Miała ciemne włosy i dość surowy wyraz twarzy. Mogła mieć około czterdziestu pięciu lat. Koncert odbył się w siedemdziesiątym piątym, więc teraz będzie miała... osiemdziesiąt. Kiedy czytałam jej biografię, zaczęły mi drżeć ręce.

„Miriam Lipietzka (pierwsze skrzypce) - w latach 1946-1949 studiowała w Konserwatorium Muzycznym w Montrealu, gdzie była uczennicą Joachima Sicotte'a. Następnie spędziła pięć lat, grając w Orkiestrze Symfonicznej w Montrealu, po czym wraz z mężem, Hectorem Levine (wiolonczela) założyła kwartet Grazioso. Obecnie regularnie koncertuje

i wyklada na Akademii Muzycznej w Toronto, gdzie rezyduje Kwartet Smyczkowy Grazioso".

Zbiegłam ze schodów tak szybko, że omal się nie przewróciłam.

- Uważaj - powiedziała Annie. - Wszystko w porządku? - dodała, kiedy minęłam ją pędząc do komputera.

- W jak najlepszym. Tylko... przez chwilę będę bardzo zajęta.

Zamknęłam drzwi, usiadłam i wpisałam w Google'u „Miriam Lipietzka + skrzypce”.

To musi być ona, myślałam, czekając na wyniki.

- Szybciej... - jęknęłam, wpatrując się ekran.

W końcu pojawiły się na nim linki do różnych stron zawierających informacje na temat kwartetu Grazioso, recenzje z koncertów Miriam Lipietzkiej z kanadyjskich gazet, nagrań, w których brała udział, i młodych skrzypków, których uczyła. Potrzebna mi jednak była jej szczegółowa biografia. Weszłam na witrynę Kanadyjskiej Encyklopedii Muzycznej. Kiedy pojawiła się właściwa strona dosłownie pochłonęłam tekst wzrokiem.

„Miriam Lipietzka, wybitna skrzypaczka, pedagog i założycielka kwartetu Grazioso. Urodziła się 18 lipca 1929 roku na Ukrainie...”

To była ona. Na pewno.

„W 1933 roku wraz z rodziną przeniosła się do Paryża, a w październiku 1945 wyemigrowała do Kanady, gdzie została odkryta przez Joachima Sicotte'a i została jego protegowaną (...), stypendium Konserwatorium w Montrealu (...), pięć lat z Orkiestrą Symfoniczną w Montrealu, z którą koncertowała w kraju i poza jego granicami. Bez wątplenia jednak koncertami jej życia pozostają te, w których brała udział w czasie wojny,

kiedy jako trzynastoletnia dziewczynka grała w Kobiecej Orkiestrze w Auschwitz".

- Och...

„Lipietzka była jedną z najmłodszych członkiń tej czterdziestoosobowej orkiestry, w której, pod batutą Almy Rose, siostrzenicy Gustava Mahlera, grała też Anita Lasker-Wallfish i Fania Fenelon".

A więc była to ta sama osoba i najwyraźniej żyła jeszcze, bo nie było żadnej wzmianki o jej śmierci, a strona została niedawno zaktualizowana. Jak mogłabym się z nią skontaktować? Jeszcze raz spojrzałam na wyniki wyszukiwania w Google'u. Grazioso nagrał płytę z ostatnimi kwartetami Beethovena dla firmy fonograficznej Delos. Pomyślałam, że może to mnie do niej doprowadzi. Ale kiedy wystukałam nazwę firmy, okazało się, że strona Delos jest nieaktywna. Weszłam więc na stronę Akademii Muzycznej w Toronto i znalazłam stosowny wydział. A potem wykręciłam podany numer telefonu. Po piątym sygnale ktoś po drugiej stronie podniósł słuchawkę.

- Dzień dobry, Akademia Muzyczna w Toronto. Mam na imię Carol. W czym mogę pomóc?

Prawie nieprzytomna z podniecenia wyjaśniłam, że chcę się skontaktować ze skrzypaczką, Miriam Lipietzka. Powiedziałam, że wiem, iż uczyła w Akademii w latach siedemdziesiątych, ale poza tym nie mam na jej temat żadnych informacji. Dodałam, że mam nadzieję, iż ktoś z akademii będzie mógł mi pomóc.

- Cóż, pracuję tu od niedawna - powiedziała Carol. - Będę musiała zapytać kogoś innego, a potem do pani oddzwonię. Mogę prosić o numer?

Podalam jej numer do sklepu, a potem takze na komorkę.

- Kiedy moge się spodziewać jakiejś wiadomości?

- Jak tylko sama się czegoś dowiem.

Odložylam słuchawkę. Bylam pewna, że ktoś z akademii zna Miriam i teraz dzieli mnie od niej tylko kilka telefonów. Ona i Monique zapewne były w Auschwitz w tym samym czasie. Moze kontaktowały się w obozie i później... Jeśli dla Monique było jakieś „później”.

Poczucie, że muszę się dowiedzieć, co się z nią stało, wróciło z nową siłą. Moze to wcale nie była obsesja. Przeznaczenie sprawiło, że pomyliłam drogę i znalazłam się w Rochemare. A teraz przeznaczenie znowu przywiodło mnie do Monique, poprzez program koncertu, który tkwił w małej białej torebce przez trzydzieści pięć lat. Nie mogłam otrząsnąć się z wrażenia, że coś mnie do niej prowadzi.

Zadrzałam.

- Dobrze się czujesz, Phoebe? - spytała Annie. - Wydajesz się dzisiaj taka... podekscytowana. Zwykle jesteś oazą spokoju.

- Nic mi nie jest. - Miałam wielką ochotę się jej zwierzyć. - Naprawdę. Spróbowałam oderwać myśli od Monique, sprawdzając zamówienia internetowe. Dochodziła piąta po południu. Od czasu mojej rozmowy z Carol minęła cała godzina.

Nagle odezwał się dzwonek nad drzwiami i do sklepu weszła Katie, w szkolnym mundurku.

- Świetnie wyszłaś na zdjęciu w gazecie! - wykrzyknęła Annie.

- I zrobiłaś mi reklamę - dodałam. - Bardzo dziękuję.

- Przynajmniej tyle mogłam zrobić. Poza tym po prostu powiedziałam prawdę. - Katie otworzyła plecak i wyjęła z niego reklamówkę. -

Wstąpiłam tylko, żeby to oddać. - Podała mi starannie złożony, żółto-złoty szal.

- Zatrzymaj go - powiedziałam wciąż ogarnięta euforią, jaką wywołały wydarzenia ostatniej godziny. - Na pewno ci się przyda.

- Naprawdę? - Katie patrzyła na mnie, zaskoczona. - Cóż, bardzo dziękuję. Znowu. Chyba naprawdę zacznę panią nazywać dobrą wróżką-dodała, chowając szal do torby.

- Jak było na balu? - spytała Annie.

- Cudownie. Poza tym - Katie zmarszczyła nos - że zniszczyłam komuś sukienkę.

- A co się stało? - spytałam, pewna, że niechcący oblała kogoś winem.

- To właściwie nie była moja wina - odparła Katie ze znużeniem.

-Wchodziłam na schody tuż za tą dziewczyną. Miała na sobie taką różnokolorową suknię z jedwabiu, obszytą szyfonem, była przepiękna... W każdym razie, ta dziewczyna nagle się zatrzymała, a ja akurat z kimś rozmawiałam i musiałam przydepnąć brzeg jej sukni, bo kiedy znowu zaczęła wchodzić na schody, usłyszałam trzask materiału...

- Ojej! - mruknęła Annie.

- Dosłownie zmartwiałam, ale zanim zdążyłam powiedzieć choćby „przepraszam”, tamta zaczęła na mnie wrzeszczeć i wyzywać od idiotek. Aż skręciło mnie od środka.

- Powiedziała, że to suknia z aktualnej kolekcji Christiana Lacroix, że kosztowała trzy i pół tysiąca i że będę musiała zapłacić za naprawę. Jeśli w ogóle da się ją naprawić.

- Na pewno się da - powiedziałam. Nie miałam zamiaru się przyznać, że znam właścicielkę sukni i że widziałam rozdarcie. Miles mi je pokazał. Mogłam sama je naprawić.

Katie wyduła wargi.

- W końcu dała mi spokój, a mnie udało się jej unikać przez resztę wieczoru. Poza tym było jak w bajce, więc bardzo pani dziękuję. Będę tu wstępować. Uwielbiam patrzeć na te stroje. Może będę mogła czasem w czymś pomóc - dodała.

- Co?

- Gdyby potrzebowała pani kiedyś pomocy w sklepie, proszę do mnie zadzwonić.

Katie napisała numer telefonu na kawałku papieru i mi go podała.

- Na pewno się zgłoszę - odparłam z uśmiechem.

- Już prawie wpół do szóstej - powiedziała Annie. - Mam zrobić kasę?

- Tak, proszę. Bądź też tak dobra i przekręć wywieszkę na drzwiach

- odparłam. W tej samej chwili zaczął dzwonić telefon. - Odbiorę w biurze! - zawołałam. - Zamknęłam za sobą drzwi i podniosłam słuchawkę. -

Village Vintage - rzuciłam niespokojnie.

- Tu Carol, z Akademii Muzycznej w Toronto. Pani Swift? Serce zaczęło mi walić jak młotem.

- Tak, to ja. Dziękuję, że pani oddzwoniła.

- Mam pewne informacje na temat pani Lipietzkiej - ciągnęła Carol.

Czułam, że spociłam się ze zdenerwowania. - Dowiedziałam się, że nie uczy tu od końca lat osiemdziesiątych. Ale na wydziale pracuje ktoś, kto jest z nią w stałym kontakcie, jeden z jej byłych uczniów, Luke Kramer. Teraz jest akurat na urlopie, właśnie urodziło mu się dziecko.

Miałam wrażenie, że podcięto mi skrzydła.

- A czy można do niego zadzwonić?

- Nie. Prosił, by go nie niepokoić - odparła Carol. Westchnęłam, sfrustrowana. - Jeśli jednak zadzwoni do nas, zapoznam go ze sprawą. Obawiam się, że do tego czasu będzie pani musiała czekać. Wraca w poniedziałek.

- I nie ma nikogo innego, kto...

- Nie. Bardzo mi przykro. Musi pani poczekać.

Rozdział 13

Następnego ranka, idąc do Oxfam z amerykańskimi torebkami, żalowałam szczerze, że nie przejrzałam ich od razu. Gdybym to zrobiła, zapewne byłabym już po rozmowie z Lukiem Kramerem. Nie wiedziałam, jak wytrzymam jeszcze cały tydzień.

- Witaj, Phoebe - powiedziała Joan, kiedy pchnęłam drzwi. Odłożyła egzemplarz „Black & Green”. - Masz coś dla nas?

- Owszem, kilka niezbyt udanych torebek.

- Używane - sapnęła, kiedy podałam jej reklamówki. - Tak mamy tu teraz mówić, a nie „z drugiej ręki”. Używane. - Przewróciła oczami.

- Tak czy inaczej, to i tak lepsze niż „starzyzna”, prawda? Nadal chcesz te zamki i guziki?

- Tak, proszę.

Joan pogrzebała pod ladą i wyjęła kłęb metalowych zamków błyskawicznych w różnych kolorach i duży słoik wielobarwnych guzików.

Na jego dnie dostrzegłam małe guziczki w kształcie samolotów, misiów i biedronek - przypomniały mi rozpinane sweterki, które mama robiła dla mnie na drutach, kiedy byłam mała.

- Przepuściłaś we czwartek świetny film - powiedziała Joan. - To będzie cztery funty i pięćdziesiąt pensów - dodała. Otworzyłam torebkę. - Key Largo z 1948 roku, z Bogartem i Bacall. Czarny melodramat. Weteran wojenny wraca do domu i walczy z gangsterami na Florydzie. Później były dyskusja i porównanie z Mieć i nie mieć. Ten film ma podobną atmosferę. Dan miał chyba nadzieję, że przyjdiesz - dokończyła Joan, kiedy wręczyłam jej banknot dziesięciofuntowy.

- Następnym razem na pewno przyjdę. Ostatnio byłam bardzo... zajęta. -

- Dużo pracy, co? Kiwnęłam głową.

- Dan też ciężko pracuje. „Black & Green” sponsoruje kiosk z hot-dogami na pokazie sztucznych ogni w sobotę, więc Dan musi załatwić czterdzieści tysięcy parówek. Wybierasz się na pokaz?

- Owszem, już nie mogę się doczekać.

Joan położyła gazetę na ladzie. Spojrzałam na pierwszą stronę. Był tam artykuł o zbliżającym się pokazie, a na dole informacja, że „Black & Green” podwoiło swój pierwotny nakład, który wynosił teraz dwadzieścia tysięcy. Cieszyło mnie, że - choć nieświadomie - przyczyniłam się do tego sukcesu. W końcu „Black & Green” bardzo mi pomogło. Gdyby nie artykuł Dana o moim sklepie, nigdy nie poznałabym pani Bell, a wiedziałam, że przyjaźń z nią prowadzi mnie do czegoś... ważnego. Na razie nie wiedziałam, co to jest. Czułam tylko ten ciągły, wewnętrzny nakaz.

W piątek wieczorem znowu odwiedziłam panią Bell. Wydawała się bardzo drobna i krucha. I cały czas zdawała się osłaniać ręką brzuch, który był wyraźnie opuchnięty.

- Jak ci minął tydzień, Phoebe? - spytała.

Spojrzałam w okno, na ogród. Opadające z drzew liście dryfowały w powietrzu. Wierzba płacząca stała pożółkła i smutna.

- Interesująco - odparłam, ale nie powiedziałam jej o programie, który znalazłam w torebce. Wiedziałam, że pani Bell rzeczywiście potrzebuje spokoju.

- Wybierasz się na pokaz sztucznych ogni? - zapytała.

- Tak, z Milesem. Bardzo się na to cieszę. Mam nadzieję, że hałas nie będzie pani zbytnio przeszkadzał.

- Nie. Uwielbiam fajerwerki. Będę je oglądała z okna w sypialni.

-Westchnęła. - Zapewne po raz ostatni...

Potem pani Bell nagle poczuła się zmęczona, więc ja mówiłam, a ona głównie słuchała. Opowiedziałam jej o Annie. O tym, że jest aktorką i że chce napisać własną sztukę, w której mogłaby zagrać. Wspomniałam też o balu i sukience Roxy. Pani Bell szeroko otworzyła oczy i pokręciła głową. Później opowiedziałam jej o Katie i o tym, jak nadepnęła na suknię Roxy. Pani Bell roześmiała się, a zaraz potem skrzywiła się z bólu.

- Proszę się nie śmiać, jeśli to sprawia pani ból - powiedziałam, dotykając jej ręki.

- Warto było - odparła. - Muszę przyznać, że ta dziewczyna nie wzbudza szczególnej sympatii.

- Cóż, Roxy nie jest zbyt miła. Prawdę mówiąc, jest cholernie trudna - stwierdziłam nagle, zadowolona, że mogę wreszcie dać upust negatywnym emocjom. - W stosunku do mnie zachowuje się okropnie. Wczoraj wieczorem znowu byłam u Milesa. Ilekroć odezwałam się do Roxy, kompletnie mnie ignorowała, a kiedy chciałam porozmawiać z Milesem, zaczynała mówić coś do niego w tym samym czasie, jakby mnie tam nie było.

Pani Bell poruszyła się na fotelu.

- Mam nadzieję, że Miles skarcił ją za taką... bezczelność. - Spojrzała na mnie i westchnęła. - Zrobił to?

- Właściwie nie... Powiedział, że to na pewno doprowadziłoby do kłótni, a on nie znosi kłócić się z Roxy. Później przez kilka dni jest zdenerwowany.

- Rozumiem. - Pani Bell skrzyżowała ręce na piersi. - Obawiam się więc, że to ty często będziesz zdenerwowana.

Zagryzłam wargi.

- To trudne, ale jestem pewna, że wszystko się jakoś ułoży. W końcu ona ma dopiero szesnaście lat. Dotychczas miała ojca tylko dla siebie, więc to naturalne, że początek jest trudny, prawda?

- Domyślam się, że tak patrzy na to Miles.

- Tak, tak właśnie powiedział. - Przewróciłam oczami. - Mówi, że powinnam współczuć Roxy.

- Cóż... - Pani Bell pokiwała głową. - Biorąc pod uwagę sposób, w jaki została wychowana, rzeczywiście zasługuje na współczucie.

W sobotę rano zadzwoniłam do Milesa ze sklepu, żeby umówić się z nim na pokaz fajerwerków.

- Zaczyna się o ósmej... O której do mnie przyjedziesz?

Przez szybę widziałam przygotowania do pokazu. Ustawiano barierki i namioty, a nieco dalej kilka osób budowało wielkie ognisko.

- Przyjedziemy do ciebie jakiś kwadrans po siódmej - odparł Miles. A więc będzie też jego córka. - Roxy chciałaby wziąć ze sobą koleżankę. Nie masz nic przeciw temu?

- Oczywiście, że nie. - Pomyślałam, że tak będzie nawet lepiej. - Nie dojedziesz tu samochodem - dodałam. - Ulice wokół Heath zostały zamknięte.

- Wiem. Przyjedziemy metrem.

- Przygotuję coś do jedzenia i picia, a potem pójdziemy do Heath. Kiedy wieczorem dotarłam do domu, zastałam na automatycznej sekretarce wiadomość od taty. Przypomniał mi, że dwudziestego czwartego listopada są urodziny Louisa.

„Pomyślałem, że moglibyśmy pobawić się z nim w Hyde Parku, a potem pójść gdzieś na lunch. Tylko ty, ja i Louis - dodał taktownie. - Ruth robi w tym dniu jakiś materiał w Suffolk”.

Włączyłam radio, żeby posłuchać wiadomości. Spiker powiedział coś na temat kryzysu bankowego i zapowiedział Guya. Szybko wyłączyłam radio. Słuchając jego głosu, czułabym się tak, jakby był ze mną w pokoju.

Włożyłam kanapki, które kupiłam, wracając do domu, do piekarnika.

Zaczęłam się przygotowywać do wyjścia. Dziesięć po siódmej zadzwonił Miles. Koleżanka jednak nie mogła przyjść, więc Roxy także straciła zainteresowanie pokazem.

- No i mam tu mały problem - dodał.

- Dlaczego? Roxy ma szesnaście lat, chyba może zostać sama w domu przez parę godzin?

- Mówi, że nie chce być sama.

- W takim razie musi przyjechać z tobą do Blackheath. Bo ty, zgodnie z umową właśnie wybierasz się na pokaz.

Miles westchnął.

- Nie mogę jej przekonać. Próbowałem.

- Miles, cieszyłam się na ten wieczór.

- Wiem... Posłuchaj, namówię ją żeby ze mną pojechała. Niedługo się zobaczymy.

Ale o siódmej czterdzieści nadal ich nie było. Zadzwoiłam więc do Milesa i powiedziałam, że jeśli nie pojawią się do ósmej, pójdę do Village Vintage i tam się spotkamy. Za pięć ósma, w dość posępnym nastroju, włożyłam płaszcz i przyłączyłam się do spieszących w stronę Heath spóźnialskich.

Idąc Tranquil Vale, widziałam promienie laserów oświetlające niebo i pomarańczową łunę ogniska. Oparłam się o witrynę sklepu. Muzykę dobiegającą z wesołego miasteczka zagłuszył nagle wrzask tłumu, który zaczął odliczać sekundy do rozpoczęcia pokazu.

- Cztery... Trzy... Dwa... Jeden... Bum!!! Trzask! Bang!!!

Pierwsze rakiety eksplodowały na tle ciemnego nieba jak gigantyczne płonące kwiaty. Dlaczego Roxy zawsze musi stwarzać tyle problemów?

I dlaczego Miles zawsze jej ustępuje?

Bum! Bum!! Bang-bang!!! Na niebie rozbłyskały kolejne świetliste chryzantemy, a ja myślałam o pani Bell, która oglądała fajerwerki z okna.

Wziuuu... W niebo strzeliły rzymskie świece, jak spadające meteoryty, ciągnąc za sobą ogony iskrzące się zielenią błękitem i złotem.

Nagle mój telefon zaczął wibrować. Przyłożyłam go do jednego ucha, a drugie zakryłam dłonią.

- Tak mi przykro, Phoebe - rzekł Miles. Zagryzłam wargi.

- Domyślałam się, że nie przyjdiesz.

- Roxy zrobiła straszną awanturę. Chciałem, żeby poszła ze mną ale odmówiła. Teraz twierdzi, że mogę iść sam, jeśli mam ochotę, ale chyba jest już za późno.

Trzask! Buuuu-bum!!! Małe białe rakiety rysowały na ciemnym niebie świetliste spirale, świszcząc i gwizdząc. W powietrzu unosił się ostry zapach spalenizny.

- Masz rację - powiedziałam chłodno. - Jest za późno. Zamknęłam telefon.

Bang! Bam-bara-bum!!! Buuum!!!

Na końcu odpalili wielką rozgwiazdę, jaskrawe kolory rozbłysły i zgasły. Teraz niebo znowu było ciemne i puste, jeśli nie liczyć powoli rozplywającego się w powietrzu dymu.

Nie miałam ochoty wracać od razu do domu, przeszłam więc przez ulicę i wmieszałam się w tłum. Roześmiane dzieci wymachiwały wielobarwnymi balonikami i świetlnymi wężami.

Kilka minut później znowu zadzwonił Miles.

- Tak mi przykro, Phoebe - sapnął. - Nie chciałem zrobić ci zawodu.

Zadrzałam. Wieczór był chłodny.

- Ale zrobiłeś.

- To było bardzo... trudne.

- Doprawdy?

Doleciał mnie zapach smażonej cebuli. Po prawej stronie dostrzegłam nagle czarno-zielone logo „Black & Green”, świecące nad wielkim namiotem.

- Przepraszam, idę właśnie pogadać z przyjacielem. - Zakończyłam rozmowę i ruszyłam w stronę namiotu. Jeśli poczuł się ukarany, tym lepiej.

Po chwili telefon znów zaczął wibrować. Odebrałam niechętnie.

- Nie bądź taka, proszę - powiedział Miles. - To nie moja wina. Roxy to naprawdę czasami... duże wyzwanie.

- Wyzwanie?

Miałam wielką ochotę powiedzieć mu, że znam kilka określeń, które lepiej by pasowały do jego córki, ale ugryzłam się w język.

- Nastolatki bywają egocentryczne - dodał Miles. - Myślą, że cały świat kręci się wokół nich.

- Nie wszystkie nastolatki są takie - odparłam, myśląc o Katie. -Roxy powinna była dziś zrobić to, o co ją poprosiłeś - Bóg jeden wie, ile ty robisz dla niej. Tydzień temu miała na sobie suknię, która kosztowała ponad trzy i pół tysiąca!

- Cóż, to prawda... - westchnął.

- Sukienkę, którą dla niej naprawiłam!

- Posłuchaj... Wiem o tym, Phoebe, i naprawdę jest mi przykro.

- Zostawmy to już, dobrze? - powiedziałam i przerwałam połączenie.

Nie chciałam się kłócić w miejscu publicznym.

Kiedy podeszłam bliżej namiotu, zobaczyłam pracowników firmy cateringowej, którzy przygotowywali hot-dogi w schludnych fartusz-

kach z logo „Black & Green”. Pomagali im Sylvia, Ellie, Matt i Dan, który wyciskał keczup na parówki. Byłam ciekawa, jakiego koloru mu się wydawał. Pewnie zielonego. Dan zauważył mnie i pomachał ręką. Wydał mi się taki postawny, przyjazny i silny. Nagle zapragnęłam jednego z tych jego niedźwiedzich uścisków. Podeszłam i stanęłam z boku kolejki, żeby z nim porozmawiać.

Dan spojrzał na mnie uważnie.

- Wszystko w porządku, Phoebe?

- Tak... oczywiście.

Dan wydusił porcję keczupu na hot-doga i podał go następnej osobie z kolejki.

- Wydajesz się trochę... zdenerwowana.

- Nie... naprawdę.

- Słuchaj, chodźmy się czegoś napić. Tam dalej jest namiot z piwem.

- Jesteś zajęty, Dan - zaprotestowałam. - Nie masz czasu.

- Dla ciebie zawsze mam czas, Phoebe. Weź to, Ellie... - Podał jej butlę z keczupem. - Teraz ty będziesz ją ściskać. Chodź, Phoebe.

Dan zdjął fartuch, a ja poczułam, że mój telefon znowu zaczął wibrować. Odebrałam i usłyszałam posępny głos Milesa.

- Phoebe, powiedziałem ci już, jak bardzo jest mi przykro, więc nie odgrywaj się na mnie.

- Nie odgrywam się - szepnęłam, kiedy Dan wychodził z namiotu.

- Tylko nie mam ochoty w tej chwili z tobą rozmawiać, więc proszę, nie dzwoń więcej.

Dan wziął mnie za rękę i pociągnął przez tłum w stronę namiotu z piwem.

- Na co masz ochotę?

- Cóż... na stół. Ale... tym razem ja stawiam.

Dan jednak podszedł już do baru i po chwili wrócił z butelkami. W tej samej chwili, jak na zawołanie, zwolnił się jeden ze stolików, więc mogliśmy usiąść.

Dan odsunął krzesło i spojrzał na mnie.

- No... Co się z tobą dzieje? - zapytał.

- Nic - westchnęłam. - Wszystko w porządku. Tylko... Miałam się tu spotkać z przyjacielem i... i jego córką. Bardzo się na to cieszyłam, ale córka się rozmyśliła, więc on też nie przyszedł. Mimo że dziewczyna ma już szesnaście lat i mogła zostać sama w domu.

- O rany! Więc to zepsuło ci humor, tak? Kiwnęłam głową.

- Ale dlaczego nie chciała przyjść?

- Bo lubi psuć nam randki. A on jej uległ, bo... zawsze jej ulega.

- Rozumiem. Więc do najodważniejszych się nie zalicza. Uśmiechnęłam się ponuro.

- Od jak dawna spotykasz się z tym facetem?

- Od niedawna. Od jakichś dwóch miesięcy. Lubię go, ale jego córka... wszystko utrudnia.

- Aha. To niełatwa sprawa.

- Tak. Ale dość już o tym. - Spojrzałam na fartuszek Dana. - Podoba mi się wasze logo.

Dan też na nie spojrzał.

- Dzięki. Pomyślałem, że sponsorując takie wydarzenie, staniemy się jeszcze bardziej znani, więc zamówiłem trochę materiałów reklamowych. Na przykład parasolki z logo „Black & Green”. Dam ci jedną.

- Dan... - Upiłam łyk piwa. - Nie powiedziałeś mi, że jesteś właścicielem gazety.

Wzruszył ramionami.

- Nie jestem właścicielem, tylko współwłaścicielem. I po co miałbym ci o tym mówić?

- Nie wiem. Bo... Dlaczego nie? - Opuściłam butelkę. - Często kupujesz gazety?

Pokręcił głową.

- Nigdy wcześniej żadnej nie kupiłem. I nie sądzę, żebym miał kupić w przyszłości. Zrobiłem to tylko dlatego, że Matt jest moim przyjacielem.

- Cudownie się złożyło, że mogłeś mu pomóc - powiedziałam, zastanawiając się, skąd wziął te ćwierć miliona. Nie mogłam go przecież o to zapytać.

Dan pociągnął łyk.

- Dzięki mojej babci. Ona mi to umożliwiła.

- Twoja babcia? - powtórzyłam. - Ta, która zostawiła ci temperówkę?

- Tak. Ta sama, babcia Robinson. Gdyby nie ona, nie mógłbym tego zrobić. To wszystko było takie nieoczekiwane, rozumiesz... Ale tak naprawdę...

- Och, przepraszam cię. - Mój telefon znowu zaczął wibrować. Dzwonek był niemal niedosłyszalny w otaczającym nas gwarze. Spojrzałam na ekranik, starając się przygotować na kolejną rozmowę z Milesem. Ale to nie był numer Milesa. Kierunkowy wskazywał na Amerykę Północną.

- Czy mogę rozmawiać z Phoebe Swift? - zapytał męski głos.

- Przy telefonie.

- Mówi Luke Kramer z Akademii Muzycznej w Toronto. - Nagle zrobiło mi się gorąco. - Rozumiem, że chciała się pani ze mną skontaktować?

- Tak - odparłam, podekscytowana. - Muszę z panem porozmawiać. - Wstałam. - Ale akurat jestem... Tu jest bardzo głośno. Lepiej wrócę do domu. Czy mogę do pana oddzwonić za kwadrans?

- Oczywiście.

- To chyba coś ważnego - powiedział Dan.

- Bardzo! - Nagle ogarnęła mnie euforia. - To naprawdę bardzo ważne. Przepraszam, muszę pędzić. Ale dziękuję, naprawdę podniosłeś mnie na duchu. - Po raz pierwszy to ja uścisnęłam jego.

Uśmiechnął się, zaskoczony.

- Do usług... Zadzwoń do ciebie.

- Tak, zadzwoń.

Pomachałam do niego na pożegnanie i odeszłam.

Po powrocie do domu chwyciłam telefon i wystukałam numer.

- Pan Kramer?

Ze zdenerwowania zaschło mi w ustach.

- Tak. Luke. Witam ponownie.

- Gratuluję narodzin dziecka.

- Dziękuję. Ciągle jeszcze jestem w szoku. To nasze pierwsze. Carol powiedziała mi, że chce się pani skontaktować z Miriam Lipietzka

- Owszem.

- Przekażę jej tę wiadomość. Czy mogę spytać, w jakiej sprawie?

Pokrótkie wyjaśniłam mu, o co chodzi.

- Myśli pan, że zechce ze mną porozmawiać? Po drugiej stronie przez chwilę panowała cisza.

- Nie wiem. Ale jutro będę się z nią widział, więc przekażę jej to, co mi pani powiedziała. Chwileczkę, zapiszę sobie nazwiska... Więc jest pani przyjaciółką pani Therese Bell.

- Tak. Jej panięskie nazwisko brzmi „Laurent”.

- Therese... Laurent... - powtórzył. - A ta dziewczyna, którą obie znały, nazywała się... Monique... Mówiła pani: „Richelieu”?

- Tak. Choć urodziła się jako Monika Richter.

- Richter... Więc wszystko to odnosi się do wydarzeń z czasów wojny?

- Tak. Monique także była w Auschwitz, od sierpnia czterdziestego trzeciego. Próbuję ustalić, co się z nią stało, więc kiedy znalazłam przypadkiem nazwisko pani Lipietzkiej w tym programie, pomyślałam, że może ona zna jej los. Albo przynajmniej coś wie...

- Cóż, porozmawiam z nią. Muszę jednak pani powiedzieć, że Miriam bardzo rzadko wspomina tamte czasy, a znam ją od trzydziestu lat. Były to zbyt bolesne przeżycia... Poza tym może po prostu nie wiedzieć, co się stało z tą dziewczyną.... Monique.

- Rozumiem to wszystko. Ale proszę ją zapytać. Proszę...

- Jak udały się fajerwerki? - spytała Annie, kiedy przyszła w poniedziałek do pracy. - Byłam w Brighton, więc nie widziałam pokazu.

- Trochę mnie rozczarowały - odparłam. Nie miałam zamiaru tłumaczyć, dlaczego.

Annie spojrzała na mnie z ciekawością.

- Szkoda.

Potem pojechałam do Sydenham po rzeczy gadatliwej pani Price.

Rozmawiając z nią, zauważyłam, że miała nienaturalnie naciągniętą skórę wokół oczu i przy podbródku, a jej ręce sprawiały wrażenie dzie-

się lat starszych niż twarz. Na myśl o tym, że tak mogłaby wyglądać moja matka, zrobiło mi się słabo.

Kiedy wracałam do sklepu w porze lunchu, zadzwoniła komórka.

Szybko skręciłam w boczną uliczkę i zatrzymałam samochód. Na ekraniku zobaczyłam numer z kierunkowym Toronto i poczułam nagły ucisk w żołądku.

- Dzień dobry - powiedział Luke Kramer. A więc rozmawiał z nią.

- Byłem wczoraj u Miriam, ale niestety pojawił się pewien problem.

Przygotowałam się na najgorsze.

- Nie chce o tym rozmawiać?

- Nie pytałem, bo źle się czuła i widać było, że nie jest zdrowa. Cierpi ostatnio na poważne infekcje płuc, zwłaszcza jesienią. Po części to pamiątka po tym, co przeszła w czasie wojny. Lekarz przepisał jej antybiotyk i zalecił odpoczynek, więc nawet nie wspomniałem o tej sprawie.

- Oczywiście. - Mimo wszystko poczułam się trochę rozczarowana. - Cóż, dziękuję za telefon. Może kiedy poczuje się lepiej...? - Urwałam.

- Może. Ale na razie uważam, że nie powinienem jej niepokoić. Na razie... To może oznaczać tydzień, pomyślałam, spoglądając w lusterko, by włączyć się do ruchu. Albo miesiąc... Albo nigdy.

Wróciłam do sklepu, gdzie - ku mojemu zaskoczeniu - czekał na mnie Miles. Siedział na sofie i rozmawiał z Annie, która uśmiechała się do niego pocieszająco, jakby się domyśliła, że mieliśmy małe spięcie.

- Phoebe. - Miles wstał. - Pomyślałem, że może miałybyś ochotę napić się ze mną herbaty?

- Tak... hm... Zostawię tylko walizki w biurze, a potem pójdziemy do Moon Daisy Cafe. Wrócę za jakieś pół godziny, Annie.

- Jasne - odparła z uśmiechem.

W barze było sporo ludzi, usiedliśmy więc przy jednym ze stolików na zewnątrz. Tu mogliśmy liczyć na trochę prywatności. W słońcu było dość ciepło.

- Bardzo mi przykro z powodu tego, co stało się w sobotę - zaczął Miles i postawił kołnierz płaszcza. - Powinienem być bardziej stanowczy w stosunku do Roxy. Wiem, że bardzo jej pobłażam.

Spojrzałam na niego.

- Rzeczywiście, trudno mi się dogadać z Roxy. Zachowuje się wobec mnie wrogo, na pewno sam to zauważyłeś. I zawsze potrafi znaleźć jakiś sposób, żeby zepsuć nam randkę.

Miles westchnął.

- Uważa cię za zagrożenie. Od dziesięciu lat to ona jest centrum mojego wszechświata, więc to pod wieloma względami zrozumiałe. -Urwał, bo Pippa przyniosła nam herbatę. - Ale wczoraj długo z nią rozmawiałem. Powiedziałem jej, jak bardzo jestem zły z powodu soboty. Powiedziałem jej też, że jest dla mnie bardzo ważna i zawsze będzie, ale że ja także mam prawo do szczęścia. Uświadomiłem, że stałaś się dla mnie kimś bardzo ważnym i że chcę z tobą być - ciągnął. Zauważyłam nagle, że jego oczy zwilgotniały. - Więc... - Przełknął ślinę, a potem ujął mnie za rękę. - Chciałbym, żeby dobrze się między nami układało, Phoebe.

Wyjaśniłem Roxy, że jesteśmy razem, a to oznacza, że ze względu na mnie musi być... miła.

Cała moja niechęć nagle wyparowała.

- Dziękuję, że mi to powiedziałeś, Miles. Ja... naprawdę chciałabym, żebyśmy się polubiły - dodała.

- Wiem o tym. Fakt, Roxy bywa nieznośna, ale w głębi serca to dobre dziecko. - Miles uściskał moją dłoń. - Mam nadzieję, że teraz poczułaś się z tym wszystkim trochę lepiej. To dla mnie bardzo ważne.

Spojrzałam na niego.

- Owszem, poczułam się lepiej. Uśmiechnęłam się. - Znacznie lepiej - Miles pochylił się i mnie pocałował.

- To dobrze.

Po rozmowie z ojcem Roxy trochę się zmieniła. Nie zachowywała się już wobec mnie wrogo, raczej obojętnie. Kiedy się do niej odzywałam, odpowiadała. Poza tym jednak ignorowała moją obecność. Cieszyło mnie to, bo wyglądało na pewien postęp.

Nie dostałam żadnej wiadomości od Luke'a Kramera. Po tygodniu sama zostawiłam wiadomość dla niego, ale nie oddzwonił. Uznałam więc, że Miriam jest nadal chora, albo wyzdrowiała, ale postanowiła ze mną nie rozmawiać. Poszłam do pani Bell, ale jej o tym wszystkim nie wspomniałam. Zauważyłam, że bolało ją coraz bardziej. Powiedziała mi, że teraz dostaje już morfinę.

Zbliżały się urodziny Louisa, a także termin operacji plastycznej mojej matki. Nadal bardzo mnie martwił fakt, że się na nią zdecydowała, i powiedziałam jej to, kiedy przyszła do mnie we wtorek na kolację.

- Uważam, że jesteś ciągle bardzo atrakcyjna i nie potrzebujesz żadnej operacji - zapewniłam mamę, dolewając jej wina. - A jeśli coś pójdzie nie tak?

- Freddie Church zrobił tysiące tych... zabiegów - powiedziała. I nie miał ani jednego przypadku zejścia.
- To chyba nie jest najlepsza rekomendacja. Mama otworzyła torebkę i wyjęła z niej kalendarzyk.
- Podałam cię jako moją najbliższą krewną, więc musisz wiedzieć, gdzie będę. W klinice Lexington w Maida Vale. - Przewróciła parę stron. - Tu jest numer... Operacja zacznie się o czwartej trzydzieści po południu, ale muszę tam być najpóźniej o wpół do dwunastej, żeby się przygotować. Zostanę w klinice cztery dni, więc mam nadzieję, że mnie odwiedzisz.
- Powiedziałas o tym komuś w pracy? Mama pokręciła głową.
- John myśli, że jadę na dwa tygodnie do Francji. Nie powiedziałam też nic nikomu z moich znajomych. - Schowała kalendarzyk i zatrzasnęła torebkę. - To prywatna sprawa.
- Nie będzie prywatna, jeśli nagle zaczniesz wyglądać piętnaście lat młodziej. Albo, co gorsza, jak ktoś zupełnie inny!
- Nic takiego się nie stanie. Będę po prostu wyglądać świetnie. - Mama podciągnęła skórę na podbródku do góry. - To tylko mały lifting. W tym samym czasie zmienię fryzurę, żeby odwrócić uwagę od twarzy. To taka sztuczka.
- Może nie potrzebujesz niczego poza nową fryzurą? - I nowym makijażem, dodałam w myślach. Mama znowu umalowała się tą okropną koralową szminką. - Mamo, mam złe przeczucie co do tej operacji. Może byś ją jednak odwołała?
- Phoebe, wpłaciłam już zaliczkę w wysokości czterech tysięcy funtów. To połowa całej sumy, więc naprawdę nie mam zamiaru niczego odwoływać.

W dniu urodzin Louisa obudziłam się pełna złych przeczuc. Powiedziałam Annie, że nie będzie mnie w sklepie przez cały dzień, po czym pojechałam metrem na spotkanie z tatą. W pociągu czytałam „Independent”, w którym - ku mojemu zaskoczeniu - znalazłam informację, że jego właściciele, spółka Trinity Mirror, zamierza kupić „Black & Green”. Wchodząc po schodach na stacji Notting Hill Gate, zastanawiałam się, czy dla Dana i Matta będzie to korzystne, czy nie.

Świeciło wspaniałe słońce i było bardzo ciepło jak na koniec listopada. Umówiłam się z tatą przed dziesiątą przy wejściu do Kensington Gardens. Pojawiłam się tam za pięć. Tata właśnie zbliżał się do Orme Gate, pchając przed sobą wózek. Myślałam, że Louis jak zwykle zacznie machać na mój widok rączkami, tym razem jednak tylko nieśmiało się uśmiechnął.

- Witaj, solenizancie! - Pochyliłam się i pogłaskałam podobny do jabłuszka policzek. Buzię miał miękką i rozgrzaną. - Zaczyna już chodzić? - spytałam tatę, kiedy weszliśmy do parku.

- Jeszcze nie, ale niedługo na pewno zacznie. W Gymboree ciągle jest w grupie Radosnych Rączków, a ja nie chcę niczego przyspieszać.

- Oczywiście.

- Ale przeszedł na wyższy poziom w Muzykujących Małpkach.

- To dobrze. - Podniosłam do góry reklamówkę. - Kupiłam mu ksylofon.

- Och, z przyjemnością rozwali go na kawałki.

Teraz słyszeć już było dźwięki wietrznych dzwonek, dobiegające od strony placu zabaw imienia księżnej Diany. A kiedy wyszliśmy z zakrętu, pojawił się przed nami statek piracki. Wyglądał, jakby płynął ku nam po trawie.

- Na placu zabaw chyba nikogo nie ma - zauważyłam.
- To dlatego, że o dziesiątej dopiero go otwierają. Często przychodzę tu w poniedziałki o tej porze, bo jest cicho i przyjemnie. Jesteśmy już prawie na miejscu, Louis - zagruchał tata. - Zwykle kiedy się zbliżamy, aż się rwie do zabawy. Prawda, kochanie? Ale dzisiaj jest chyba trochę zmęczony.

Dozorca otworzył furtkę, a tata wyjął Louisa z wózka i posadził go na jednej z huśtawek. Louis wydawał się całkiem zadowolony. Siedział spokojnie, gdy go huśtaliśmy. W pewnej chwili przymknął oczy i opuścił głowę na pierś.

- Rzeczywiście wydaje się zmęczony, tato.
- Mamy za sobą niespokojną noc. Louis często się budził. Pewnie dlatego, że Ruth znowu nie ma. Kręciła jakiś materiał w Suffolk, ale wraca dzisiaj w południe. A teraz zobaczymy, czy staniesz na nóżkach, Louis. - Tata zdjął go z huśtawki i postawił obok, ale Louis natychmiast się skrzywił i wyciągnął rączki do góry, żeby go podnieść. Nosiłam go więc po placu. Wchodziłam do drewnianych chatek i puszczałam go na zjeżdżalni, a tata łapał go na dole. Cały czas jednak myślałam o mamie. A jeśli źle zareaguje na narkozę? Rzuciłam okiem na duży zegar za kawiarnią. Była za dwadzieścia jedenasta. Teraz mama powinna być już w połowie drogi do kliniki. Powiedziała, że pojedzie tam z Blackheath taksówką.

Tata złapał Louisa u stóp zjeżdżalni.

- Wydaje się dzisiaj senny. Prawda, kotku? - Tata przytulił go do siebie.
- Nie chciałeś nawet wyjść rano z łóżeczka. - Louis nagle zaczął płakać.

- Nie płacz, maleńki. - Tata pogładził go po policzku. - Nie ma powodu do płaczu.

- Nie sądzisz, że coś mu jest? Tata przyłożył dłoń do jego czoła.

- Ma trochę podwyższoną temperaturę.

- Zauważyłam to, kiedy się z nim witałam.

- Myślę, że to najwyżej pół stopnia więcej niż normalnie, więc to nic poważnego. Pokuśnijmy go jeszcze. On to uwielbia.

Istotnie, na huśtawce Louis się uspokoił, ale siedział zupełnie nieruchomo, z zamkniętymi oczami i bezwładnie zwisającymi nóżkami.

- Dam mu paracetamol - powiedział tata. - Możesz go podnieść, Phoebe?

Kiedy to zrobiłam, zielony kubraczek Louisa podjechał do góry i z przerażeniem zauważyłam, że jego brzusek jest pokryty czerwonymi plamkami.

- Widziałeś tę wysypkę, tato?

- Tak, to tylko egzema.

- Nie sądzę. - Przesunęłam dłonią po skórze na brzuchu dziecka. - Plamki są płaskie, jak ślady po ukłuciu igłą... A rączki ma zimne jak lód. -

Przyjrzałam się Louisowi uważnie. Miał zarumienione policzki, ale jego małe usteczka były blade i sinawe. - Tato, on jest chyba chory.

Tata spojrzał na Louisa, a potem zdjął torbę z rączki wózka i wyjął paracetamol.

- To mu pomoże, dobrze zbija gorączkę. Możesz go potrzymać, Phoebe?

Usiedliśmy przy jednym ze stolików. Wzięłam Louisa na kolana. Tata wylał różowe lekarstwo na łyżeczkę, a potem lekko przechylił główkę Louisa do tyłu.

- Grzeczny chłopczyk - mówił, wlewając mu płyn do buzi. - Zwykle trzeba z nim walczyć, ale dzisiaj ładnie połyka. Bardzo ładnie, kochanie.

.. - Louis skrzywił się nagle, a potem wszystko zwymiotował. Tata wytarł mu brodę, a ja dotknęłam ręką jego czółka. Było rozpalone. Dziecko zaczęło głośno płakać.

- Tato, a jeśli to coś poważnego? Ojciec spojrzał na mnie, zaniepokojony.

- Szklanka - rzekł cicho. - Przynieś mi szklankę, Phoebe. Pobiełam do kawiarni, ale kelnerka powiedziała mi, że na terenie placu zabaw nie wolno używać szklanek. Wpadłam w panikę.

- Tato, może masz przy sobie jakiś słoik? Spojrzał na mnie.

- W torbie jest słoiczek z przecierem z jagód.

Chwyciłam słoik, pobiegłam do toalety, wyrzuciłam przecier i drżącymi rękami umyłam naczynie, starając się zderzeć z niego jak największą część etykiety. Wyszłam na zewnątrz i rozejrzałam się dookoła w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby nam pomóc, ale na placu zabaw nie było nikogo poza kilkoma osobami na drugim końcu.

Tata przytrzymał Louisa, a ja przycisnęłam szklankę do jego brzuszka. Louis drgnął, kiedy zimne szkło dotknęło skóry, i zaczął rozpaczliwie płakać.

- Jak to się robi, tato?

- Chyba wystarczy przycisnąć i sprawdzić, czy plamki bledną?

Spróbowałam jeszcze raz.

- Trudno powiedzieć, bledną czy nie. - Tata wyjął komórkę i zaczął wystukiwać jakiś numer. - Do kogo dzwonisz? Do Ruth?

- Nie. Do naszego lekarza rodzinnego. Cholera! Zajęte.

- Jest taka bezpłatna linia... Mógłbyś zapytać o numer na informacji.

Louis mrużył oczy i odwracał głowę, jakby raziło go światło słońca.

Znowu przyłożyłam słoik do jego brzuszka, ale szkło denka było zbyt grube, by można było przez nie zobaczyć coś wyraźnie.

Tata znowu zaczął wybierać jakiś numer.

- Dlaczego oni nie odbierają? - jęknął. - No, dalej...

Nagle zadzwoniła moja komórka. Wcisnęłam zielony guziczek.

- Mamo... - wy dyszałam.

- Pomyślałam, że jeszcze do ciebie zadzwonię, kotku - wyrzuciła szybko. - Prawdę mówiąc, jestem trochę nerwowa...

- Mamo...

- Zaraz będę w klinice i muszę przyznać, że czuję się trochę niewyraźnie.

- Mamo! Jestem z tatą i Louisem na placu zabaw księżnej Diany. Louis jest chyba chory. Ma wysypkę na brzuchu, płacze i ma gorączkę...

Wymiotował... Światło go razi i jest bardzo senny. Próbuje zrobić ten test ze szklanką ale nie wiem, jak to się robi.

- Przyciśnij bok szklanki do jego brzuszka - powiedziała. - Zrobiłaś to?

- Już robię, ale nadal nic nie widzę.

- Spróbuj jeszcze raz. Ale koniecznie bokiem, pamiętaj.

- Rzecz w tym, że to jest taki mały słoiczek z jakąś etykietą więc nie widzę, czy plamki bledną a mały jest naprawdę w kiepskim stanie... -

Kiedy to mówiłam, Louis odrzucił głowę do tyłu i zaniósł się głośnym, pełnym bólu krzykiem. - Wszystko zaczęło się jakąś godzinę temu.

- Jak radzi sobie twój ojciec? - spytała mama.

- Niezbyt dobrze, szczerze mówiąc - odparłam. Tata ciągle usiłował dodzwonić się do lekarza.

- Dlaczego nikt tam nie odbiera? - mówił podniesionym głosem.

- Nie może się dodzwonić do poradni...

- Stać! - krzyknęła nagle mama. Nie miałam pojęcia, o co jej chodzi. - Proszę skręcić tu w prawo... Tam jest chyba parking? - Usłyszałam trzask drzwiczek i szybkie kroki na betonowej ścieżce. - Już idę, Phoebe.

- Jak to?

- Włóżcie dziecko do wózka i idźcie w stronę Bayswater Road. Spotkam się z wami.

Szybko posadziłam Louisa w wózku i zapięłam paski, a potem wszyscy wyszliśmy z placu zabaw. Ruszyliśmy w stronę parkowej bramy i chwilę później zobaczyliśmy mamę, która szła - nie, teraz już biegła - w naszym kierunku. Prawie nie zwróciła uwagi na tatę, bo od razu skupiła się na Louisie.

- Daj mi ten słoik, Phoebe.

Podciągnęła kubraczek Louisa, po czym przyłożyła słoik do jego skóry.

- Trudno powiedzieć - mruknęła. - Zresztą czasami plamki bledną, a to i tak jest zapalenie opon. - Położyła dłoń na czole Louisa. - Jest naprawdę rozpalony. - Zdjęła mu czapczkę i rozpięła kubraczek.

- Pojedziemy do naszej poradni - powiedział tata. - To na Colville Square.

- Nie - odparła mama. - Pojedziemy od razu do szpitala. Tam stoi moja taksówka.

Podbiegliśmy do niej i szybko załadowaliśmy wózek do bagażnika.

- Zmiana planów. Proszę do szpitala St Mary's - rzuciła mama do taksówkarza, kiedy wsiadaliśmy do samochodu. - Pod wejście na pediatrię, jak najszybciej.

Dotarliśmy tam po pięciu minutach. Wysiedliśmy, mama zapłaciła taksówkarzowi. Potem wbiegliśmy do środka i mama porozmawiała z recepcjonistką. Usiedliśmy w poczekalni pełnej dzieci ze złamanymi rączkami i rozbitymi głowami. Tata próbował uspokoić Louisa, który ciągle zanosił się płaczem... Po chwili przyszła pielęgniarka, szybko zbadala Louisa i zmierzyła mu temperaturę... Zaraz potem poinformowała, że mamy wejść poza kolejnością. Zauważyłam, że szła bardzo szybko. Lekarz powiedział, że wszyscy nie możemy wejść na oddział. Myślał, że jestem matką Louisa... więc wyjaśniłam, że jestem jego siostrą. Tata poprosił mamę, żeby poszła razem z nim. Wręczyła mi torbę podróżną. Zabrałam ją z powrotem do poczekalni, razem z wózkiem Louisa i ksylofonem... I czekałam.

Wydawało mi się, że trwa to całą wieczność. Siedziałam na niebieskim plastikowym krześle, słuchając buczenia lodówki z napojami, przyciszonych głosów innych ludzi i nieprzerwanej paplaniny dobiegającej z wiszącego na ścianie telewizora. W pewnej chwili spojrzałam na ekran. Właśnie zaczynały się wiadomości. Była pierwsza po południu. A więc Louis był tam już półtorej godziny. To oznaczało, że miał zapalenie opon mózgowych. Chciałam przełknąć ślinę, ale zupełnie zaschło mi w gardle. Popatrzyłam na jego pusty wózek i poczułam lzy pod powiekami. Byłam nieszczęśliwa, kiedy się urodził. Przez pierwsze dwa miesiące nie chciałam go nawet zobaczyć. Teraz, kiedy już go kochałam, nie wiedziałam, czy będzie żył.

Nagle usłyszałam płacz. Przekonana, że to Louis, podeszłam do rejestracji i spytałam pielęgniarkę, czy wie, co się dzieje. Poszła gdzieś, ale wróciła po chwili i powiedziała, że robią dalsze badania, żeby sprawdzić, czy potrzebna jest punkcja. Wyobraziłam sobie małe ciało Louisa podpięte do płataniny kabli i rurek. Wzięłam do ręki jakąś gazetę, ale nie mogłam czytać. Litery i zdjęcia rozpląwały się jak we mgle. Potem podniosłam głowę i zobaczyłam mamę. Podeszła do mnie i uśmiechnęła się drżącymi ustami.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała i przełknęła ślinę. - To ostra infekcja. Rozwinęła się bardzo szybko. Zatrzymają go tu na noc. Ale będzie dobrze, Phoebe. - Wyjęła z torebki paczkę chusteczek i podała mi jedną. - Pojadę do domu.

- Ruth już wie?

- Tak. Niedługo tu będzie. Podałam mamie torbę.

- Domyślam się, że nie pojedziesz już do Maida Vale - odezwałam się cicho.

Pokręciła głową.

- Już za późno. Ale cieszę się, że tu byłam. Uścisnęła mnie i wyszła ze szpitala.

Pielęgniarka zaprowadziła mnie na oddział dziecięcy. Tata siedział na końcu sali przy małym łóżeczku, na którym Louis bawił się samochodzikiem. Teraz znowu wyglądał jak zwykle, jeśli nie brać pod uwagę bandaża, którym miał owiniętą główkę, i wystającej spod niego kropłówki. Jego skóra także przybrała normalny odcień, poza...

- Co to? - spytałam. - Co on ma na buzi?

- Gdzie? - zapytał ojciec.

- Na policzku. O, tutaj...

Pochyliłam się nad Louisem i nagle zdałam sobie sprawę, co to jest.

Wyraźny, okrągły ślad koralowej szminki.

Rozdział 14

Po tych okropnych wydarzeniach cały dzień dochodziłam do siebie. Zadzwoiłam też do mamy, żeby zapytać, jak się czuje.

- W porządku - odparła spokojnie. - Była to dość... dziwna sytuacja, delikatnie mówiąc. Co słyszeć u ojca?

- Kiepsko. Strasznie pokłócił się z Ruth.

- Dlaczego?

- Była wściekła, bo nie wiedział, że w przypadku podejrzenia zapalenia opon trzeba od razu jechać do szpitala.

- Cóż, w takim razie powinna sama bardziej zatroszczyć się o Louisa! Twój ojciec ma sześćdziesiąt dwa lata - ciągnęła mama. - Robi, co może, ale tym razem... instynkt go zawiódł. Louis potrzebuje dobrej opieki. A twój ojciec nie jest niańką, tylko archeologiem.

- To prawda. Tyle że w tej chwili nie ma dla niego pracy. A co z twoim zabiegiem, mammo?

Usłyszałam bolesne westchnienie.

- Właśnie zapłaciłam kolejne cztery tysiące.

- Chcesz powiedzieć, że wydałaś osiem tysięcy funtów na lifting, którego nie było?

- Tak. Musieli zarezerwować salę operacyjną, opłacić anestezyjologa i pielęgniarki. Do tego trzeba było doliczyć płatność dla Freddiego Churcha, więc... nie miałam wyjścia. Ale wyjaśniłam im, co się stało, i dali mi dwadzieścia pięć procent zniżki na zabieg, kiedy już mi go zrobią.

- A kiedy to będzie?

- Nie jestem jeszcze... pewna.

Dwa dni później Miles przyjechał po mnie pod sklep, po czym na resztę wieczoru pojechaliśmy do niego do domu. Czułam się trochę zmęczona po całym dniu, więc wykąpałam się szybko, a następnie zeszłam na dół i przygotowałam kolację. Potem jedliśmy i rozmawialiśmy o tym, co przydarzyło się Louisowi.

- Dzięki Bogu twoja mama była w pobliżu.

- Tak. To był bardzo szczęśliwy... zbieg okoliczności. - Nie powiedziałam Milesowi, dokąd się wtedy wybierała. - Instynkt macierzyński natychmiast doszedł do głosu.

- Dla twoich rodziców to musiało być bardzo dziwne spotkanie.

- Wiem. Widzieli się po raz pierwszy, odkąd ojciec się wyprowadził. Mam wrażenie, że oboje byli wstrząśnięci.

- Cóż... wszystko dobre, co się dobrze kończy. - Miles nalał mi do kieliszka białego wina. - Więc mówisz, że w sklepie jest duży ruch?

- Tak, częściowo zapewne z powodu tej wzmianki w „Evening Standard”. - Postanowiłam nie mówić Milesowi, że zawdzięczam ją dziewczynie, która podarła Roxy sukienkę. - To sprowadziło wielu klientów. Przyszli też Amerykanie, którzy szukali strojów na Święto Dziękczynienia.

- Kiedy to będzie? Jutro?

- Tak. Kupili kilka sukienek, wszystkie bardzo retro.

- To świetnie. - Miles podniósł kieliszek. - Więc wszystko dobrze się układa?

- Na to wygląda.

Poza tym, że nie dostałam żadnej wiadomości od Luke'a Kramera.

Minęły już dwa tygodnie. Zakładałam, że omówił już moją sprawę z panią Lipietzka która z jakichś powodów nie chciała się ze mną skontaktować.

Po kolacji poszłam z Milesem do salonu pooglądać telewizję. Kiedy o dziesiątej zaczęły się wiadomości, usłyszeliśmy zgrzyt klucza w drzwiach frontowych. Roxy wracała właśnie ze spotkania z przyjaciółką. Miles wyszedł, żeby z nią porozmawiać.

Roxy ziewnęła.

- Idę do łóżka.

- Dobrze, kochanie, ale pamiętaj, że jutro zabieram cię wcześnie rano, bo jestem umówiony na spotkanie. Wyjeżdżamy o siódmej. Phoebe wyjdzie trochę później i zamknie dom.

- Jasne. Dobranoc tato.

- Dobranoc, Roxy! - zawołałam.

- Dobranoc.

Siedzieliśmy jeszcze jakąś godzinę. Obejrzeliśmy wieczorne wiadomości, a potem poszliśmy spać, tuląc się do siebie. Czułam się przy Milesie bezpieczna, moje stosunki z Roxy także były całkiem przyzwoite. Po raz pierwszy potrafiłam wyobrazić sobie nasze wspólne życie.

Rano przez sen słyszałam, jak Miles chodzi po sypialni. Potem doleciały mnie strzępy jego rozmowy z Roxy na korytarzu, lekki zapach tostów. I w końcu trzaśnięcie drzwi wejściowych.

Wzięłam prysznic, wysuszyłam włosy suszarką którą Miles trzymał teraz dla mnie w swojej sypialni, a następnie wróciłam do łazienki, umyłam zęby i zrobiłam makijaż. Potem podeszłam do kominka, na którym poprzedniego wieczoru zostawiłam pierścionek ze szmaragdem. Na zielonym spodeczku, do którego go włożyłam, leżały trzy pary spinek do mankietów, dwa guziki i pudełko zapalek. Nic więcej...

W pierwszej chwili pomyślałam, że Miles przełożył go w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Zaraz jednak uznałam, że gdyby to zrobił, na pewno by mi o tym powiedział. Sprawdziłam więc dokładnie całe otoczenie kominka, na wypadek, gdyby Miles przypadkiem strącił pierścionek ze spodka. Nie znalazłam go, choć obejrzałam każdy centymetr podłogi. Teraz byłam już naprawdę zaniepokojona.

Usiadłam na krześle w łazience, usiłując sobie przypomnieć, co robiłam poprzedniego wieczoru. Przyjechałam do domu z Milesem i - ponieważ miałam za sobą cały dzień pracy - wzięłam szybką kąpiel. To wtedy zdjęłam pierścionek z palca i położyłam go na zielonym spodeczku. Zawsze kiedy nocuję u Milesa, kładę tam biżuterię. Po kąpeli nie włożyłam go ponownie, bo zamierzałam zabrać się do gotowania. Zostawiłam go na spodeczku i zeszłam na dół.

Spojrzałam na zegarek. Była za kwadrans ósma, powinnam wyjść, żeby zdążyć na pociąg, ale zniknięcie pierścionka bardzo mnie zdenerwowało. Zadzwoiłam do Milesa. Wiedziałam, że w tej chwili prowadzi samochód, ale miał zestaw głośnomówiący.

- Miles? - powiedziałam, kiedy tylko uzyskałam połączenie.
- Mówi Roxy. Tata prosił, żebym odebrała, bo zapomniał słuchawki.
- Czy mogłabyś go o coś zapytać?
- O co?
- Wczoraj wieczorem zostawiłam w łazience pierścionek ze szmaragdem. Położyłam go na spodeczku. Teraz go tam nie ma, więc pomyślałam, że może go gdzieś przełożył.
- Ja go nie widziałam - mruknęła Roxy.
- Czy mogłabyś zapytać o niego tatę? - powtórzyłam z mocno bijącym sercem.
- Tato, Phoebe nie może znaleźć swojego pierścionka ze szmaragdem. Mówi, że zostawiła go na zielonym spodeczku, i pyta, czy go gdzieś nie przełożyłaś.
- Nie, oczywiście, że nie - usłyszałam głos Milesa. - Nie zrobiłbym tego.
- Słyszałaś? - powiedziała Roxy. - Tata go nie ruszał, ani nikt... Musiałaś go zgubić.
- Nie zgubiłam go. Na pewno tam był, więc... gdyby twój tata mógł do mnie później zadzwonić...

Połączenie zostało przerwane.

Z powodu pierścionka byłam tak rozbita, że przed wyjściem omal nie zapomniałam włączyć alarmu. Potem wrzuciłam klucz przez otwór na listy, poszłam na Denmark Hill, wsiadłam do pociągu i pojechałam prosto do sklepu.

Miles zadzwonił jakiś czas potem i obiecał, że później pomoże mi odnaleźć pierścionek. Powiedział, że musiałam go gdzieś upuścić. To jedyne wyjaśnienie.

Tego dnia wieczorem pojechałam do Camberwell samochodem.

- Gdzie go zostawiłaś? - spytał Miles, kiedy weszliśmy do łazienki.

- Tu, na spodeczku...

I nagle coś sobie przypomniałam. Wcześniej byłam zbyt zdenerwowana, by zwrócić na to uwagę. Roxy powiedziała ojcu, że położyłam pierścionek „na zielonym spodeczku”, a przecież nie mówiłam jej, na którym. Powiedziałam tylko, że na spodeczku. W łazience na kominku stały trzy spodki, każdy innego koloru. Nagle zakręciło mi się w głowie, musiałam oprzeć się ręką o kominek, żeby się nie przewrócić.

- Położyłam go tutaj - tłumaczyłam. - Wzięłam szybką kąpiel i potem już go nie włożyłam, bo chciałam przygotować kolację, więc zesłam na dół. A kiedy chciałam wziąć go rano, już go tam nie było.

Miles spojrzał na zielony spodek.

- Na pewno tu go położyłaś? Bo nie pamiętam, żebym go widział, kiedy kładłem tu wieczorem spinki do mankietów.

Nagle rozboleł mnie żołądek.

- Z całą pewnością właśnie tu go położyłam... około szóstej trzydzieści - odparłam. Zapadła krępująca cisza. - Miles... - Ze zdenerwowania zupełnie zaschło mi w ustach. - Miles... przykro mi, ale... zastanawiam się...

Patrzył na mnie bez ruchu.

- Wiem, nad czym się zastanawiasz, i odpowiedź brzmi „nie”. Poczułam, że oblewam się rumieńcem.

- Ale poza nami w domu była jeszcze tylko ona... Myślisz, że istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że go wzięła?

- A po co miałyby to zrobić?

- Przez przypadek - rzuciłam w desperacji. - Albo może żeby...
popatrzeć na niego... A potem zapomniała odłożyć go na miejsce. - Pa-
trzyłam na Milesa z mocno bijącym sercem. - Mógłbyś ją o to zapytać,
Miles? Proszę.

- Nie. Nie mógłbym. Słyszałem, jak Roxy wyraźnie ci powiedziała, że
nie widziała tego pierścionka. Koniec na tym.

Wyjaśniłam, że Roxy najwyraźniej dobrze wiedziała, na którym ze
spodeczków położyłam pierścionek.

- Cóż... - Miles wyrzucił ręce w powietrze. - Roxy wie, że stoi tu zielony
spodeczek, bo czasem wchodzi do tej łazienki.

- Tak, ale stoi tu też niebieski spodeczek, i czerwony. Skąd Roxy
wiedziała, że położyłam pierścionek na zielonym, skoro ja jej o tym nie
powiedziałam?

- Wie, że na zielonym kładę zawsze spinki do mankietów, więc pewnie
założyła, że tam go zostawiłaś. A może przez proste skojarzenie z
zielenią szmaragdów. - Wzruszył ramionami. - Nie wiem. Wiem tylko,
że Roxy nie wzięła twojego pierścionka.

Serce waliło mi jak młotem.

- Jak możesz być tego taki pewny?

- Mogę, bo wiem, że w głębi serca Roxy to dobre dziecko. Nigdy nie
zrobiłaby nic... złego. Mówiłem ci to już, Phoebe.

- Owszem, Miles. Prawdę mówiąc, dość często to powtarzasz. Nie wiem
tylko, na jakiej podstawie.

Miles poczerwieniał.

- Na takiej, że to prawda... Poza tym, daj spokój... - Przeczesał palcami włosy. - Sama widziałaś, jak wiele rzeczy ma Roxy. Nie potrzebuje niczego, co do niej nie należy.

Westchnęłam, sfrustrowana.

- Miles - powiedziałam cicho. - Mógłbyś sprawdzić, czy mojego pierścionka nie ma w jej pokoju? Ja nie mogę tego zrobić.

- Oczywiście, że nie możesz. A ja nie mam zamiaru tego robić. Do oczu napłynęły mi łzy.

- Chcę odzyskać pierścionek. Myślę, że Roxy przyszła tu wieczorem i wzięła go, bo to po prostu jedyne wyjaśnienie. Możesz zobaczyć, czy nie ma go u niej? Proszę.

- Nie. Nie mogę. - Żyła na jego skroni nabrzmiała i zaczęła pulsować. - I uważam, że to bardzo nie w porządku z twojej strony, że w ogóle o to prosisz.

- A ja myślę, że nie w porządku jest to, że odmawiasz! Zwłaszcza że Roxy położyła się godzinę przed nami i miała mnóstwo czasu, żeby tu wejść. Dobrze o tym wiesz. A sam mówiłeś, że ona czasem wchodzi do tej łazienki...

- Tak, żeby wziąć szampon. A nie po to, żeby kraść czyjaś biżuterię.

- Miles, ktoś zabrał mój pierścionek z tego spodeczka. Miles spojrzał na mnie twardo.

- Nie masz żadnego dowodu na to, że była to Roxy. Prawdopodobnie sama go zgubiłaś, a teraz ją obwiniasz.

- Nie zgubiłam go. - Znowu poczułam łzy po powiekami. - Wiem, co z nim zrobiłam. Próbuję tylko zrozumieć...

- A ja próbuję chronić dziecko przed twoimi kłamstwami! Otworzyłam usta ze zdumienia.

- Nie kłamię - powiedziałam spokojnie. - Pierścionek tam leżał, a rano już go nie było. Ty go nie wzięłeś, a poza nami w domu była tylko jedna osoba.

- Nie mam zamiaru tego znosić! - rzucił gniewnie Miles. - Nikt nie będzie oskarżał mojej córki! - Był tak wściekły, że żyły na jego szyi wyglądały pod skórą jak kable. - Nie pozwoliłem na to wcześniej, i teraz także nie pozwolę. To właśnie robisz, Phoebe. Tak jak Clara i jej okropni rodzice. - Wsunął palec pod kołnierzyk koszuli. - Oni także ją oskarżyli, i także nie mieli żadnych dowodów na poparcie swoich słów.

- Przecież ta złota bransoletka znalazła się w szufladzie Roxy. Oczy Milesa zapłonęły.

- Istniało logiczne wyjaśnienie tego faktu!

- Naprawdę?

- Tak. Naprawdę.

- Miles - spróbowałam-jeszcze raz, usiłując zachować spokój. -Możemy wyjaśnić tę sprawę, dopóki Roxy nie ma w domu. Rozumiem, że ona jest bardzo młoda i że mogła ulec pokusie, wziąć mój pierścionek, a potem zapomnieć odłożyć go na miejsce. Proszę, sprawdź, czy nie ma go w jej pokoju...

Miles wyszedł z łazienki. Boże, więc jednak postanowił to zrobić. Zaraz jednak straciłam nadzieję, bo zaczął schodzić ze schodów.

- Jestem taka zdenerwowana - wyjąkałam bezradnie.

- Ja też. I wiesz co? - Otworzył drzwi szafki z winami. - Może ten pierścionek wcale ci nie zginął. - Miles zdjął ze stojaka jedną z butelek.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Miles pogrzebał w szufladzie i znalazł korkociąg.

- Może go masz i zmyśliłaś całą tę historię.

- Ale... po co miałabym robić coś takiego?

- Żeby odegrać się na Roxy, bo nie była dla ciebie specjalnie miła?

Patrzyłam na niego, oburzona.

- Musiałabym chyba oszaleć. Poza tym, wcale nie chcę się na niej odgrywać. Chcę się z nią zaprzyjaźnić. Sądzę, że ten pierścionek jest w jej pokoju, więc wystarczy, że po niego pójdziesz, i zapomnimy o całej sprawie.

Zacisnął usta.

- Nie, nie ma go w jej pokoju, Phoebe, ponieważ Roxy nie bierze cudzych rzeczy. Moja córka nie kradnie, nie jest złodziejką. Powiedziałem to wtedy, tym ludziom, i powtarzam tobie! Roxy nie jest złodziejką! - Nagle Miles gwałtownym ruchem podniósł butelkę i z całej siły rąbnął nią o kamienną podłogę. Spojrzałam na odłamki zielonego szkła, na kałużę czerwonego wina i rozdartą na pół etykietę z wizerunkiem kosa.

Miles oparł się o kuchenny blat i zakrył twarz rękami.

- Proszę, idź stąd - wyskrzecztał. - Idź! Nie mogę...

Czułam się dziwnie spokojna. Przeszłam przez kuchnię, starając się nie nastąpić na szkło. Znalazłam swój płaszcz i szalik. I wyszłam z domu.

Przez chwilę siedziałam w samochodzie, usiłując uspokoić skołatane nerwy. Dopiero po chwili, drżącymi rękami, odważyłam się przekręcić kluczyk w stacyjce. Wtedy zauważyłam plamkę czerwonego wina na mankiecie bluzki.

„Zawsze tak jest z Roxy...”

To było jedyne wytłumaczenie.

„Roxy ma poczucie... braku”.

Miles dawał jej tak wiele. Pozwalał, by wszystko spadało jej jak z nieba.

Jakby wszystko jej się należało. „Co chcesz przez to powiedzieć?”

Więc uważała, że ma prawo. Ma prawo wziąć bransoletkę przyjaciółki, domagać się sukien za tysiące funtów, siedzieć i odpoczywać, kiedy inni pracują włożyć do kieszeni cenny pierścionek, na który się natknęła.

Dlaczego miałyby się zawahać, skoro niczego jej nigdy nie odmawiano?

Ale reakcja Milesa... Na to nie byłam przygotowana. Teraz wreszcie zrozumiałam.

Elle est son tendon d'Achille.

Miles po prostu nie był w stanie przyjąć do wiadomości, że Roxy może zrobić coś złego.

Kiedy weszłam do domu, wszystko znowu do mnie wróciło. Usiadłam przy kuchennym stole i wybuchnęłam rozpaczliwym płaczem, z trudem chwytając powietrze i przyciskając chusteczkę do oczu. Słyszałam ludzi wchodzących do domu obok. U moich sąsiadów najwyraźniej odbywało się jakieś przyjęcie. Przypomniałam sobie, że są z Bostonu, więc była to zapewne kolacja z okazji Święta Dziękczynienia.

Nagle zdałam sobie sprawę, że dzwoni telefon. Nie odbierałam, bo byłam pewna, że to Miles. Na pewno chciał mnie przeprosić i przyznać, że zachował się okropnie. Że przeszukał pokój Roxy i, tak, znalazł tam mój pierścionek. I prosi, żebym mu wybaczyła. Telefon ciągle dzwonił. Dzwonił, choć chciałam, żeby przestał. Musiałam przypadkiem wyłączyć automatyczną sekretarkę.

Poszłam do przedpokoju i podniosłam słuchawkę.

- Halo? - powiedział jakiś starszy kobiecy głos.

- Tak?

- Czy mogę rozmawiać z panią Phoebe Swift? - Przez chwilę sądziłam, że to pani Bell, ale nagle zdałam sobie sprawę, że mimo francuskiego akcentu ta kobieta mówi z wyraźnie amerykańską intonacją. -Czy jest tam Phoebe Swift?

- Tak, to ja. Przepraszam, z kim mam przyjemność?

- Nazywam się Miriam Lipietzka... Osunęłam się na krzesło w przedpokoju.

- Pani Lipietzka? - Oparłam głowę o ścianę.

- Luke Kramer powiedział mi... - Teraz słyszałam też dziwne charczenie, jakie towarzyszyło jej słowom. - Luke Karmer powiedział mi, że... chciała pani ze mną porozmawiać.

- Tak - sapnęłam. - Bardzo. Bardzo chcę z panią porozmawiać. Ale uznałam już, że do tego nie dojdzie. Wiem, że była pani chora.

- Owszem, ale teraz jest lepiej, na tyle, na ile to możliwe. Dlatego jestem gotowa... - Urwała i westchnęła. - Luke wyjaśnił mi, o co chodzi. Muszę przyznać, że dotyczy to okresu w moim życiu, o którym rzadko wspominam. Ale kiedy znowu usłyszałam te imiona... tak dobrze mi znane... poczułam, że muszę z panią porozmawiać. Dlatego powiedziałam Luke'owi, że zadzwonię do pani, kiedy będę gotowa. Teraz... już jestem...

- Pani Lipietzka...

- Miriam.

- Miriam. Może ja zadzwonię, to droga rozmowa.

- Żyję z artystycznej emerytury, więc byłoby to bardzo miłe. Chwyciłam notes i szybko zapisałam numer. Potem zanotowałam jeszcze kilka spraw, które chciałam poruszyć w tej rozmowie, żeby niczego nie zapomnieć. Przez chwilę zbierałam się w sobie i w końcu wystukałam numer.

- A więc... znasz Therese Laurent? - zaczęła Miriam.

- Tak. Mieszkamy blisko siebie. Zaprzyjaźniłyśmy się. Po wojnie przeniosła się do Londynu.

- Ach, tak. Cóż, ja nigdy jej nie poznałam, choć zawsze miałam wrażenie, że jest inaczej, bo Monique opowiadała mi o niej w listach z Awinionu. Pisała, że zaprzyjaźniła się z dziewczynką o imieniu Therese i że miło spędzają razem czas. Pamiętam, że czułam się nawet trochę zazdrosna.

- Therese powiedziała mi kiedyś, że też była zazdrosna, bo Monique tak wiele opowiadała o pani.

- Cóż, Monique i ja byłyśmy sobie bardzo bliskie. Poznałyśmy się w trzydziestym szóstym, kiedy pojawiła się w naszej szkole przy rue des Hospitaliers w Le Marais, dzielnicy żydowskiej. Pochodziła z Mannheim i prawie nie mówiła po francusku, więc wszystko jej tłumaczyłam.

- Pani pochodzi z Ukrainy?

- Tak, z Kijowa. Ale moja rodzina zamieszkała w Paryżu kiedy miałam cztery lata. Pamiętam rodziców Monique, Lenę i Emila, bardzo dobrze. Widzę ich tak wyraźnie, jakby to było wczoraj - dodała z nutą zdumienia w głosie. - Pamiętam, że kiedy na świat przyszły bliźnięta, matka Monique bardzo długo była chora. I to Monique, a miała wtedy osiem

lat, musiała gotować dla całej rodziny. Matka mówiła jej, co ma robić, ze swojego łóżka. - Miriam urwała. - Nie mogła wtedy przypuszczać, jaki dar ofiarowała w ten sposób córce...

Byłam bardzo ciekawa, co Miriam chciała przez to powiedzieć, ale czułam, że nie powinnam jej przerywać. Miała prawo opowiedzieć tę trudną historię po swojemu, więc musiałam cierpliwie czekać na ciąg dalszy.

- Rodzina Monique, tak jak moja, mieszkała przy rue des Rosiers, więc często się spotykałyśmy. Byłam zrozpaczona, kiedy wyjechali do Prowansji. Pamiętam, że gorzko płakałam i powtarzałam rodzicom, że my także powinniśmy tam pojechać, oni jednak podochodzili do sytuacji znacznie spokojniej niż rodzice Monique. Ojciec nadal miał pracę. Był urzędnikiem w Ministerstwie Edukacji. W zasadzie prowadziliśmy całkiem przyjemne życie. Dopiero później wszystko się zmieniło. - Miriam zakaszlała i upiła łyk wody. - Pod koniec czterdziestego pierwszego ojciec został zwolniony z pracy. Redukowano liczbę urzędników pochodzenia żydowskiego pracujących dla rządu. Potem wprowadzono godzinę policyjną a siódmego czerwca 1942 roku wyszedł nakaz, by wszyscy Żydzi mieszkający w strefie okupowanej nosili żółtą gwiazdę. Matka przyszyła mi ją z lewej strony płaszcza, zgodnie z instrukcją. Pamiętam, że na ulicach wszyscy się na nas gapili. Nie mogłam tego znieść... Potem, piętnastego lipca czterdziestego drugiego przyszła policja. Zabrali nas, wraz z tysiącami innych...

Miriam powiedziała, że spędziła miesiąc w Drancy, a następnie wraz z rodzicami i siostrą, Liliannę, została załadowana do pociągu. Spytałam ją czy się bała.

- Właściwie nie - odparła. - Powiedziano nam, że jedziemy do obozu pracy. Nie mieliśmy żadnych podejrzeń, bo jechaliśmy tam normalnym pociągiem pasażerskim, nie wagonami bydłocymi, których używano później. Po dwóch dniach przybyliśmy do Auschwitz. Pamiętam, że kiedy stanęliśmy na tej strasznej, jałowej ziemi, usłyszałam orkiestrę, która grała piękny marsz Lehara. Pocieszaliśmy się, że tam, gdzie gra muzyka, nie może być przecież źle, prawda? Ale widzieliśmy też druty pod napięciem i oficera SS, który siedział na krześle, opierając jedną stopę na stołku, z karabinem na kolanach. Pokazywał ludziom, w którą stronę mają iść, na lewo czy na prawo. Nie wiedzieliśmy wtedy, że od ruchu jego palca zależy nasz los. Liliannę miała wtedy tylko dziesięć lat. Jakaś kobieta poradziła mojej matce, żeby zawiązała jej szalik na głowie, żeby wyglądała na starszą. Matka była zaskoczona, ale zrobiła to. I uratowała Liliannę życie. Potem kazano nam włożyć wszystkie cenne rzeczy do dużych pudeł. Musiałam oddać swoje skrzypce. Nie rozumiałam, dlaczego. Pamiętam, że matka płakała, wkładając do pudła obrączkę i złoty otwierany wisiołek, w którym były zdjęcia jej rodziców. Potem oddzielono nas od ojca. On został zabrany do męskich baraków, my do kobiecych.

Miriam znowu upiła łyk wody, a ja w tym czasie spojrzałam na swoje notatki. Pisałam szybko, ale byłam w stanie je odczytać. Postanowiłam, że później je przepiszę.

Miriam milczała przez chwilę, a potem podjęła:

- Następnego dnia wysłano nas do pracy przy kopaniu rowów. Przez trzy miesiące całymi dniami kopałam rowy, a na noc wpełzałam na swoją prycę. Sypiałyśmy w poprzek, po trzy na jednej, na tych żałośnie

cienkich słomianych materacach. Pocieszałam się, „ćwicząc” palcówki na nieistniejących strunach. Później, pewnego dnia, usłyszałam rozmowę dwóch strażniczek. Jedna z nich wspomniała pierwszy koncert skrzypcowy Mozarta. Mówiła, że bardzo go lubi. Zanim zdążyłam się zastanowić nad tym, co robię, powiedziałam, że umiem to zagrać.

Kobieta spojrzała na mnie ostro. Byłam pewna, że zaraz mnie pobije albo zrobi coś jeszcze gorszego, za to, że odezwałam się do niej bez pozwolenia. Serce podeszło mi do gardła. Ale ona, o dziwo, nagle się uśmiechnęła i spytała, czy naprawdę potrafię go zagrać. Odparłam, że nauczyłam się w ubiegłym roku. A ona wysłała mnie do Almy Rose.

- Więc wtedy dołączyła pani do kobiecej orkiestry?

- Tak ją nazywali, ale grały tam same dziewczyny, głównie nastolatki.

Alma Rose znalazła dla mnie skrzypce. Pochodziły z wielkiego magazynu, w którym wszyscy, którzy przyjeżdżali do obozu, musieli zostawiać swoje rzeczy. Stamtąd wysyłano je do Niemiec. Nazywaliśmy ten magazyn „Kanadą”, bo tyle tam było kosztowności i innych cennych rzeczy.

- A Monique? - spytałam.

- Cóż, tak właśnie spotkałam Monique. Orkiestra grała przy bramie, kiedy więźniowie szli rano do pracy i wracali wieczorem. Grałyśmy też, kiedy przyjeżdżały transporty, aby ci wyczerpani, przerażeni ludzie, słysząc Chopina i Schumanna, nie zdawali sobie sprawy, że właśnie stanęli u bram piekieł. Pewnego dnia na początku sierpnia 1943 roku grałam przy bramie, kiedy przyjechał pociąg. W tłumie ludzi, którzy z niego wysiedli dostrzegłam Monique.

- Jak się pani poczuła?

- W pierwszej chwili się ucieszyłam. A zaraz potem przeraziłam. Bałam się, że Monique nie przejdzie selekcji. Ale, dzięki Bogu, została wysłana na prawo. Potem, kilka dni później, znowu ją zobaczyłam. Jak wszyscy inni miała ogoloną głowę i była bardzo chuda. Nie miała na sobie biało-niebieskiego pasiaka, tylko długą suknię wieczorową ze złotej satyny, która musiała pochodzić z „Kanady”, i buty, które były na nią o wiele za duże. Może zabrakło dla niej pasiaka? Nie wiem... W każdym razie widziałam, jak w tej pięknej złotej sukni ciągnęła kamienie na budowę drogi. Orkiestra wracała właśnie na swój blok, a Monique nagle podniosła głowę i mnie zobaczyła.

- Mogła z nią pani porozmawiać?

- Nie, ale udało mi się przekazać jej wiadomość. Spotkałyśmy się przy jej bloku trzy dni później. Do tego czasu dostała już biało-niebieską sukienkę w paski, jakie nosiły wszystkie więźniarki. Na głowie miała chustkę, a na nogach drewniaki. My, w orkiestrze, dostawałyśmy więcej jedzenia niż inni, więc dałam jej kawałek chleba, który ukryła pod pachą. Rozmawiałyśmy przez chwilę. Monique spytała, czy widziałam jej rodziców i braci, ale nie widziałam. Potem spytała mnie o moją rodzinę. Powiedziałam jej, że mój ojciec zmarł na tyfus trzy miesiące po przyjeździe do Auschwitz. I że moja matka i Liliannę zostały wysłane do Ravensbriick, do pracy w fabryce amunicji. Spotkałam się z nimi dopiero po wojnie. Obecność Monique była dla mnie wielką pociechą. Zarazem jednak bardzo się o nią bałam, bo miała tam znacznie cięższe życie niż ja. Pracowała ponad siły i dostawała bardzo mało jedzenia. A wszyscy wiedzieli, co dzieje się z więźniami, którzy byli zbyt słabi, by pracować. Czekala ich „selekcja”, a potem... - Głos uwiązał Miriam w

gardle. Po chwili wzięła głęboki oddech. - Zaczęłam chować dla niej żywność. Czasem marchewkę, czasem trochę miodu. Pamiętam, że kiedyś przyniosłam jej ziemniaka. Kiedy go zobaczyła, była tak szczęśliwa, że się rozplakała. Ilekroć przyjeżdżał nowy transport, Monique, jeśli tylko mogła, przychodziła pod bramę, bo wiedziała, że mnie tam zobaczy, jak gram. Widok przyjaciółki był dla niej pociechą. Miriam przełknęła ślinę.

- Potem... Pamiętam, było to w lutym czterdziestego czwartego, zobaczyłam Monique, jak stała przy bramie. Właśnie na chwilę przestałyśmy grać. Jedna ze strażniczek... Nazywałyśmy ją „Bestią”... - Miriam urwała. - Podeszła do Monique i chwyciła ją za ramię, pytając, dlaczego się obja... Kazała jej pójść ze sobą. Natychmiast! Monique zaczęła płakać... Popatrzyła na mnie, jakbym mogła jej pomóc, ale musiałyśmy znowu zacząć grać. Kiedy ta kobieta ciągnęła ją za sobą, grałyśmy akurat polkę Trik-trak Straussa. Taki śliczny, skoczny kawałek... Od tego dnia już nigdy nie byłam w stanie go słuchać ani grać...

Kiedy Miriam mówiła, spojrzałam w okno, a potem na swoją rękę. Czymże jest utrata pierścionka w porównaniu z tym, czego właśnie słuchałam? Głos Miriam znowu zaczął drżeć, dobiegło mnie stłumione łkanie. Po chwili podjęła opowieść. Kiedy ją skończyła, pożegnałyśmy się i odłożyłam słuchawkę. Zza ściany dolatywały mnie głosy sąsiadów, którzy się śmiali, rozmawiali i składali dzięki.

- Czy Miles odezwał się do ciebie od czasu, kiedy to się wydarzyło? - spytała mnie pani Bell w niedzielę po południu. Właśnie skończyłam opowiadać jej o tym, co spotkało mnie w Camberwell.

- Nie - odparłam. -I wątpię, żeby to zrobił. Chyba że znajdzie mój pierścionek i będzie chciał mi o tym powiedzieć.
 - Biedny człowiek - mruknęła pani Bell. Wygładziła bladozielony moherowy pled, którym teraz zawsze miała przykryte kolana. -Musiało mu to przypomnieć, co się stało w poprzedniej szkole jego córki. - Spojrzała na mnie. - Jest jakaś nadzieja, że się jeszcze pogodzicie? Pokręciłam głową.
 - Był niemal nieprzytomny z wściekłości. Może jeśli pozostaje się z kimś w związku przez wiele lat, można jakoś znieść taką potworną kłótnię, ale ja znam Milesa ledwie od trzech miesięcy. Był to dla mnie szok. Poza tym jego postawa w stosunku do tego, co się stało, wydaje mi się... niewłaściwa.
 - Może Roxy wzięła ten pierścionek tylko po to, by wywołać konflikt między wami?
 - Myślałam o tym i doszłam do wniosku, że to dla niej taki „bonus”. Myślę, że go wzięła, bo ma zwyczaj sięgać po wszystko, na co ma ochotę.
 - Ale przecież musisz go jakoś odzyskać... Rozłożyłam ręce.
 - Bardzo bym chciała, ale co mogę zrobić? Nie mam dowodu, że Roxy go wzięła, a nawet, gdybym go miała, to nadal byłoby... okropne. Nie byłabym chyba w stanie stawić temu czoło.
 - Ale Miles nie może tego tak zostawić - powiedziała pani Bell.
 - Powinien poszukać tego pierścionka.
 - Wątpię, by to zrobił. Gdyby go znalazł, zniszczyłoby to wyidealizowany wizerunek Roxy, który jest mu tak drogi.
- Pani Bell pokiwała głową.

- To dla ciebie bardzo gorzka pigułka, Phoebe.

- To prawda. Ale muszę odpuścić, bo co innego mogłabym zrobić? Poza tym wiem, że można stracić w życiu znacznie cenniejsze rzeczy niż pierścionek, nawet taki, który był cenną pamiątką.

- Dlaczego tak mówisz? - Pani Bell spojrzała na mnie uważnie. - Masz łzy w oczach. - Sięgnęła po moją dłoń. - Dlaczego?

Westchnęłam.

- Wszystko w porządku... - Wiedziałam, że nie powinnam mówić pani Bell, czego się dowiedziałam. Wstałam z fotela. - Muszę już iść. Mogę coś jeszcze dla pani zrobić?

- Nie. - Pani Bell spojrzała na zegar. - Niedługo przyjdzie pielęgniarka. - Ujęła moje ręce i uścisnęła je lekko. - Mam nadzieję, że niedługo znowu do mnie przyjdiesz, Phoebe. To takie miłe z twojej strony, że mnie odwiedzasz.

Pochyliłam się i pocałowałam ją w policzek.

- Przyjdę.

W poniedziałek Annie przyniosła egzemplarz „Guardiana” i pokazała mi krótką notkę na temat sprzedaży „Black & Green” spółce Trinity Mirror, za półtora miliona funtów.

- Myślisz, że to dla nich dobra wiadomość? - spytałam.

- To dobra wiadomość dla właścicieli gazety - odparła Annie - bo sporo na tym zarobią. Ale dla pracowników może być inaczej, ponieważ nowy zarząd może wszystkich zwolnić.

Postanowiłam, że zapytam o to Dana. Chyba wybiorę się na kolejny seans do jego małego kina. Annie zdjęła żakiet.

- Powiesimy tu jakieś świąteczne dekoracje? - spytała. - W końcu to już pierwszy grudnia.

Spojrzałam na nią zaskoczona. Ostatnio byłam zbyt zaabsorbowana innymi sprawami, by o tym pomyśleć.

- Tak, powinnyśmy udekorować sklep, ale ozdoby też muszą być w stylu retro.

- Papierowe łańcuchy - zasugerowała Annie, rozglądając się po sklepie.

- Złote i srebrne. Wstąpię do Johna Lewisa w drodze na casting.

Mogłybyśmy też wykorzystać ostrokrzew, przyniosę trochę od tej florystki przy stacji metra. Przydałyby się jakieś lampki.

- Moja matka ma takie śliczne stare lampki w kształcie aniołów i gwiazdek - powiedziałam. - Biało-złote, bardzo eleganckie. Zapytam, czyby ich nam nie pożyczyła.

- Oczywiście, możesz je wziąć - zgodziła się mama, kiedy zadzwoniłam do niej kilka minut później. - Zaraz ich poszukam i przywiozę do sklepu. I tak nie mam teraz nic lepszego do roboty. - Mama nadal udawała, że jest na urlopie.

Przyjechała godzinę później z dużym kartonowym pudłem pod pachą. Zawiesiliśmy lampki w oknie.

- Są prześliczne - pochwaliła Annie.

- Należały jeszcze do moich rodziców - wyjaśniła mama. - Kupili je, kiedy byłam małą dziewczynką na początku lat pięćdziesiątych. Mają nowe wtyczki, ale poza tym świetnie się trzymają jak na swój wiek.

- Proszę mi wybaczyć tak osobistą uwagę, pani Swift - odezwała się Annie. - Wiem, widziałyśmy się tylko kilka razy, ale teraz wygląda pani fantastycznie. Zmieniła pani uczesanie, czy coś w tym rodzaju?

- Nie. - Mama była zaskoczona, ale też wyraźnie zadowolona.
Przygładziła jasne włosy ręką - To ciągle ta sama fryzura.

- Cóż... Wygląda pani świetnie. - Annie włożyła żakiet. - Muszę już iść, Phoebe.

- Jasne - odparła. - Do czego jest casting?

- To teatru dla dzieci. - Annie przewróciła oczami. - Lamy i piżamy.

- Wspominałam ci, mamó, że Annie jest aktorką, prawda?

- Owszem.

- Mam już tego dość - mruknęła Annie, zarzucając torbę na ramię. -
Naprawdę chciałabym napisać własną sztukę. Szukam właśnie tematu.
Szkoda, że nie mogę opowiedzieć ci tej historii, pomyślałam... Kiedy
Annie wyszła, mama zaczęła przeglądać rzeczy na wieszakach.

- Jest tu wiele naprawdę ładnych strojów. Kiedyś nie wyobrażałam
sobie, żebym mogła chodzić w starych ubraniach. W ogóle nie brałam
tego pod uwagę.

- Wiem. A może jednak teraz chciałabyś coś przymierzyć? Mama
spojrzała na mnie z uśmiechem.

- A więc dobrze. To naprawdę mi się podoba. - Mama zdjęła z wieszaka
rozpinaną sukienkę od Jacquesa Fatha z lat pięćdziesiątych i poszła do
przymierzalni.

Chwilę później rozsunęła zasłonę.

- Świetnie na tobie leży, mamó. Jesteś szczupła, więc możesz nosić takie
dopasowane stroje. Wyglądasz bardzo elegancko.

Mama patrzyła na swoje odbicie w lustrze, zdumiona i zachwycona
jednocześnie.

- Rzeczywiście, bardzo ładna sukienka. - Dotknęła palcami tkaniny. - I ten materiał... bardzo interesujący. - Jeszcze raz spojrzała w lustro, a potem zaciągnęła zasłonę. - Ale nie robię teraz żadnych zakupów.

Miałam ostatnio duże wydatki.

W sklepie nie było klientów, więc mama została jeszcze chwilę, żeby porozmawiać.

- Wiesz, Phoebe - powiedziała, siadając na sofie - chyba jednak nie zrobię sobie tego liftingu.

Odetchnęłam z ulgą.

- Bardzo dobra decyzja.

- Nawet z dwudziestopięcioprocentową zniżką to dalej jest sześć tysięcy funtów. Właściwie nadal mnie na to stać, tylko teraz nagle wydaje mi się, że to tylko strata pieniędzy.

- W twoim przypadku, mamó, na pewno.

Matka wzruszyła ramionami, a potem spojrzała na mnie.

- Teraz patrzę na to wszystko inaczej... Trochę tak, jak ty, Phoebe.

- Dlaczego? - spytałam, choć znałam odpowiedź..

- Wszystko się zmieniło w ubiegłym tygodniu, kiedy zobaczyłam Louisa. - Mama z niedowierzaniem pokręciła głową. - Smutek i rozgoryczenie nagle jakby... wyparowały.

Oparłam się o ladę.

- A spotkanie z ojcem? Mama westchnęła.

- Cóż, właściwie wcale nie było tak źle. Może wzruszyło mnie, że tak bardzo kocha Louisa. Po prostu nie umiałam być na niego zła. Teraz cała ta sytuacja... nie wydaje mi się już taka straszna. - Nagle dostrzegłam to, co wcześniej zauważyła Annie, że mama wygląda inaczej. Jej

twarz się odprężyła, wyglądała ładniej i młodziej. - Chętnie częściej widywałam Louisa - dodała cicho.

- Cóż, dlaczego miałybyś go nie widywać? Możesz przecież czasem umówić się z tatą na lunch.

Mama powoli pokiwała głową.

- To samo mi zaproponował, kiedy się żegnaliśmy. Mówił też, że mogłybyśmy go czasem odwiedzić razem i zabrać Louisa do parku. Jeśli Ruth się zgodzi.

- Jest teraz bardzo zajęta w pracy, więc sądzę, że nie będzie miała nic przeciw temu. Zresztą jest ci bardzo wdzięczna za to, co zrobiłaś.

- Co nie znaczy, że będzie zadowolona, iż spędzam czas z twoim ojcem.

- Tego nie wiem. Myślę jednak, że nie będzie jej to przeszkadzało.

- No cóż... - Mama westchnęła. - Zobaczymy. A co słyhać u Mileasa? Opowiedziałam mamie o tym, co się stało. Była bardzo zmartwiona.

- Ojciec dał ten pierścionek mojej matce, kiedy się urodziłam. Mama dała go mnie na czterdzieste urodziny, a ja dałam go tobie, Phoebe, w dniu twoich dwudziestych pierwszych urodzin. - Pokiwała głową. - To była... bezcenna pamiątka rodzinna. - Wydęła wargi. To musi być bardzo nieodpowiedzialny człowiek, przynajmniej jako ojciec.

- Rzeczywiście, muszę przyznać, że strasznie rozpuścił Roxy.

- Myślisz, że zdołasz odzyskać ten pierścionek?

- Nie, staram się nawet o tym nie myśleć. Mama spojrzała w okno.

- O, to znowu ten facet.

- Jaki facet?

- Ten wielki, źle ubrany facet z kręconymi włosami.

Teraz ja także spojrzałam w okno. Dan właśnie przechodził przez ulicę. Szedł w stronę sklepu.

- Podobają mi się kręcone włosy u mężczyzn - powtórzyła po raz nie wiadomo który mama. - Rzadko się zdarzają.

- Tak - mruknęłam z uśmiechem. - Wspominałaś o tym. Dan pchnął drzwi i wszedł do środka.

- Witaj - powiedziałam. - To jest moja mama.

- Naprawdę? - Dan spojrzał na matkę wyraźnie zaskoczony. - A nie twoja starsza siostra?

Mama wybuchnęła śmiechem i nagle rzeczywiście zaczęła wyglądać olśniewająco. To był jedyny lifting, jakiego tak naprawdę potrzebowała. Uśmiech.

Podniosła się z kanapy.

- Muszę już iść, Phoebe. Jestem umówiona z Betty z kółka brydżowego o wpół do pierwszej. Idziemy na lunch. Miło było znowu cię zobaczyć, Dan.

Pomachała do nas i poszła.

Dan zaczął przeglądać ubrania na wieszaku z męskimi strojami.

- Szukasz czegoś konkretnego? - spytałam z uśmiechem.

- Właściwie nie. Pomyślałem po prostu, że przyjdę i wydám trochę pieniędzy w tym sklepie, bo to jemu zawdzięczam swoją fortunę.

- To chyba lekka przesada, Dan.

- Nie sądzę. - Zdjął z wieszaka marynarkę. - Bardzo ładna, ma bardzo piękny kolor. - Przyjrzał jej się uważnie. - Jest bladozielona, prawda?

- Nie, różowa jak guma do żucia. To Versace.

- Aha. - Odwiesił ją z powrotem.

- W tej będzie ci dobrze. - Podniosłam do góry kaszmirową marynarkę od Brooks Brothers w odcieniu gołębiej szarości. - Pod kolor oczu. I powinna być wystarczająco szeroka w ramionach, to rozmiar czterdzieści dwa.

Dan włożył ją i spojrzał w lustro.

- Wezmę ją- oznajmił radośnie. - Chciałbym cię zaprosić na lunch, żeby uczcić nasz sukces.

- Chętnie przyjąłabym zaproszenie, ale nigdy nie zamykam sklepu w porze lunchu.

- Cóż, raz na jakiś czas możesz chyba zrobić coś, czego nigdy nie robisz? Zajmie to najwyżej godzinę. Pójdziemy tylko kawałeczek dalej, do winiarni Chapters, żebyś miała blisko z powrotem.

Wzięłam torebkę.

- Dobrze. I tak nie ma klientów.

Odwróciłam wywieszkę na drzwiach i zamknęłam sklep.

Idąc w dół ulicy, rozmawialiśmy o sprzedaży „Black & Green”.

- To dla nas wspaniała sprawa - mówił Dan. - Na to właśnie mieliśmy nadzieję. Chcieliśmy odnieść sukces, żeby ktoś nas kupił, bo to pozwoliłoby nam odzyskać wkład i jeszcze zarobić.

- Zakładam, że tak się stało? Dan uśmiechnął się szeroko.

- Podwoiliśmy wkład. Nawet nam się nie śniło, że coś takiego może się stać tak szybko, ale sprawa Phoenixa pozwoliła nam zaistnieć.

Weszliśmy do restauracji i usiedliśmy przy stoliku pod oknem. Dan zamówił dwa kieliszki szampana.

- Co się będzie dalej działo z waszą gazetą? - zapytałam. Dan wziął do ręki menu.

- Niewiele, bo Trinity Mirror chce utrzymać wszystko tak, jak jest. Matt nadal będzie naczelnym, zatrzymał pewien udział w gazecie. Poza tym powstał pomysł, by otwierać podobne gazety w innych częściach południowego Londynu. Wszyscy zostają oprócz mnie.

- Dlaczego? Przecież lubiłeś tę pracę?

- Owszem. Ale teraz będę mógł zrobić to, co zawsze chciałem zrobić.

- To znaczy?

- Otworzyć własne kino.

- Przecież już to zrobiłeś.

- Mam na myśli prawdziwe kino, niezależne. W którym pokazywałbym nowe filmy, oczywiście, ale także klasyki. W tym takie, które są dziś prawie niedostępne, na przykład... Peter Ibbetson, film z Garym Cooperem z trzydziestego czwartego roku, albo Gorzkie łyż Petry Kant Fassbindera. To kino byłoby miniaturą Brytyjskiego Instytutu Kinematografii. Organizowałbym spotkania i dyskusje.

Kelner przyniósł szampana.

- Ale zamontowałbyś tam nowy projektor, jak sądzę? Dan kiwnął głową.

- Dan & Howell to tylko taki żart. Po świętach zacznę szukać odpowiedniego miejsca.

Złożyliśmy zamówienie.

- Za sukces „B&G” - powiedziałam, podnosząc kieliszek. - Gratuluję. Zaryzykowałeś sporą sumę.

- Fakt, ale dobrze znam Marta i wiedziałem, że zrobi świetną gazetę. A potem po prostu dopisało nam szczęście. A więc zdrowie Village Vintage. - Teraz Dan podniósł kieliszek. - Dziękuję, Phoebe.

- Dan... - odezwałam się nagle. - Jestem ciekawa jednego. Tego wieczoru, na pokazie sztucznych ogni, powiedziałeś mi, że to dzięki babci byłeś w stanie zainwestować w tę gazetę...
- Pamiętam. Zaraz potem musiałaś iść. Cóż, chyba wspomniałem ci też o tym, że poza srebrną temperówką babcia zostawiła mi dość koszmarny obraz.
- No tak...
- Była to wyjątkowo brzydka abstrakcja, która wisiała u niej w holu przez trzydzieści pięć lat.
- Mówiłeś, że czułeś się trochę rozczarowany.
- Owszem. Ale kilka tygodni później wyjąłem go z papieru, w który został owinięty, i znalazłem przyklejony z tyłu list od babci. Napisała mi, że nigdy jej się ten obraz nie podobał, ale że jej zdaniem może być coś wart. Więc zaniósłem go do Christie's i dowiedziałem się, że namalował go Erik Anselm. Nawet tego nie wiedziałem, bo podpis był zupełnie nieczytelny.
- Słyszałam o Eriku Anselmie - powiedziałam, kiedy kelner postawił przed nami talerze z rybą.
- Należał do pokolenia Rauschenberga i Twombly'ego, choć był od nich trochę młodszy. Kobieta w Christie's była bardzo podekscytowana. Powiedziała, że Anselm został niedawno na nowo odkryty i że ten obraz może być wart nawet trzysta tysięcy...
- To stąd pochodziły pieniądze na gazetę, pomyślałam.
- Ale sprzedał się za osiemset tysięcy. Położyłam serwetkę na kolanach.
- Dobry Boże. Więc jednak babcia była dla ciebie bardzo hojna. Dan wziął do ręki widelec.

- Bardzo.
- Kolekcjonowała dzieła sztuki?
- Nie. Była położną. Powiedziała, że dostała ten obraz w latach siedemdziesiątych po wyjątkowo trudnym porodzie, od wdzięcznego ojca.

Ponownie uniosłam kieliszek.

- A więc, za babcię Robinson.
- Często piję jej zdrowie, - Dan się uśmiechnął. - Pomijając wszystko inne, była naprawdę urocza. Te pieniądze przydały mi się też, kiedy kupowałem dom - ciągnął, kiedy zabraliśmy się do risotta. - A potem okazało się, że Mat ma problemy z zebraniem kapitału na zakup gazety. Więc powiedziałem mu o spadku. Zapytał, czy byłbym gotów zainwestować w „Black & Green”. Przemyślałem to i postanowiłem, że zaryzykuję.

Uśmiechnęłam się.

- Dobra decyzja. Dan kiwnął głową.
- Miło się z tobą spotkać, Phoebe. Ostatnio prawie cię nie widywałem.
- Cóż, byłam bardzo zajęta. Ale teraz jest już... inaczej. - Odłożyłam widelec. - Mogę ci coś powiedzieć? - zapytałam.

Dan kiwnął głową.

- Podobają mi się twoje włosy.
- Naprawdę?
- Tak. Loki rzadko się zdarzają u mężczyzn. - Spojrzałam na zegarek. - Ale muszę już iść, moja godzina dobiegła właśnie końca. Dziękuję za lunch.

- Miło mi było świętować to z tobą, Phoebe. Może znowu przyjdiesz obejrzeć jakiś film?

- Owszem, chętnie. A co teraz pokazują w Robinson Rio?

- Sokoła Maltańskiego.

- Doskonale.

Tak więc we czwartek pojechałam samochodem do Hither Green. Szopa była pełna, a przed seansem Dan powiedział kilka słów na temat filmu. Wspomniał, że to debiut reżyserski Johna Hustona i że Humphrey Bogart zagrał Sama Spade'a tylko dlatego, że George Raft, któremu studio zaproponowało tę rolę, oznajmił, że nie chce mieć nic wspólnego z produkcją klasy B w reżyserii jakiegoś nowicjusza. Dan dodał też, że Sokół Maltański był pierwszym filmem z gatunku określanego później jako noir genre.

- Był to też pierwszy film wytwórni MGM „pokolorowany” przez Teda Turnera w połowie lat osiemdziesiątych - wyjaśnił Dan, włączając projektor. - Efekt, co łatwo możecie sobie wyobrazić, był upiorny. Ale my obejrzymy Sokoła we wspaniałej czarno-białej wersji.

Światła przygasły, kurtyna rozsunęła się na boki.

Po seansie zostałam, wraz z kilkoma innymi osobami, na kolacji, żeby porozmawiać o filmie. Potem wróciłam do domu. Od dawna nie byłam w tak dobrym nastroju i prawie nie myślałam o Milesie.

Następnego ranka do sklepu wpadła mama i powiedziała, że jednak zdecydowała się kupić sukienkę od Jacquesa Fatha.

- Betty powiedziała, że ona i Jim organizują dwudziestego małe przyjęcie świąteczne, więc chciałabym sprawić sobie coś nowego... czy też raczej starego - poprawiła się.

- Teraz stare znaczy nowe - rzuciła Annie pogodnie.

Mama sięgnęła po kartę, ale po prostu nie mogłam wziąć od niej pieniędzy.

- Dam ci ją - powiedziałam. - Możemy to uznać za prezent urodzinowy. Mama tylko pokręciła głową.

- Żyjesz z tego, Phoebe. Ciężko na to pracujesz, a moje urodziny będą dopiero za sześć tygodni. - Wyjęła kartę Visa. - Kosztuje dwieście pięćdziesiąt funtów, prawda?

- Tak, ale dostaniesz dwadzieścia procent zniżki, więc już tylko dwieście.

- Prawdziwa okazja.

- Coś mi to przypomina - odezwała się Annie. - Poświęteczne wyprzedaże. Zrobimy coś takiego? Bo kilka osób już pytało.

- Myślę, że powinnyśmy - odparłam, wkładając sukienkę mamy do torby. - Wszyscy to robią a poza tym przyda się trochę więcej miejsca na nowe rzeczy. - Podałam torbę mamie.

- Mogłybyśmy zorganizować wcześniej wieczór promocyjny - zaproponowała Annie. - Z zaproszeniami, żeby trochę podkreślić atmosferę. Naprawdę myślę, że musimy bardziej promować Village Vintage -dodała, układając rękawiczki.

Wzruszało mnie jej zaangażowanie w sprawy sklepu.

- Wiem, co powinnyście zrobić - włączyła się nagle mama. -Trzeba zorganizować pokaz mody vintage. Phoebe mogłaby powiedzieć parę słów krótko o każdym prezentowanym stroju. Przyszło mi to do głowy, kiedy cię słuchałam w radiu. Omówiłabyś styl ubrań, kontekst społeczny epoki, projektanta. W końcu masz dużą wiedzę, kochanie.

- Cóż, po dwunastu latach pracy powinnam chyba coś wiedzieć.
- Spojrzałam na mamę. - To dobry pomysł.
- Mogłabyś wziąć po dziesięć funtów od osoby, wliczając w to kieliszek wina - dodała Annie. - A każdy, kto kupiłby bilet na pokaz, dostałby w sklepie zniżkę. Lokalne gazety na pewno by o tym napisały. A pokaz mogłabyś zrobić w Blackheath Halls.

Pomyślałam o tej wielkiej sali. Miała ściany wyłożone ciemnym drewnem, łukowaty sufit i szeroką scenę.

- To duża przestrzeń - zauważyłam. Annie wzruszyła ramionami.
- Jestem pewna, że uda ci się ją wypełnić. Dla wielu osób będzie to okazja, by dowiedzieć się czegoś o historii mody.
- Musiałabym wynająć modelki. To kosztuje.
- Możesz poprosić niektóre ze swoich klientek - podsunęła Annie. - Na pewno im to pochlebi i będą się świetnie bawić. Mogłyby pokazać stroje, które tu kupiły, a także nowe rzeczy.

Spojrzałam na Annie.

- Rzeczywiście. - Przed oczami stanęły mi nagle cztery kobiety płynące po wybiegu w kolorowych, tiulowych „bezach”. - A zysk z imprezy mogłabym przekazać na cele dobroczynne.
- Zrób to, Phoebe - powiedziała mama, po czym pomachała do nas i poszła.

Zanotowałam kilka pomysłów, a następnie skontaktowałam się z kimś z Blackheath Halls, żeby zapytać, ile kosztowałoby wynajęcie sali. Zaraz potem zadzwonił telefon.

Podniosłam słuchawkę.

- Village Vintage?

- Czy rozmawiam z Phoebe Swift?

- Tak.

- Mówi Sue Rix. Jestem jedną z pielęgniarek środowiskowych, które zajmują się panią Bell. Przyszłam do niej rano i poprosiła mnie, żebym do pani zadzwoniła...

- Czy coś się stało? - zapytałam niespokojnie.

- Cóż... trudno powiedzieć. Pani Bell jest bardzo podekscytowana.

Prosiła, żebym do pani zadzwoniła. Cały czas powtarza, że chce, żeby pani do niej przyszła. Natychmiast. Powiedziałam jej, że może nie będzie pani mogła zostawić sklepu.

Rzuciłam okiem w stronę Annie.

- Prawdę mówiąc, mam dzisiaj kogoś do pomocy, więc mogę przyjść.

Zaraz tam będę. - Wzięłam torebkę, czując, jak ogarnia mnie nieokreślony strach. - Nie będzie mnie przez jakiś czas, Annie - powiedziałam.

Kiwnęła głową. Wyszłam ze sklepu i z mocno bijącym sercem poszłam pieszo do Paragon. Sue otworzyła mi drzwi.

- Jak czuje się pani Bell? - zapytałam.

- Jest czymś bardzo zaskoczona - odparła Sue. -I wzruszona. Zaczęło się jakąś godzinę temu.

Ruszyłam do salonu, ale Sue wskazała mi sypialnię.

Pani Bell leżała w łóżku, z głową opartą na poduszce. Nigdy wcześniej nie widziałam jej w łóżku. Choć wiedziałam, jak ciężko jest chora, wstrząsnął mną widok przykrytego kocami, drobnego ciała.

- Phoebe... nareszcie... - Pani Bell uśmiechnęła się z ulgą. W ręce trzymała list. Patrzyłam na niego, czując, że serce wali mi jak młotem. -

Musisz mi to przeczytać. Sue chciała to zrobić, ale to musisz być ty.
Nikt inny.

Przyciągnęłam krzesło do łóżka

- Więc pani nie może tego przeczytać? Chodzi o oczy?

- Nie, nie! Mogę to przeczytać, zrobiłam to już chyba ze dwadzieścia razy, od czasu kiedy dostałam ten list. Ale teraz ty musisz go przeczytać, Phoebe. Proszę... - Pani Bell podała mi kremową kartkę ciasno zapisaną po obu stronach. W adresie nadawcy podano Pasadenę w Kalifornii.

„Droga Pani Bell - zaczęłam czytać. - Mam nadzieję, że wybaczy mi Pani list, od zupełnie przecież obcej osoby. Choć właściwie nie jestem Pani obca. Nazywam się Lena Sands i jestem córką Pani przyjaciółki, Monique Richelieu...”

Spojrzałam na panią Bell - jej błękitne oczy błyszczały od łez - po czym znowu spuściłam wzrok na list.

„Wiem, że Pani i moja matka byłyście przyjaciółkami w Awinionie, wiele lat temu. Wiem, że poszukiwała jej Pani i dowiedziała się, iż moja matka została wywieziona do obozu, do Auschwitz. Wiem też, że sądziła Pani, iż tam zginęła. To naturalne założenie. Piszę ten list, by Panią powiadomić, że - czego dowodzi moje istnienie - matka przeżyła”.

- Miałaś rację... - dobiegł mnie szept pani Bell. - Miałaś rację, Phoebe...

„Chciałabym, żeby wreszcie dowiedziała się Pani, co się z nią stało.

Mogę do Pani napisać, ponieważ Pani przyjaciółka, Phoebe Swift, skontaktowała się z Miriam Lipietzka z którą moja matka przyjaźniła się przez całe życie. Dzisiaj Miriam do mnie zadzwoniła”.

- Ale jak zdołałaś się skontaktować z Miriam? - spytała pani Bell. - Jak to możliwe? Nie rozumiem.

Opowiedziałam jej o programie koncertu, który znalazłam w torebce przysłanej z Ameryki. Pani Bell patrzyła na mnie z otwartymi ustami. - Phoebe - wyszeptała po chwili. - Niedawno powiedziałam ci, że nie wierzę w Boga. Ale dzisiaj już wierzę.

Wróciłam do listu.

„Moja matka rzadko opowiadała o czasie, który spędziła w Awinionie. Było to dla niej zbyt bolesne. Ilekroć jednak miała powód o nim wspomnieć, Pani imię, Therese, pojawiała się zawsze. Mówiła o Pani tylko z sympatią. Pamiętała, że pomogła jej Pani, kiedy musiała się ukrywać. Mówiła, że była dla niej Pani prawdziwą przyjaciółką". Spojrzałam na panią Bell. Pokręciła głową i patrzyła w okno, najwyraźniej powtarzając w myślach słowa listu. Zauważyłam łzę, spływającą powoli po jej policzku.

„Moja matka zmarła w 1987 roku, w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat. Powiedziałam jej kiedyś, że czuję, iż odebrano jej wiele lat życia. Odparła, że przeciwnie, los w cudowny sposób ofiarował jej całe czterdzieści trzy lata".

Teraz Lena opisała incydent, o którym Miriam wspomniała w rozmowie telefonicznej, kiedy Monique została zabrana przez obozową strażniczkę.

„Ta kobieta - była znana jako „Bestia” - umieściła moją matkę na liście więźniów przeznaczonych do następnej selekcji. Ale w wyznaczonym dniu, kiedy mama siedziała już wraz z innymi na pace ciężarówki, która miała zabrać ją - z trudem przychodzi mi napisanie tych słów - do krematorium, rozpoznał ją młody esesman, który rejestrował ją po przyjeździe do Auschwitz. Słyszając, że mówi bezbłędnie po niemiecku,

spytał ją, z jakiego pochodzi miasta. Kiedy odparła, że z Mannheim, uśmiechnął się i powiedział, że i on stamtąd pochodzi. Później ilekroć natknął się gdzieś na matkę, rozmawiał z nią o ich rodzinnym mieście. Tego ranka, kiedy zobaczył ją na ciężarówce, powiedział kierowcy, że zaszła pomyłka, i kazał matce zejść z paki. Mama zawsze mówiła, że tego dnia - pierwszego marca 1944 roku - ponownie się urodziła".

Lena opisywała dalej, jak esesman wysłał Monique do pracy w obozowej kuchni, gdzie szorowała podłogi. Pracowała w budynku i, co więcej, mogła jeść obierki z ziemniaków, a czasem nawet trochę mięsa. Przybrała na wadze tyle, by przeżyć. Kilka tygodni później została pomocnicą w kuchni, choć mówiła, że było trudno, bo więźniowie jadali tylko potrawy z ziemniaków, kapusty, margaryny i mąki. Czasem dostawali też odrobinę salami. I pili „kawę” z mielonych żołądzi. Monique pracowała tam trzy miesiące.

„Później matka, wraz z dwoma innymi dziewczętami, została przydzielona do pracy w kuchni strażniczek, dla których miała gotować. Ponieważ nauczyła się gotować po narodzinach braci, robiła to świetnie i strażniczkom bardzo smakowały jej placki ziemniaczane, sauerkraut i strudle. Dzięki temu udało jej się przeżyć. Mawiała później, że to, czego nauczyła ją matka, uratowało jej życie".

Teraz zrozumiałam, co miała na myśli Miriam, kiedy powiedziała, że matka ofiarowała Monique prawdziwy dar. Odwróciłam kartkę.

„Zimą 1944 roku, kiedy Rosjanie byli coraz bliżej, Auschwitz ewakuowano. Więźniowie, którzy mieli dość sił, musieli iść w śniegu do innych obozów w głębi Niemiec. Był to morderczy wysiłek, a tych, którzy po drodze padali lub zatrzymywali się, by odpocząć, zabijano na

miejscu. Po dziesięciu dniach marszu dwadzieścia tysięcy więźniów dotarło do Bergen-Belsen. Była wśród nich moja matka. Mówiła, że to także było piekło na ziemi. Brakowało żywności, a w obozie szerzył się tyfus. Wysłano tam także orkiestrę, więc matka znowu widywała Miriam. W kwietniu Bergen-Belsen zostało wyzwolone. Miriam spotkała się z matką i siostrą i wszystkie wkrótce wyemigrowały do Kanady, gdzie miały rodzinę. Matka przez osiem miesięcy przebywała w obozie dla przesiedleńców, czekając na wieści o rodzicach i braciach. Była zrozpaczona, kiedy dowiedziała się, że wszyscy nie żyją. Ale brat jej ojca skontaktował się z nią przez Czerwony Krzyż i zaproponował, by zamieszkała z jego rodziną w Kalifornii. W marcu 1946 roku mama wyjechała do Pasadeny".

- Wiedziałaś - wyszeptała znowu pani Bell i spojrzała na mnie oczami pełnymi łez. - Wiedziałaś, Phoebe. To dziwne przekonanie, o którym mówiłaś... było słuszne. Słuszne - powtórzyła z niedowierzaniem. Wróciłam do listu.

„Choć matka prowadziła później normalne życie - w tym sensie, że pracowała, wyszła za mąż i urodziła dziecko - nigdy tak naprawdę nie doszła do siebie po tym, co przeżyła. Przez wiele lat chodziła ze spuszczonej oczami. Nie znosiła, kiedy ktoś za nią szedł, bo w obozie więźniowie musieli zawsze iść przed strażnikiem. Nie mogła patrzeć na żadną tkaninę w biało-niebieskie paski i nie pozwalała, by w domu było cokolwiek uszytego z takiego materiału. Miała też obsesję na punkcie jedzenia. Bez przerwy piekła ciasta, które potem rozdawała ludziom. Chodziła do szkoły, ale nie potrafiła zaangażować się w naukę. Pewnego dnia nauczyciel powiedział jej, że nie umie się skoncentrować. A wtedy

mama ze złością odparła, że o koncentracji wie wszystko, i podwinęła rękaw, by pokazać wytatuowany na lewym przedramieniu numer. Niedługo potem skończyła szkołę, ale zrezygnowała ze studiów. Mówiła, że chce tylko karmić ludzi. Dostała pracę w organizacji charytatywnej zajmującej się bezdomnymi i tam poznała mojego ojca, Stana, piekarza, który dostarczał chleb do dwóch domów opieki społecznej w Pasadenie. Mama i Stan zakochali się w sobie, wzięli ślub w 1952 roku i razem pracowali w piekarni. Ojciec wypiekał chleb, a mama ciasta. Jej specjalnością były bezy. Piekarnia rozrosła się z czasem i zmieniła w duży koncern. Od lat siedemdziesiątych nosi nazwę Firma Piekarska Pasadena, a ja jestem od pewnego czasu jej prezesem".

- Nie rozumiem, Phoebe... - powiedziała pani Bell - Nie rozumiem, jak mogłaś wiedzieć to wszystko, i nic mi nie powiedzieć? Jak mogłaś siedzieć tu ze mną kilka dni temu, rozmawiać ze mną, i nie powiedzieć ani słowa?

Spuściłam wzrok na list i przeczytałam głośno ostatni akapit.

„Dzisiaj zadzwoniła do mnie Miriam i wiem, że wszystko to opowiedziała Phoebe. Droga Therese, Phoebe uznała, że powinna Pani dowiedzieć się tego nie od niej, lecz ode mnie, jako że jestem osobą najbliższą Monique. Umówiliśmy się więc, że napiszę do Pani i opowiem historię mojej matki. Bardzo się cieszę, że mogłam to zrobić.

Z wyrazami szczerzej przyjaźni, Lena Sands"

Podniosłam wzrok na panią Bell.

- Przykro mi, że musiała pani czekać. Ale to nie jest moja historia, a wiedziałam, że Lena napisze do pani natychmiast.

Pani Bell westchnęła, a potem jej usta zadrżały, a oczy znowu wezbrały łzami.

- Czuję się taka szczęśliwa - szepnęła. - A jednocześnie taka smutna.

- Dlaczego? - spytałam cicho. - Dlatego, że Monique przeżyła, a pani nie dostała od niej żadnej wiadomości?

Pani Bell kiwnęła głową i kolejna łza spłynęła po jej policzku.

- Ale Lena pisze, że Monique nie lubiła wspominać Awinionu. To zrozumiałe, biorąc pod uwagę, co się tam wydarzyło. Prawdopodobnie chciała odciąć się od tego okresu w swoim życiu. Poza tym mogła przecież nie wiedzieć, czy pani przeżyła wojnę ani gdzie pani szukać.

Pani Bell znowu kiwnęła głową.

- A potem pani przeniosła się do Londynu, a ona wyjechała do Ameryki. Dzisiaj, z pomocą współczesnych środków komunikacji, pewnie byście się odnalazły. I odnalazłyście się. W pewnym sensie.

Pani Bell wzięła mnie za rękę.

- Tak wiele dla mnie zrobiłaś, Phoebe. Więcej chyba niż ktokolwiek inny, ale chcę cię prosić o coś jeszcze...

Kiwnęłam głową.

- Wiem, o co - odparłam i jeszcze raz przeczytałam postscriptum.

„Będę w Londynie pod koniec lutego. Mam nadzieję, że uda nam się wtedy spotkać, bo wiem, że moja matka bardzo by tego chciała”.

Podalam pani Bell list, a potem podeszłam do szafy i wyjęłam z niej osłonięty folią błękitny płaszczyk.

- Koralki nadal są w kieszeni, prawda?

- Tak. W prawej. Wyczułam je palcami.

- Czy trzeba je nawlec na nitkę?

- Nie. Zrobiłam to wiele lat temu. Ale mogłabyś sprawdzić zapieczęcie.
Zrobiłam to.

- Działa bez zarzutu. - Znalazłam na dnie szafy dużą reklamówkę i włożyłam do niej płaszcz. -I zdjęcie szkolne - zasugerowałam.

- Oczywiście, doskonały pomysł.

Pani Bell sięgnęła do szufladki przy łóżku. Wyjęła pożąłką kopertę i mi ją podała.

- Cóż... - Odetchnęłam głęboko. - To już chyba wszystko, prawda?
Wyciągnęłam dłoń do pani Bell, a ona uściśnęła ją obiema rękami.
Teraz się uśmiechała.

- Tak - powiedziała cicho. - To już wszystko.

Rozdział 15

Święta były coraz bliżej. W sklepie panował teraz duży ruch, poprosiłam więc Katie, żeby przychodziła mi pomagać w soboty. Mama wróciła do pracy. Była teraz w znacznie lepszym nastroju. W Wigilię miała się spotkać z tatą i Louisem, i już nie mogła się tego doczekać. Postanowiła też wydać przyjęcie z okazji swoich urodzin, dziesiątego stycznia. Żartowała, że zorganizuje je w autobusie.

Zaczęłam planować pokaz mody, który miał się odbyć w Blackheath Halls - na szczęście ktoś odwołał rezerwację na pierwszego lutego.

Jeszcze dwa razy byłam u pani Bell. Za pierwszym razem wiedziała, że przyszedłam, choć z powodu leków była bardzo senna. Za drugim razem, dwudziestego pierwszego, grudnia, chyba nie była świadoma mojej

obecności. Wtedy dostawała już morfinę dwadzieścia cztery godziny na dobę. Więc tylko siedziałam przy niej, trzymałam ją za rękę i mówiłam, jak bardzo się cieszę, że ją poznałam. I że nigdy jej nie zapomnę. Że teraz czuję się nawet trochę silniejsza, kiedy myślę o Emmie. Przy tych ostatnich słowach miałam wrażenie, że palce pani Bell zacisnęły się lekko na mojej dłoni. Potem pocałowałam ją na pożegnanie. Wracając do domu w gęstniejącym mroku, spojrzałam na zaciągnięte chmurami niebo i zdałam sobie sprawę, że to najkrótszy dzień w roku i że już niedługo świat będzie dłużej cieszył się światłem.

Kiedy tylko weszłam do domu zadzwonił telefon. Była to Sue.

- Phoebe - przykro mi, ale dzwonię, żeby ci powiedzieć, że pani Bell zmarła za dziesięć czwarta. Kilka minut po twoim wyjściu.

- Rozumiem.

- Była bardzo spokojna, jak widziałas. - Poczułam napływające do oczu łzy. Usiadłam na krześle. - Najwyraźniej bardzo się do ciebie przywiązała - dodała Sue. - Domyślam się, że znałyście się od dawna.

- Nie - odparłam, sięgając po chusteczkę. - Od niecałych czterech miesięcy. Choć wydaje mi się, że całe życie.

Odczekałam kilka minut, a potem wystukałam numer Annie, która była trochę zaskoczona, że dzwonię do niej w niedzielę wieczorem.

- Wszystko w porządku, Phoebe? - spytała.

- Tak. - Przełknęłam ślinę. - Ale... masz może kilka minut, Annie? Bo chciałabym ci opowiedzieć pewną historię...

Przez kilka kolejnych dni w sklepie panował ruch, a potem, w Wigilię, zrobiło się pusto. Ulicami spieszyli ludzie obładowani zakupami, a ja patrzyłam w stronę Paragon i myślałam o pani Bell i o tym, jak dobrze

się stało, że ją poznałam. Czułam, że pomagając jej, zaleczyłam częściowo własne rany.

O piątej po południu, kiedy sortowałam w magazynie na górze rękawiczki, kapelusze i paski, usłyszałam nagle dzwonek nad drzwiami, a potem kroki. Zaczęłam schodzić na dół, pewna, że to spóźniony klient, szukający w ostatniej chwili prezentu pod choinkę. Ale to był Miles, bardzo elegancki, w beżowym zimowym płaszczu z brązowym aksamitnym kołnierzem.

- Witaj, Phoebe - rzekł cicho.

Patrzyłam na niego przez chwilę z mocno bijącym sercem. A potem zeszałam z ostatnich stopni.

- Właśnie... miałam zamknąć.

- Cóż... chciałem tylko... zamienić z tobą parę słów - powiedział tym swoim lekko schrypniętym głosem, który zawsze chytał mnie za serce. Odwróciłam wywieszkę na drzwiach i weszłam za ladę, udając, że mam tam coś do zrobienia.

- Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku? - spytałam, bo nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć.

- Owszem... doskonale - odparł poważnie. - Jestem ostatnio bardzo zajęty, ale... - sięgnął do kieszeni płaszcza - chciałem ci to przynieść. - Podszedł bliżej i położył na ladzie małe zielone pudełeczko.

Kiedy je otworzyłam, ogarnęła mnie taka ulga, że na moment przymknęłam oczy. W środku był pierścionek ze szmaragdem, który należał do mojej babki, potem do matki, a teraz do mnie. I który - właśnie to sobie uświadomiłam - będzie kiedyś należał do mojej córki, jeśli dopisze

mi szczęście i będę ją miała. Przez chwilę trzymałam go w ręce, a potem wsunęłam na palec. Spojrzałam na Milesa.

- Bardzo się cieszę, że go odzyskałam.

- Tak, oczywiście. - Na twarz Milesa wypłynął ciemny rumieniec.

-Przyniosłem go tak szybko, jak tylko mogłem.

- Więc dopiero teraz go znalazłeś? Kiwnął głową.

- Wczoraj wieczorem.

- Gdzie?

Miles zacisnął usta.

- W szafce nocnej Roxy. - Skinął głową. - Zostawiła niedomkniętą szufladę. Zauważyłem, że coś tam błyszczy...

Wzięłam głęboki oddech.

- I co powiedziałaś?

- Byłem na nią wściekły. Nie tylko dlatego, że go wzięła, ale dlatego, że cały czas mnie okłamywała. Powiedziałem jej, że będzie musiała chodzić do psychologa, bo... Trudno mi to przyznać, ale jest jej to potrzebne. - Z rezygnacją wzruszył ramionami. - Chyba czułem to od jakiegoś czasu, ale nie potrafiłem spojrzeć prawdzie w oczy. Rzecz w tym, że Roxy ma to poczucie... poczucie...

- Braku?

- Właśnie. Braku - potwierdził. Miałam ochotę powiedzieć, że jemu pewnie także przydałby się psycholog, ale się powstrzymałam. -Tak czy inaczej, bardzo mi przykro. - Znowu pokiwał głową. - Z wielu powodów, szczerze mówiąc, bo bardzo mi na tobie zależało.

- Cóż, dziękuję, że przyniosłeś mi pierścionek. Na pewno nie było ci łatwo.

- To prawda... W każdym razie... - westchnął. - Odzyskałaś go. Mam nadzieję, że miło spędzisz święta. - Uśmiechnął się smutno.

- Dziękuję. Ja też życzę ci wesołych świąt - odparłam.

A potem, jako że nic już nie zostało do powiedzenia, otworzyłam drzwi i Miles wyszedł. Patrzyłam za nim, jak szedł ulicą, tak długo, aż znikł mi z oczu. Wtedy odwróciłam wywieszkę i wróciłam na górę.

Mimo ulgi, jaką odczułam, kiedy zobaczyłam pierścionek, spotkanie z Milesem bardzo mnie rozstroiło. Zaczęłam przekładać sukienki. Jeden z wieszaków zahaczył o inny i nie byłam w stanie ich rozdzielić. W końcu pociągnęłam za wiszącą na nim jedwabną bluzkę od Diora, ale zrobiłam to tak gwałtownie, że rozdarłam materiał. Osunęłam się na podłogę i wybuchnęłam płaczem. Siedziałam tam kilka minut, aż dzwony kościoła Wszystkich Świętych wybiły szóstą. Podniosłam się ociężale i zeszłam ze schodów. W tej samej chwili zadzwoniła komórka. Dzwonił Dan, co od razu poprawiło mi nastrój, bo dźwięk jego głosu zawsze podnosił mnie na duchu. Pytał, czy nie miałabym ochoty przyjść na „prywatny seans”, bo właśnie zdobył wyjątkowo kuszącego klasyka.

- Ale to nie jest Emmanuelle 31 - spytałam z uśmiechem.

- Nie, ale jesteś blisko. To Godzilla kontra King Kong. W zeszłym tygodniu udało mi się kupić kopię na eBayu. Ale mam też Emmanuelle 3, gdybyś miała ochotę obejrzeć innym razem.

- Hm... - Prawdę mówiąc, miałabym.

- Przyjdź do mnie po siódmej. Zrobię risotto.

Nagle poczułam, że już nie mogę doczekać się chwili, w której usiądę obok Dana - takiego silnego, dobrego i pogodnego - żeby obejrzeć stary, naiwny film w jego wspaniałej szopie.

W znacznie lepszym nastroju wyjęłam z pudełka szerokie taśmy z napisem „Wyprzedaż!” Miałam zamiar przykleić je do szyby zaraz po świętach. Annie wzięła wolne aż do stycznia - chciała wykorzystać czas zastoju na pisanie - więc poprosiłam Katie, żeby ją zastąpiła. Później Katie miała pracować w sklepie w każdą sobotę.

Włożyłam płaszcz, wzięłam torebkę i wyszłam.

Wracając do domu w szczypiącym wietrze, pozwoliłam sobie wybiec myślami nieco w przyszłość - do Nowego Roku. Najpierw będzie wyprzedaż, później urodziny mamy, a jeszcze później pokaz mody - wszystko to będzie wymagało wiele pracy. Potem nadejdzie rocznica śmierci Emmy, ale o tym nie chciałam na razie myśleć. A pod koniec lutego spotkam się z Leną. I w końcu obietnica, którą Therese złożyła Monique, zostanie spełniona.

Skreśliłam w Bennett Street, otworzyłam drzwi i weszłam do domu.

Podniosłam z wycieraczki pocztę. Dostałam kilka spóźnionych kartek z życzeniami świątecznymi, w tym jedną od Daphne. Potem poszłam do kuchni i nalałam sobie kieliszek wina. Nagle na zewnątrz rozległ się śpiew, a później dzwonek do drzwi. Otworzyłam.

Cicha noc, święta noc...

Na progu stało czworo dzieci i jedna osoba dorosła. Zbierali pieniądze na ofiary kryzysu. Wszystko śpi, atoli...

Wrzuciłam kilka monet do puszk i wysłuchałam kolędy do końca, po czym zamknęłam drzwi i poszłam na górę przygotować się na spotkanie z Danem. O siódmej znowu ktoś zadzwonił do drzwi. Zbiegłam na dół, chwytając po drodze leżącą na stoliku w holu portmonetkę. Byłam pewna, że to znowu kolędnicy, bo nikogo innego się nie spodziewałam.

- Och - mruknęłam, kiedy otworzyłam drzwi.
 - Witaj, Phoebe - powiedział Guy. Zamarłam.
 - Mogę wejść? - zapytał po chwili.
 - Tak. - Bałam się, że nogi zaraz odmówią mi posłuszeństwa. -Nie... nie spodziewałam się ciebie.
 - Wiem. Przepraszam. Pomyślałem, że wstąpię do ciebie po drodze do Chislehurst.
 - Idziesz do rodziców?
- Guy kiwnął głową. Miał na sobie białą narciarską kurtkę, którą kupił w Val d'Isere. Wybrał ją bo bardzo mi się podobała.
- A więc przetrwałś ten kryzys bankowy? - spytałam, kiedy weszliśmy do kuchni.
 - Tak, przetrwałem - odparł. - Choć z trudem. Mógłbym usiąść na minutę czy dwie, Phoebe?
 - Oczywiście - powiedziałam nerwowo. Usiadł przy kuchennym stole, a ja spojrzałam na jego przystojną otwartą twarz, niebieskie oczy i krótkie ciemne włosy, które były teraz dłuższe niż kiedyś i wyraźnie przyprószone siwizną na skroniach. - Napijesz się czegoś? Drinka? Kawy?
 - Nie, dziękuję. Nie mogę zostać długo. Oparłam się o blat, czując, jak szybko bije mi serce.
 - A więc? Co cię do mnie sprowadza?
 - Phoebe - odparł Guy cierpliwie. - Przecież wiesz.
 - Wiem?
 - Wiesz, że przyszedłem tu, bo od miesięcy próbuję się z tobą skontaktować, ale ignorowałaś moje telefony, e-maile i listy. - Guy

dotknął gałązek ostrokrzewu, którymi przybrałam grubą białą świecę. -
Byłaś taka... nieprzejednana. - Spojrzał na mnie. - Nie miałem pojęcia,
co robić. Byłem pewny, że jeśli poproszę cię o spotkanie, odmówisz.
To prawda, pomyślałam.

- Ale wiedziałem - ciągnął Guy - że dziś wieczorem będę niemal mijał
twoje drzwi, więc pomyślałem sobie, że zobaczę, czy nie ma cię w
domu... bo... - Westchnął ciężko. - Jest między nami ta... niezakończona
sprawa.

- Dla mnie jest zakończona - powiedziałam.

- Ale dla mnie nie - odparł Guy. - I chciałbym ją rozwiązać. Czułam, jak
mój oddech staje się coraz szybszy i płytszy.

- Przykro mi, ale nie ma tu nic do rozwiązywania.

- Jest - powtórzył z uporem. - I chcę wejść w nowy rok z poczuciem, że
w końcu mogę to zostawić za sobą.

Skrzyżowałam ręce na piersi.

- Guy, jeśli nawet nie podobało ci się to, co powiedziałam dziewięć
miesięcy temu, dlaczego po prostu o tym nie zapomnisz?

Spojrzał mi prosto w oczy.

- Bo to zbyt poważne, bym mógł o tym zapomnieć, Phoebe... o czym
doskonale wiesz. Zawsze starałem się być przyzwoitym człowiekiem i
żyć uczciwie, więc nie mogę znieść myśli, że zostałem oskarżony o coś
tak... strasznego.

Nagle przypomniałam sobie, że nie wyjęłam czystych naczyń ze
zmywarki.

- Phoebe - odezwał się Guy, kiedy otworzyłam ją, odwracając się do
niego tyłem. - Muszę porozmawiać o tym, co się wydarzyło tamtego

wieczoru, tylko ten jeden raz. I już nigdy więcej nie będę do tego wracał. Po to tu przyszedłem.

Wyjęłam ze zmywarki dwa talerze.

- Nie chcę o tym rozmawiać. Poza tym niedługo wychodzę.

- Wysłuchaj mnie przynajmniej. To zajmie najwyżej dwie minuty.

Guy położył złączone dłonie na stole. Wyglądał, jakby się modlił, pomyślałam, wkładając talerze do szafki. Nie chciałam prowadzić tej rozmowy. Miałam wrażenie, że zostałam schwytana w pułapkę, i byłam zła.

- Przede wszystkim chcę cię przeprosić, Phoebe. Odwróciłam się i spojrzałam na niego.

- Naprawdę bardzo cię przepraszam, jeśli tamtego wieczoru powiedziałem albo zrobiłem coś, co mogło przyczynić się do śmierci Emmy.

Tego się nie spodziewałam. Poczułam, że moja niechęć do Guya słabnie.

- Przyznasz jednak - ciągnął - że całkowicie niesłusznie obarczyłaś mnie tak wielką winą.

Wyjęłam ze zmywarki dwa kubki.

- Nie, nie przyznam. Taka jest prawda. Guy pokręcił głową.

- Nie, Phoebe, prawda jest zupełnie inna. Wiedziałaś o tym wtedy i wiesz teraz.

Postawiłam jeden kubek na półce.

- Byłaś wytrącona z równowagi...

- Tak, byłam zrozpaczona. - Postawiłam drugi kubek na półce z taką siłą że omal go nie rozbiłam.

- Ludzie w takim stanie mówią straszne rzeczy. „Gdyby nie ty, ona nadal by żyła!”

- Zrzuciłaś na mnie winę za śmierć Emmy, a nie potrafisz żyć z tym ciężarem. To oskarżenie mnie prześladowa. Powiedziałaś, że to ja cię przekonałem, żebyś wtedy do niej nie poszła.

Odwróciłam się do niego.

- Bo tak było! Nazwałaś ją szaloną kapeluszniczką która wszystko wyolbrzymia, pamiętasz?

Wyciągnęłam ze zmywarki koszyk ze sztucami i zaczęłam wrzucać noże do szuflady.

- Przyznaję, że to powiedziałem - odparł Guy. - Wtedy już naprawdę miałem dość Emmy, nie przeczę. I nadal uważam, że ze wszystkiego potrafiła zrobić dramat. Ale powiedziałem tylko, że powinnaś o tym pamiętać, zanim do niej pobiegiesz.

Wrzuciłam do szuflady widelce i łyżki.

- A potem powiedziałaś, że powinniśmy pójść na kolację, tak jak planowaliśmy, bo zarezerwowałaś stół i nie chciałaś, żeby nam przepadł. Kiwnął głową.

- Przyznaję, że to także powiedziałem. Ale dodałem, że jeśli naprawdę chcesz do niej pojechać, odwołam rezerwację. Uprzedziłem, że to zależy od ciebie.

Patrzyłam na Guya w milczeniu. Szumiało mi w uszach. Potem odwróciłam się z powrotem do zmywarki i wyjęłam z niej dzbanuszek na mleko.

- A ty - podjął Guy - stwierdziłaś, że powinniśmy iść na kolację i że zadzwonisz do Emmy, kiedy wrócimy do domu.

- Nie. - Postawiłam dzbanuszek na kuchennym blacie. - To był twój pomysł, twoje rozwiązanie kompromisowe!

Guy pokręcił głową.

- Nie, twój.

Znowu ogarnęło mnie znajome uczucie osuwania się w ciemność.

- Pamiętam, że mnie to zaskoczyło, ale powiedziałem, że Emma jest twoją przyjaciółką, więc zaufam twojej ocenie sytuacji.

Byłam przerażona.

- W porządku... - Odwróciłam się do Guya. - W porządku. Powiedziałam, że powinniśmy iść na kolację, ale tylko dlatego, że nie chciałam ci zrobić zawodu. Były Walentynki, więc to nie był zwyczajny dzień.

- Mówiłaś, że nie wychodzimy na długo.

- Cóż, to prawda - zgodziłam się. - I rzeczywiście, wróciliśmy dość szybko, a ja zaraz zadzwoniłam do Emmy. Natychmiast. I chciałam do niej pojechać, ale ty... - Spojrzałam na Guya. Ty mnie od tego odwiodłeś. Mówiłeś, że na pewno za dużo wypiałam. Cały czas, kiedy z nią rozmawiałam, pokazywałeś mi to na migi.

- Tak było. Bo byłem pewny, że naprawdę wypiałas za dużo, żeby usiąść za kierownicą.

- Więc sam widzisz! - Zatrzasnęłam szufladę. - Ty mnie powstrzymałeś.

Guy znowu pokręcił głową.

- Nie. Nie zrobiłem tego. Zaraz dodałem, że możesz pojechać taksówką. Chciałem nawet wyjść, żeby jakąś zatrzymać. Już wychodziłem, żeby to zrobić, pamiętasz? Otworzyłem nawet drzwi...

Teraz już nie osuwałam się powoli, ale spadałam w czarną przepaść bez dna.

- Wtedy, zupełnie nagle, powiedziałaś, że jednak do niej nie pojedziesz. Powiedziałaś, że taką podjęłaś decyzję.

Guy patrzył mi prosto w oczy. Chciałam przełknąć ślinę, ale zupełnie zaschło mi w gardle.

- Twierdziłaś, że rano Emma na pewno poczuje się lepiej.

Przy tych słowach kolana się pode mną ugięły. Osunęłam się na krzesło.

- Powiedziałaś, że wydawała się bardzo zmęczona i że najlepiej będzie pozwolić jej się wyspać.

Wbiłam wzrok w stół, czując, jak oczy powoli wypełniają mi się łzami.

- Phoebe - rzekł cicho. - Naprawdę mi przykro, że znowu kazałem ci do tego wracać. Ale obarczyłaś mnie tak wielką winą i nie pozwoliłaś mi się nawet bronić. To zniszczyło mój spokój. Nie mogłem przestać o tym myśleć. Więc chciałbym, żebyś przyznała, że to, co powiedziałaś, nie było prawdą. Naprawdę muszę to usłyszeć.

Podniosłam wzrok na Guya, ale widziałam jego twarz jak przez mgłę.

Nagle przed oczami znowu stanęły mi fasada restauracji Bluebird Cafe, i mieszkanie Guya, a potem wąski korytarz w domu Emmy, i w końcu drzwi jej sypialni... Wzięłam głęboki oddech.

- W porządku - wychrypiałam przez ściśnięte gardło. - W porządku - powtórzyłam cicho. - Może... - Spojrzałam w okno. - Może nie... - Zagryzłam wargi.

- Może nie zapamiętałaś wszystkiego tak, jak było - podsunął łagodnie Guy.

Kiwnęłam głową.

- Byłam bardzo zdenerwowana - dodałam.

- Tak, to zrozumiałe, że... zapomniałaś, co się naprawdę wydarzyło.

Odwróciłam się do Guya.

- Nie. Chodzi o coś więcej. - Spuściłam wzrok. - Nie byłam w stanie znieść myśli, że to była tylko moja wina.

Guy ujął moją dłoń obiema rękami.

- Phoebe, nie sądzę, żeby to istotnie była twoja wina. Nie mogłaś wiedzieć, jak ciężko chora była Emma. Robiłaś po prostu to, co uznałaś za słuszne. A lekarz powiedział później, że Emma najprawdopodobniej zmarłaby nawet wtedy, gdyby została zabrana do szpitala poprzedniego wieczora...

- Tak. - Spojrzałam na niego. - Ale nie wiemy tego na pewno. Istnieje możliwość, że przeżyłaby, gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

- Ukryłam twarz w dłoniach. - Tak żałuję... tak bardzo żałuję, że nie zachowałam się inaczej....

Opuściłam głowę. Po chwili usłyszałam, że Guy odsuwa krzesło.

Podszedł do mnie i usiadł obok.

- Phoebe, kochaliśmy się kiedyś - wyszeptał. - Prawda? Kiwnęłam głową.

- Ale to, co się stało, wszystko... zniszczyło. Kiedy zadzwoniłaś do mnie tamtego ranka i powiedziałaś, że Ema nie żyje, w głębi ducha wiedziałem, że nasz związek nie przetrwa.

- Nie... - Pociągnęłam nosem. - Jak moglibyśmy być po czymś takim szczęśliwi?

- Nie moglibyśmy. To już zawsze kładłoby się cieniem na naszym życiu. Ale nie mogłem znieść myśli, że rozstaliśmy się w takiej okropnej atmosferze. - Guy wzruszył ramionami. - Gdybyś jednak wiedziała, jak bardzo żałuję, że tak się stało..

- Tak. Ja także żałuję. - Przełknęłam ślinę. - Z całego serca.

Zadzwonił telefon, wyrrywając mnie z rozmyślań o tym, co mogłoby się wydarzyć. Chwyciłam kuchenną ściereczkę, przycisnęłam ją do oczu i podniosłam słuchawkę.

- Hej, gdzie jesteś? - zapytał Dan. - Film zaraz się zacznie, a tu bardzo nie lubią spóźnialskich.

- Och... przyjdę... - Zakaszlałam, żeby stłumić szloch. - Tylko trochę później, jeśli nie masz nic przeciw temu. - Przełknęłam ślinę. - Nie, nic mi nie jest, tylko chyba się trochę... przeziębiam... Tak, przyjdę na pewno... - Zerknęłam w stronę Guya. - Ale chyba nie jestem dziś w stanie stawić czoła Godzilli.

- Więc nie będziemy oglądać tego filmu - powiedział Dan. - Ani w ogóle żadnego, jeśli nie masz ochoty. Możemy po prostu posłuchać muzyki i zagrać w karty albo w scrabble. To bez znaczenia. Po prostu przyjdź, jak tylko będziesz mogła.

Odłożyłam słuchawkę.

- Jesteś teraz z kimś? - spytał łagodnie Guy. - Mam nadzieję, że tak-dodał. - Chciałbym, żebyś była szczęśliwa.

- Cóż... - Otarłam oczy. - Mam... przyjaciela. To właściwie tylko. .. przyjaciel, ale lubię z nim spędzać czas. To dobry człowiek, Guy. Jak ty. Guy wziął głęboki oddech, a potem powoli wypuścił powietrze.

- Muszę już iść. Bardzo się cieszę, że udało mi się z tobą zobaczyć.

Kiwnęłam głową.

- Ja... też się cieszę. Odprowadziłam go do drzwi.

- Wesółych świąt, Phoebe - powiedział Guy. - Mam nadzieję, że ten nowy rok będzie dla ciebie szczęśliwy. - Objął mnie i uścisnął.

- Mam nadzieję, że dla ciebie także - szepnęłam.

- Dziękuję.

Guy obejmował mnie jeszcze przez chwilę, a potem wyszedł.

Boże Narodzenie spędziłam z mamą która wreszcie zdjęła z palca obrączkę. Kupiła egzemplarz „Good Housekeeping”, w którym zamieszczono artykuł o modzie vintage, a pod nim wzmiankę o moim sklepie, co bardzo mnie ucieszyło. Kilka stron dalej było duże zdjęcie Reese Witherspoon w ciemnoniebieskiej sukni od Balenciagi, którą kupiłam w Christie's na uroczystość rozdania nagród Emmy. A więc to była ta znana osoba, dla której Cindi kupiła suknię. Byłam naprawdę dumna, widząc tak sławną aktorkę w stroju z Village Vintage.

Po lunchu zadzwonił tata. Powiedział, że Louis jest zachwycony nowym chodzikiem, grającym i mrugającym światełkami, który dostał poprzedniego dnia od mamy, podobnie jak podarowanym przeze mnie zestawem klocków Duplo. Tata dodał, że ma nadzieję, iż niedługo znowu obie przyjdziemy zobaczyć Louisa. Potem siedziałyśmy, oglądając w telewizji jeden filmów o Jamesie Bondzie, a mama robiła na szydełku kubraczek dla Louisa. Dałam jej do niego guziczki w kształcie samolotów.

- Dzięki Bogu, wzięli w końcu niańkę do Louisa - powiedziała mama, kończąc plecy kubraczka.

- Tak. Tata mówi, że będzie teraz wykładał na Uniwersytecie Trzeciego Wieku, więc się zmobilizował.

Mama współczująco pokiwała głową.

Dwudziestego siódmego zaczęła się wyprzedaż. Do sklepu przychodziło mnóstwo ludzi, miałam więc okazję powiedzieć wszystkim o pokazie

mody i poprosić niektóre z moich klientek, żeby wzięły w nim udział. Carla, która kupiła turkusową „bezę”, bardzo się ucieszyła. Dodała, że pokaz odbędzie się tydzień przed jej ślubem, ale że jej to nie przeszkadza. Katie także z radością zgodziła się zaprezentować swoją żółtą tiulową sukienkę. Przez Dana skontaktowałam się z Kelly Marks, która powiedziała, że chętnie pokaże „sukienkę Dzwoneczka”, jak ją nazwała. Potem do sklepu przyszła kobieta, która kupiła różową „bezę”. Opowiedziałam jej o pokazie i spytałam, czy nie zechciałaby zaprezentować na nim swojej różowej sukienki. Jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- Bardzo chętnie, to będzie wspaniała zabawa! Kiedy odbędzie się ten pokaz? - Wyjęła kalendarzyk i zapisała datę. - Pokazać... wesołą... sukienkę... - mruzczała, notując. - Choć nie wiem, czy... Nie, w porządku. - Cokolwiek jeszcze chciała powiedzieć, postanowiła zachować to dla siebie. - Pierwszego lutego na pewno da się to zrobić.

Piątego stycznia rano zamiast do Sklepu poszłam na pogrzeb pani Bell. Odbył się w krematorium przy Verdant Lane. Przyszło niewiele osób - dwie przyjaciółki pani Bell z Blackheath, jej pomoc domowa, Paola, i bratanek pani Bell, James, z żoną Yvonne. Oboje byli nieco po czterdziestce.

- Therese była na to całkowicie przygotowana - zauważyła Yvonne, kiedy patrzyliśmy po ceremonii na kwiaty. Szczelniej owinęła się szarym, wełnianym szalem.

- Tak, wydawała się spełniona - zgodził się James. Kiedy byłem u niej w ubiegłym tygodniu, powiedziała, że czuje się zupełnie spokojna i... szczęśliwa. Tego właśnie słowa użyła. Szczęśliwa.

Yvonne przyglądała się wiązance niebieskich irysów.

- Na szarfię jest napisane: „Z wyrazami miłości od Leny”. - Yvonne odwróciła się do męża. - Nigdy nie słyszałam, żeby Therese wspominała kogoś o takim imieniu. A ty, kochanie?

James wzruszył ramionami, a potem pokręcił głową.

- Ja słyszałam - wtrąciłam się. - Ale wydaje mi się, że był to ktoś związany z jej odległą przeszłością.

- Phoebe, moja ciotka zostawiła coś dla ciebie - rzekł James. Otworzył teczkę i wręczył mi niewielką paczkę. - Prosiła, żebym ci to dał, żebyś o niej pamiętała.

- Dziękuję - powiedziałam i wzięłam paczuszkę. - Nie żebym kiedykolwiek mogła o niej zapomnieć. - Nie mogłam wyjaśnić, dlaczego. Po powrocie do domu otworzyłam paczkę. W środku, owinięty w gazetę, był srebrny zegar w kształcie karocy i list napisany drżącą ręką pani Bell.

„12 grudnia

Moja Droga Phoebe

Ten zegar należał do moich rodziców. Daję Ci go nie tylko dlatego, że jest jedną z rzeczy dla mnie najcenniejszych, ale także po to, by przypominał Ci, że z każdym ruchem jego wskazówek mijają godziny, dni i lata Twojego życia. Phoebe, proszę, nie marnuj tego cennego czasu na rozpamiętywanie tego, co zrobiłaś i czego nie zrobiłaś, ani tego, co mogłoby albo nie mogłoby się wydarzyć. Jeśli kiedykolwiek poczujesz się smutna, niech pociesza Cię wspomnienie niezmiernie dobre, jakiego od Ciebie zaznała Twoja przyjaciółka Therese”.

Nastawiłam zegar, nakręciłam go ostrożnie, używając małego kluczyka, a potem postawiłam na gzymsie kominka w moim saloniku.

- Będę patrzyła w przyszłość - powiedziałam, kiedy zaczął tykać. -Będę patrzyła w przyszłość.

I tak zrobiłam. A zaczęłam od urodzin mojej matki.

Mama zorganizowała przyjęcie w sali na piętrze winiarni Chapters - była to elegancka kolacja dla dwudziestu osób. Przyszli wszyscy z kółka brydżowego, jej szef, John, i kilka osób z pracy. Mama zaprosiła też miłego mężczyznę o imieniu Hamish, którego poznała na bożonarodzeniowym przyjęciu u Betty i Jima.

- Wydaje się sympatyczny - stwierdziłam następnego dnia, rozmawiając z nią przez telefon.

- Jest sympatyczny - zgodziła się mama. - Ma pięćdziesiąt osiem lat, jest rozwiedziony i ma dwóch dorosłych synów. A najdziwniejsze jest to, że choć u Betty i Jima było mnóstwo ludzi, on zaczął rozmawiać ze mną, bo spodobał mu się ten palmowy wzór na mojej sukience. Powiedziałam mu, że sukienka pochodzi ze sklepu z modą vintage, który należy do mojej córki. Zaczęliśmy rozmawiać o materiałach, bo okazało się, że jego ojciec pracował w przemyśle włókienniczym w Paisley.

Następnego dnia Hamish zadzwonił, żeby się ze mną umówić. W przyszłym tygodniu idziemy do Wigmore Hall - dodała mama radośnie.

W tym samym czasie Katie, jej przyjaciółka Sarah, Annie i ja pracowałyśmy bez wytchnienia, przygotowując pokaz mody. Dan miał zorganizować dźwięk i oświetlenie, przygotował też podkład muzyczny, w którym utwory z różnych epok, od Scotta Joplina do Sex Pistols,

płynnie przechodziły jeden w drugi. A jeden ze znajomych Dana miał skonstruować dla nas wybieg.

We wtorek po południu poszliśmy do Graet Hall zrobić próbę generalną. Dan przyniósł egzemplarz „Black & Green”, w którym była zapowiedź pokazu napisana przez Ellie.

„Ciągle jeszcze można dostać bilety na Pokaz Mody Pasja Vintage, który odbędzie się dziś wieczorem w Blackheath Hals. Bilety kosztują 10 funtów i będą upoważniały nabywców do zniżki podczas zakupów w Village Vintage. Cały dochód z pokazu zostanie przekazany na konto fundacji Stop Malarii, organizacji, która zajmuje się rozprawianiem moskitier w krajach afrykańskich, gdzie na malarię umiera codziennie około trzech tysięcy dzieci. Koszt jednej moskitiery, pod którą mieści się dwoje dzieci wraz z matką to 2,50 funta. Organizatorka pokazu, Phoebe Swift, ma nadzieję zebrać dość pieniędzy, by zakupić dla fundacji tysiąc moskitier”.

Podczas próby poszłam za kulisy do garderoby, gdzie moje modelki przygotowywały się do części pokazu poświęconej modzie lat pięćdziesiątych. Wszystkie miały na sobie wcięte w pasie sukienki, rozkloszowane spódnice i dopasowane bluzki. Mama włożyła sukienkę w palmowy wzór, a Katie, Kelly i Carla - kolorowe „bezy”. Lucy, dziewczyna, która kupiła różową przywołała mnie gestem.

- Mam mały problem... - szepnęła i się odwróciła. Stanik sukienki był na nią wyraźnie za mały. Brakowało około czterech centymetrów.

- Dam ci jakiś szal - powiedziałam. - Dziwne - dodałam, spoglądając na nią. - Kiedy ją kupowałam, leżała na tobie doskonale.

- Wiem. - Lucy się uśmiechnęła. - Ale wtedy jeszcze nie byłam w ciąży.

Otworzyłam szeroko oczy.

- Więc teraz...? Kiwnęła głową.

- Czwarty miesiąc.

- Och! - Uścisnęłam ją spontanicznie. - To po prostu... cudownie!

Lucy patrzyła na mnie oczami błyszczącymi od łez.

- Sama ciągle nie mogę w to uwierzyć. Kiedy zaproponowałam mi udział w pokazie, nie wspomniałam o tym, bo było jeszcze za wcześnie. Teraz miałam już pierwsze badanie USG, więc koniec tajemnic!

- Ta sukienka naprawdę przyniosła ci szczęście - powiedziałam radośnie.

- Nie jestem pewna, czy to sukienka - zaśmiała się Lucy. - Ale mogę ci powiedzieć, jakie mam podejrzenia... - Zniżyła głos. - Otóż na początku października mój mąż wybrał się do twojego sklepu. Chciał mi kupić coś na pocieszenie. I znalazł śliczną bieliznę: staniki, halki i pasy do pończoch, wszystko z lat czterdziestych.

- Pamiętam go - odparłam. - Nie wiedziałam tylko, że to twój mąż. Więc to wszystko było dla ciebie?

- Tak. A niedługo potem... - Lucy poklepała się po brzuchu i zachichotała.

- Cóż - powiedziałam. - To... wspaniale. Bielizna ciotki Lydii nadrobiła stracony czas.

Katie miała wystąpić w sukni madame Gres z lat trzydziestych, którą kupiłam na aukcji w Christie's, a dla szczupłej, chłopiężej Annie wybrałam stroje z lat dwudziestych i sześćdziesiątych. Cztery z moich stałych klientek miały prezentować ubrania z lat czterdziestych i osiemdziesiątych, które mają podobną linię. Za kulisami Joan pomagała mo-

delkom się przebierać i zmieniać dodatki, a także odkładała stroje na odpowiednie wieszaki.

Po próbie Annie i mama przygotowały kieliszki i zaczęły otwierać skrzynki z winem. Słyszałam, jak Annie opowiadała o swojej sztuce, która była już prawie ukończona i nosiła roboczy tytuł Niebieski płaszcz.

- Mam nadzieję, że ta historia ma szczęśliwe zakończenie - powiedziała mama z niepokojem.

- Proszę się nie martwić - odparła Annie. - Wszystko się dobrze kończy. Mam zamiar pokazywać ją w maju na porankach w Age Exchange. Jest tam mała sala teatralna, mniej więcej na pięćdziesiąt miejsc, która doskonale się nada.

- Cóż, brzmi to świetnie - stwierdziła mama. - A później może uda ci się pokazać to szerszej publiczności.

- Na pewno będę próbować. Mam zamiar zaprosić na premierę agentów i menadżerów. Kiedyś do sklepu wstąpiła Chloe Sevigny. Powiedziała, że też przyjdzie, jeśli będzie wtedy w Londynie.

Potem z pomocą Dana zaczęłam ustawiać obite czerwonym aksamitem krzesła, po sto z każdej strony wybiegu, który miał osiem metrów długości. Kiedy wszystko było już gotowe, rozejrzałam się wokół z zadowoleniem i poszłam przebrać w śliwkowy kostium pani Bell, który leżał tak, jakby został uszyty specjalnie dla mnie. Wkładając go, poczułam delikatny zapach Ma Griffe.

O wpół do siódmej drzwi się otworzyły, a godzinę później wszystkie miejsca były zajęte. Kiedy umilkły rozmowy, Dan przyciemnił światło i skinął głową w moją stronę. Weszłam na scenę i wzięłam do ręki mi-

krofon, niespokojnie wodząc wzrokiem po morzu zwróconych ku mnie twarzy.

- Nazywam się Phoebe Swift - zaczęłam. - Serdecznie państwa witam i dziękuję za tak liczne przybycie. Chcę, by dzisiejszy wieczór przyniósł nam wszystkim wiele przyjemności z obcowania z pięknymi, starymi ubraniami, ale także pieniądze, które zostaną przeznaczone na szczytny cel. Chciałabym też powiedzieć... - zacisnęłam place na mikrofonie - że pokaz ten jest dedykowany pamięci mojej przyjaciółki, Emmy Kitts. Znowu rozbłysły światła, zabrzmiała muzyka i na scenę weszły pierwsze modelki...

W końcu nadszedł dzień, którego tak bardzo się bałam. Żadna rocznica nie będzie dla mnie tak trudna jak ta, uświadomiłam sobie, kiedy wsiadłam do samochodu i ruszyłam w stronę Greenwich Cementery.

Potem, idąc wąską wysypaną żwirem ścieżką między grobami zupełnie świeżymi i tak starymi, że nie sposób było odczytać wyrytych na nich nazwisk, podniosłam wzrok i zobaczyłam Daphne i Dereka. Wydawali się spokojni i opanowani. Obok nich stali wuj Emmy, jej ciotka i dwie kuzynki, a także Charlie, fotograf i przyjaciel Emmy, który rozmawiał szeptem z jej asystentką Sian, ściskającą w ręce chusteczkę do nosa. Po chwili dostrzegłam też ojca Bernarda, który rok wcześniej odprawił mszę na pogrzebie Emmy.

Od tamtego dnia nie byłam na grobie Emmy. Nie potrafiłam się na to zdobyć. Teraz więc po raz pierwszy zobaczyłam nagrobek. Byłam wstrząśnięta, nagle z całą mocą dotarł do mnie sens widniejących na nim słów.

„Emma Mandisa Kitts 08.09.1974- 15.02.2008

Ukochana Córka, która na zawsze pozostanie w naszych sercach".

U stóp grobu kępki białych przebiśniegów smętnie zwieszały swoje ociężałe główki, podczas gdy krokusy - które przepchnęły się przez spulchnioną ziemię - śmiało rozchylały żółte i fioletowe płatki.

Przyniosłam ze sobą bukiet składający się z tulipanów, żonkili i dzwonek i teraz, kiedy kładłam go na granitowej płycie, przypomniałam sobie nagle pudło na kapelusze pani Bell. Wyprostowałam się, podniosłam wzrok i ostre, wczesnowiosenne słońce zaświeciło mi prosto w oczy.

Ojciec Bernard powiedział kilka słów, a potem oddał głos Derekowi. Derek powiedział, że on i Daphne postanowili dać Emmie na drugie imię „Mandisa”, ponieważ w narzeczu Xhosa znaczy to „słodka”, a Emma taka właśnie była. Mówił o swojej kolekcji kapeluszy, która fascynowała Emmę w dzieciństwie. I o tym, jak Emma, kiedy już dorosła, została modystką. Daphne mówiła o licznych talentach córki i o jej skromności, i o tym, jak bardzo im jej brakuje. Sian zaczęła płakać, Charlie objął ją ramieniem. Potem ojciec Bernard zmówił modlitwę, pobłogosławił zebranych i było po wszystkim. Ruszyliśmy powoli do cmentarnej bramy. Żałowałam, że rocznica wypadła akurat w niedzielę. Chętnie zajęłabym się teraz pracą, żeby o tym nie rozmyślać. Pod bramą Derek i Daphne zaprosili wszystkich do siebie.

Nie byłam u nich od lat. Usiadłam w salonie i zaczęłam rozmawiać z Sian i Charliem, a potem także z wujem i ciotką Emmy. Później poszłam do kuchni, przeszłam przez pomieszczenie gospodarcze i po chwili znalazłam się w ogrodzie. Przystanęłam pod platanem.

„Tym razem naprawdę cię nabrałam, co?”

- Owszem - mruknęłam. „Myślałaś, że nie żyję!”

- Nie, myślałam, że zasnęłaś...

Podniosłam głowę i zobaczyłam w kuchennym oknie Daphne. Pomachała do mnie, a potem nagle znikła. Po chwili wyszła z domu i ruszyła do mnie przez trawnik. Zauważyłam, jak bardzo posiwiała w ciągu ostatniego roku. A może po prostu nie miała już siły farbować włosów. Któż mógłby mieć jej to za złe?

- Phoebe - powiedziała łagodnie i wzięła mnie za rękę. - Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku.

Przełknęłam ślinę.

- Tak... dziękuję. Staram się... Cóż, staram się być zajęta. Kiwnęła głową.

- To dobrze. Twój sklep stał się popularny. Czytałam też w gazetach, że pokaz mody odniósł wielki sukces.

- Rzeczywiście. Zebraliśmy ponad trzy tysiące funtów. Dość, by kupić tysiąc dwieście moskitier, więc... - Wzruszyłam ramionami. - To już coś, prawda?

- To bardzo dużo. - Daphne uśmiechnęła się ciepło. - Jesteśmy z ciebie bardzo dumni. Emma też by była - dodała. - Ale... chciałam ci tylko powiedzieć, że niedawno przejrzelismy jej rzeczy.

Ścisnęło mnie w żołądku.

- Więc pewnie znaleźliście jej pamiętnik - przerwałam jej. Chciałam jak najszybciej mieć to za sobą.

- Tak - odparła Daphne. - Wiedziałam, że nie powinnam naruszać jej prywatności. Wiedziałam, że powinnam go spalić, nawet go nie otwierając. Ale nie byłam w stanie odebrać sobie tego, co mi po niej

zostało... Więc... przeczytałam go - powiedziała, patrząc na mnie z niepokojem, jakby szukała na mojej twarzy wyrazu potępienia. - Bardzo zasmuciło mnie to, że Emma czuła się tak nieszczęśliwa podczas ostatnich miesięcy swojego życia.

Nie byłam w stanie spojrzeć Daphne w oczy.

- Tak, była nieszczęśliwa - potwierdziłam cicho. - Już wiecie, że głównie z mojego powodu. Zakochałam się w kimś, kto podobał się Emmie. A ona... bardzo to przeżyła... Czuję się okropnie. Nie chciałam tego.

Teraz, kiedy w końcu wyznałam swoją winę, pozostało mi już tylko czekać na osąd Daphne.

- Phoebe - powiedziała. - Emma nie napisała, że jest na ciebie zła. Przeciwnie, pisała, że nie zrobiłaś nic złego. I że to w jakiś sposób jeszcze pogorszyło sytuację, bo nie miała kogo obwiniać. Była zła, ale na siebie, za to, że nie potrafiła zachowywać się bardziej dojrzałe... Przyznała, że nie potrafiła zwalczyć w sobie negatywnych uczuć, ale zdawała sobie też sprawę z tego, że to z czasem minie.

Z czasem. Ale Emma nie dostała dość czasu. Włożyłam ręce do kieszeni.

- Żałuję, że to się w ogóle wydarzyło. Daphne pokręciła głową.

- To tak, jakbyś chciała, żeby życie się nie wydarzyło. Bo życie takie właśnie jest, Phoebe. Nie masz sobie nic do zarzucenia. Byłaś wspaniałą przyjaciółką.

- Nie. To jeszcze inna sprawa. Bo... - Nie miałam zamiaru dręczyć Daphne myślą że mogłam ocalić Emmie życie. - Czuję, że ją zawiodłam. Czuję, że mogłam zrobić dla niej więcej. Tamtej nocy. Ja...

- Nikt z nas nie wiedział, jak bardzo Emma była chora - przerwała mi Daphne. - Wyobraź sobie, jak ja się czuję. Byłam na urlopie, nie można się było ze mną skontaktować... - Daphne łzy napłynęły do oczu. - Phoebe, Emma popełniła... fatalny błąd. Błąd, który kosztował ją życie. Ale ty musisz być szczęśliwa, Phoebe, bo w przeciwnym wypadku zmarnowane zostaną nie jedno, a dwa życia. Nigdy nie zapomnisz Emmy, bo była twoją najlepszą przyjaciółką i na zawsze zostanie częścią ciebie. Ale musisz postarać się dobrze przeżyć swoje życie. Kiwnęłam głową i sięgnęłam do kieszeni po chusteczkę.

- A teraz - Daphne przełknęła - chciałabym dać ci kilka rzeczy Emmy na pamiątkę. Chodź.

Poszłam za Daphne do kuchni, gdzie wzięła leżące na stole czerwone pudełko. W środku była złota moneta, którą Emma dostała od dziadków, w dniu, gdy przyszła na świat.

- Chcielibyśmy, żebyś to zatrzymała - powiedziała Daphne.

- Dziękuję - odparłam. - Emma bardzo ją ceniła... ja też będę.

- Jest jeszcze to. - Daphne podała mi amonit. Położyłam go sobie na dłoni. Był ciepły.

- Emma go znalazła, kiedy byliśmy razem w Lyme Regis. Pomogłam jej go wykopać. To bardzo miłe wspomnienie. Dziękuję. Cóż...

-Uśmiechnęłam się do Daphne. - Chyba już pójdę.

- Ale będziesz z nami w kontakcie, prawda, Phoebe? Nasze drzwi zawsze są dla ciebie otwarte, więc zajrzyj do nas od czasu do czasu.

-Objęła mnie ramionami.

- Na pewno zajrzę - obiecałam.

Kiedy wróciłam do domu, zadzwonił Dan. Spytał, jak było na cmentarzu. Teraz wiedział już wszystko o Emmie. Potem zapytał jeszcze, czy nie poszłabym z nim obejrzeć jeszcze jednego lokalu pod jego nowe kino. Tym razem był to wiktoriański magazyn w Lewisham.

- Właśnie znalazłem go w „Observerze” - powiedział. - Chciałabyś zobaczyć go ze mną od zewnątrz? Przyjechałbym po ciebie za dwadzieścia minut.

- Dobrze - zgodziłam się.

Wiedziałam, że - pomijając wszystko inne - powinnam się teraz czymś zająć.

Do tej pory obejrzałam już z Danem budynek dawnej wytwórni ciastek w Charlton, opustoszałą bibliotekę w Kidbrooke i starą fabrykę świec w Catford.

- Lokalizacja jest bardzo ważna - powiedział Dan pół godziny później, kiedy jechaliśmy w górę Belmont Hill. - Muszę znaleźć budynek w okolicy, w której w promieniu trzech kilometrów nie ma innego kina.

- Kiedy chciałbyś je otworzyć?

- To zależy od tego, ile trzeba będzie przy tym budynku zrobić, ale w przyszłym roku o tej porze kino powinno już działać.

- A jak je nazwiesz?

- Myślę o Cine Qua Non.

- Nie za bardzo wyszukane?

- Dobrze, a więc Lewisham Lux.

Dan zatrzymał czarnego golfa przed magazynem stojącym przy jednej z bocznych uliczek, i wyszedł go obejrzeć. Przeskoczył przez zamkniętą bramę. Ja nie chciałam przełazić przez ogrodzenie w mojej jedwabnej

spódnicy, więc powiedziałam mu, że trochę się przespaceruję. Minęłam wystawę sklepu, na której stało mnóstwo telewizorów plazmowych. Ku memu zdumieniu na ekranie największego z nich zobaczyłam Mags. Miała na sobie czerwone spodnium i szpilki. Stała w studio przed licznie zgromadzoną publicznością. Potem przyłożyła palce do skroni i zaczęła chodzić tam i z powrotem. Telewizor miał włączoną funkcję tekstową, więc na pasku u dołu ekranu mogłam przeczytać, co mówi. „Widzę wojskowego. Prosto się trzymał i lubił palić cygara. Czy to coś mówi komuś na tej sali?” Kamera pokazała oglupiałe twarze publiczności, a ja pokręciłam głową i poczułam nagle, że Dan stoi tuż za mną.

- Byłeś bardzo szybki - stwierdziłam.

- Cóż, spodobało mi się, więc jutro zadzwonię do agenta. Budynek jest chyba w niezłym stanie, wielkość jest idealna... - Zauważył, że wpatruję się w telewizor. - Na co tak patrzysz, kochanie? - Spojrzał na ekran. - Ta kobieta to medium?

- Tak w każdym razie twierdzi.

„Traktujcie mnie jak operatora, który zaraz postara się was połączyć...”

Opowiedziałam Danowi, jak poznałam Mags.

- A więc interesuje cię spirytystyka?

- Właściwie nie - odparłam, kiedy ruszyliśmy dalej.

- Moja mama właśnie dzwoniła - powiedział Dan. - Pytała, czy nie mielibyśmy ochoty wpaść do nich na podwieczorek w przyszłą niedzielę.

- W przyszłą niedzielę? - spytałam. - Bardzo chętnie, tylko mam już inne plany. Chodzi o coś bardzo ważnego.

W samochodzie mu wyjaśniłam.

- To rzeczywiście ważna sprawa - zgodził się Dan.

Epilog

Niedziela, 22 lutego, 2009

Idę Marylebone High Street, nie tak, jak ostatnio często mi się to zdarza, we śnie, lecz na jawie. Idę na spotkanie z kobietą, której nigdy wcześniej nie widziałam. W dłoni ściskam reklamówkę, tak mocno, jakbym niosła w niej klejnoty królewskie.

„Zawsze marzyłam, że pewnego dnia dam ten płaszczyk Monique...”

Mijam pasmanterię.

„... i czy możesz uwierzyć, że nadal o tym marzę?” Kiedy Lena zadzwoniła i powiedziała, że zatrzymała się w hotelu w centrum Marylebone, serce podeszło mi do gardła.

- Jest tu taka miła mała kafejka niedaleko księgarni - powiedziała.

-Pomyślałam, że mogłybyśmy się tam spotkać; nazywa się Amici's.

Może być?

Już miałam odpowiedzieć, że wolałabym każde inne miejsce, bo z tym wiąże się zbyt wiele bolesnych wspomnień, lecz nagle zmieniłam zdanie. Kiedy byłam tam ostatnio, stało się coś bardzo smutnego. Teraz może wydarzy się coś pozytywnego...

Otwieram drzwi. Carlo macha do mnie ręką. Zaraz potem dostrzegam szczupłą elegancko ubraną kobietę po pięćdziesiątce, która wstaje od stolika i i podchodzi do mnie, uśmiechając się niepewnie.

- Phoebe?

- Lena - odpowiadam ciepło. Podajemy sobie dłonie. Lena ma żywą twarz, wysokie kości policzkowe i ciemne włosy. - Jesteś taka podobna do swojej matki.

- Ale skąd ty możesz o tym wiedzieć? - pyta zaskoczona.

- Zaraz zobaczysz - obiecuję jej. Czekaając na zamówione kawy, rozmawiam przez chwilę z Carlem, potem zanoszę filiżanki do stolika. Lena, która mówi z miękkim kalifornijskim akcentem, opowiada mi o swojej podróży do Londynu, na ślub przyjaciółki z dawnych lat, który odbędzie się następnego dnia w Urzędzie Stanu Cywilnego w Marylebone. Mówi, że bardzo się na to cieszy, choć cierpi trochę z powodu niewyspania wywołanego różnicą czasu.

Teraz, kiedy mamy już za sobą towarzyskie uprzejmości, przechodzimy do celu naszego spotkania. Otwieram reklamówkę i podaję Lenie płaszczyk - jego historię w zasadzie już zna.

Muska palcami modry jak niebo materiał, gładzi wełnę, dotyka jedwabnej podszewki i ręcznych szwów.

- Jest śliczny. A więc uszyła go matka Therese... - Lena spogląda na mnie zaskoczona. - Naprawdę знаła się na rzeczy.

- To prawda. Jest bardzo pięknie uszyty. Lena dotyka kołnierzyka.

- To zdumiewające, że Therese nigdy nie porzuciła myśli, by dać go mojej matce.

„Mam go od sześćdziesięciu pięciu lat, i zatrzymam go do śmierci”.

- Chciała dotrzymać danej Monique obietnicy - mówię. -I teraz jej w pewnym sensie dotrzymała.

Lena patrzy na mnie ze smutkiem.

- Biedna dziewczyna. Przez tyle lat nie wiedziała, co się wydarzyło. Nie zapomniała... aż do końca.

Pijemy kawę, a ja opowiadam Lenie więcej o tamtych wydarzeniach. o tym, jak tamtej fatalnej nocy Therese dała się zwieść Jean-Lucowi i jak nigdy nie wybaczyła sobie, że zdradziła mu kryjówkę Monique.

- Mama i tak mogłaby zostać odkryta - zauważa Lena, upijając łyk kawy. - Opowiadała, że bardzo ciężko było jej wytrzymać w tej stodole, w ciszy i samotności, całymi dniami... pocieszało ją tylko wspomnienie piosenek, które kiedyś śpiewała jej matka... że kiedy ją w końcu odkryto, odczuła niemal ulgę. Oczywiście nie miała wtedy pojęcia, co ją czeka - dodała Lena posępnie.

- Miała dużo szczęścia - mówię cicho.

- Tak. - Lena wpatruje się w swoją kawę, zagubiona w rozmyślaniach. - To, że mojej matce udało się przeżyć, to... to cud. A zatem i moje istnienie jest cudem, nigdy o tym nie zapominam. I myślę o tym młodym niemieckim oficerze, który tamtego dnia uratował jej życie. Podaję Lenie kopertę. Otwiera ją i wyjmuje naszyjnik.

- Jest śliczny - zachwyca się, oglądając go pod światło. Przesuwa brązowo-różowe koraliki między palcami. - Matka nigdy o nim nie wspominała. - Lena podnosi wzrok na mnie. - Jakie jest jego miejsce w tej historii?

Wyjaśniam jej to, usiłując sobie wyobrazić Therese rozpaczliwie szukającą w trawie szklanych paciorków. Musiała odszukać je wszystkie, co do jednego.

- Zapięcie działa chyba bez zarzutu - mówię, kiedy Lena je rozpina. - Therese mówiła, że kilka lat temu nawlekła koraliki na nowy sznurek. -

Lena zakłada naszyjnik, koraliki połyskują i migoczą na tle jej czarnego sweterka. - I jeszcze jedno. - Teraz podaję Lenie starą zrudziałą kopertę Lena wyciąga z niej zdjęcie. Przez chwilę spogląda na widniejące na nim morze twarzy, a potem bez wahania wskazuje palcem Monique i spogląda na mnie.

- To dlatego wiedziałaś, jak wyglądała moja mama. Kiwam głową.

- A tu, obok niej, stoi Therese.

Potem pokazuję Jean-Luca i Lena marszczy brwi.

- Mama mówiła o nim z wielką goryczą. Nigdy nie zrozumiała, dlaczego kolega ze szkolnej ławy dopuścił się wobec niej takiej zdrady.

-Opowiadam jej o tym, co zrobił Jean-Luc dziesięć lat później. Lena z niedowierzaniem kręci głową. - Szkoda, że mama nigdy się o tym nie dowiedziała. Ale zerwała wszelkie kontakty z Rochemare, choć często śniła o tamtym domu... śniła, że biega po pokojach, szukając swoich braci i rodziców, nawołując, błagając o pomoc...

Przy tych słowach zrobiło mi się zimno.

- Cóż... - Lena przytuliła płaszczyk do siebie, a potem go składa. -Będę go strzegła, Phoebe, a potem przekażę go mojej córce, Monice. Ma teraz dwadzieścia sześć lat, kiedy moja mama zmarła, miała zaledwie cztery. Pamięta ją jednak trochę i czasami pyta mnie o jej życie, więc to na pewno pomoże jej zrozumieć tę historię.

Biorę ze stolika jedną z papierowych serwetek, z nadrukiem „Airrici's”.

- Jest coś jeszcze, co może w tym pomóc.

Opowiadam Lenie o Annie i jej sztuce. Twarz Leny rozjaśnia się w uśmiechu.

- Ależ to cudownie. Więc napisała ją twoja przyjaciółka?

Myszę o tym, jak bardzo polubiłam Annie w ciągu tych sześciu miesięcy naszej znajomości.

- Tak. To moja przyjaciółka.

- Może wrócę tu jeszcze, żeby zobaczyć tę sztukę - mówi Lena. -Z Moniką, jeśli tylko będzie to możliwe, przyjedziemy. Ale teraz... -Lena ostrożnie wkłada płaszcz i zdjęcie do torby. - Bardzo się cieszę, że mogłyśmy się poznać, Phoebe - dodaje z uśmiechem. - Dziękuję.

- Jak także się cieszę, że mogłyśmy się poznać. Wstajemy.

- Więc... To już chyba wszystko? - szepcze Lena.

- Tak - odpowiadam spokojnie. - To już wszystko.

Żegnamy się ze sobą i obiecujemy pozostać w kontakcie. Kiedy wychodzę z kawiarni, dzwoni mój telefon. To Dan.

Podziękowania

Pragnę podziękować wszystkim, którzy pomogli mi w zaplanowaniu i napisaniu tej powieści. Za wiedzę z dziedziny historii ubioru Kerry Taylor z Kerry Taylor Auctions, Sonyi Smith-Hughes i Deborze Eastlake z Biba Lives, Claire Stansfield i Stephenowi Philipowi z Rellik, Marianne Sundholm z Circa Vintage, Dolly Diamond z Dolly Diamond oraz Pauline i Guyowi Thomas z Fashion Era. Za informacje dotyczące Prowansji jestem wdzięczna Frankowi Wisemanowi i Georges Frechet z Avignon Mediatheque za umożliwienie mi poszukiwań materiałów na temat okupowanego Awinionu. Za informacje z dziedziny uprawy winorośli serdecznie dziękuję rodzinie Boiron z Bosquet des Papes oraz Nathalie Panissieres z Chateau Fines Roches. Chciałabym podziękować

Richowi Mea-dowi, zastępcy redaktora gazety „ Metro ”, Carole Bronsdon, G.P., Jonathanowi i Kim Causer, Peterowi Crawfordowi, Ellen Stead, Louise Clairmonte i zespołowi Blackheath Halls, a także Sophii Wallace-Turner za pomoc przy fragmentach pisanych po francusku. Tylko ja ponoszę winę za wszelkie błędy i nieścisłości.